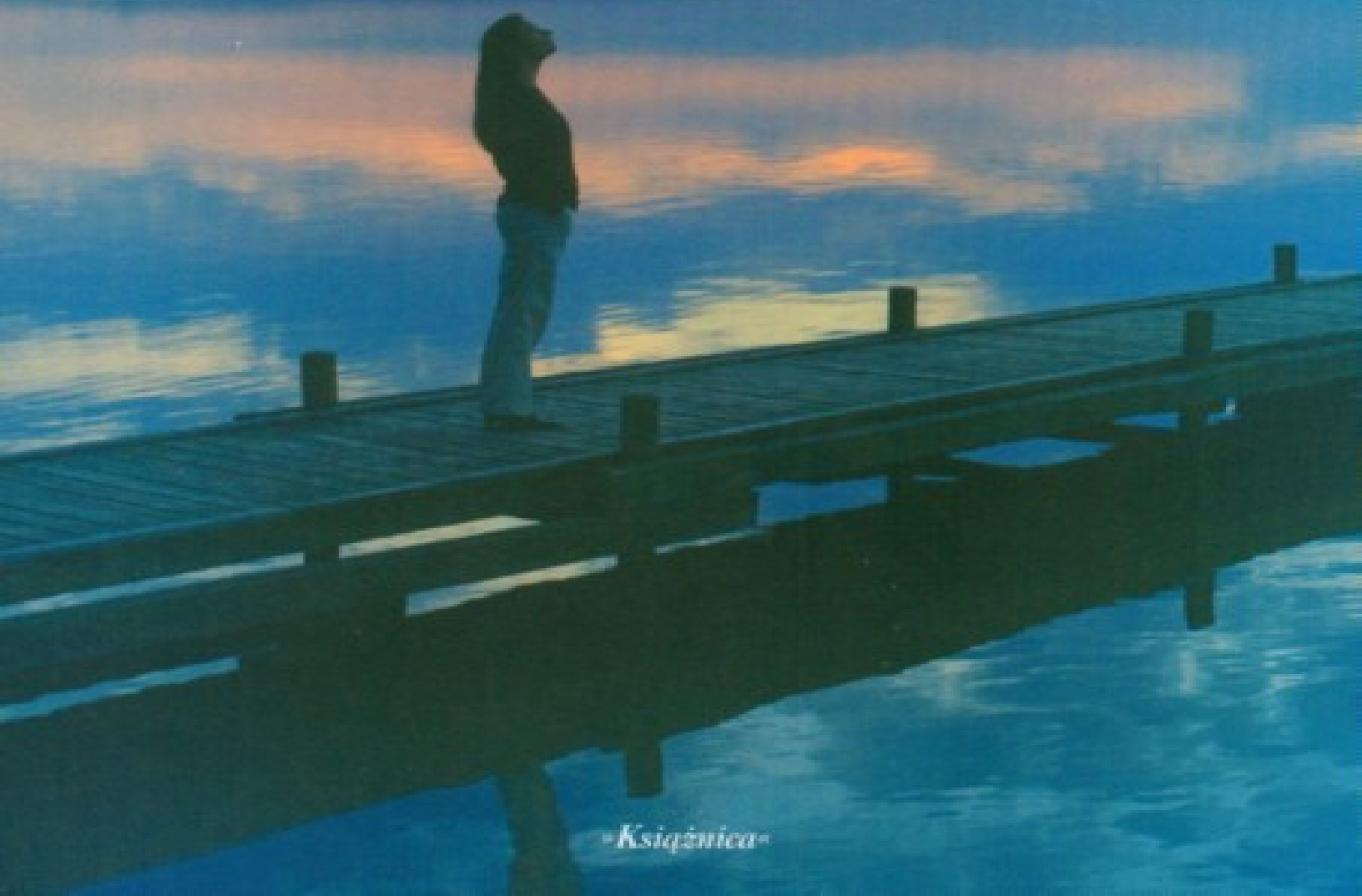


MEŁDA PRAWNICZKA DZIEDZICZY DAR LECZENIA LUDZI

NOAH GORDON

SPADKOBIERCZYNI
MEDICUSA



«Książnica»

NOAH GORDON

SPADKOBIERCZYNI MEDICUSA

(CHOICES)

Przełożyła: Maria Grabska-Ryńska



Książnica

Wydawnictwo: Książnica 2008

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

CZĘŚĆ PIERWSZA DZIEDZICTWO

1 Kandydatura

2 Dom przy Brattle street

3 Betts

4 Decyzja

5 Zaproszenie na bal

6 Rywalizacja

7 Głosy

8 Sąd koleżeński

9 Woodfield

10 SAŚIEDZI

11 POWOŁANIE

12 FLIRT z TEMIDĄ

13 INNA DROGA

14 OSTATNIA ROMANTYCZKA

CZĘŚĆ DRUGA DOM NA SKRAJU

15 METAMORFOZA

16 INAUGURACJA

17 DAVID MARKUS

18 KOCIE SPOJRZENIE

19 DOM NA SKRAJU

20 FOTOGRAFIE

21 PEWNIEJSZE KROKI

22 NOCNE ŚPIEWY

23 DAR

24 NOWE ZNAJOMOŚCI

25 WRASTANIE

26 PONAD LINIĄ ŚNIEGÓW

27 PORA CHŁODÓW

28 WZBIERAJĄCE SOKI

CZĘŚĆ TRZECIA KAMIENNE SERCA

29 ŻYCZENIE SARY

30 WYCIECZKA

31 POWRÓT

32 BRYŁA LODU

33 PRZEDMIOTY

34 ZIMOWE WIECZORY

35 UKRYTY DRAMAT

36 NA SZLAKU

37 JESZCZE JEDEN MOST

38 ODWIEDZINY

39 CHRZEST MOSTU

40 CZEGO BAŁA SIĘ AGUNA

41 POKREWNE DUSZE

42 EKSMAJOR

43 CZERWONA FURGONETKA

44 PORANNY KONCERT

CZĘŚĆ CZWARTA LEKARKA Z PROWINCJI

45 OPOWIEŚĆ PRZY ŚNIADANIU

46 KIDRON

47 WSPÓŁMIESZKAŃCY

48 SKAMIELINA

49 ZAPROSZENIA

50 WIELKA TRÓJCA

51 ODPOWIEDŹ NA PYTANIE

52 WIZYTÓWKI

53 SŁOŃCE I CIENÍ

54 SIEW

55 PIERWSZY ŚNIEG

56 ODKRYCIA

PODZIĘKOWANIA

*Książkę tę dedykuję mojej ukochanej Lorraine i naszym dzieciom –
Michałowowi Gordonowi, Lisie Gordon, Rogerowi Weissowi i Jamie Beth
Gordon, której czułość i wyobraźnia pozwoliły dostrzec czarodziejską moc
serdecznych kamieni.*

Najtrudniej w życiu jest dokonać wyboru.

George Moore,
The Bending of the Bough

Nigdy nie miałem prywatnej praktyki; wiem, że się do tego nie nadaję. Ale autentyczna pomoc ludziom – o każdej porze i w każdych warunkach, towarzyszenie im w najważniejszych chwilach: przy narodzinach i śmierci, możliwość obserwacji, jak walczą z chorobą, poddają się lub zdrowieją – to wszystko zawsze mnie fascynowało.

dr William Carlos Williams,
Autobiografia

Bliski, krzepiący, ciepły dotyk lekarza, pociecha i troska, długie, niespieszne rozmowy [...] znikają z codziennej praktyki lekarskiej, a to może się okazać niepowetowaną stratą. Gdybym był studentem medycyny lub stażystą, kimś, kto stawia dziś pierwsze kroki, najbardziej niepokoiłby mnie właśnie ten aspekt przyszłości. Lękałbym się, że istota mojej pracy – opieka nad chorym – może wkrótce zostać mi odebrana i pozostanie mi tylko całkiem inne zajęcie – nadzór nad maszynami. Starałbym się znaleźć sposób, by temu zapobiec.

dr Lewis Thomas,
The Youngest Science:
Notes of a Medicine Watcher.

CZĘŚĆ PIERWSZA

DZIEDZICTWO

1 Kandydatura

Roberta ocknęła się ze snu. Od lat zdarzało jej się, że w środku nocy otwierała oczy i wpatrywała się w mrok w przeświadczeniu, iż wciąż jest zapracowaną stażystką w bostońskim szpitalu Lemuel Grace, korzystającą z pustej separatki, żeby zdrzemnąć się, choć przez chwilę w ciągu trzydziestosześciodzinnego dyżuru.

Ziewnęła; terażniejszość coraz obfitszym strumieniem docierała do mózgu. Z ulgą zdała sobie sprawę, że lata stażu ma już za sobą. Postarała się zapaść z powrotem w nieświadomość; fosforyzujące palce zegarka wskazywały, że ma do dyspozycji jeszcze dwie godziny snu, a dawno temu właśnie w czasie stażu nauczyła się wykorzystywać każdą taką okazję.

Dwie godziny później obudziła się już bez paniki w szarym świetle brzasku. Wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć budzik. Nieodmiennie wstawiała, jeszcze zanim zadzwonił, lecz stanowił gwarancję na wszelki wypadek.

Strugi wody z natrysku z impetem bębniły jej po głowie, równie ożywcze jak dodatkowa godzina snu. Mydło ślizgało się po ciele pełniejszym, niżby chciała. Szkoda, że nie ma czasu na codzienny jogging.

Wysuszyła suszarką krótkie czarne włosy, wciąż gęste i błyszczące, i z zadowoleniem przyjrzała się twarzy. Skóra jasna i gładka, nos wąski, trochę przydługi, pełne szerokie usta. Zmysłowe? Może, lecz dawno nie całowane. Pod oczami zauważyła woreczki.

– Czego ci się znów zachciewa? – zapytała niegrzecznie kobiety w lustrze.

W każdym razie nie Toma Kendricksa, powiedziała sobie. To jedno jest pewne.

Ubranie przygotowała poprzedniego wieczoru; wisiało na drzwiach szafy – bluzka, dobrze skrojone spodnie, eleganckie, lecz wygodne buty.

Z przedpokoju zajrzała przez otwarte drzwi do sypialni Toma. Garnitur, który miał na sobie wczoraj, wciąż leżał rzucony na podłodze. Tom wstawał wcześniej od niej; już dawno wyszedł, wiedząc, że ma się stawić w sali operacyjnej na szóstą czterdzieści pięć, umyty i odkażony.

Roberta zeszła na dół, nalała sobie szklankę soku pomarańczowego i zmusiła się, by wypić go bez pośpiechu. Potem włożyła płaszcz, wzięła aktówkę i przeszła przez nie używaną kuchnię do garażu. Wielki stary dom był maskotką Toma, lecz tu stała ulubiona zabawka Roberty – małe czerwone BMW. Napawała się warkotem silnika, każdym ruchem czulej kierownicy.

W nocy spadło trochę śniegu, ale służby drogowe w Cambridge zdążyły już odwalić kawał dobrej roboty; zostawiwszy więc za sobą

Harvard Square i JFK Boulevard, mogła się odprężyć. Włączyła radio i słuchała Mozarta, sunąc wraz ze sznurem samochodów wzdłuż Memorial Drive, potem przez Most Uniwersytecki nad Charles River do nadrzecznej dzielnicy Bostonu.

Mimo wczesnej pory parking przed szpitalem był prawie wypełniony. Ustawiła BMW pod murem, aby zmniejszyć ryzyko, że ktoś zniszczy jej karoserię nieostrożnie otwierając drzwi, a potem żwawo weszła do budynku.

Strażnik skinął jej głową.

– Dzień dobry, pani doktor.

– Cześć, Louie.

Czekając na windę przywitała się jeszcze z paroma osobami. Wysiadła na drugim piętrze i szybkim krokiem przeszła do pokoju 308. Zawsze rano zjawiała się w pracy głodna jak wilk. I ona, i Tom rzadko jadali w domu obiady, śniadań zaś nigdy; w lodówce nie było nic poza sokiem i piwem. Przez cztery lata, zanim jej asystentką została Tessa Martula, Roberta wstępowała każdego ranka do zatłoczonej stołówki. Tessa jednak uparła się, że będzie przynosić jej śniadania. Pomysł ten z pewnością nie powstałby jej w głowie, gdyby Roberta była mężczyzną.

– I tak schodzę po kawę dla siebie, więc nie sprawia mi to różnicy – argumentowała.

Roberta włożyła, więc świeży fartuch i zaczęła przeglądać historie chorób, które leżały na biurku. Siedem minut później została nagrodzona widokiem tacy z gorącą bagietką, twarożkiem i czarną mocną kawą.

Pochłonięła wszystko w parę chwil. Tessa przyniosła harmonogram spotkań i przejrzały go wspólnie.

– Dzwonił doktor Ringgold – powiedziała. – Chce cię zobaczyć, zanim zaczniesz biegać po szpitalu.

Biuro lekarza naczelnego mieściło się w rogu budynku na trzecim piętrze.

– Proszę wejść, doktor Cole. Szef czeka na panią – powitała ją sekretarka.

Ringgold skinął jej głową, wskazał krzesło i dokładnie zamknął drzwi.

– Max Roseman miał wczoraj wylew w czasie konferencji na temat chorób zakaźnych. Leży w szpitalu w Nowym Jorku.

– Biedak. W jakim jest stanie?

Ringgold wzruszył ramionami.

– Będzie żył, ale nie jest najlepiej. Stwierdzili głęboki częściowy paraliż; twarz i kończyny niewrażliwe na bodźce. Zobaczymy, co przyniesie najbliższe kilka godzin. Przed chwilą dzwonił Jim Jeffers. Obiecał, że będzie mnie informował na bieżąco, ale tak, czy owak minie wiele czasu, nim Max wróci do pracy. Prawdę mówiąc, zważywszy jego wiek, wątpię, czy w ogóle wróci.

Roberta kiwnęła głową, nagle czujna. Max Roseman był zastępcą lekarza naczelnego.

– Ktoś taki jak ty – ciągnął Ringgold – dobry lekarz z doświadczeniem prawniczym, mógłby wznieść tu świeży powiew zastępując Maxa.

Roberta nie miała na to szczególnej ochoty. Zastępca szefa dźwigał ogromną odpowiedzialność, a jego kompetencje były raczej ograniczone.

Sidney Ringgold najwyraźniej czytał w jej myślach.

– Za trzy lata osiągnę wiek emerytalny. Mój zastępca będzie miał sporą przewagę, starając się o fotel lekarza naczelnego.

– Proponuje mi pan miejsce swojego zastępcy?

– Nie, Roberto. Szczerze mówiąc, porozmawiam o tym jeszcze z kilkoma osobami. Ale jesteś poważną kandydatką.

– Jasno powiedziane – kiwnęła głową. Dziękuję, że wziął mnie pan pod uwagę.

Jego spojrzenie zatrzymało ją w miejscu.

– Jeszcze jedno – rzekł. – Od dawna uważam, że trzeba powołać komisję do spraw publikacji. Etatowi lekarze muszą więcej pisać. Chcę, żebyś się tym zajęła.

Potrząsnęła głową.

– Nie dam rady – powiedziała bez ogródek.– Już i tak z trudem znajduję czas na wszystko.

Powinien o tym wiedzieć pomyślała z urazą. W poniedziałki, wtorki, środy i piątki przyjmowała pacjentów w szpitalnym ambulatorium. We wtorki prowadziła dwugodzinne zajęcia w szkole medycznej naprzeciw szpitala. Uczyła zapobiegania chorobom i urazom, spowodowanymi przez lekarza lub personel szpitalny. W środy po południu wykladała na akademii zasady unikania i odpierania pozwów sądowych o błąd w sztuce lekarskiej. W czwartki przeprowadzała zabiegi wczesnego usuwania ciąży w Klinice Planowania Rodziny w Jamaica Plain. W piątki po południu przyjmowała pacjentki z zespołem napięcia przedmiesiączkowego. Działalność ta, podobnie jak kurs zapobiegania błędom w sztuce, została przez nią stworzona od podstaw i musiała wykazać nader silną wolę, by pokonać obiekcje bardziej konserwatywnych kolegów po fachu.

Zdawała sobie sprawę, że jest dłużniczką Sidneya Ringgolda. On zresztą także o tym wiedział. Jako lekarz naczelny, mimo wielu sprzeciwów, popierał jej akcje. Z początku tak jak inni traktował ją nieufnie. Baba-advokat, która została lekarzem, spec od wyszukiwania błędów w sztuce medycznej; ktoś, kto sporządzał raporty dla izb lekarskich i osądzał kolegów, przysparzając im często kosztów i przykrości. Mówiono o niej „doktor Wścibinos”, choć przezwisko to wprawiało ją raczej w dumę niż w złość. Naczelny lekarz widział, że Wścibinos daje sobie radę i powoli zostaje panią doktor Cole, szanowaną, bo była uczciwa i twarda. Teraz i jej wykłady, i przychodnia dla kobiet stały się osiągnięciami, którymi sam Sidney Ringgold nieraz podpierał się we własnej karierze.

– Może ograniczysz inne zajęcia?

Oboje wiedzieli, że mówi o czwartkowych zabiegach w Klinice Planowania Rodziny.

Ringgold pochylił się do przodu.

– Zależy mi na tej komisji, Roberto.

– Bardzo poważnie to przemyślę, szefie.

Roberta podniosła się z krzesła. Wychodząc, z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że próbuje odgadnąć pozostałe nazwiska na liście kandydatów.

2 Dom przy Brattle street

Jeszcze przed ślubem Tom przekonywał Robertę, że powinna połączyć prawo i medycynę dla osiągnięcia maksymalnego rocznego dochodu. Gdy mimo jego rad rozstała się z Temidą i poświęciła wyłącznie medycynie, namawiał ją na otwarcie gabinetu w którejś z bogatych dzielnic. Z lekceważeniem wyrażał się o szpitalnych pensjach, niemal o jedną czwartą niższych niż potencjalny dochód z prywatnej praktyki.

Miesiąc miodowy – właściwie tylko tydzień – spędzili na jednej z Wysp Dziewiczych. Zaraz po powrocie zaczęli się rozglądać za jakimś lokum i w piątym dniu poszukiwań pośredniczka sprzedaży nieruchomości zabrała ich na oględziny wytwornego, lecz zniszczonego domu przy Brattle Street w Cambridge.

Roberta nie zachwyciła się nim. Był zbyt duży, za drogi, wymagał remontu, a tuż przed drzwiami huczał ruch uliczny.

– Musielibyśmy na głowę upaść mruknięta.

– Nie, nie, nie masz racji odparł Tom. Tego dnia prezentował się wyjątkowo korzystnie; wracał wprost od fryzjera, a na sobie miał doskonale skrojony nowy garnitur. To wcale nie byłoby głupie.

Widział w nim zabytkowy georgiański dom przy ładnej staroświeckiej ulicy o brukowanych czerwoną cegłą chodnikach, po których ongiś przechadzali się poeci i filozofowie ludzie, o których czyta się w podręcznikach. Pół mili dalej mieszkał kiedyś Henry Wadsworth Longfellow, a tuż obok stała Divinity School.

Jej mąż czuł się już bardziej bostoński od samych bostończyków, pielęgnował właściwy akcent, zamawiał ubrania na miarę u Braci Brooks. W gruncie rzeczy jednak pozostał prowincjuszem z Środkowego Zachodu, który ukończył szkołę Bowling Green i uniwersytet stanowy w Ohio. Myśl, że będzie mieszkał w

sąsiedztwie Harvardu – niemal w samym Harvardzie – uderzyła mu do głowy.

Dom oczarował go bez reszty – fasada z czerwonej cegły, ornamenty z vermonckiego marmuru, zgrabne, smukłe kolumny, małe szybki nad drzwiami, ceglany mur dookoła parceli.

Kiedy stało się jasne, że mówi poważnie, zde gustowana Roberta próbowała perswazji.

– To będzie strasznie drogie. Musielibyśmy naprawić wszystkie tynki, dach i fundamenty też proszą się o remont. Agencja jawnie przyznaje, że trzeba by wymienić kocioł centralnego ogrzewania. To nie ma sensu. Tom.

– A właśnie, że ma sens. To wymarzony dom dla pary uznanych lekarzy. Musimy dbać o image.

Żadne z nich nie posiadało większych oszczędności. Dzięki uzyskanemu wcześniej dyplomowi prawnika Roberta była w stanie zarobić dość pieniędzy, by ukończyć studia i odbyć praktykę lekarską z nie znacznym tylko zadłużeniem. Ale Tom musiał spłacić przerażającą sumę. Mimo to uparł się, że chce kupić ten dom. Dowodził, że jako chirurg zarabia już całkiem nieźle, a gdy doliczyć nieco niższą pensję Roberty, z łatwością dadzą sobie radę. Powtarzał to i powtarzał do znudzenia.

Było to w początkowym okresie ich małżeństwa, zanim Robercie spadły łuski z oczu. Tom był lepszy w łóżku niż w życiu, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Wsłuchiwała się w jego słowa z powagą i szacunkiem. W końcu, otumaniona, poddała się.

Wydali mnóstwo pieniędzy na antyki, prawdziwe i podrabiane. Na życzenie Toma zakupili fortepian głównie, dlatego, że „idealnie pasował” do salonu. Mniej więcej raz w miesiącu jej ojciec

szczęśliwy, że Roberta wreszcie się ustatkowała jechał taksówką na Brattle Street i dawał kierowcy suty napiwek za wniesienie do domu pękatej violi da gamba. Grali razem długie, przeładowane trelami duety. Muzyka maskowała liczne zgrzyty, które pojawiły się już na początku, i sprawiała, że dom nie wydawał się taki pusty.

Jadali przeważnie poza domem i nie mieli nawet gosposi na stałe. Małomówna Murzynka nazwiskiem Beatrix Johnson sprzątała w każdy poniedziałek i czwartek, z rzadka tylko coś tłukąc. Trawnikiem zajmowała się firma ogrodnicza. Prawie nie zapraszali gości. Nie przyjmowali pacjentów; profesję gospodarzy zdradzały jedynie dwie niewielkie mosiężne tabliczki, przybite przez Toma do prawej futryny drzwi:

dr med. Thomas Allen Kendricks

dr med. Roberta J. Cole

W owych czasach Roberta mówiła do niego „Tommy”

Po wyjściu od Ringgolda zrobiła obchód.

Na nieszczęście nigdy nie miała więcej niż jednego lub dwóch pacjentów. Jako internistka o inklinacjach lekarza rodzinnego, w szpitalu nie prowadzącym stosownej przychodni była czymś w rodzaju omnibusa, nie przypisaną nigdzie zapchajdziurą. Jej praca w szpitalu i na akademii wciskała się pomiędzy liczne specjalizacje. Przyjmowała kobiety w ciąży, lecz porody odbierał któryś z położników; podobnie przekazywała swych pacjentów chirurgom, gastrologom lub komuś innemu z ponad tuzina fachowców wąskiej branży. Zwykle już ich nie oglądała, bo dalszą opieką zajmował się specjalista albo lekarz domowy. Zresztą do szpitala trafiali

przeważnie ludzie, których leczenie wymagało intensywnych metod.

Swego czasu przełamywanie barier i poczucie, że odkrywa nowe lądy, dodawało smaku jej pracy w Lemuel Grace, ale od dawna już szpitalna rutyna przestała jej sprawiać radość. Zbyt wiele czasu poświęcała na przeglądanie i podpisywanie dokumentów ubezpieczeniowych – dłuższych lub krótszych w zależności od przypadku; w dwóch, trzech, czterech egzemplarzach, innych dla każdej firmy ubezpieczeniowej.

Kontakty z pacjentami stały się z konieczności bezosobowe i krótkie. Anonimowi eksperci od ubezpieczeń określili dokładnie, ile czasu może poświęcić każdemu choremu, którego szybko odsyłano do laboratorium, rentgena, na badanie do pracowni rezonansu magnetycznego lub USG. Techniki te zastępowały większość rzeczywistej pracy diagnostycznej i chroniły przed oskarżeniem o błąd w sztuce.

Często zastanawiała się, kim są ludzie, którzy zwracają się do niej o pomoc. Jakie aspekty ich życia, ukryte przed jej jakże pobieżnym spojrzeniem, doprowadziły do rozwoju choroby? Nie miała ani czasu, ani sposobności, by traktować ich jednostkowo i być dla nich prawdziwym lekarzem.

Po południu spotkała się z Gwen Gabler w siłowni Alexa, ośrodka sportowym dla lepszej klienteli przy Kenmore Square. Gwen była jej koleżanką jeszcze z czasów studenckich i zarazem najlepszą przyjaciółką. Pracowała jako ginekolog w Ośrodku Planowania Rodziny, a wigorem i niewyparzonym językiem maskowała swoje trudności finansowe. Mąż Gwen handlował

nieruchomościami i przeżywał właśnie zastój w interesach. Do tego dwoje dzieci, zmęczenie, brak złudzeń czasami Gwen była bliska depresji. Chodziły do Alexa dwa razy w tygodniu, żeby katować się długimi sesjami aerobiku, wypocić w saunie głupie zachcianki, zmyć bezowocne żale w wannie gorącej wody, wypić kieliszek wina w foyer, poplotkować i wymienić kilka uwag na tematy zawodowe.

Ich najulubieńszą, złośliwą rozrywką było taksowanie pojawiających się w klubie nieznanym mężczyznom. Roberta odkryła przy tym, że w męskiej twarzy szuka powagi, introspekcji, czegoś, co wskazywałoby na istnienie duszy. Gwen ceniła bardziej zalety ciała. Jej idolem był właściciel klubu, smagły Grek nazwiskiem Alexander Manakos. Cóż, Gwen mogła się podniecać marzeniami o igraszkach z muskularnym kochankiem. W domu czekał na nią Phil pulchny facet w okularach, którego darzyła nie słabnącym uczuciem. Roberta zasypiała z czasopismem medycznym w objęciach.

Na pozór ona i Tom osiągnęli sukces: mieli swe stanowiska, pracę zawodową, elegancki dom przy Brattle Street, wiejską posiadłość w górach Berkshire, gdzie spędzali niezmiernie rzadkie urlopy i weekendy. Ich małżeństwo jednak wypaliło się do cna. Powiadała sobie, że mogło być inaczej, gdyby mieli dziecko. Jak na ironię, choć tak często leczyła bezpłodność u innych, sama od lat nie mogła zająć w ciążę. Tom poddał się badaniu nasienia, ona całemu szeregowi testów, nie udało się wszakże stwierdzić przyczyny. Później oboje prędko wpadli w wir pracy. Wymogi kariery były tak wysokie, że stopniowo oddalili się od siebie. Gdyby ich małżeństwo miało głębsze podstawy, Roberta rozważyłaby sztuczne zapłodnienie lub adopcję. Teraz jednak nie interesowało to już ani jej, ani Toma.

Od dawna była świadoma dwóch rzeczy: że poślubiła człowieka płytkiego i że człowiek ten ją zdradza.

3 Betts

Tom był zaskoczony, kiedy w jego życiu pojawiła się ponownie Elizabeth Sullivan. Za młodu mieszkali razem przez dwa lata w Columbus. Słyszając, co i jak Tom o niej mówi, Roberta domyśliła się, że bardzo ją kochał. Betts jednak zerwała z nim, gdy poznała Briana Sullivana.

Wyszła za Briana i wyjechali do Holandii, gdzie Brian został szefem marketingu filii IBM w Hadze. W kilka lat później przeniesiono go do Paryża, a jeszcze przed dziewiątą rocznicą ślubu zmarł na wylew. Do tego czasu Elizabeth zdążyła wydać dwie powieści kryminalne i zyskać sporą popularność. Bohaterem jej książek był podróżujący na zlecenie swej firmy informatyk, akcja zaś każdej z nich działa się w innym kraju, toteż Betts zaczęła jeździć wszędzie tam, gdzie prowadziły ją jej książki. Zwykle mieszkała przez rok lub dwa w miejscu, o jakim właśnie pisała.

Tom trafił na nekrolog Briana Sullivana w „New York Timesie” i wysłał Betts kondolencje. Poza tym nie pisywali do siebie nawet kartek i Tom niewiele o niej myślał aż do dnia, w którym zadzwoniła do niego i oznajmiła, że ma raka.

– Byłam u lekarzy w Hiszpanii i Niemczech. Wiem, że stan jest poważny. Postanowiłam wrócić i chorować w domu. Lekarz z

Berlina polecał mi szpital Sloana-Ketteringa w Nowym Jorku, ale ponieważ wiedziałam, że pracujesz w Bostonie, przyjechałam tutaj.

Tom zrozumiał to, czego nie dopowiedziała. Małżeństwo Betts również było bezdzietne. Ojca straciła w wypadku samochodowym, kiedy miała osiem lat. W cztery lata później jej matka zmarła na ten sam rodzaj raka, jakiego miała obecnie Betts. Przygarnęła ją jedyna siostra ojca, która teraz, stara i schorowana, znajdowała się w domu opieki w Cleveland. Jedyną osobą, do której Betts mogła się zwrócić, był Tom Kendricks.

- Czuję się okropnie – powiedział Tom do Roberty.
- To oczywiste.

Problem przerastał jego wiedzę. Przedyskutowali go z Robertą dogłębnie, biorąc pod uwagę wszystko, co wiedzieli o przypadku Betts; po raz pierwszy od dawna dzielili się myślami. Tom umówił Elizabeth na badania w Instytucie Onkologicznym Dana-Farbera, po czym udał się na rozmowę do Howarda Fishera.

- Są już przerzuty- twierdził Fisher.- Widywałem remisje w gorszych stanach, ale rozumie pan chyba, że nie rokuję zbyt wielkich szans na poprawę.

- Rzumiem – rzekł Tom.

Onkolog ustalił kurację, łączącą naświetlania i chemioterapię.

Roberta od pierwszego wejżenia polubiła tę postawną kobietę o krągłych policzkach, która ubierała się z europejskim szykiem, ale z wiekiem pozwoliła sobie przybrać na wadze więcej, niż nakazywała moda. Betts była daleka od myśli o poddaniu; należała do tych, którzy walczą do końca. Roberta pomogła jej znaleźć niewielkie mieszkanie przy Massachusetts Avenue i wraz z Tomem odwiedzali

chorą tak często, jak tylko mogli w charakterze przyjaciół, nie lekarzy.

Zabrała Betts na „Śpiącą Królową” w wykonaniu bostońskiego baletu, a także na pierwszy jesienny koncert w Filharmonii. Sama wysłuchiwała go z balkonu, odstąpiwszy Betts swoje zwykłe miejsce w środku siódmego rzędu parteru.

– Macie tylko jeden karnet?

– Tom nie chodzi na koncerty. Nie interesuje go muzyka. Woli mecze hokejowe – powiedziała Roberta, Elizabeth zaś skinęła z powagą głową i zaczęła wychwalać sztukę dyrygencki Seiji Ozawy.

– Spodobają ci się letnie koncerty Boston Pops. Siedzi się przy stolikach, popija szampana albo lemoniadę, słuchając lepszych utworów. Bardzo gemütlich.

– Och, muszę to zobaczyć! – zapaliła się Betts.

Nie było jej to jednak pisane. Nowotwór zaatakował już na początku zimy; korzystała z mieszkania tylko przez siedem tygodni. Później otrzymała prywatny pokój na piętrze dla VIP-ów w szpitalu Middlesex Memorial i zwiększono jej dawki naświetlania. Wkrótce wypadły jej włosy i zaczęła chudnąć.

Nie straciła jednak pogody ducha.

– Byłaby z tego całkiem interesująca książka, wiesz? – powiedziała kiedyś do Roberty. – Tylko nie mam sił, żeby ją napisać.

Nawiązała się między nimi nic szczerzej sympatii, ale gdy pewnego wieczoru siedzieli we trójkę, Elizabeth zwróciła się do Toma:

– Chcę, żebyś mi coś obiecał. Przyrzeknij, że nie pozwolisz mi cierpieć zbyt długo.

– Przyrzekam rzekł Tom takim tonem, jakby składał przysięgę małżeńską.

Betts chciała zmienić testament, wprowadzając w nim klauzulę, iż nie chce, by sztucznie przedłużano jej życie lekami lub za pomocą aparatury medycznej. Poprosiła Robertę o znalezienie prawnika. Roberta skontaktowała się z Susanne Lorentz z firmy Wigoder, Grant i Berlow, w której sama niegdyś krótko pracowała.

Kilka dni później, gdy wróciła z pracy, samochód Toma stał już na podjeździe. Tom siedział w kuchni, pił piwo i oglądał telewizję.

– Cześć. Rozmawiałaś może z tą Lorentz? – zapytał, wyłączając odbiornik.

– Cześć. Z Susanne? Nie, nie miałam okazji.

– Dzwoniła do mnie. Chciała, żebym był prawnym pełnomocnikiem Betts w kwestiach leczenia. Nie mogę. Jestem asystentem lekarza prowadzącego, więc stworzyłoby to niejako konflikt interesów, prawda?

– Z pewnością. Nie podjęłabyś się tego? To znaczy, pełnomocnictwa?

Tom zaczynał tyć i wyglądał, jakby za mało sypiał. Przód koszuli usiany miał okruszkami krakersów. Roberta nagle zaczęła mu współczuć. W końcu wraz z Betts Sullivan umiera pewna istotna część jego życia.

– Owszem, nic nie stoi na przeszkodzie – powiedziała.

– Dziękuję.

– Nie ma, za co – odparła, poszła do swojego pokoju i położyła się spać.

Max Roseman miał przed sobą długą rekonwalescencję i zdecydował się przejść na emeryturę. Ringgold oficjalnie nie podał jeszcze nic do wiadomości, Roberta zaś usłyszała o tym od Tessy Martuli. Rozpromieniona Tessa nie zdradziła źródła informacji, ale Roberta mogłaby się założyć, że była nim Bess Harrison, sekretarka Rosemana.

– Bardzo poważnie zastanawiają się nad twoją kandydaturą poinformowała ją Tessa.

– Ju-hu! Masz naprawdę spore szansę, dziewczyno. A to dopiero pierwszy szczebel wysokiej drabiny. Kim wolałabyś zostać? Dyrektorem szpitala czy dziekanem akademii medycznej? A tak przy okazji: weźmiesz mnie ze sobą?

– Wątpię, żebyś dostała tę fuchę, więc na razie nie rób sobie apetytu. Oczywiście, że wszędzie będę cię ze sobą włóczyć. Znasz wszystkie plotki, a przede wszystkim przynosisz mi rano kawę, naiwniaczko.

Była to tylko jedna z wielu pogłosek, jakie krążyły po szpitalu. Od czasu do czasu ktoś aluzyjnie dawał jej do zrozumienia, że powszechnie wiadomo o jej kandydaturze. Roberta nie zaciskała kciuków. Nie wiedziała nawet, czy pragnie tego awansu na tyle, by go przyjąć, jeśli już sprawa zajdzie tak daleko.

Wkrótce Elizabeth schudła tak, że Roberta zyskała ulotne wyobrażenie, jak wyglądała ta smukła dziewczyna, w której kochał się Tom. Jej oczy wydawały się teraz większe, skóra niemal przezroczysta. Roberta zdawała sobie sprawę, że organizm Betts

znajduje się na krawędzi, za którą zacznie się stopniowe wyniszczenie.

Panowała między nimi dziwna zażyłość, podbudowana do świadczeniem więź, mocniejsza niż siostrzana. Po części miało to związek z faktem, że obie kiedyś żyły z tym samym mężczyzną. Roberta nie potrafiła sobie wyobrazić Toma i Betts w łóżku. Czy Tom robił to tak samo jak z nią? Czy ujmował w dłonie pośladki Elizabeth, czy całował ją w pępek, kiedy było po wszystkim? Zdawała sobie sprawę, że patrząc na nią, Betts zapewne myśli podobnie. Mimo to nie było między nimi zazdrości; zbliżyły się do siebie. Nawet ciężko chora, Elizabeth zachowała wrażliwość i lotność umysłu.

– Czy ty i Tom zamierzacie się rozstać? – spytała pewnego wieczoru, kiedy Roberta wstąpiła do niej po pracy.

– Przypuszczam, że tak. I to pewnie niedługo.

Elizabeth pokiwała głową. Najwyraźniej potwierdzenie domysłów jej nie zaskoczyło.

– Szkoda – szepnęła.

Znajdowała jeszcze w sobie dość sił, by ją pocieszać.

Roberta żałowała, że nie znały się wcześniej. Byłyby świetnymi przyjaciółkami.

4 Decyzja

Czwartki.

W młodości Roberta bardzo często manifestowała swoje przekonania. Teraz pozostały jej już tylko czwartki.

Dzieci zawsze stanowiły dla niej szczególną wartość i nie podobało jej się usuwanie ciąży. Uważała je za coś brzydkiego i wstydliwego. Czasem praca w klinice aborcyjnej stawała na przeszkodzie innym działaniom zawodowym Roberty, ponieważ część kolegów tego nie pochwałała. Również Tom się na nią złościł. Bał się i o jej opinię, i o swoją.

W Stanach jednak toczyła się wojna o aborcję. Wielu lekarzy, spłoszonych przez drastyczne groźby, rezygnowało z wykonywania zabiegów. Roberta wyznawała pogląd, że kobieta ma prawo decydować o własnym ciele, w każdy czwartek rano jechała więc do Jamaica Plain i wkradała się tylnym wejściem do kliniki, starając się uniknąć pikiet, hasła, wyzwisk, wyciąganych ku niej krucyfiksów, bryzgów krwi, podtykanych jej pod nos płodów w formalinie.

W ostatni czwartek lutego zaparkowała przed domem Ralpa Aiella, sąsiada kliniki, który za tę uprzejmość otrzymywał zapłatę. Na podwórku leżał świeży głęboki śnieg, ale w ramach umowy Aiello odmiatał wąską ścieżkę do furtki w płocie na tyłach domu. Prowadziła na tyły budynku kliniki, gdzie znajdowało się drugie wejście.

Roberta pokonywała tę trasę prawie biegiem z obawy, że rzucą się ku niej demonstranci. Targała nią złość i irracjonalny wstyd, że musi ukradkiem wykonywać swój zawód.

Tego dnia przed kliniką panował spokój, nie słyszała wrzasków ani przekleństw, była jednak szczególnie przygnębiona. Po drodze od wiedziała Elizabeth Sullivan.

Dla Betts nie było już żadnej nadziei; wkroczyła w pasmo nieuleczalnych mąk. Automat, za pomocą którego mogła sama aplikować sobie lek przeciwbólowy, niemal od początku przestał jej wystarczać. Teraz doktor Fisher zaczął jej podawać silne dawki morfiny.

Leżała bez ruchu z zamkniętymi oczyma.

– Cześć, Betts – powiedziała głośno Roberta. Dotknęła palcem (ciepłe), lekko pulsujące) szyi. Po chwili, nieomal wbrew woli, ujęła dłoń nieprzytomnej kobiety. Z głębi ciała Elizabeth Sullivan napłynęła informacja, która wdarła się do świadomości Roberty. Czuła, jak niewielki jest rezerwuar sił, jak powoli, bezustannie wycieka z niego życie.

Och, Betts, tak mi przykro – szepnęła w duchu. – Tak mi cię żal, kochana.

Wargi Elizabeth drgnęły. Roberta pochyliła się nad nią, wytyżając słuch.

– Zieloną... Tę zieloną...

Roberta wspomniała o tym pielęgniarce z oddziału, Beverly Martin.

– Bóg ma nad nią litość powiedziała pielęgniarka. – Rzadko budzi się na tyle, by cokolwiek mówić.

Roberta miała wrażenie, jak gdyby w tym tygodniu dokręcono śruby we wszystkich narzędziach tortur, jakim poddawany był jej system nerwowy. Nocą podpalono klinikę aborcyjną w stanie Nowy Jork, maniakalna agresja wezbrała też w Bostonie. Burzliwe demonstracje, graniczące wręcz ze zbiorowym szałem, dotknęły dwóch klinik w Brooklinie. Zakłócenie porządku pociągnęło za sobą

stanowcze działania policji i masowe aresztowania. Spodziewano się, że ośrodek w Jamaica Plain będzie następny.

Gwen piła kawę w pokoju lekarzy, dziwnie przygaszona.

– Czy coś się stało? – zaniepokoiła się Roberta.

Gwen odstawiła filiżankę i sięgnęła do torebki. Wyjęła z niej złożony na pół arkusz papieru. Był to list gończy podobny do tych, jakie wiszą w urzędach pocztowych. Wymieniono w nim personalia i adres Gwen, zamieszczono jej zdjęcie, tygodniowy harmonogram zajęć, napisano też, że porzuciła lukratywną praktykę ginekologiczną w Framingham, żeby „bogacić się na skrobankach”. Zarzut głosił: morderstwa popełniane na dzieciach.

– Dobrze, że nie napisali wprost: „poszukiwana żywa lub martwa” – rzekła z goryczą Gwen.

– Leszka też tak urządzili?

Leszek Ustinovich, nim zaczął tu pracę, przez dwadzieścia sześć lat praktykował jako ginekolog w Newton. Tylko on i Gwen Gabler pracowali w ośrodku na pełnym etacie.

– Nie, to ja jestem kozłem ofiarnym, choć o ile wiem, podobny zaszczyt spotkał Waltera Hearsta z Deaconess Hospital.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

Gwen przedarła plakat na pół, potem jeszcze na pół, wrzuciła kawałki do kosza na śmieci i lekceważąco wydeła wargi.

– Nie wypędzą nas stąd, jeśli im nie pozwolimy.

Roberta w zadumie dopiła kawę. Od dwóch lat dokonywała tu aborcji w pierwszym trymestrze ciąży. Miała na swoim koncie praktykę ginekologiczną, a Les Ustinovich, wspaniały lekarz z potężnym doświadczeniem, nauczył ją wszystkiego o wczesnych zabiegach. Były one całkowicie bezpieczne, o ile dokonywano ich

właściwie i ostrożnie, a Roberta dokładała starań, żeby robić to dobrze. Mimo to w każdy czwartek była tak spięta, jak gdyby czekały ją operacje na otwartym mózgu.

Westchnęła, wyrzuciła papierowy kubek i poszła do pracy.

Nazajutrz rano w szpitalu Tessa, podając jej kawę i drożdżówkę, obrzuciła ją bardzo poważnym spojrzeniem.

– Sprawa przybiera coraz konkretniejszy obrót. Podobno doktor Ringgold zawęził listę do czterech osób, a jedną z nich jesteś ty.

Roberta przełknęła kęs.

– I kto jeszcze? – spytała, nie mogąc poskromić ciekawości.

– Nie wiem. Słyszałam tylko, że to same gwiazdy.– Tessa zerknęła na nią z ukosa. – Wiesz, że byłabyś pierwszą kobietą na tym stanowisku?

Roberta uśmiechnęła się niewesoło. Naciski wcale nie są łatwiejsze do zniesienia, kiedy wywiera je własna sekretarka.

– To nic nowego, prawda?

– Prawda odpowiedziała Tessa.

Tego popołudnia Roberta wracała pieszo z przychodni dla kobiet, kiedy przed drzwiami ambulatorium natknęła się na Ringgolda.

– Cześć – powiedział.

– Witam.

– Postanowiłaś coś w sprawie publikacji?

Zawahała się.

Prawdę mówiąc, dotąd nie myślała o tym. Było to jednak nie w porządku wobec Sidneya.

– Nie, jeszcze nie. Ale wkrótce dam odpowiedź.

Skinął głową.

– Znasz żelazną zasadę obsadzania kierowniczych stanowisk w każdym szpitalu klinicznym w tym mieście? Wybiera się kandydata, który jest już znany jako błyskotliwy naukowiec. Słowem, kogoś, kto wiele publikował.

– Jak na przykład miody Sidney Ringgold i jego prace o spadku wagi, ciśnieniu krwi i fazach rozwoju choroby.

– Tak, właśnie jak ten dawny młody jajogłowy Sidney Ringgold. Dorobek naukowy, oto, czemu zawdzięczam ten fotel przyznał. – Jest to nie bardziej logiczne niż wybieranie na rektorów uczelni wybitnych dydaktyków. Ale co do ciebie...

Ringgold zamyślił się na moment.

– Z tobą jest inaczej – podjął. – Opublikowałaś parę dysertacji, wsadziłaś tu i ówdzie kij w mrowisko, ale jesteś lekarzem, nie badaczem. Osobiście uważam, że najwyższy czas, by zastępcą lekarza naczelnego został ktoś, kto naprawdę leczy ludzi, ale nominacja musi zyskać poparcie personelu szpitala i społeczności lekarskiej. Jeśli więc ma to być ktoś, kto nie jest naukowcem, musi on czy też ona mieć w życiorysie tak wiele doświadczenia w pracy na kierowniczych stanowiskach, ile tylko możliwe.

Uśmiechnęła się do niego, czując, że jest jej przyjazny.

– Rozumiem. Po niedzieli dam panu znać, co postanowiłam w kwestii tej komisji.

– Będę wdzięczny, doktor Cole. Życzę miłego weekendu.

– Nawzajem, doktorze Ringgold.

Znad morza nadciągnęła paskudna, ciepła wichura, nękać Boston i Cambridge ulewnymi deszczami i topiąc przedwiosenny

śnieg. Na dworze wszystko ociekało wodą, w studzienkach kanalizacyjnych tworzyły się kałuże.

Sobotni ranek Roberta spędziła w łóżku, słuchając deszczu i rozmyślając. Nie podobał jej się własny nastrój; był coraz bardziej posępny i mógł wpłynąć na jej decyzję, jeśli się przed nim nie uchroni.

Nie skakała z radości na myśl, że miałaby zastąpić Maa Rosemana. Ale też obecne życie zawodowe nie napawało jej entuzjazmem. Cieszyła się natomiast, że Sidney Ringgold wciąż w nią wierzy i po raz kolejny stworzył jej możliwości, o których gros mężczyzn nie pozwoliłoby jej nawet marzyć.

Ponadto wciąż miała przed oczami minę Tessy, mówiącej, że jeszcze nigdy zastępcą lekarza naczelnego nie została kobieta.

Przed południem wstała z łóżka, włożyła starą trykotową bluzę, wiatrówkę, najbardziej zniszczone adidas i czapkę z emblematem Red Sox, którą wciągnęła głęboko na uszy. Wyszła z domu i puściła się biegiem przez kałuże. Po dwudziestu jardach miała kompletnie przemoczone nogi. Mimo roztopów w Massachusetts nadal trwała zima; Roberta drżała z chłodu, lecz w miarę biegu krew zaczęła jej śpiewać w żyłach i szybko się rozgrzała. Zamierzała dobiec tylko do Memoriał Drive i wrócić, ale jogging sprawiał jej taką przyjemność, że biegła wzdłuż zamrożonej rzeki, patrząc jak krople deszczu biją o lód, dopóki nie zaczęła odczuwać zmęczenia. W drodze powrotnej dwukrotnie obryzgał ją przejeżdżający samochód, ale nie miało to wielkiego znaczenia i tak była mokra. Weszła do domu kuchennymi drzwiami, zrzuciła kapiącą odzież na wykafelkowaną podłogę i wytarła się ścierką do naczyń, żeby nie zmoczyć dywanu. Potem długo stała pod gorącym

natryskiem. Gdy sięgnęła po suchy ręcznik i zaczęła się energicznie wycierać, na lustrze osiadło już tyle pary, że nie widziała w nim swojego odbicia.

Wkładając bieliznę postanowiła wejść do gry i stworzyć komisję, o której mówił Sidney. Nie miała jednak zamiaru z jej powodu okrawać swych dotychczasowych zajęć. Wara od moich czwartków, doktorze Ringgold – pomyślała.

Ubrana tylko w majtki i bluzę z emblematem Tufts University, wzięła do ręki przenośny telefon i wykręciła domowy numer Ringgolda.

– Tu Roberta Cole – oznajmiła, gdy się zgłosił. – Nie byłam pewna, czy pana zastanę.

Ringgoldowie mieli nadmorski domek w Martha's Vineyard i Gloria Ringgold prawie w każdy weekend ciągnęła męża na wyspę.

– Pogoda jest ohydna prychnął.– Nie ruszamy się z domu. Trzeba być kompletnym idiotą, żeby pchać się na dwór w taki dzień jak dziś.

Roberta spuściła klapę sedesu, usiadła na niej i roześmiała się.

– Ma pan absolutną rację – powiedziała.

5 Zaproszenie na bal

We wtorek miała kolejny wykład na temat powikłań wewnątrzszpitalnych. Przebiegł gładko, a zaciekle dyskusja wypełniła niemal dwie godziny ćwiczeń. Niektórzy studenci wciąż

się spodziewali, że uczelnia zrobi z nich wszechmocnych bogów leczenia, wyćwicy w nieomyślności. Ci nie chcieli dyskutować o tym, że mimo najlepszych intencji lekarz może wyrządzić pacjentowi krzywdę. Większość studentów była jednak świadoma swego miejsca w świecie i epoki, w której żyli, oraz zdawała sobie sprawę, że zaawansowana technologia nie wyklucza ludzkich błędów. Chcieli jak najbardziej uczulić się na sytuacje, mogące spowodować śmierć lub dalszą utratę zdrowia ich pacjentów, a w konsekwencji pozbawić ich ciężko zapracowanych pieniędzy na koszty odszkodowań.

To była zdolna grupa. Dzięki temu Roberta wróciła do szpitala nieco bardziej niż zwykle zadowolona z życia.

Spędziła w gabinecie ledwie parę minut, kiedy Tessa poinformowała ją, że dzwoni Tom.

- Robbie? Elizabeth zmarła dziś nad ranem.
- Och...
- Tak. Cóż, przynajmniej już nie cierpi.
- Wiem. Tak jest lepiej. Tom.

Tom jednak cierpiał nadal. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, jak głęboko mu współczuje. Ich związek nie był już fajerwerkiem, mimo to gdzieś na dnie tliło się uczucie. Może Tom czuł się samotny.

– Słuchaj, umówmy się gdzieś na kolację – powiedziała impulsywnie. – Na przykład w North End.

– O... nie, ja... – był zakłopotany. – Mam spotkanie, którego nie mogę przełożyć. Pociesz go kto inny – pomyślała cierpko i nie bez żalu. Podziękowała mu, że dał jej znać o śmierci Elizabeth, i wróciła do pracy.

Późnym popołudniem odebrała telefon od jego asystentki.

– Doktor Cole? Mówi Cindy Wolper. Pan doktor Kendricks kazał panią zawiadomić, że dziś nie wróci do domu. Musi jechać na konsultację do Worcester.

– Dziękuję za informację – odpowiedziała sucho.

W najbliższą sobotę jednak Tom nieoczekiwanie zaprosił ją na lunch na Harvard Square. Zdziwiło ją to. Zwykle o tej porze robił poranny obchód w szpitalu Middlesex Memoriał, gdzie był konsultantem, później grał w tenisa, a lunch zjadał w klubie.

Nowinę obwieścił, pokrywając precyzyjnie kromkę pumpernika cienką warstewką masła.

– Do dyrekcji szpitala wpłynęło doniesienie, że spowodowałem śmierć pacjentki.

– Kto je złożył?

Pielęgniarka z oddziału, na którym leżała Betts. Niejaka Beverly Marun.

– Tak, pamiętam ją. Ale dlaczego, na Boga...

– Zameldowała, że wstrzyknąłem Betts „nieproporcjonalnie dużą” dawkę morfiny, wysyłając ją na tamten świat.

– Och, Tom...

Pokiwał głową.

– I co teraz? – spytała.

– Raport zostanie rozpatrzony na posiedzeniu szpitalnej komisji do spraw merytorycznych – Tom zatrzymał przechodzącą obok kelnerkę i zamówił jeszcze jedną kawę. – Jestem pewien, że wszystko rozejdzie się po kościach – dodał – ale chciałem cię uprzedzić, zanim usłyszysz o tym od kogoś innego.

W poniedziałek, zgodnie z życzeniem wyrażonym w testamencie Elizabeth Sullivan, jej zwłoki zostały poddane kremacji. Tom, Roberta i Susanne Lorentz udali się do domu pogrzebowego, gdzie Susanne, jako wykonawczyni testamentu, otrzymała szare kartonowe pudełko zawierające prochy.

Poszli na lunch do Ritza. Przy sałatce Susanne odczytała im fragmenty ostatniej woli Betts. Majątek, określony przez Susanne jako „znaczny”, został przeznaczony na pokrycie kosztów utrzymania i leczenia ciotki Betts, Sally Frances Bosshard, pensjonariuszki Luterskiego Domu dla Chorych i Starców w Cleveland Heights w stanie Ohio.

Po śmierci pani Bosshard pozostałe fundusze, jeśli takowe będą, miały zostać przekazane Towarzystwu Badań nad Rakiem. Najdroższemu przyjacielowi, doktorowi Thomasowi Kendricksowi, zmarła pozostawiła miłe – taką wyraża nadzieję – wspomnienia oraz taśmę magnetofonową z nagraniem „Strawberry Fields” w wykonaniu tegoż Toma Kendricksa i Elizabeth Bosshard, później Sullivan. Nowej, acz nieocenionej przyjaciółce, doktor Robercie J. Cole, Elizabeth Sullivan zapisała osiemnastowieczny srebrny serwis do kawy na sześć osób, nieznanego francuskiego wytwórcy. Serwis, podobnie jak kasetta magnetofonowa, znajdował się w magazynie w Antwerpii wraz z innymi rzeczami, głównie meblami i dziełami sztuki. Dochód z ich sprzedaży miał powiększyć fundusz na rzecz Sally Frances Bosshard.

Zmarła prosiła panią Cole o jeszcze jedną, ostatnią przysługę. Życzyła sobie, by jej prochy zostały oddane doktor Cole celem złożenia w ziemi, „bez mszy ani ceremonii, w jakimś pięknym miejscu”, którego wybór pozostawiała Robercie.

Roberta była zdumiona, zarówno zapisem, jak i nieoczekiwanym zadaniem. Tom miał łzy w oczach. Zamówił butelkę szampana i wypili za pamięć Betts.

Na parkingu Susanne wyjęła z samochodu pudełko i wręczyła je Robercie. Nie mając co z nim zrobić, Roberta położyła je na przednim siedzeniu BMW i wróciła do Lemuel Grace.

W środę o piątej dwadzieścia rano obudził ją długi, uporczywy dźwięk dzwonka, oznajmiający, że ktoś stoi pod drzwiami.

Wygramoliła się z łóżka i narzuciła szlafrok. Nie mogła znaleźć pantofli, poczłapała więc bosą do zimnego holu.

Wyjrzała przez szybkę w drzwiach. Na dworze wciąż było ciemno, ale rozróżniła dwie postaci.

– Kto tam? – zawołała.

– Policja stanowa.

Kiedy włączyła światło, przekonała się, że tak jest w istocie. Otworzyła drzwi, pełna najgorszych obaw.

– Czy coś się stało mojemu ojcu?

– Nie, nie, proszę pani, nic takiego. Chcemy porozmawiać z doktorem Kendricksem – powiedziała żylasta policjantka w mundurze. Towarzyszył jej tęgi wywiadowca w cywilu: czarny kapelusz, czarne buty, szare spodnie, prochowiec. Roztaczali wokół siebie aurę śmiertelnie poważnego profesjonalizmu.

– Co się stało, Robbie? – Tom stanął u szczytu schodów w podkoszulku, granatowych spodniach od garnituru i skarpetkach.

– Doktor Kendricks?

– Tak. O co chodzi?

– Jestem kapral Flora McKinnon – przedstawiła się policjantka. – A to wywiadowca Robert Travers z Wydziału Prewencji przy Prokuraturze Okręgowej hrabstwa Middlesex. Prokurator, pan Wilhoit chciałby zamienić z panem kilka słów.

– Kiedy?

– Teraz. Prosi, żeby pan udał się z nami do jego biura.

– Chryste, chce mi pani powiedzieć, że o wpół do szóstej rano już pracuje?

– Tak jest – odparła kobieta.

– Macie nakaz aresztowania?

– Nie, proszę pana.

– Wobec tego przekażcie panu Wilhoitowi, że zmuszony jestem odrzucić jego łaskawe zaproszenie. Za godzinę muszę być w szpitalu i zoperować pęcherzyk żółciowy pacjenta, który na mnie liczy. Powiedzcie, że mogę przyjść o wpół do drugiej. Jeśli mu to odpowiada, niech da znać mojej sekretarce. Jeśli nie, ustalimy inną porę, dogodną dla obu stron. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, proszę pana. Zrozumieliśmy – odparła rudowłosa pani kapral.

Oboje skinęli głowami i znikli w mroku.

Tom wciąż stał na schodach. Roberta tkwiła w holu, wpatrzona w niego i przerażona nie na żarty.

– Boże drogi Tom – powiedziała. – Co się dzieje?

– Może lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną. Jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z prokuraturą.

– Pójdę; ale lepiej wezwijmy fachowca.

Odwołała wykład i spędziła przy telefonie trzy godziny, rozmawiając z prawnikami, których dyskrecji była pewna i wiedziała, że uczciwie jej doradzą. Wszyscy powtarzali to samo nazwisko: Nat Rourke. Rourke siedział w branży od dawna; nie był może efektowny, ale inteligentny i cieszył się dużym uznaniem. Roberta nie znała go osobiście. Kiedy połączyła się z jego biurem, był zajęty, lecz godzinę później oddzwonił.

Streściła mu sprawę. Wysłuchał jej w milczeniu.

– Nie, nie – rzekł w końcu łagodnie. – O wpół do drugiej nie pójdziecie do Wilhoita, tylko do mnie. O trzeciej mam spotkanie, nie zajmie mi wiele czasu. Do biura prokuratora okręgowego udamy się wszyscy razem na czwartą czterdzieści pięć. Moja sekretarka zawiadomi Wilhoita.

Biuro Nata Rourke'a znajdowało się w solidnym, nieco podniszczonym budynku za gmachem władz stanowych. Sam prawnik niski mężczyzna o ziemistej cerze i ostrych rysach przypominał Robercie oglądane zdjęcia Irvinga Berlina. Ubrany był w ciemny, stonowany garnitur z kamizelką, śnieżnobiałą koszulę i uniwersytecki krawat z emblematem, którego nie rozpoznała. Pensylwania, jak się okazało później.

Rourke kazał Tomowi zrelacjonować wszystkie okoliczności, jakie doprowadziły do śmierci Elizabeth Sullivan. Był dobrym słuchaczem. Patrzył na Toma z uwagą, nadażał za tokiem jego myśli i nie przerywał, póki nie wysłuchał do końca. Potem pokiwał głową, wydał usta i przechylił się do tyłu w krześle, splatając dłonie na symbolu Phi Beta Kappa.

– Czy pan ją zabił, doktorze?

– Nie musiałem jej zabijać. Zrobił to nowotwór. Sama wydałaby ostatnie tchnienie za kilka godzin albo kilka dni. Nie należała już do świata żywych. Gdyby odzyskała przytomność, cierpiałaby straszliwie. Obiecałem jej, że nie będzie cierpieć. Już wcześniej dostawała silne dawki morfiny. Zwiększyłem dawkę, żeby się upewnić, że nie będzie odczuwała bólu. Nie czuję się winny, nawet, jeśli w efekcie przyspieszyło to jej śmierć.

– Pani Sullivan otrzymywała doustnie trzydzieści miligramów morfiny dwa razy dziennie. Domyślam się, że była to forma leku o powolnym działaniu? – zapytał Rourke.

– Tak.

– A czterdzieści miligramów, które pan jej wstrzyknął, zadziałało natychmiast i była to ilość wystarczająca, by zatrzymać oddychanie?

– Tak.

– I przez to spowodować śmierć?

– Tak.

– Czy miał pan romans z panią Sullivan?

– Nie.

Omówili dawne związki Toma z Elizabeth. Prawnik wydawał się zadowolony.

– Czy odniósł pan jakiegokolwiek korzyści finansowe w związku ze zgonem Elizabeth Sullivan?

– Nie. – Tom streścił mu zawartość testamentu Betts. – Czy Wilhoit ma zamiar robić mi kłopoty?

– Bardzo możliwe. To ambitny polityk, który pnie się w górę; interesuje go fotel zastępcy gubernatora. Sensacyjny proces byłby dla niego trampoliną. Gdyby udało mu się udowodnić panu morderstwo z premedytacją i uzyskać wyrok dożywotniego

więzienia bez możliwości zwolnienia warunkowego, będzie wiele hałasu, krzykliwe nagłówki w prasie i deszcz pochwał słowem, do pnie swego. Tylko, że w tym przypadku morderstwo z premedytacją w ogóle nie wchodzi w grę. A pan Wilhoit jest za cwany, żeby wnieść sprawę pod obrady przysięgłych, jeśli nie będzie miał realnej szansy na wyrok skazujący. Zaczeka na opinię biegłych z Izby Lekarskiej.

– Co mi grozi w najgorszym razie?

– Chce pan usłyszeć najbardziej pesymistyczny scenariusz?

– Tak.

– Oczywiście nie gwarantuję, że mam rację. Ale moim zdaniem w najgorszym wypadku zostałby pan skazany za zwykłe zabójstwo. Sędzia najpewniej zachowałby się miłosiernie i wlepił panu, jak my to nazywamy, „konkordat”. Dwadzieścia lat w Stanowym Zakładzie Poprawczym w Concorde. W ten sposób utrzymałby reputację bezkompromisowego tępiciele zbrodni, a równocześnie nie skrzywdziłby pana zbytnio, bo w Concorde można ubiegać się o zwolnienie warunkowe po odsiedzeniu dwudziestu czterech miesięcy wyroku. Czas ten mógłby pan wykorzystać na napisanie książki, zyskując przy tym sławę i mnóstwo pieniędzy.

– Straciłbym prawo wykonywania zawodu – rzekł chłodno Tom i Roberta prawie zapomniała, że już od dawna go nie kocha.

– Proszę pamiętać, rozważamy scenariusz najgorszy. Najlepszy scenariusz to taki, w którym sprawa w ogóle nie trafia pod obrady ławy przysięgłych. I za doprowadzenie do takiego właśnie rozwiązania ja biorę grubą forszę – rzekł Rourke.

W naturalny sposób przeszli do kwestii honorarium.

– W tego typu sprawie wszystko może się zdarzyć. Szarych obywateli proszę zwykle o zaliczkową wpłatę w wysokości dwudziestu tysięcy. Pan jednak jest cenionym specjalistą, człowiekiem o dobrej opinii. Myślę, że najkorzystniej dla pana będzie zatrudnić mnie na godziny. Dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt za godzinę.

Tom skinął głową.

– To brzmi jak świetny interes rzekł, – a Rourke uśmiechnął się.

Do wysokiego gmachu sądu dotarli za pięć piąta, spóźnieni o dziesięć minut. Kończył się dzień pracy, ludzie wylewali się z budynku z werwą dzieci wypuszczonych ze szkoły.

– Spokojnie, nie musimy się spieszyć – rzekł Rourke. – Wilhoitowi tylko na zdrowie wyjdzie, jeśli trochę spuści z tonu. To, że o brzasku wysłał do pana policję, określiłbym jako bardzo tanią zagrywkę, doktorze Kendricks. Zaproszenie na bal, można by powiedzieć.

Jeśli Wilhoit specjalnie zadał sobie trud, żeby poznać rozkład zajęć Toma uświadomiła – sobie Roberta z dreszczem zgrozy znaczyło to, że potraktował sprawę wyjątkowo i chciał, żeby oni o tym wiedzieli.

Musieli wpisać się do rejestru przy biurku strażnika w holu, a potem winda wywiozła ich na piętnaste piętro.

Wilhoit był wysokim opalonym mężczyzną, uśmiechniętym kordialnie jak stary przyjaciel. Roberta przejrzała jego życiorys. W 1972 roku ukończył Harvard College, następnie wydział prawniczy Boston College, później był wyższym urzędnikiem w prokuraturze

okręgowej i deputowanym w parlamencie stanowym. W 1988 roku został wybrany na stanowisko prokuratora okręgowego.

– Witam, panie Rourke. Cieszę się, że pana widzę. Doktorze Kendricks, doktor Cole, miło mi państwa poznać. Proszę, proszę siadać.

Po chwili przybrał już czysto urzędową pozę, wzrok miał chłodny i cichym głosem zadawał pytania, niemal te same, które wcześniej stawiał Tomowi Rourke.

Oznajmił, że prokuratura ma w aktach kartę choroby Elizabeth Sullivan.

Zapisano tu, że z polecenia doktora Howarda Fishera pacjentka z pokoju dwieście osiem szpitala Middlesex Memorial otrzymywała doustnie zawierający morfinę lek o nazwie Contin, w ilości trzydziestu miligramów dwa razy dziennie. Zobaczmy dalej... o drugiej dziesięć nad ranem krytycznej nocy doktor Thomas Kendrick wprowadził do karty pacjentki pisemne zalecenie podania dożylnie czterdziestu miligramów siarczanu morfiny. Zgodnie z zeznaniem panny Beverly Martin, pielęgniarki, doktor oznajmił, że sam robi zastrzyk. Panna Martin twierdzi, że kiedy pół godziny później weszła do pokoju dwieście osiem, żeby przeprowadzić rutynowe pomiary, pani Sullivan już nie żyła. Doktor Kendricks siedział przy jej łóżku, trzymając ją za rękę. – Wilhoit zerknął na Toma. – Czy fakty te, tak jak je przedstawiłem, są zgodne z prawdą, doktorze Kendricks?

– Tak, powiedziałbym, że są dokładne.

– Czy zabił pan Elizabeth Sullivan, panie Kendricks?

Tom spojrział na Rourke'a. W oczach prawnika malowała się czujność, skinieniem głowy jednak zezwolił na odpowiedź.

– Nie, panie prokuratorze – rzekł Tom.– Zabił ją nowotwór.

Wilhoit również skinął głową. Uprzejmie podziękował im za przybycie i dał do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

6 Rywalizacja

Prokurator okręgowy nie odezwał się więcej; gazety też milczały. Roberta czuła, że cisza ta może być złowieszcza. Ludzie Wilhoita nie próżnowali. Przepytywali pielęgniarki i lekarzy w Middlesex Memorial, starając się ustalić po pierwsze, czy popełniono przestępstwo, po drugie zaś czy próba zniszczenia Thomasa A. Kendricksa pomoże czy zaszkodzi karierze prokuratora okręgowego.

Roberta skupiła się na pracy. Ogłosiła w szpitalu i na akademii powstanie komisji do spraw publikacji. Na pierwszym zebraniu, które miało miejsce pewnego śnieżnego wtorkowego wieczoru, pojawiło się czternaście osób. Roberta spodziewała się, że przyciągnie uwagę stażystów i młodych lekarzy bez dorobku. Przyszło jednak również kilku starszych doktorów. Nie powinno jej było to zaskoczyć. Znała, co najmniej jednego dziekana akademii medycznej, który nie umiał pisać poprawną angielszczyzną.

Ustaliła miesięczny harmonogram wykładów i poprosiła o ich prowadzenie kilku redaktorów czasopism medycznych. Paru lekarzy na ochotnika zgłosiło chęć przeczytania swoich powstających prac, by można je było krytycznie omówić. Musiała przyznać, że Sidney Ringgold trafnie przewidział zapotrzebowanie.

Boris Lattimore, jeden ze starszych wiekiem konsultantów, odciągnął Robertę na bok w stołówce i szepnął, że ma nowiny. Sidney powiedział mu, że nowym zastępcą lekarza naczelnego zostanie albo ona, albo Allen Greenstein. Greenstein był zapalonym badaczem, który opracował program genetycznego monitorowania noworodków. Roberta miała nadzieję, że Boris się myli; Greenstein stanowił silną konkurencję.

Obowiązków związanych z nową komisją nie było zbyt wiele. Co prawda zagęściły harmonogram jej zajęć i uszczknęły kolejną porcję cennych wolnych chwil, ale nie uległa pokusie zrezygnowania z czwartkowych zabiegów. Miała świadomość, że bez higienicznych nowoczesnych klinik przerywania ciąży wiele kobiet wyprawi się na tamten świat, próbując załatwić sprawę we własnym zakresie. Najuboższe te, które nie miały ani pieniędzy, ani ubezpieczenia, ani nawet dość obycia, by dowiedzieć się, gdzie mogą uzyskać pomoc nadal piły terpentynę, amoniak, detergenty, wpychały sobie do pochwy wieszaki, druty do robótek, przybory kuchenne i wszystko, co ich zdaniem mogło wywołać poronienie. Roberta podjęła się wykonywania aborcji, ponieważ uważała, że każda kobieta w razie potrzeby musi mieć dostęp do usług medycznych na odpowiednim poziomie. Atmosfera jednak była coraz cięższa. Jadąc do domu po całym dniu spędzonym w szpitalu, usłyszała przez radio, że w klinice aborcyjnej Bridgeport w Connecticut wybuchła bomba, która zburzyła część budynku, oślepiła strażnika i raniła sekretarkę oraz dwie pacjentki.

Nazajutrz rano Gwen Gabler oznajmiła, że składa wymówienie i wyjeżdża z miasta.

– Nie możesz tego zrobić zaprotestowała Roberta.

Ona, Gwen i Samantha Potter przyjaźniły się od czasów studenckich. Samantha prowadziła zakład anatomii na wydziale medycznym Uniwersytetu Massachusetts. Jej wykłady stały się już legendarne i Roberta nie widywała jej tak często, jak by chciała. Z Gwen jednak spotykała się regularnie od osiemnastu lat.

To dzięki Gwen mogła nadal pracować w ośrodku. W niej znajdowała oparcie, gdy praca stawała się zbyt trudna. Roberta nie była bohaterką, odwagę czerpała wzorując się na Gwen.

– Będę strasznie tęsknić. – Gwen uśmiechnęła się żałośnie.

– Więc nie wyjeżdżaj.

– Muszę. Przynajmniej ze względu na Phila i dzieci.

Stawki hipoteczne skoczyły w górę i rynek nieruchomości praktycznie się załamał. Phil Gabler przeżywał katastrofalny rok, skutkiem czego postanowili wyjechać na zachód, do Moscow w stanie Idaho. Phil miał tam wykładać zasady obrotu nieruchomościami na kursach dla pośredników, a Gwen negocjowała właśnie warunki pracy na etacie ginekologa-położnika w publicznym ośrodku zdrowia.

– Phil uwielbia uczyć. A publiczna służba zdrowia to jest właśnie to. Trzeba zreformować system, Robbie. Wkrótce cała służba zdrowia w Stanach zmieni formę własności.

Uścisnęły się mocno. Roberta natychmiast zaczęła się zastanawiać, jak da sobie radę bez Gwen.

W piątek rano po głównym obchodzie Sidney Ringgold wyplątał się z grupy białych fartuchów i podszedł do Roberty, czekającej na windę.

– Chcę ci powiedzieć, że zbieram wiele pochlebnych opinii o twojej komisji.

Roberta słuchała podejrzliwie. Ringgold nie miał w zwyczaju nadkładać drogi, żeby kogoś poklepać po plecach.

– Co słyszać u Toma? – spytał jakby mimochodem. – Słyszałem o jakiejś skardze. Może mieć z tego powodu kłopoty?

Sidney zebrał dla Lemuel Grace potężne fundusze i wręcz panicznie obawiał się krytyki, nawet gdyby miała ona dotyczyć osób tylko pośrednio związanych ze szpitalem.

Przez całe życie Roberta fatalnie czuła się w sytuacji kogoś, kto ubiega się o posadę. Tym razem ugryzła się w język i nie powiedziała, gdzie szef może sobie wsadzić jej kandydaturę.

– Nie, to nic poważnego – skrzywiła się. – Przejściowe zamieszanie. Nie ma się czym martwić.

Sidney nachylił się do niej.

– Myślę, że ty też nie masz powodu do zmartwień. To naturalnie nie jest obietnica, ale sprawa wygląda nieźle. Nawet całkiem nieźle.

Jego pocieszenie sprawiło ją w niewytłumaczalnie ponury nastrój.

– Wie pan, o czym marzę? – rzuciła impulsywnie. – Marzę o tym, żeby w Lemuel Grace działał oddział ogólny, gdzie nie ubezpieczeni mieszkańcy Bostonu mogliby uzyskać naprawdę doskonałą opiekę lekarską.

– Ci ludzie mają gdzie się leczyć. Istnieje wiele państwowych przychodni. – Ringgold był wyraźnie poirytowany. Nie znosił, gdy

ktokolwiek zgłaszał zastrzeżenia do jego szpitala.

– Ludzie idą tam tylko wtedy, gdy nie mają już wyjścia. Za każdym razem bada ich inny lekarz, nie ma żadnej ciągłości opieki, nie mówiąc o profilaktyce. Leczenie jest doraźne i mocno powierzchowne. Moglibyśmy dokonać czegoś naprawdę ważnego, gdybyśmy zatrudnili lekarzy rodzinnych. Ci ludzie są potrzebni.

Uśmiech Ringgolda stał się wymuszony.

– Żaden z bostońskich szpitali nie prowadzi przychodni ogólnej.

– Czy to nie wspaniały powód, żeby ją stworzyć?

Ringgold potrząsnął głową.

– Myślę, że udało mi się, co nieco działać. Jestem już zmęczony. Do emerytury zostały mi niecałe trzy lata i nie mam ochoty toczyć walk, jakie byłyby konieczne, by wprowadzić w życie tego typu projekt. Nie przychodź do mnie z każdą nową krucjatą, Roberto. Jeśli chcesz zmienić system, zdobądź miejsce w strukturze władzy. Wtedy będziesz mogła toczyć własne bitwy.

W czwartek jej sekretna droga do budynku Kliniki Planowania Rodziny przestała być tajemnicą. Oddział policji, który odgradzał demonstrantów od kliniki, spóźnił się tego ranka. Roberta zaparkowała na podwórku Ralphi Aiella i przechodziła właśnie przez furtkę w płocie, gdy spostrzegła, że z obu stron budynku nadbiegają ludzie. Cały tłum, niosący transparenty i plansze, rozkrzyczany i wytykający ją palcami.

– O nie! – pomyślała.

Była w kropce. Wiedziała, że nie cofną się przed przemocą, i bała się. Zebrała całą odwagę, by przejść obok nich w milczeniu i z godnością. Bierny opór. Myśl o Ghandim upominała się w duchu,

ale zamiast tego przypomniały jej się napady na lekarzy, zabici i okaleczeni. Miała do czynienia z szaleńcami.

Część demonstrantów minęła ją i wbiegła na podwórko Ralpa Aiella.

Myśl o pokoju. Myśl o Martinie Lutherze Kingu. Przejdź pomiędzy nimi. Idź naprzód.

Zerknęła przez ramię. Stłoczyli się wokół jej czerwonego BMW, robili zdjęcia. Niektórzy mieli pojemniki z farbą. Zawróciła i z powrotem przepchnęła się przez furtkę.

– Niech no który dotknie tego samochodu, a złamię mu rękę! – wrzasnęła.

Mężczyzna z aparatem fotograficznym odwrócił się i podetknął jej go pod nos. Flesz błyskał raz po raz, dźgał ją w oczy jak gwóźdź, krzyki wwiercały się aż do mózgu. Czuła się jak ukrzyżowana.

7 Głosy

Od razu zadzwoniła do Nata Rourke'a i opowiedziała mu o zajściu w klinice.

– Myślę, że powinien pan o tym wiedzieć na wypadek, gdyby próbowano posłużyć się moją działalnością przeciwko Tomowi.

– Tak. Dziękuję pani najuprzejmiej, pani doktor – powiedział. Miał w ogóle bardzo dworne maniere, ale trudno było stwierdzić, co naprawdę myśli.

Tego dnia Tom wrócił wcześniej z pracy. Siedziała w kuchni, zajęta papierkową robotą, kiedy przyszedł i wyjął piwo z lodówki.

– Chcesz? – zapytał.

– Nie, dzięki.

Usiadł naprzeciw niej. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć go. Wyglądał na zmęczonego. W dawnych czasach rozmasowałaby mu kark. On też często robił jej masaże; nie szczędzili sobie wtedy takich gestów. Później zaczęli widzieć w sobie potwory, ale Roberta nie mogła wymazać z pamięci tego, że kiedyś Tom wydawał jej się czarujący.

– Dzwonił do mnie Rourke – rzekł Tom. – Mówił mi, co zaszło w Jamaica Plain.

– Ach, tak?

– Tak. Pytał też o... o nasze małżeństwo. Byłem z nim szczery.

Zerknęła na niego i uśmiechnęła się. Dawne dni minęły; teraz było teraz.

– Prawda i tylko prawda powiedziała.

– Tak. Rourke mówi, że jeżeli mamy się rozwieść, postępowanie byłoby dobrze wszcząć od razu, żeby twoja praca w klinice aborcyjnej nie uprzedziła do mnie sędziów z Izby Lekarskiej.

Roberta pokiwała głową.

– Widzę w tym sporo sensu. Nasze małżeństwo już dawno się rozpadło. Tom.

– Co racja, to racja – uśmiechnął się do niej. A teraz chcesz piwa?

– Nie, dziękuję – odparła, pochylając się z powrotem nad papierami.

Tom zabrał część swoich rzeczy i wyprowadził się jeszcze tego wieczoru z łatwością, która dała się wytłumaczyć tylko w jeden

sposób: poszedł prosto do innej kobiety.

Z początku Roberta nie odczuła żadnej zmiany w domu na Brattle Street; i tak zwykle bywała w nim sama. Teraz jednak zapanował w nim spokój, znikły symptomy obecności Toma, które przedtem irytowały ją i psuły humor. Jej przestrzeń życiowa poszerzyła się; było to bardzo przyjemne uczucie.

Ósmego dnia wszakże zaczęła odbierać telefony.

Głosy były różne; odzywały się o rozmaitych porach dnia i nocy. Być może ustaliły harmonogram.

– Ty suko, mordujesz dzieci – szeptał męski głos.

– Zabijasz nasze dzieci. Wyrywasz z łon matek ludzkie istoty jak chwasty – mówił inny.

Jakaś kobieta z politowaniem obwieściła Robercie, iż znajduje się w mocy diabła.

– Będziesz smażyć się w piekle przez całą wieczność – poinformował ją niski dystyngowany głos.

Roberta zmieniła numer telefonu i zastrzegła go.

Dwa dni później, kiedy wróciła z pracy, zobaczyła, że do zabytkowych drzwi jej domu, odrestaurowanych całkiem sporym kosztem, ktoś wielkimi gwoździami przybił plakat:

POSZUKIWANA
POMÓŻ NAM POWSTRZYMAĆ
DR ROBERTĘ J. COLE

Niżej widniało zdjęcie, na którym wściekle patrzyła w obiektyw rozdziawiając usta, co nie dodawało jej uroku. Tekst pod nim głosił:

Mieszkanca Cambridge, dr Roberta J. Cole, udaje na co dzień, że jest godnym szacunku lekarzem w szpitalu Lemuel Grace i na Akademii Medycznej Stanu Massachusetts.

W każdy czwartek jednak zabija od dziesięciorga do trzynaściorga dzieci.

Prosimy:

1. Połączcie się z nami przez modlitwę i post. Śmierć niewinnych jest wbrew woli Bożej. Módlcie się o zbawienie doktor Cole.

2. Napiszcie lub zadzwońcie do Roberty J. Cole i podzielcie się z nią słowem Bożym. Wesprzyjcie ją, by zrezygnowała z tych praktyk.

3. Proście ją, by PRZESTAŁA ROBIĆ SKROBANKI! „Nie bierzcie udziału w bezowocnych dziełach ciemności, lecz piętnujcie je” (List do Efezjan, 5.11.)

Standardowa cena aborcji wynosi 250. Lekarz na stanowisku dr Cole otrzymuje zwykle 50% tej kwoty. W sumie dochód dr Cole z zabicia około 700 dzieci tylko w zeszłym roku wyniósł około 87 500

Plakat wyliczał, gdzie można znaleźć Robertę: podawał jej rozkład dnia, a także adresy i telefony szpitala. Akademii, przychodni dla kobiet i Kliniki Planowania Rodziny. Końcowy wiersz głosił:

**NAGRODA:, JEŚLI JĄ POWSTRZYMACIE,
OCALICIE WIELE LUDZKICH ISTNIEŃ!**

Przez następny tydzień panowała złowroga cisza. Potem „Boston Globe” opublikował artykuł, w którym cytował wypowiedzi

lokalnych działaczy politycznych, komentujące przygotowania prokuratora okręgowego Edwarda W. Wilhoita do ubiegania się o urząd zastępcy gubernatora. Tejże niedzieli we wszystkich kościołach archidiecezji bostońskiej odczytano list od kardynała, potępiający aborcję jako grzech śmiertelny. Dwa dni później publiczne środki przekazu podały do wiadomości, że w Michigan odnotowano kolejne „wspomagane samobójstwo”, którego dokonał doktor Jack Kevorkian. W wieczornych wiadomościach nadano relację z przemówienia Wilhoita, adresowanego do obywatelskiego konwentu seniorów. Wilhoit apelował o „napiętnowanie antychrysta, który czai się wśród nas, a poprzez spędzanie płodów, eutanazję i mord próbuje uzurpować sobie prawa Trójcy Świętej”

– Mam nadzieję, że zrobimy to w sposób cywilizowany, bez walk i kłótni. Podzielmy wszystko, oszczędności i długi, równo na połowę – powiedział Tom.

Nie protestowała. Gdyby w grę wchodziły jakieś większe kwoty, Tom walczyłby do ostatniej kropli krwi, ale większość ich zarobków pochłonał dom i spłata zadłużenia za jego studia medyczne.

Z pewnym zażenowaniem poinformował ją, że mieszka teraz z Cindy Wolper, pulchną dwudziestoparoletnią blondynką, która była jego asystentką.

– Mamy zamiar się pobrać – oświadczył. Biła z niego ulga, że nareszcie udało mu się podnieść zdradę małżeńską do rangi uświęconej miłości.

Biedny pajac – pomyślała ze złością.

Mimo wzniosłych deklaracji, gdy spotkali się, by uzgodnić podział majątku. Tom przyprowadził ze sobą adwokata.

– Chcesz zatrzymać dom na Brattle Street? – spytał.

Roberta spojrzała na niego ze zdumieniem. To przecież Tom, wbrew jej sprzeciwom, uparł się, by go kupić. Z powodu jego obsesji utopili w tej chałupie wszystkie pieniądze.

– Nie chcesz go? – spytała.

– Postanowiliśmy z Cindy, że wykupimy apartament.

– Cóż, ja też nie chcę tego pretensjonalnego gniazdko. Nigdy nie zależało mi, żeby tu mieszkać. – Była świadoma, że mówi podniesionym głosem, i że robi z siebie snobkę, ale miała to w nosie.

– A co z domem na wsi?

– Chyba też trzeba go sprzedać – powiedziała.

– Jeśli ty się tym zajmiesz, ja znajdę kupca na Brattle Street.

Zgoda?

– Zgoda.

Oznajmił, że bardzo chciałby zatrzymać czereśniowy kredens, sofę, dwa fotele i telewizor z wielkim ekranem. Roberta też miała ochotę na kredens, ale zgodziła się wziąć w zamian fortepian i swój ulubiony perski dywan, stuletniego Heriza. Pozostałe meble wybierali kolejno, na zmianę. Cała operacja przeszła szybko i bezkrwawo, po czym prawnik czmychnął w obawie, że zmienią zdanie i skoczą sobie z pazurami do oczu.

W sobotę wieczorem Roberta poszła do siłowni wraz z Gwen, która niebawem wybierała się na dwa tygodnie do Idaho. Jeszcze przed aerobikiem zdążyła jej opowiedzieć o przyszłej żonie Toma. Wtedy właśnie do sali wszedł Alexander Manakos w towarzystwie

konserwatora. Zagłębieni w rozmowie, pochyłili się nad zepsutym przyrządem do ćwiczeń.

- Patrzy tutaj zauważyła Gwen.
- Kto?
- Manakos. Co chwilę na ciebie zerka.
- Nie bądź głupia, Gwen.

Ale właściciel klubu poklepał mechanika po ramieniu i ruszył w ich kierunku.

– Zaraz wracam. Muszę zadzwonić do pracy wymówiła się Gwen i zniknęła.

Ubranie Greka miało tak dobry krój jak garnitury Toma, nie pochodziło jednak od Braci Brooks. Było swobodniejsze, bardziej au courant. Rzeczywiście, Manakos był cholernie przystojnym mężczyzną.

- Doktor Cole?
- Tak.
- Jestem Alex Manakos. – Niemal bezosobowo uściśnął jej dłoń.
- Jak się pani podoba w moim klubie?
- Bardzo. Lubię tu przychodzić.
- Miło mi to słyszeć. Może ma pani jakieś uwagi, zastrzeżenia?
- Nie. Skąd pan zna moje nazwisko?
- Zapytałem. Prawdę mówiąc, wskazałem panią palcem. Chciałem panią poznać. Robi pani sympatyczne wrażenie.
- Dziękuję.

Roberta nigdy nie umiała flirtować i niemal żałowała, że Manakos do niej podszedł. Z bliska w tym uczesaniu przypominał młodego Redforda. Miał haczykowaty nos, co nadawało jego twarzy trochę okrutny wyraz.

– Może przyjmie pani zaproszenie na kolację? Albo drinka, co pani woli. Usiedlibyśmy, porozmawiali, poznali się nieco bliżej...

– Fanie Manakos, ja nie...

– Alex. Mam na imię Alex. Może poczułaby się pani mniej niezręcznie, gdyby przedstawił nas sobie ktoś z pani znajomych?

Uśmiechnęła się.

– To nie jest konieczne.

– Widzę, że przestraszyłem panią tym obcesowym wejściem. Wiem, przyszła pani na lekcję aerobiku. Proszę to przemyśleć i dać mi znać, zanim pani wyjdzie.

Nim zdążyła mu powiedzieć, że nie czuje się urażona, ukłonił się i odszedł.

– Umówisz się z nim?

– Nie.

– Dlaczego? Jest całkiem niezły.

– Gwen, on jest zjawiskowy, ale wcale mnie nie pociąga. Prawdę mówiąc, nie potrafię nawet określić, dlaczego.

– No to, co? Nie zaproponował ci przecież małżeństwa, tylko zwykłą randkę.

Gwen nie popuściła. Podczas każdej przerwy w ćwiczeniach powracała do tematu.

– Wygląda na miłego gościa. Kiedy ostatni raz umówiłaś się z mężczyzną?

Podskakując w rytm muzyki, Roberta przypominała sobie, co o nim wie. Były koszykarz ligi amerykańskiej z Boston College, pochodził z rodziny imigrantów. W holu klubu wisiało jego stare zdjęcie poważnego dzieciaka z pudełkiem przyborów do czyszczenia butów. Nim wstąpił do college'u, wynajął miejsce w arkadzie przy

Kenmore Square i zatrudnił tam już kilku ludzi. W miarę jak rosła jego sportowa legenda, czyszczenie butów u Alexa weszło w modę i wkrótce stał się właścicielem większego lokalu, gdzie sprzedawano również napoje i przekąski. Nie udało mu się przejść na zawodowstwo, ale kończąc studia ekonomiczne był człowiekiem dostatecznie znanym, by bez problemu uzyskać kredyt w każdym z bostońskich banków. Otworzył klub sportowo-rekreacyjny z kompletnie wyposażoną siłownią i ekipą wykwalifikowanych instruktorów. Zachował pewien sentyment dla dawnych czasów; tu również można było sobie wyczyścić buty, ale dawny kiosk z przekąskami przekształcił się w kawiarnię połączoną z drink-barem. Oprócz klubu Manakos miał grecką restaurację nad rzeką, drugą w Cambridge, i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Wiedziała, że nie jest żonaty.

– Kiedy ostatni raz, rozmawiałaś z facetem, który nie jest ani lekarzem, ani chorym? – nie ustępowała Gwen.

Rzeczywiście – pomyślała Roberta. – Kiedy?

– Umów się z nim! – syknęła jej przyjaciółka.

Umyta i przebrana, Roberta wstąpiła do baru, by powiedzieć Manakosowi, że z przyjemnością kiedyś się z nim spotka.

– To świetnie – uśmiechnął się. – Jest pani lekarzem, prawda?

– Tak.

– Fiu, fiu! Jeszcze nigdy nie umawiałem się z doktorem płci żeńskiej.

Boże, w co ja się wdałam? – prychnęła w duchu, na głos zaś zapytała:

– Zwykle umawia się pan z lekarzami płci męskiej?

– Ho ho ho! – rzekł ubawiony, ale spojrział na nią z zainteresowaniem. Umówili się na sobotę.

Nazajutrz zarówno „Herold”, jak „Globe” opublikowały artykuły na temat aborcji w Bostonie. Oprócz wywiadów z przedstawicielami każdej ze stron konfliktu, ukazało się też kilka zdjęć aktywistów. „Herold” dodatkowo wzbogacił materiał reprodukcjami dwóch „listów gończych”. Jeden z nich przedstawiał Jamesa Dickensona, ginekologa dokonującego zabiegów usunięcia ciąży w Klinice Świadomego Macierzyństwa w Brooklinie. Drugi dr Robertę J. Cole.

W środę ogłoszono, że zastępcą lekarza naczelnego Lemuel Grace na miejsce doktora Maxwella B. Rosemana został mianowany doktor Allen Greenstein.

Przez kilka następnych dni w gazetach i telewizji ukazywały się wywiady z doktorem Greensteinem. Spora część wypowiedzi poświęcona była mającemu wejść za kilka lat w życie programowi genetycznego monitorowania noworodków. Umożliwiał on przewidywanie przyszłych zagrożeń zdrowia dzieci; nawet tych, które miały pojawić się w wieku dojrzałym i mogły stanowić przyczynę zgonu.

Roberta widywała Ringgolda na obchodach, podczas zebrań wydziału, a także na korytarzu. Za każdym razem patrzył jej prosto w oczy, witając ją uprzejmie, jak gdyby nic nie zaszło.

Miała ochotę go zaczepić i powiedzieć, że nie wstydzisz się dokonywać aborcji, że to ważna i trudna praca, którą podjęła, dlatego, iż jest dobrym lekarzem.

Dlaczego więc przemykała chyłkiem pod ścianami ze zwieszoną głową?

Niech ich wszystkich szlag trafi!

W sobotę po południu wróciła na tyle wcześnie, by spokojnie wziąć prysznic i ubrać się starannie. O siódmej wieczorem pojawiła się w klubie. Alexander Manakos stał przy barze, rozmawiając z jakimś mężczyzną. Usiadła na wysokim stołku przy drugim końcu baru. Po chwili podszedł do niej. Wyglądał jeszcze atrakcyjniej, niż go zapamiętała.

– Dobry wieczór przywitała go.

Skinął jej głowę. W ręku miał gazetę. Kiedy ją rozłożył, zobaczyła, że jest to poniedziałkowe wydanie „Globe”.

– Czy to prawda, co tu piszą? – spytał. – Że robi pani te... no, skrobanki?

Domyśliła się, że nie usłyszy peanów na swą cześć. Podniosła głowę i wyprostowała się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Tak. To legalny i zgodny z etyką zabieg, niezbędny dla życia i zdrowia moich pacjentek powiedziała spokojnie i robię go dobrze.

– To obrzydliwe. Chryste, nie dotknąłbym pani nawet drągiem.

Pięknie pomyślała.

– Nie będzie pan miał okazji – oznajmiła zimno. Wstała ze stołka i wyszła z lokalu, mijając po drodze stolik, przy którym tęga, siwowłosa kobieta ze łzami w oczach biła jej brawo. Może czułaby się trochę lepiej, gdyby ta kobieta nie była pijana.

Potrafię przeżyć swoje życie sama. Bez pomocników. Nie potrzebuję ich, rozumiesz? – powiedziała wściekle do Gwen. – I ty też bądź łaskawa się odzepić, przyjaciółko!

– Dobrze już, dobrze westchnęła Gwen i uciekła.

8 Sąd koleżeński

Zaplanowane na kwiecień posiedzenie komisji Izby Lekarskiej zostało przełożone z powodu wiosennej śnieżycy, która pokryła resztki brudnego śniegu i lodu nową białą powłoką. Trochę wcześniej) Boston szalałby z uciechy, ale teraz nikogo już nie bawił powrót zimy. Dwa dni później temperatura się podniosła gwałtownie i zarówno świeży, jak i stary śnieg spłynęły razem. Studzienki kanalizacyjne nie nadążały odprowadzać wody.

Komisja spotkała się tydzień później. Obrady nie trwały długo. W obliczu niezbitych dowodów i zeznań, świadczących, iż Elizabeth Sullivan konała w mękach, orzeczono jednogłośnie, że dr Thomas A. Kendricks nie popełnił błędu w sztuce podając pani Sullivan silną dawkę środka znieczulającego.

W kilka dni potem Phil Roswell, jeden z członków komisji, wyjaśnił Robercie, że praktycznie w ogóle nie było dyskusji.

– Do licha, spójrzmy prawdzie w oczy – powiedział.– Robimy to z litości, żeby przyspieszyć koniec, kiedy zgon jest nieunikniony. Tom nie starał się niczego ukryć, jawnie zapisał wszystko w karcie. Gdybyśmy chcieli go karać, musielibyśmy ukarać także siebie i większość znanych nam lekarzy.

Nat Rourke odbył dyskretną pogawędkę z prokuratorem okręgowym i powrócił z wieścią, że Wilhoit nie zamierza kierować sprawy Elizabeth Sullivan pod obrady ławy przysięgłych.

Tom promieniał. Chciał teraz rozpocząć nowy rozdział w swym życiu. Do tego zaś potrzebny mu był szybki rozwód i nowe małżeństwo.

Wszędobylscy żebracy wprawiali Robertę w jeszcze gorszy nastrój. Wychowała się w Bostonie i kochała to miasto, ale nie znosiła widoku bezdomnych. Spotykała ich na każdym kroku: grzebali w śmietnikach, włóczyli ze sobą nędzny dobytek w wózkach skradzionych sprzed supermarketów, spali w skrzyniach na zimnych rampach załadunkowych, ustawiali się w kolejkach po bezpłatne posiłki w jadłodajni przy Termont Street, zajmowali większość ławek na Boston Common i w innych miejscach publicznych.

Stanowili dla niej problem natury medycznej. W latach siedemdziesiątych przeforsowano likwidację podobnych do więzień państwowych szpitali psychiatrycznych, gdzie chorzy stłoczeni byli w fatalnych warunkach. Chodziło o to, by powrócili na wolność i żyli w harmonii pośród normalnych ludzi, jak działało się to z powodzeniem w kilku krajach Europy. Ale w USA mające służyć im pomocą lokalne ośrodki medyczne cierpiały na brak funduszy i nie spełniły swego zadania. Pacjenci rozproszyli się. Trudno utrzymać kontakt z kimś, kto dziś śpi w kartonowym pudle na nabrzeżu, a nazajutrz w odległej o wiele mil kotłowni.

Alkoholicy, narkomani, schizofrenicy i inni chorzy powiększyli armię bezdomnych w całym kraju. Wielu utrzymywało się z żebraniny, jedni wygłaszali głośne, żałosne opowieści w wagonach metra lub autobusach, inni siedzieli oparci o ściany budynków, ustawivszy przed sobą garnuszek lub odwróconą czapkę, a obok kartkę z wypisaną kulfonami prośbą: „Mam w domu czworo dzieci.

Będę pracować za jedzenie” Roberta czytała szacunkowe dane, iż dziewięćdziesiąt pięć procent żebraków w USA to ludzie uzależnieni i że niektórym udaje się zebrać dziennie do trzystu dolarów, które natychmiast wydają na używki. Goryczą napełniała ją myśl o pozostałych pięciu procentach, pozbawionych po prostu pracy i dachu nad głową. Mimo to była przeciwniczką jałmużny i do szału doprowadzał ją widok ludzi, którzy wrzucali drobne do kapelusza, zamiast wywrzeć nacisk, by bezdomni zyskali odpowiednią opiekę i nie musieli mieszkać na ulicy.

Nie chodziło zresztą tylko o bezdomnych. Wszystko, co łączyło się z życiem w Bostonie działało jej na nerwy: rozpad małżeństwa, dehumanizacja wykonywanego zawodu, stosy papierów, którym codziennie musiała poświęcać czas; to, że nie sprawiała jej teraz przyjemności praca w miejscu, gdzie Allen Greenstein w wyścigu o stołek. Wszystko mieszało się w gorzki koktajl. Powoli zaczynała dochodzić do wniosku, że pora na jakąś drastyczną zmianę w życiu, na (przeprowadzkę).

Istniały dwa ośrodki medyczne, w których programie znalazłoby się miejsce dla jej wielorakich zainteresowań – Baltimore i Filadelfia. Napisała listy do Rogera Carletona w Instytucie Johna Hopkinsa i Simpsona na Uniwersytecie Pensylwania, pytając, czy byliby zainteresowani współpracą.

Już dawno zaplanowała tygodniowy wiosenny urlop. Marzyła o wyjeździe na St. Thomas. Zamiast tego w piątek wróciła wcześniej z pracy i spakowała rzeczy potrzebne na wieś. Musiała się pozbyć domu w górach Berkshire.

Wsiadając do samochodu, przypomniała sobie o prochach Elizabeth, wróciła, więc po kartonowe pudełko, które nadal stało na

sekretarzyku w pokoju gościnnym.

Miała wątpliwości, czy umieścić je w bagażniku wraz z walizką. Położyła pudełko na fotelu obok siebie i zabezpieczyła zwiniętym prochowcem, żeby nie spadło przy nagłym hamowaniu.

Potem wjechała na Massachusetts Pike i skierowała czerwone BMW na zachód.

9 Woodfield

Jeszcze zanim georgiański dom przy Brattle Street został doprowadzony do stanu używalności, małżeństwo Roberty już zaczęło się psuć, Urokliwą posiadłość w pobliżu granicy z Vermontem kupili jako domek wakacyjny, który miał im pomóc ponownie zbliżyć się do siebie. Mały, żółty drewniany dom miał osiemdziesiąt pięć lat i trzymał się całkiem nieźle. Stojąca obok stara szopa na tytoń rozpadała się smętnie, podobnie jak ich związek. Parcela obejmowała siedem akrów pola i trzydzieści dziewięć akrów gęstego lasu. Jedno i drugie przecinała rzeka Catamount właściwie górski potok, jeden z trzech płynących przez miasteczko o nazwie Woodfield.

Tom wynajął firmę budowlaną, by w wilgotnym zagłębieniu pastwiska wykopać staw, w którym można by pływać. Buldożer odkrył zmurszały szkielet noworodka. Łatwo byłoby go pomylić z kostkami kurczęcia, gdyby nie wyraźnie ludzka czaszka, przywodząca na myśl trzyczęściowy skamieniały grzyb. Nie było

nad nim nagrobka ani krzyża, grunt zaś był zbyt grząski, by mógł się tam kiedykolwiek znajdować cmentarz. Znalezisko wywołało poruszenie w miasteczku. Nikt nie wiedział, skąd wziął się tam martwy płód.

Mogło to być zmarłe dziecko indiańskie. Lekarz badający szczątki orzekł, że są stare. Nie prehistoryczne, lecz z pewnością przeleżały tam wiele lat.

Przy zwłokach znaleziono niewielką glinianą tabliczkę. Po umyciu ukazało się kilka liter rdzawej barwy, bardzo już wypłowiałych. Nie udało się ich odczytać. Z napisu pozostało tylko kilka liter: ah, od, potem o i znowu od. Mimo że ziemia została starannie przesiana, kilku drobnych kostek w ogóle nie udało się odnaleźć. Anatomopatolog złożył maleńki szkielet w dostatecznym stopniu, by określić, że był to prawie donoszony płód ludzki nie ustalonej płci. Koroner zabrał kości, lecz na prośbę Roberty wzruszył ramionami i oddał jej tabliczkę. Trzymała ją w komodzie w przedpokoju.

Trasa nazywana Massachusetts Turnpike prawie na całej swojej długości była nudna. Dopiero gdy Roberta zjechała z niej pod Springfield i ruszyła na północ drogą 1-91, ujrzała niskie, żerodowane góry i poczuła się szczęśliwa. „Wzniosę wzrok mój ku szczytom, skąd przyjdzie mi pomoc...” Po półgodzinie znalazła się w górach. Jechała wznoszącą się krętą drogą, mijając farmy i lasy, potem zaś skręciła w Laurel Hill Road, a stamtąd w dół długą, krętą żwirówką do drewnianego domu barwy masła, który przycupnął na skraju łąki tuż pod lasem.

Nie odwiedzali go od jesieni zeszłego roku. W domu panował zaduch i unosił się lekko cierpki zapach. Na parapecie w sieni znalazła odchody podobne do mysich, tylko większe, i z chwilowym nawrotem paskudnego uczucia, które nękało ją od wielu dni, pomyślała, że w domu jest sznur. W kącie kuchni wszakże znalazła wysuszone włóki nietoperza. Złapała zmiotkę i śmietniczkę i jak najszybciej pozbyła się nietoperza i nieczystości. Włączyła lodówkę, otworzyła okna, żeby wypuścić świeże powietrze, i wniosła zakupy dwa kartony produktów spożywczych i przenośną chłodziarkę z artykułami łatwo psującymi się. Zbyt głodna, by wybrzydzać, zjadła na kolację twardego i pozbawionego smaku szklarniowego pomidora, bułkę kajzerkę, popiła dwoma filiżankami herbaty i wszystko popchnęła paczką czekoladowych ciasteczek.

Zmiatając ze stołu okruchy, uświadomiła sobie nagle, że zapomniała o Betts.

Przyniosła pudełko z samochodu i postawiła je na gzymsie kominka. Musiała znaleźć jakieś ładne miejsce, by pochować w nim prochy. Znów wyszła na dwór; zagłębiła się nieco w las, ale było w nim ciemno, a drogę zagradały splątane gałęzie. Musiałaby gramolić się poprzez obalone pnie i przedzierać przez zarośla i jeżyny, a nie była jeszcze na to gotowa, więc pospiesznie wykonała strategiczny odwrót i poszła żwirówką do Laurel Hill Road. Szorstka asfaltowa szosa miała prawie trzy mile długości i wspinała się na kilka wzniesień. Roberta z przyjemnością maszerowała naprzód. Ponad milę dalej skręciła w stronę białego wiejskiego domku, obok którego stała olbrzymia czerwona stodoła. Mieszkali tam Hank i Freda Krantz, od których Tom i Roberta kupili dom w Woodfield.

Nim jednak doszła do drzwi, zawróciła. Nie czuła się na siłach wyjaśniać im teraz, że jej małżeństwo rozpadło się.

Gdy wróciła do domu, słońce już zaszło i zapanował przenikliwy chłód. Pozamykała wszystkie okna z wyjątkiem jednego. W szopie leżało suche drewno, rozpałała, więc w kominku i po chwili w pokoju zrobiło się cieplej. Po zmroku znad stawu doleciał świergot ptaków. Roberta siedziała na sofie, piła gorącą czarną kawę tak słodką, że niemal czuła, jak idzie jej w biodra i patrzyła w ogień.

Nazajutrz spała do późna, na śniadanie zjadła dwa jajka i z zapałem zabrała się do sprzątania. Prace domowe sprawiały jej przyjemność, ponieważ bardzo rzadko zmuszona była się nimi zajmować. Z głęboką satysfakcją więc zamytała, odkurzała i polerowała. Wyszorowała wszystkie garnki i patelnie, ale poza tym umyła tylko kilka naczyń i sztućców, z których miała korzystać.

Wiedziała, że Krantzowie jedzą obiad punktualnie w południe, toteż odczekała do pierwszej, po czym udała się znów na spacer wiejską drogą i tym razem zapukała do ich drzwi.

– Kogo ja widzę! – zagrzemiał Hank Krantz. – Proszę, niechże pani wejdzie.

Posadzili ją w kuchni. Freda Krantz bez pytania nalała jej kawy i odkroiła kawałek ze stojącej na kredensie słodkiej babki.

Podczas kilku wizyt Roberta nie zdążyła poznać ich zbyt dobrze, ale wyczytała w ich oczach szczery żal, kiedy zakomunikowała im o rozwodzie i spytała, w jaki sposób najlepiej sprzedać dom i ziemię.

Hank Krantz poskrobał się po brodzie.

– Mogłaby pani, oczywiście, jechać do Greenfield albo Amherst, ale mamy pośrednika na miejscu. Niejaki David Markus. Chłop zna

się na reklamie i dostaje dobre ceny. Ma nosa. Przyjechał z Nowego Jorku, ale jest całkiem do rzeczy.

Wy tłumaczyli Robercie, jak do niego trafić. Skierowała się wpierw do szosy stanowej, potem w dół kilkoma bardzo wyboistymi żwirowymi drogami, które z pewnością nie wpłynęły dodatnio na stan jej samochodu. Zobaczyła wielkie pole koniczyny. Piękny koń, gniady z białą strzałką, towarzyszył jej z drugiej strony płotu, a potem minął ją, powiewając grzywą i ogonem. Przed ładnym domem z nie malowanych pni wisiał szyld pośrednika sprzedaży nieruchomości. Drugi szyld sprawił, że się uśmiechnęła:

MIÓD
palce lizać!

W dwóch starych szafkach bibliotecznych na ganku stały słoje bursztynowego miodu. Ze środka dobiegała głośna rockowa muzyka „The Who”. Do drzwi podeszła czarnowłosa nastolatka piegowata, z dużym biustem i twarzą anioła za grubymi okularami. Przyciskała wacik do rozkrwawionego pryszcza na szpiczastym podbródku.

– Cześć, jestem Sara. Ojca nie ma – powiedziała jednym tchem. – Wróci wieczorem.

Zapisała nazwisko i numer telefonu Roberty, i obiecała, że ojciec na pewno zadzwoni. Roberta kupiła jeszcze słoik miodu. Koń zarżał za płotem.

– Jest strasznie wścibski – powiedziała dziewczyna. – Chce pani dać mu cukru?

– Jasne.

Sara Markus podała jej dwie kostki cukru i razem podeszły do płotu. Roberta nieśmiało wyciągnęła dłoń, ale wielkie, kwadratowe końskie zęby nawet jej nie zadrasnęły, a liźnięcie szorstkiego jęzora wprawiło ją w dobry humor.

– Jak się wabi?

– Chaim. To żydowskie imię. Ojciec nazwał go tak na cześć pewnego pisarza.

Odprężona Roberta pomachała im na pożegnanie i ruszyła z powrotem żwirową drogą, otoczoną z obu stron kamiennym murkiem i szpalerem wysokich drzew.

Przy głównej ulicy w Woodfield znajdowała się poczta i cztery firmy: „U Hazel” przybytek, który nie mógł się zdecydować, czy jest magazynem sprzętu, czy sklepem z upominkami; „Fachowe Naprawy Samochodów Bulla”, Sotheby – Artykuły Spożywcze (rok zał. 1842) oraz sklep z nowoczesnym sprzętem domowym, przed którym stały dwa dystrybutory paliwa. Roberta była wielbicielką Franka Sotheby’ego. Zawsze miał na składzie krąg ostrego, dojrzalego sera cheddar, takiego, że na sam jego widok ciekła jej ślinka. Sprzedawał też syrop klonowy i wędliny własnego wyrobu, łagodne i pikantne. W sklepie nie było stoiska z przekąskami.

– Czy zrobiłby mi pan kanapkę z cheddarem na bułce?

– Czemu nie – odparł właściciel sklepu. Policzył jej dolara i jeszcze pięćdziesiąt centów za sok pomarańczowy. Zjadła lunch na ganku, obserwując przechodniów. Potem wróciła do sklepu i nonszalancko zapominając o zwykłej niskocholesterolowej diecie, kupiła stek z polędwicy wołowej, łagodne kiełbaski i kawał dobrego sera.

Po południu włożyła najgorsze ubranie i wysokie buty, po czym zapuściła się w las. Już po paru krokach znalazła się w innym świecie chłodniejszym, ciemnym, cichym, gdzie tylko wiatr szeleścił w miliardach liści, których szept piętrzył się i potężniał niczym fala przyboju, przez co Roberta czuła się zarazem wyróżniona i przestraszona. Liczyła na to, że większe drapieżniki spłoszy trzask pękających pod jej stopami gałęzi. Brnęła przez gąszcz, od czasu do czasu wychodząc na maleńką polankę, gdzie mogła zaczerpnąć tchu. Nigdzie jednak nie było miejsca nadającego się na odpoczynek.

Poszła wzdłuż strumyka do rzeki Catamount. Ruszyła z jej biegiem, oceniając, że znajduje się blisko środka swojej posiadłości. Brzeg był tak samo zarośnięty jak las i marsz był równie ciężki. Mimo wiosennego chłodu pot lał się z niej ciurkiem; była wykończona. Przysiadła na dużym granitowym głazie, wychodzącym z brzegu w nurt rzeki. W wodzie dostrzegła młode pstrągi, schowane w cieniu skały. Poruszały się jednocześnie jak eskadra myśliwców. Poziom wody był wysoki, a nurt bystry po wiosennych roztopach; Roberta położyła się na brzuchu na rozgrzanej od słońca skale i patrzyła na ryby. Co jakiś czas czuła na policzku krople wody, szemrzący lodowaty prysznic.

Spędziła w lesie sporo czasu. Gdy poczuła zmęczenie, przedarła się; z powrotem, w domu padła na sofę i spała dwie godziny. Potem upiekła ziemniaki z cebulą i papryką, a do nich średnio wysmażony stek. Zmiotła wszystko, popijając herbatą osłodzoną miodem. Kiedy na niebie zgasła ostatnia smuga światła, usiadła z kawą przed kominkiem, słuchając kolejnego ptasiego koncertu. Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

– Doktor Cole? Rany boskie, tu Hank. Freda jest ranna, moja strzelba wypaliła i...

– Gdzie trafiła kula?

– W nogę, tuż poniżej biodra. Strasznie krwawi, jak z pompy!

Niech pan weźmie czysty ręcznik i z całej siły przycisnie do rany. Już jadę.

10 SĄSIEDZI

Była na urlopie i nie miała ze sobą lekarskiej torby. Koła jej samochodu rozpryskiwały żwir, a długie światła goniły oszalałe cienie. Kiedy skręciła pod dom, lewe opony zostawiły bruzdę na wypieszczonym trawniku Hanka Krantza. Podjechała pod same drzwi i weszła bez pukania. Strzelba źródło zła spoczywała na wyłożonym gazetami kuchennym stole, razem z gałgankami, wyciorem i małą puszką smaru.

Freda leżała na boku w kałuży krwi. Twarz miała śmiertelnie bladą, oczy zamknięte. Otworzyła je, by spojrzeć na Robertę. Jej dżinsy były zsunięte do kolan, przez bawełniane majtki przeświecały czarne włosy łonowe. Hank klęczał, przyciskając nasiąknięty ręcznik do jej uda. Dłonie i rękawy miał usmarowane krwią.

– Boże mój. Boże w niebiesiach, niech pani patrzy, co ja narobiłem – rzekł z rozpaczą, choć starał się panować nad sobą. – Wezwałem karetkę dodał.

– Dobrze. Niech pan da świeży ręcznik. Nie, proszę nie zmieniać, tylko nakryć tamten i dalej uciskać. – Roberta uklękła i palcami obmacała pachwinę. Czując pulsowanie tętnicy udowej, wepchnęła pięść w ranę. Musiała zaprzeć się z całej siły, by zacisnąć tętnicę. Freda była roslą, masywną kobietą, a lata pracy na farmie rozwinęły jej mięśnie. Ranna otworzyła usta do krzyku, ale wydobył się z nich tylko słaby jęk.

– Przepraszam... – bąknęła Roberta, palcami drugiej ręki lekko i pieczołowicie obmacując spodnią stronę uda. Kiedy natrafiła na ranę wylotową, Freda zadygotała.

Roberta mierzyła właśnie puls na tętnicy szyjnej, kiedy dobiegło ich zwierzęce zawodzenie karetki. Do domu weszło troje ludzi przysadzisty oficer policji w średnim wieku oraz kobieta i mężczyzna w czerwonych poliestrowych kurtkach. Kobieta taszczyła przenośną butlę z tlenem.

– Jestem lekarzem – powiedziała Roberta. – Pani Krantz została postrzelona, ma strzaskaną kość udową i uszkodzoną, możliwe, że całkiem przeciętą tętnicę udową. Jest rana wlotowa i wylotowa. Tętno sto dziewiętnaście, nitkowate.

Mężczyzna w czerwonej kurtce skinął głową.

– Szok, nie ma się, co dziwić. Straciła kupę krwi. – Omiótł wzrokiem kałużę na podłodze. – Czy może pani nadal uciskać tętnicę, pani doktor?

– Tak.

– Świetnie. – Przyklękął po drugiej stronie Fredy i nie tracąc czasu zaczął ją pospiesznie badać. Był tęgi i bardzo młody, prawie chłopiec o szybkich, zręcznych dłoniach.

– Strzelba wypaliła tylko raz, Hank?

– No chyba, że raz! – odkrzyknął ze złością Hank Krantz, rozgniewany podtekstem pytania.

– Zgadza się, jedna rana wlotowa, jedna wylotowa – potwierdził sanitariusz, zakończywszy badanie.

Niska blondynka zdążyła już złożyć aparat tlenowy i zmierzyła rannej ciśnienie krwi.

– Osiemdziesiąt jeden na pięćdziesiąt siedem – powiedziała, nakładając na usta i nos Fredy bezwydechową maskę tlenową. Potem rozcięła spodnie i majtki, nakryła jej łono ręcznikiem i zdjęła z nogi but i skarpetkę. Uchwyciłszy bosą stopę obiema rękami, zaczęła ciągnąć.

Mężczyzna ujął kostkę rannej w uchwyt szyny.

– Przepraszam, pani doktor – powiedział.– Będzie pani musiała na chwilę cofnąć rękę, bo inaczej nie damy rady założyć żelastwa.

Kiedy zwolniła ucisk, krew znów zaczęła tryskać z rany. Sanitariusze szybko unieruchomili nogę w szynie wyciągowej metalowej ramie mocno wpartej w podbrzusze i sięgającej aż do stopy. Roberta błyskawicznie wznowiła nacisk na tętnicę udową i krwawienie zelżało. Szyna została przytwierdzona do uda, a na drugim końcu umocowana do przyczepu na kostce. Niewielki kołowrotek pozwolił sanitariuszom naciągnąć nogę tak, by oddalić od siebie brzegi strzaskanej kości. Ranna westchnęła, a sanitariusz podniósł głowę.

– Teraz lepiej, prawda?

Freda skinęła twierdząco, lecz krzyknęła, kiedy kładli ją na wózek. Wyszli całą grupą, Hank i policjant z przodu, sanitariusz za Fredą, a jego jasnowłosa koleżanka obok, niosąc butlę z tlenem.

Roberta szła przy Fredzie, usiłując nadal całym swym ciężarem zaciskać tętnicę w czasie marszu.

Włożyli nosze do karetki i umocowali je. Blondynka przełączyła maskę Fredy z przenośnej butli do zainstalowanego w karetce na stałe zbiornika z tlenem, mężczyzna zaś uniósł jej nogi i okrył kocami, żeby nie pogłębiać wstrząsu.

– Brakuje nam jednego członka grupy. Czy zgodziłaby się pani jechać z nami? – spytał.

– Jasne – przytaknęła, co przyjął skinieniem głowy. Blondynka prowadziła, Hank siedział obok niej na przednim siedzeniu. Kiedy oddalili się od domu, kobieta poinformowała przez radio dyspozytornię, że zabrali pacjentkę i są w drodze do szpitala. Prowadził ich policyjny radiowóz, ciągnąc za sobą wstążkę dźwięku syreny. Migotały alarmowe światła obu wozów, a po chwili blondynka również włączyła dwutonową syrenę, na zmianę „up-up-up-up-„ i „i-o-i-o-i-o”

Robercie trudno było utrzymywać nacisk na stojąco w karetce, która podskakiwała na wybojach, chwiała się i ryzykownie przechylała na zakrętach.

– Znów krwawi – odezwała się.

– Widzę.– Sanitariusz rozkładał coś, co wyglądało jak dolna część skafandra kosmicznego: grube spodnie, z których wystawały przewody i rury. Szybko odczytał ciśnienie krwi, tętno i szybkość oddechu, po czym zdjął ze ściany mikrofon i połączył się ze szpitalem, prosząc o zgodę na użycie kombinezonu MAST. Po krótkiej dyskusji udzielono zgody i Roberta pomogła mu naciągnąć spodnie na ujętą w szynę nogę. Rozległ się świst wtłaczanego do środka powietrza. Spodnie wydeły się jak balon i zeszywniały.

– Uwielbiam tę zabawkę – mruknął sanitariusz. – Korzystała już pani z MAST-u?

– Rzadko miewam styczność z pomocą doraźną.

– Robi za człowieka wszystko, i to naraz – rzekł mężczyzna. – Powstrzymuje krwawienie, pomaga szynie w unieruchomieniu kończyny i wypycha krew w górę do serca i mózgu. Musimy prosić o zgodę na użycie, bo w razie krwotoku wewnętrznego można wypompować całą zawartość naczyń do jamy otrzewnowej. – Badawczo nachylił się nad Fredą, potem wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął rękę: – Jestem Steve Ripley.

– Roberta Cole.

– Nasz pirat drogowy w spódnicy nazywa się Toby Smith.

– Uszanowanie, pani doktor. – Blondynka nie spuszczała oczu z jezdni, ale w lusterku Roberta dojrzała ujmujący uśmiech.

– Miło mi cię poznać, Toby powiedziała.

Przy podjeździe dla karetek czekały już pielęgniarki i Fredę natychmiast zabrano do środka. Załoga karetki zdjęła z wózka zakrwawione prześcieradła i wymieniła je na czyste w szpitalnym magazynie. Następnie sanitariusze zdezynfekowali nosze, zaścielili je od nowa i włożyli z powrotem do karetki, po czym usiedli w poczekalni wraz z Robertą, Hankiem i policjantem, który oznajmił, że nazywa się Maurice A. McCartney i jest szefem policji w Woodfield.

– Mówią do mnie Mack – dodał z powagą.

Cała czwórka wyraźnie oklapła; zadanie zostało wykonane i teraz następowało odreagowanie stresu.

Hank Krantz tłumaczył się przed wszystkimi naraz i każdym z osobna. Prawie od tygodnia wokół jego farmy kręciły się kojoty. Postanowił przeczyścić broń i ustrzelić parę, żeby wypłoszyć resztę ze swojej ziemi.

– To winchester? – zapytał Mack McCartney.

– Tak, stara dubeltówka, kaliber trzydzieści. Mam ją od osiemnastu lat i nigdy nie było żadnego wypadku. Chyba zbyt raptownie położyłem ją na stole i nagle wypaliła.

– Nie była zabezpieczona? – zapytał Steve Ripley.

– Rany boskie, nigdy nie trzymam naboju w komorze, zawsze opróżniam to cholerstwo, kiedy je odkładam. Musiałem zapomnieć; ostatnio wszystko wylatuje mi z głowy. A ty też masz czelność – rozzłościł się – pytać mnie, czy była więcej niż jedna kula. Myślisz, że próbowałem ją zastrzelić?

– Słuchaj, Freda leżała na podłodze i strasznie krwawiła. Chciałem się szybko dowiedzieć, iloma ranami musimy się zajmować.

Oczy Hanka złagodniały.

– Wybacz, nie powinienem na ciebie psioczyć. Uratowałeś jej życie... mam nadzieję.

Ripley potrząsnął głową.

– Jeśli już, to zawdzięcza je doktor Cole. Gdyby w porę nie zatamowała krwotoku, mielibyśmy teraz niewesołe miny.

Krantz spojrział na Robertę.

– Nigdy tego pani nie zapomnę. – Potrząsnął głową. – Jezu! byłbym ją zabił!

Toby Smith nachyliła się, poklepała go po dłoni i ucisnęła lekko.

– Słuchaj, Hank, każdy czasem coś spieprzy. Wszyscy robimy najróżniejsze błędy. A to, że się obwiniasz, nie pomoże Fredzie.

Szef policji zmarszczył brwi.

– Przecież nie trzymasz już mlecznych krów, Hank. Myślisz, że kojot porwie się na tak duże zwierzę jak mięsny buhaj?

– Nie, buhaja nie zaczepi. Ale kupiłem w zeszłym tygodniu cztery cielaki od Bemsteina, wiesz, tego handlarza bydłem, który mieszka przy drodze na Pittsfield.

Mack McCartney skinął głową.

– Ano, to inna sprawa. Cielaka rzeczywiście mogłyby rozszarpać.

– Dobrze, że choć od byków trzymają się z dala westchnął Hank,

McCourtney opuścił ich, bo w Woodfield był tylko jeden wóz patrolowy.

– Wy też pewnie musicie już wracać – odezwał się Hank do Ripleya.

– Niech za nas podyżurują sąsiednie miejscowości. Zaczekamy jeszcze. Na pewno będziesz chciał porozmawiać z lekarzem.

Minęło półtorej godziny, nim z sali operacyjnej wyłonił się chirurg. Powiedział Hankowi, że zeszył tętnicę i umieścił metalowy trzpień w strzaskanej kości udowej Fredy.

– Wyjdzie z tego. Poleży u nas około pięciu dni, może tydzień.

– Czy mogę ją zobaczyć?

– Jest na sali pooperacyjnej. Środki przeciwbólowe przygłuszają ją na całą noc. Najlepiej idź do domu i prześpij się. Rano będziesz mógł ją odwiedzić. Mam wysłać wypis waszemu lekarzowi domowemu?

Hank skrzywił się.

– Właściwie w tej chwili nie mamy lekarza. Nasz doktor niedawno przeszedł na emeryturę.

– Hugh Marchant, ten, który przyjmował u nas na High Street?

– Ten sam.

– No cóż, jak znajdziecie nowego, dajcie mi znać. Prześlę mu dokumentację.

– Jak to możliwe, że jeździecie do lekarza aż do Greenfield? – spytała Roberta w drodze powrotnej.

– A tak, że bliżej nikogo nie ma. W Woodfield brak lekarza od dwudziestu lat, odkąd stary doktor zmarł.

– Jak się nazywał?

– Thomdike.

– Rzeczywiście, parę osób wspominało o nim, kiedy zaczęliśmy tu przyjeżdżać.

– Craig Thomdike. Ludziska go uwielbiali. Ale po nim już żaden nie osiedlił się w Woodfield.

Kiedy karetka wysadziła Hanka i Robertę na podjeździe domu Krantzów, dochodziła północ.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała.

– W porządku. Tyle, że na pewno oka nie zmrużę. Chyba posprzątam tę jatkę w kuchni.

– Może panu pomóc?

– Wykluczone – rzekł stanowczo.

Roberta ucieszyła się w duchu. Nagle odczuła zmęczenie.

Hank przystanął przed nią.

– Dziękuję – powiedział. – Bóg jeden wie, co by się mogło stać, gdyby nie pani.

– Cieszę się, że byłam pod ręką. Niech pan trochę odpocznie.

Na niebie świeciły duże białe gwiazdy. Noc przesycona była wiosennym chłodem, wspomnieniem śniegu. Ona jednak, wracając do domu, czuła ciepło w sercu.

11 POWOŁANIE

Nazajutrz rano obudziła się wcześniej i leżała w łóżku, rozpamiętując wydarzenia poprzedniego wieczoru. Doszła do wniosku, że stado kojotów, które Hank chciał przepędzić, samo przeniosło się gdzie indziej, ponieważ przez okno sypialni zobaczyła na łące białożade jelenie, szczypiące koniczynę. Droga nadszedł samochód i ogony uniosły się w górę niczym białe flagi alarmowe. Samochód przejechał, ogony opadły i znów zaczęły się kołysać, a jelenie wróciły do przerwanej posiłku.

Dziesięć minut później z rykiem przemknął motocykl i jelenie czmychnęły w las trwożnymi długimi susami, świadczącymi zarazem o sile i gracji.

Kiedy wstała z łóżka i zadzwoniła do szpitala, dowiedziała się, że stan Fredy nie uległ zmianie.

Była niedziela. Po śniadaniu udała się do Sotheby'ego, gdzie kupiła „New York Timesa” i „Boston Globe”. Wychodząc ze sklepu spotkała Toby Smith.

– Nie widać po pani śladów zarwanej nocy – zauważyła Toby.

– Zwykle dość późno kładę się spać. Masz chwilę czasu na pogawędkę, Toby?

– Jasne.

Usiadły razem na ławce przed sklepem.

– Opowiedz mi o waszym pogotowiu ratunkowym.

– Och, to już cała historia. Założono je zaraz po drugiej wojnie światowej. Dwaj żołnierze, służący na froncie jako sanitariusze, wrócili do domu ambulansem z demobilu, którym postanowili obsługiwać miasteczko. Po jakimś czasie władze stanowe zaczęły urządzać kursy, egzaminy i wydawać licencje techników doraźnej pomocy medycznej. Uruchomiły też system ciągłego dokształcania. Musimy być na bieżąco z najnowszymi osiągnięciami wiedzy medycznej w zakresie pierwszej pomocy i potwierdzać swoje uprawnienia, co roku. Tu, w Woodfield, mamy czternastu ochotników. Pracujemy społecznie. Dla wszystkich mieszkańców miasta usługi są bezpłatne. Nosimy ze sobą pagery i działamy przez całą dobę. Najlepiej, kiedy jest nas troje, jedno za kółkiem, dwoje z tyłu z pacjentem. Najczęściej jednak jeździmy parami, tak jak zeszłej nocy.

– Dlaczego robicie to za darmo? – spytała Roberta. Moglibyście przecież wystawiać rachunki firmom ubezpieczeniowym.

Toby spojrzała na nią spod oka.

– Tu, w górach, nie ma żadnych większych pracodawców. Większość ludzi tyra na własny rachunek i ledwie wiąże koniec z końcem drwale, cieśle, farmerzy, rzemieślnicy. Spora część w ogóle nie jest ubezpieczona. Ja też nie miałabym prawa do świadczeń, gdyby mój mąż nie pracował na stanowej posiadzie jako strażnik

leśny. Dorabiam w księgowości i nie stać by mnie było na opłacenie składek.

Roberta pokiwała głową i westchnęła.

– Obawiam się, że w większych miastach nie jest lepiej.
– Wiele osób zakłada, że nie zachoruje ani nie ulegnie wypadkowi. Strach w ogóle pomyśleć, że można tak do tego podchodzić, ale większość nie ma innego wyjścia.

Według słów Toby pogotowie pełniło w miasteczku ważną rolę.

– Ludzie naprawdę nas doceniają. Najbliższy lekarz na wschód od nas jest aż w Greenfield. Na zachodzie pod Dalton, przy szosie numer dziewięć mieszka lekarz ogólny nazwiskiem Newly. – Toby spojrzała na nią i uśmiechnęła się. – Czemu nie sprowadzi się pani tu na stałe?

Roberta uśmiechnęła się także.

– Mało prawdopodobne powiedziała.

Mimo to po powrocie do domu przestudiowała mapę okręgu Berkshire. Na obszarze, na którym według Toby nie mieszkał żaden lekarz, znajdowało się jedenaście wsi i małych miasteczek.

Tego popołudnia kupiła kwiatek w doniczce afrykański fiołek o pełnych błękitnych kwiatach – i zaniósła go Fredzie do szpitala. Freda, wciąż bardzo osłabiona, nie odzywała się wiele, ale Hank Krantz ucieszył się z odwiedzin.

– Chciałem panią zapytać... ile jestem winien za wczorajszą wizytę?

Roberta pokręciła głową.

– To była zwykła sąsiedzka przysługa – powiedziała, – a Freda spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

Roberta powoli wróciła do Woodfield, napawając się widokiem pól i zalesionych górskich grzbietów.

Dokładnie o zachodzie słońca zadzwonił telefon.

– Doktor Cole? Mówi David Markus. Córka mówiła mi, że była pani u nas. Przykro mi, że mnie pani nie zastała.

– Tak, panie Markus... Chciałam z panem pomówić o sprzedaży mojego domu i ziemi.

– W każdej chwili. Kiedy mógłbym przyjechać?

– Hm, chodzi o to, że... Być może zechcę sprzedać posiadłość, ale na razie nie jestem pewna. Muszę rozstrzygnąć kilka kwestii.

– Proszę się nie spieszyć. Naturalnie, że powinna pani najpierw wszystko przemyśleć.

Ma miły, ciepły głos pomyślała.

– Ale chcę z panem pomówić o czymś jeszcze.

– Rozumiem – rzekł, choć wyraźnie nie rozumiał.

– A tak z innej beczki, robi pan doskonały miód.

Nieomal wyczuła przez telefon, że Markus się uśmiecha.

– Dziękuję za komplement, powtórzę to pszczołom. Uwielbiają słuchać pochwał, chociaż strasznie je złości, kiedy to ja zbieram wszystkie zaszczyty.

Poniedziałkowy ranek był pochmurny, ale Roberta postanowiła wreszcie zrobić rzecz od dawna leżącą jej na sercu. Przedarła się przez las, co przyplącała głęboką raną od ciernia na szyi i kilkoma mniejszymi zadraśnięciami na rękach. Dotarłszy do rzeki, ruszyła z jej biegiem, trzymając się możliwie jak najbliżej brzegu, który zarastały maliny, jeżyny i dzikie róże. Przeszła aż do granicy swojej

ziemi i z uwagą obejrzała kilka miejsc. W końcu wybrała nasłoneczniony, porośnięty trawą cypel, gdzie gęste gałązki białej brzozy zwieszały się nad małym pluszczącym wodospadem. Potem po raz kolejny bohaterko przedarła się przez gąszcz i wróciła niosąc łopatę, która wisiała na gwoździu w stodole, oraz pudełko zawierające prochy Elizabeth Sullivan.

Wykopała głęboką jamę między dwoma grubymi korzeniami drzewa i wsypała do niej prochy, a raczej zwęglone kawałki kości. W żarłocznym ogniu krematorium cielesna powłoka Betts Sullivan wyparowała i zniknęła, ulatując w niebyt. W dzieciństwie Roberta zawsze wyobrażała sobie, że w ten właśnie sposób dusza opuszcza świat.

Nakryła szczątki ziemią i delikatnie ją udeptała. Zatrokana, że dobierze się do nich jakiś zwierzak, znalazła w rzece ciężki otoczek, i turlając go z trudem, nakryła nim rozkopaną ziemię. Teraz, Betts stała się częścią tej krainy. Co dziwniejsze, Roberta odnosiła wrażenie, że ona sama również, pod wieloma względami, staje się jej częścią.

Następne dwa dni poświęciła na gromadzenie informacji. Zrobiła mnóstwo notatek i obliczeń.

David Markus okazał się wysokim spokojnym mężczyzną dobiegającym pięćdziesiątki.

Miał surową, zniszczoną twarz, interesującą na modłę Lincolna (jak ktokolwiek mógł twierdzić, że Lincoln był brzydki?),

wydatny, lekko zakrzywiony nos, bliznę w lewym kącie górnej wargi i łagodne brązowe oczy, w których często pojawiała się rozbawienie. Na jego urzędowy strój składały się wypłowiałe

levisy i kurtka z napisem New England Patriots. Gęste, siwiejące ciemne włosy nosił związane w absurdalny koński ogon.

Pojechała do ratusza na rozmowę z radną o nazwisku Janet Cantwell kościstą, starzejącą się kobietą o zmęczonych oczach, ubraną w wystrzępione džinsy, jeszcze bardziej wytarte niż spodnie Markusa, i męską białą koszulę o rękawach podwiniętych do łokci. Potem przeszła całą główną ulicę z jednego końca na drugi, przyglądając się domom, mijanym po drodze ludziom i pojazdom. Udała się do ośrodka zdrowia w Greenfield, pokonferowała z dyrektorem szpitala, poczym weszła do stołówki i zagadnęła kilku lekarzy, którzy jedli lunch.

Następnie spakowała torbę, wsiadła do samochodu i ruszyła do Bostonu. Im bardziej oddalała się od Woodfield, tym większą miała ochotę tam wrócić. Ilekroć wcześniej słyszała o kimś, kto poczuł „powołanie”, zakładała zawsze, że wyrażenie to jest sentymentalnym eufemizmem. Teraz zrozumiała, że można dać się porwać nakazowi tak potężnemu, iż nie sposób mu odmówić.

Co więcej owa obsesja, która zaprzątnęła jej myśli, mogła nadać wspaniały praktyczny sens reszcie jej życia.

Zostało jej jeszcze parę dni urlopu. Wykorzystała je na ułożenie listy rzeczy, które musi zrobić. I sformułowanie planów.

W końcu zadzwoniła do swojego ojca i poprosiła go, żeby spotkał się z nią na obiedzie.

12 FLIRT z TEMIDĄ

Jak daleko mogła sięgnąć pamięcią, zawsze wojowała z ojcem. Trwało to do chwili, gdy dorosła. Potem stało się coś cudnego i słodkiego, równoczesne złagodnienie i rozkwit uczuć. On był z niej dumny, lecz na nowy sposób, przewartościował przyczyny, dla których ją kochał. Ona uświadomiła sobie, że nawet w okresie jej ciągłego buntu ojciec zawsze stał za nią jak mur.

Doktor Robert Jameson Cole był profesorem immunologii na wydziale medycznym Uniwersytetu Bostońskiego. Katedra, którą zajmował, ufundowana została ongiś przez jego dalekich krewnych. Nie czuł się zażenowany, gdy ktoś o tym wspominał. On sam był wtedy jeszcze dzieckiem, dziś natomiast taką znakomitością w swojej dziedzinie, że nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, iż stanowiska zawdzięcza cemukolwiek innemu prócz własnych osiągnięć. Był obdarzony silną wolą i zawsze dopinał swego.

Matka Roberty powiedziała kiedyś, że po raz pierwszy jej córka sprzeciwiła się woli profesora Cole'a wtedy, gdy urodziła się dziewczynką. Liczył na chłopca. Od stuleci pierworodni synowie Cole'ów I otrzymywali na imię Robert, a ich drugie imię zaczynało się literą J. Doktor Cole przemyślał tę sprawę bardzo poważnie i wybrał dla syna imię Robert Jenner; to drugie na cześć Edwarda Jennera, wynalazcy szczepień ochronnych. Kiedy okazało się, iż potomek jest płci żeńskiej i stało się jasne, że jego żona, Bernadette Valerie Cole, nie będzie już miała dzieci, postanowił nazwać córkę Roberta Jenner Cole, w skrócie Rob J. Była to kolejna rodzinna tradycja Cole'ów; imię Rob J. oznaczało deklarację, że urodził się kolejny przyszły lekarz o nazwisku Cole.

Bernadette Cole nie do końca podporządkowała się tym zamysłom. Jej córka nie będzie nosić męskiego imienia! Sięgnęła, więc do swoich francuskich korzeni i w końcu dziewczynkę ochrzczono jako Robertę Jeanne d'Arc Cole. Nalegania ojca, by używać zdrobnienia Rob J., również spełzły na niczym. Wkrótce matka oraz znajomi pieszczotliwie nazywali ją Robbie i tylko ojciec uparcie wciąż tak się do niej zwracał, zwłaszcza, gdy chciał być czuły.

Roberta wychowała się w wygodnym mieszkaniu na piętrze staroświeckiej willi przy Beacon Street, wokół której rosły wielkie krzewy magnolii. Doktor Cole lubił ów dom, ponieważ nieomal tuż obok mieszkał kiedyś słynny lekarz Oliver Wendell Holmes. Jego żona była zadowolona, ponieważ czynsz nie przekraczał finansowych możliwości pracownika naukowego. Ale gdy zmarła na zapalenie płuc w trzy dni po jedenastych urodzinach córki, mieszkanie zrobiło się nagle za duże.

Wcześniej Roberta chodziła do szkół publicznych, ale po śmierci matki ojciec uznał, że dziewczynka wymaga większego dozoru, niż on jest jej w stanie zapewnić, i zapisał ją do dziennej szkoły w Cambridge, dokąd dojeżdżała autobusem. Od siódmego roku życia uczyła się gry na pianinie, ale kiedy skończyła lat dwanaście, zaczęła brać w szkole lekcje gry na gitarze klasycznej i po dwóch latach włączyła się już po okolicach Harvard Square, grając i śpiewając z innymi ulicznymi muzykantami. Grała bardzo dobrze; głos miała niezbyt mocny, ale czysty. Jako piętnastolatka zataiła swój wiek i została śpiewającą kelnerką w tym samym klubie, w którym startowała Joan Bæz, córka innego bostońskiego profesora. Tegoż roku we wrześniu Roberta przeszła swoją inicjację seksualną na

strychu hangaru klubu wioślarskiego, że szlakowym osady MIT. Doświadczenie to, żenujące i bolesne, zniechęciło ją na jakiś czas do seksu. Ale nie na długo.

Roberta zawsze uważała, że wybrane przez matkę drugie imię w znacznym stopniu ukształtowało jej życie. Niczym Joanna d'Arc zawsze była gotowa walczyć o jakąś sprawę. I chociaż szaleńczo kochała ojca, często właśnie z nim toczyła boje.

Marzenia o Robię J., który kroczyłby ścieżkami medycznej kariery profesora Cole'a, stanowiły zbyt silną presję dla jego jedynaczki. Być może gdyby nie to, jej droga życiowa byłaby inna. Popołudniami, sama w cichym mieszkaniu na Beacon Street, sadowiła się czasem w jego gabinecie i przeglądała książki. Nie ograniczyła się do narządów płciowych, o których krygując się szeptały jej rówieśnice. Przeszła dalej, do chłodnej kontemplacji anatomii człowieka. Tak, jak jej koledzy interesowali się różnymi gatunkami dinozaurów, Roberta uczyła się nazw ludzkich kości. Na biurku w gabinecie, w małej dębowej przeszklonej szkatułce, leżał zabytkowy skalpel chirurgiczny z kutej błękitnej stali. Legenda rodzinna mówiła, że kilkaset lat temu skalpel ów należał do jednego z przodków Roberty, wielkiego chirurga. Czasami nawet przychodziło jej do głowy, że leczenie ludzi byłoby niezłym sposobem na życie, ale ojciec był zbyt natrętny. W końcu sprowokował ją do deklaracji, że w college'u podejmie wstępne studia prawnicze. Jako córka profesora, mogła wstąpić na Uniwersytet Bostoński za darmo. Na przekór temu uciekła długim wiekom medycznej tradycji Cole'ów zdobywając częściowe stypendium Tufts University. Uzupełniała je sprzątając ze stołów w

studenckiej stołówce i pracując przez dwa wieczory w tygodniu w klubie na Harvard Square. W końcu wróciła na bostońską uczelnię ale na wydział prawa. W tym czasie miała już własne mieszkanie na Beacon Hill, za ratuszem stanowym. Widywała się z ojcem regularnie, żyła jednak własnym życiem.

Na trzecim roku poznała Charliego Harrisa Charlesa H. Harrisa, wysokiego, chudego młodego lekarza w okularach, które wiecznie zsuwały mu się z długiego, piegowatego nosa, nadając jego twarzy nieufny wyraz. Charlie właśnie rozpoczynał staż jako chirurg.

Nigdy dotąd nie spotkała kogoś tak zabawnego i równocześnie tak poważnego. Śmiał się bardzo często, ale do swojej pracy podchodzili śmiertelnie serio. Zazdrościł jej stypendium i tego, że bez najmniejszego trudu zdawała egzaminy na bardzo dobre oceny. Charlie był inteligentny i miał zacięcie do chirurgii, ale nauka nie szła mu łatwo i swoje osiągnięcia zawdzięczał ciężkiej, mozolnej pracy.

– Trzeba dbać o swój interes, Robbie – mawiał.

Ona była na ostatnim roku, on wiecznie pod telefonem. Zmęczeniu i niewyspani, przeciążeni pracą, spotykali się nader rzadko. Po paru miesiącach Roberta przeniosła się do jego mieszkania w oficynie przy Charles Street, ponieważ jako zaadaptowane z dawnej stajni, było tańsze.

Na trzy miesiące przed ukończeniem studiów Roberta odkryła, że jest w ciąży. Z początku oboje byli przerażeni, lecz potem porwała ich radość, że zostaną rodzicami. Postanowili od razu się pobrać. Jednakże kilka dni później, kiedy Charlie mył się przed wejściem do sali operacyjnej, zgiął go w pół przeszywający ból w dole brzucha.

Badanie wykazało obecność kamieni nerkowych, zbyt dużych, by można je było sprowadzić naturalną drogą. W ciągu dwudziestu czterech godzin Charlie został przyjęty do własnego szpitala, tym razem jako pacjent. Operował go Ted Forester, najlepszy chirurg na oddziale. Charlie czuł się całkiem dobrze, tyle, że nie był w stanie wydalać moczu. Na zlecenie doktora Forestera jeden ze stażystów założył cewnik. Ulga nie trwała długo; w ciągu dwóch dni rozwinęło się zakażenie. Pomimo antybiotyków, bakteryjna infekcja rozprzestrzeniła się przez krwiobieg i dosięgła zastawki serca.

Cztery dni po operacji Roberta siedziała przy Charliem w szpitalu. Bez pytania widziała, że jest bardzo chory. Zostawiła wiadomość dla doktora Forestera, że chciałaby z nim porozmawiać, kiedy skończy obchód. Uznała, iż powinna zawiadomić rodziców Charliego w Pensylwanii na wypadek, gdyby chcieli go odwiedzić.

Jęknął. Wstała i przetarła mu czoło wilgotną ściereczką.

– Charlie?

Ujęła jego dłonie i nachyliła się nad nim, wpatrując się w twarz chorego.

Wtedy poczuła coś. Strumień informacji przepłynął z jego ciała wprost do jej umysłu. Nie wiedziała, dlaczego ani w jaki sposób; czuła tylko, że nie jest to wytwór jej wyobraźni. Nagle zrozumiała, iż nie zestarzeją się razem. Nie była w stanie wypuścić jego rąk, uciec ani nawet krzyknąć. Pozostała w miejscu, nachylona nad nim, ściskając kurczowo jego dłonie, jak gdyby mogła go zatrzymać. Uczyła się na pamięć Jego rysów, póki wciąż jeszcze miała tę możliwość.

Pochowano go na dużym brzydkim cmentarzu w Wilkes-Barre. Po pogrzebie siedziała na pluszowym fotelu w saloniku jego rodziców, znosząc spojzenia i pytania obcych ludzi, póki wreszcie nie pozwolono jej odejść. W ciasnej toalecie samolotu, którym wracała do Bostonu, dostała wymiotów. Przez kilka dni myślała bez przerwy, jak będzie wyglądać dziecko Charliego. Może sprawił to wstrząs, a może stałoby się to również, gdyby Charlie żył. Piętnaście dni po jego śmierci Roberta poroniła.

W dniu końcowego egzaminu znalazła się w sali pełnej zdenerwowanych studentów. Wiedziała, że Charlie kazałby jej zatroszczyć się o swój interes, więc w duchu sformowała dwumetrową bryłę lodu i umieściła siebie w samym jej środku. Z zimną krwią odsunęła poza obręb swej świadomości ból, smutek i inne uczucia, skupiając się wyłącznie na podchwytliwych pytaniach zadawanych przez egzaminatorów.

Nie odrzuciła tej lodowej tarczy, podejmując pracę u Wigodera, Granta i Berlowa, w starej kancelarii prawniczej zajmującej trzy piętra solidnego budynku przy State Street. Wigodera nie było już w firmie ani pośród żywych. Harold Grant, szef działu testamentów i funduszy powierniczych, miał wydatny brzuch i czerwoną od whisky, poznaczoną żyłami twarz. Jego syn, Andrew Berlow, nieciekawym mężczyzną po czterdziestce, prowadził dział nieruchomości. Zatrudnił Robertę przy dokonywaniu ocen wstępnych i przygotowywaniu umów dzierżawy rutynowych zadań, które na długo przykuwały ją do komputera. Zajęcie było nieciekawe i nużące, i po dwóch miesiącach oświadczyła to Andy'emu Berlowowi. Skinął głową i odparł sucho, że praca u

podstaw daje pożyteczne doświadczenie. Po tygodniu zabrał ją ze sobą do sądu, ale Roberta nadal nie była w stanie wykrzesać z siebie entuzjazmu. Powiedziała sobie, że to depresja, i walczyła z nią mężnie, przynajmniej w czasie pracy.

Spędziwszy u Wigodera, Grania i Berlowa niecałe pięć miesięcy, załamała się. Jej emocjonalny pociąg na pewien czas całkowicie wyskoczył z szyn. Pewnego wieczoru, kiedy ona i Berlow pracowali do późna, dała się zaprosić na kieliszek wina, z którego zrobiło się półtorej butelki, i w końcu wylądowali w łóżku. Dwa dni później Andy zabrał ją na lunch i nerwowo wyjaśnił, że co prawda je rozwiedziony, ale „związał się z pewną kobietą”; ściślej mówiąc – żyje z nią. Roberta rozplakała się i wyszła, a kiedy nazajutrz nie pokazała się w biurze, Andy Berlow krył ją święcie przekonany, że Roberta cierpi z miłości do niego. W rzeczywistości jedyny mężczyzna, jakiego pragnęła, już nie żył.

Uleczyć ją mogła tylko długa rozmowa z Charliem Harrisem. Tęskniła do jego objęć; marzyła o widmowym dziecku z jego krwi. Wiedziała, że żadne z tych pragnień się nie spełni, ale żal sprowadził ją do punktu wyjścia. W jej życiu istniał tylko jeden obszar, na którym mogła cokolwiek zmienić.

13 INNA DROGA

Jej decyzja, by studiować medycynę, stanowiła spełnienie wszystkich marzeń ojca, ale profesor Cole kochał córkę, podszedł, więc do tego ostrożnie.

– Czy to, dlatego, że chcesz w jakiś sposób zastąpić Charliego? – spytał łagodnie. – Doświadczyć tego, co on robił i czuł?

– Po części tak – przyznała – ale tylko w niewielkim stopniu.

Myślała nad tym długo i podjęła dojrzałą decyzję, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że stłumiła chęć, aby zostać lekarzem, ponieważ chciała przeciwstawić się ojcu. Ich współżycie nadal nie układało się całkiem gładko. Czuła, że nie może wstąpić na wydział medyczny uniwersytetu, gdzie on był profesorem. Przyjęto ją do college'u medycznego w Massachusetts z różnicą programową w chemii organicznej, którą nadrobiła na letnim kursie.

Pomoc finansowa dla studentów medycyny była niewystarczająca. Roberta uzyskała stypendium w wysokości jednej czwartej kosztów czesnego i spodziewała się, że wpadnie głęboko w długi. Ojciec pomagał jej w czasie studiów prawniczych, dokładając do stypendium i zarobków; był też przygotowany do częściowego sfinansowania medycyny, choć z trudem mógł sobie na to pozwolić. Ale u Wigodera, Granta i Berlowa jej przedsięwzięcie wzbudziło sensację.

Soi Foreman, jeden ze wspólników, prowadzący powództwa w sprawach o utratę zdrowia, zaprosił ją na lunch, choć dotąd nie mieli okazji się poznać.

– Andy Berlow mówił mi o pani. Prawda wygląda tak, panno Cole, że jest pani dla nas o wiele więcej warta jako prawnik studiujący medycynę, niż jako zwyczajna referentka w

nieruchomościach. Będzie pani w stanie analizować fakty pod względem merytorycznym, a także oceniać je z punktu widzenia prawnoproceduralnego. Dobrze płacimy za tego rodzaju ekspertyzy.

Był to dla niej dar niebios.

– Kiedy mam zacząć?

– Dlaczegoż by nie od razu?

Tak, więc ucząc się chemii na letnim kursie wyrównawczym, równocześnie zbadała sprawę dwudziestodwuletniej kobiety, umierającej na niedokrwistość aplastyczną w efekcie podania penicylaminy, która zablokowała tworzenie krwinek w szpiku kostnym. Roberta stała się bywalczynią wszystkich bibliotek medycznych w Bostonie, grzebała w kartotekach, książkach, czasopiśmie medycznych, pracach naukowych. Przy tej okazji wiele nauczyła się o antybiotykach.

Foreman, zadowolony z rezultatów jej pracy, natychmiast przydzielił jej następną sprawę skargę niespełna sześćdziesięcioletniego nauczyciela po wszczęciu protezy stawu biodrowego. Złe przefiltrowanie powietrza w sali operacyjnej spowodowało głęboką infekcję, która tliła się przez trzy lata, zanim się ujawniła. Operacja naczyń nie poskutkowała i obecnie pacjent miał niesprawne biodro i jedną nogę krótszą.

Tym razem jej analiza skłoniła kancelarię do odrzucenia sprawy. Roberta stwierdziła, że chory został uprzedzony przez chirurga o możliwości niepowodzenia operacji; udzielono mu także zaleceń, jak ma postępować w okresie rekonwalescencji, których przestrzegania lekkomyślnie zaniedbał.

Firma w pełni doceniła pracę Roberty. Foreman przyznał jej niewysoką miesięczną pensję z możliwością uzyskania premii, którą

zresztą zwykle otrzymywała, i był gotów przydzielać jej tyle spraw, ile tylko miała ochotę przyjąć. We wrześniu, chcąc nieco zredukować koszty, przyjęła na współlokatorkę inną studentkę medycyny, piękną, poważną Murzynkę z Fulton w stanie Missouri, Samanthę Potter. Teraz, już tylko z niewielką pomocą ojca, była w stanie pokryć chesne i utrzymanie, a także wydatki na samochód. Zawód, do którego się rozczarowała, umożliwił jej pójście za powołaniem.

Była jedną z jedenastu kobiet wśród dziewięćdziesięciu dziewięciu studentów. Miała

uczucie, jak gdyby dotąd błędziła w ciemnościach, a teraz nareszcie odnalazła prostą, równą drogę. Każdy wykład ogromnie ją interesował. Odkryła też, że miała szczęście w wyborze współlokatorki. Samantha Potter, najstarsza z ośmiorga rodzeństwa, wychowała się w drobnym gospodarstwie rolnym, z którego dochód rzadko pokrywał wydatki. Wszystkie dzieci Potterów pracowały na okolicznych farmach, zbierając bawełnę, owoce i warzywa, imając się wszystkiego, co mogło przynieść, choć parę groszy. Wysoka, silnie zbudowana Samantha w wieku lat szesnastu podjęła pracę w miejscowej masarni. Chodziła tam po lekcjach i w czasie wakacji. Była dość silna, by unieść ciężki kawał zamrożonej tuszy, a przy tym dobrze wychowana i obowiązkowa, toteż brygadziści bardzo ją lubili. Po roku pchania wózków nauczyła się ciąć mięso. Używano do tego elektrycznych pił i noży tak ostrych, że wchodziły w mięso i kości jak w masło. Często dochodziło przy tym do wypadków. Samantha odniosła wiele drobnych skaleczeń i przywykła do ciągle oklejonych palców, ale udało jej się uniknąć poważniejszych zranień. Nie przerywając pracy, jako pierwsza w

rodzinie skończyła szkołę średnią. Latem pracowała jeszcze w fabryce, robiąc równocześnie dyplom z anatomii porównawczej na Uniwersytecie Missouri. Na zajęcia z anatomii człowieka, będące w programie pierwszego roku studiów medycznych, przyszła wyposażona w imponującą wiedzę o układzie kostnym, mięśniowym i narządach wewnętrznych.

Roberta i Samantha zaprzyjaźniły się z jeszcze jedną studentką z ich grupy, Gwendolyn Bennett. Był to pełen temperamentu rudzielec z Manchester w stanie New Hampshire. W medycynie zachodziły szybkie zmiany, ale wciąż jeszcze dominowali mężczyźni. Wśród personelu dydaktycznego było pięć kobiet, ale wszystkie katedry i wyższe stanowiska w zarządzie uczelni obsadzone były przez mężczyzn. Również podczas zajęć proszono do odpowiedzi przede wszystkim studentów, o dziewczętach zaś przeważnie zapomniano. Trzy przyjaciółki wszakże postanowiły nie dać się zlekceważyć. Gwen miała doświadczenie jako aktywistka ruchu w obronie praw kobiet w Mount Holyoke College i to ona nakreśliła strategię.

– Musimy na ochotnika zgłaszać się do odpowiedzi. Wystawiamy ręce prosto w te ich męskie szowinistyczne gęby i śpiewamy jak z nut. Jeśli będziemy tyrać jak oślice, muszą nas w końcu zauważyć, nie? A to znaczy, że musimy kuć ciężiej niż oni, wiedzieć więcej, działać bardziej ofensywnie.

Oznaczało to miazdzące brzemie pracy oprócz prawniczych analiz, które były dla Roberty źródłem utrzymania, ale takie właśnie wyzwanie było jej potrzebne. Uczyły się we trójkę, surowo odpytywały przed egzaminami i wspierały nawzajem, gdy u którejś zapał do nauki zaczynał słabnąć.

Odniosły sukces, jeśli nie liczyć tego, że w krótkim czasie zyskały reputację kobiet agresywnych. Sporadycznie miały powody przypuszczać, że niechęć egzaminatora odbiła się na stopniu, lecz w większości przypadków otrzymywały zasłużone wysokie oceny. Ignorowały zaczepki kolegów, a czasem także wykładowców. Bardzo rzadko chodziły na randki, nie z braku chęci, lecz dlatego że czas i energia stały się dla nich artykułami pierwszej potrzeby, którymi należało dysponować z rozwagą. Wolne wieczory spędzały razem w prosektorium, które dla Samantha stało się drugim domem. Od początku było jasne, że Samantha Potter to prawdziwy talent, przyszły profesor anatomii. Kiedy inni studenci walczyli o preparaty, dla Samantha zawsze jakoś znalazły się całe zwłoki, Samantha zaś ciągnęła za sobą przyjaciółki. W sumie rozebrały na czynniki pierwsze ciała czterech osób. Najpierw był podstarzały Chińczyk z nadmiernie rozwiniętą klatką piersiową, świadcząca o chronicznej rozedmie, następnie siwowłosa Murzynka i dwoje białych: atletycznie zbudowany mężczyzna w średnim wieku i ciężarna kobieta będąca ich rówieśnicą. Samantha wprowadziła Robertę i Gwen w tajniki anatomii, jak gdyby była to egzotyczna kraina. Przez długie godziny odsłaniały warstwa po warstwie kolejne tkanki, rysowały mięśnie i narządy, stawy, naczynia krwionośne, nerwy, w najdrobniejszych szczegółach poznając cudowne, skomplikowane tajemnice ludzkiej maszyny.

Tuż przed rozpoczęciem drugiego roku studiów wyprowadziły się z Charles Street. Roberta z zadowoleniem opuszczała dawną stajnię, nazbyt wiele było w niej wspomnień o Charliem. Wraz z Gwen wynajęły odrapane mieszkanie przy torach, oddalone tylko o jedną przecznicę od uczelni. Znajdowało się na skraju niebezpiecznej

dzielnicy, lecz nie chciały tracić cennego czasu na dojazd do laboratoriów lub szpitala. W dniu poprzedzającym rozpoczęcie zajęć urządziły parapetówkę. Nikt specjalnie się nie zdziwił, kiedy gospodynie o dość wczesnej porze pozbyły się gości, by nazajutrz rano być w formie do pracy.

Zajęcia kliniczne Roberta powitała tak, jak gdyby do tego właśnie dążyła przez całe życie. Traktowała medycynę inaczej niż koledzy, Patrzyła na nią własnymi oczyma. Śmierć Charliego efekt brudnego cewnika i liczne przypadki błędów w sztuce lekarskiej, z którym, jako prawnik miała do czynienia, na co dzień, uczuliły ją na zagrożenia, których nie dostrzegała większość studentów.

Badając pewną sprawę sądową, natknęła się na raport doktora Knighta Steela z Centrum Medycznego Uniwersytetu Bostońskiego, który zanalizował osiemset piętnaście zaskarżonych przypadków (z wyłączeniem chorób nowotworowych, gdzie leczenie obciążone jest wysokim ryzykiem). Spośród objętych badaniem pacjentów ponad jedna trzecia ucierpiała z powodu działań lekarzy. U siedemdziesięciu trzech osób, czyli u dziewięciu procent chorych, powikłania szpitalne doprowadziły do utraty życia lub pozostawiły trwałe kalectwo. Do tragedii tych nie doszłoby, gdyby chorzy pozostali w domu. Winne bywały leki, sposób ich dawkowania, badania diagnostyczne, dieta, brak opieki, niewłaściwy transport, cewnikowanie serca, zastrzyki i dożylnie, arteriografia i dializa, cewnikowanie pęcherza i milion innych zabiegów, którym poddawany jest pacjent.

Roberta zrozumiała, że na każdym etapie terapii pacjent narażony jest na niebezpieczeństwo ze strony swych dobroczyńców. Ponieważ

mnożą się nowe leki i wzrasta ilość zlecanych badań diagnostycznych, właśnie po to, by uchronić lekarza przed posądzeniem o błąd prawdopodobieństwo takich wypadków także wzrasta. Doktor Franz Ingelfinger, uznany profesor medycyny na Harvardzie i wydawca „New England Journal of Medicine”, pisał:

Założmy, że osiemdziesiąt procent pacjentów cierpi na schorzenia niegroźne dla życia albo też przeciwnie takie, których współczesna medycyna nie jest w stanie wyleczyć. W ponad dziesięciu procentach wszakże interwencja lekarza przynosi spektakularny sukces [...] Niestety, w pozostałych dziewięciu zdarza się, że lekarz stawia błędną diagnozę, źle prowadzi leczenie lub po prostu ma pecha. Niezależnie od przyczyny, cierpi na tym pacjent.

Roberta widziała, że mimo wysokich strat pieniężnych i cierpienia chorych szkoły medyczne nie budzą w studentach świadomości zagrożeń, jakie rodzą ludzkie błędy, ani też nie uczą ich, jak reagować w przypadku zaskarżenia, choć przecież mnożyły się sprawy sądowe, skierowane przeciwko lekarzom. Przy okazji analiz robionych dla Wigodera, Granta i Berlowa, Roberta zaczęła gromadzić obszerny plik danych w sprawach dotyczących obu dziedzin.

Trio przyjaciółek rozstało się po wręczeniu dyplomów. Samantha, która wiedziała od dawna, że chce nauczać anatomii, podjęła staż jako patolog w Centrum Medycznym Yale-New Haven. Gwen aż do końca studiów nie mogła się zdecydować, w końcu jednak głównie ze względów ideologicznych wybrała ginekologię. Przyjęto ją do szpitala w New Hampshire. Roberta żadna wszystkiego, co mogły jej zaoferować nauki medyczne, pozostała w Bostonie i rozpoczęła

trzyletni rezydencki staż internistyczny w Lemuel Grace Hospital. Nawet w najgorszych czasach, gdy praktycznie nie wychodziła ze szpitala, odwalając całą czarną robotę, nigdy nie wątpiła w sens tego, co robi. Była jedyną kobietą wśród trzydziestu stażystów. Podobnie jak na studiach, musiała wypowiadać się głośniejszym głosem niż mężczyźni i ciężiej pracować. Dyżurka lekarska była królestwem mężczyzn, gdzie jej koledzy rozrzucali swoje rzeczy, w obsceniczny sposób wyrażali się o kobietach (stażyści na ginekologii znani byli jako „smakosze cipek”), ją zaś całkowicie ignorowali. Od początku jednak uparcie dążyła do swego celu, jakim było zdobycie możliwie najlepszych kwalifikacji. Pod tym względem zresztą stać ją było na to, by wznieść się ponad dyskryminację płciową, podobnie jak Samantha Potter wzniosła się ponad rasizm.

Bardzo wczesnie ujawniła wybitny talent diagnostyczny. Na każdego pacjenta patrzyła jak na zagadkę, którą trzeba rozwiązać posiłkując się inteligencją i wiedzą.

Pewnego wieczoru, rozmawiając żartobliwie ze starszym, chorym na serce pacjentem nazwiskiem Bruce Weiler, Roberta ujęła jego dłoń i uścisnęła je.

Nie mogła ich wypuścić.

Czuła, jak gdyby zostali połączeni przez... co? Zakręciło się jej w głowie od nowo nabytej wiedzy, chciała krzyknąć, ostrzec pana Weilera. Zamiast tego wybąkała jakiś frazes i przez następne czterdzieści minut wertowała jego kartotekę, na przemian mierząc mu tętno, ciśnienie krwi i osłuchując serce. Powiedziała sobie, że ma urojenia; ani w historii choroby, ani w wynikach badań nic nie

wskazywało, by uleczone serce Bruce'a Weilera nie było z każdą chwilą mocniejsze i zdrowsze.

Mimo to miała pewność, że on umrze.

Nie przyznała się do tego Fritziemu Baldwinowi, szefowi rezydentów. Nie dysponowała niczym konkretnym, a Fritzie nie zostawiłby na niej suchej nitki.

Ale nad ranem serce pana Weilera pękło niczym przerdzewiała rura i pacjent zmarł.

Kilka tygodni później znów miała podobne doświadczenie. Zaintrygowana i zbita z tropu, opowiedziała o nim ojcu. Profesor skinął głową z błyskiem zainteresowania w oczach.

– Czasem lekarze mają szósty zmysł, który podpowiada im, w jakim kierunku pójdzie reakcja pacjenta – powiedział.

– Doświadczyłam tego, zanim zostałam lekarzem. Wiedziałam, że Charlie Harris umrze. Miałam całkowitą pewność.

– W naszej rodzinie jest pewna legenda – z wahaniem.

Roberta jęknęła w duchu. Nie była w nastroju do wysłuchiwania rodzinnych opowieści.

– Powiada się, że w ciągu wieków niektórzy lekarze z rodu Cole'ów byli w stanie przepowiedzieć śmierć pacjenta trzymając go za rękę.

Roberta poczuła dreszcz na karku, lecz prychnęła lekceważąco.

– Mówię poważnie – rzekł ojciec. – Nazywają to Darem.

– Daj spokój, tato! Przecież to zabobon z czasów, gdy leczono okiem traszki i nogą ropuchy. Nie wierzę w czary.

– Nikt nie mówi o czarach – odparł łagodnie. – Sądzę, że niektórzy członkowie rodziny wyposażeni zostali przez naturę w dodatkowe receptory, które pozwalają im odbierać informacje

niedostępne dla większości z nas. Podobno mój dziadek, Robert Jefferson Cole, i jego ojciec, Robert Judson Cole, obaj posiadali tę zdolność. Praktykowali na prowincji, w Illinois. Dar może przeskoczyć jedno lub dwa pokolenia. Słyszałem, że miało go dwóch moich kuzynów. Widzisz, córeczko, dostałem w spadku antyczne skarby naszej rodziny, skalpel Roba, który trzymam na biurku, i violę pradziadka, ale gdybym mógł wybierać, wolałbym mieć Dar.

– Zatem... nigdy czegoś takiego nie przeżyłeś?

– Och, wiedziałem, czy dany pacjent będzie żył, czy też umrze. Ale nigdy nie odebrałem tego wyraźnego przesłania śmierci nadchodzącej bez żadnych oznak czy symptomów. Oczywiście – dodał z lekką ironią – legenda rodzinna mówi też, że Dar słabnie lub zanika pod wpływem używek.

– Co automatycznie wyklucza cię z gry. – Przez wiele lat, do czasu, gdy jego pokolenie nareszcie zmądrzało, profesor Cole często raczył się dobrymi cygarami, a i nadal wieczorami sączył kieliszeczek trunku.

Roberta w szkole średniej przelotnie skosztowała marihuany, ale ustrzegła się uzależnienia. Nie popadła też w nałóg palenia papierosów. Tak jak i ojcu, smakował jej alkohol. Nie pozwalała, by zyskał nad nią władzę, lecz w okresach stresu znajdowała w nim pocieszenie, a czasem korzystała z niego dość łapczywie.

Kończąc trzeci rok stażu, Roberta wiedziała już, że chce leczyć całe rodziny, ludzi obu płci i w różnym wieku. W tym celu musiała lepiej poznać przypadłości kobiet. Wystarała się o trzy rotacyjne praktyki ginekologiczno-położnicze zamiast jednej. Zakończywszy staż, jeszcze przez rok była dochodzącą praktykantką na oddziale

kobiecym w Lemuel Grace. Równocześnie wzięła udział w szeroko zakrojonym szkoleniu na temat hormonalnych schorzeń u kobiet, zakończonym egzaminem. W tym samym roku zdała egzamin członkowski American Academy of Interna Medicine.

W tym czasie była już doświadczoną pracownicą szpitala. Ogólnie wiadano o jej analizach na potrzeby kancelarii, których efektem były znaczne nieraz sumy odszkodowań. Stawki ubezpieczeń, chroniących lekarzy przed skutkami zaniedbań, były bardzo wysokie. Niektórzy mawiali z nieskrywaną złością, że nie ma usprawiedliwienia dla Lekarza, który działa na szkodę kolegi po fachu. W czasie studiów Robercie zdarzało się, że ktoś nawet nie starał się ukryć animozji, jaką do niej czuł. W wielu wypadkach jednak jej prawna ekspertyza wykonana na potrzeby obrony przyczyniła się do uniewinnienia pozwanego lekarza, i to również było powszechnie wiadome.

Każdemu, kto ją atakował, odpowiadała ze spokojem:

– Celem nie jest ograniczenie liczby pozwów. Trzeba wykorzenić utarte zaniedbania, oduczyć ludzi bezpodstawnego pieniactwa, lekarzy zaś nauczyć, jak bronić się w przypadkach, gdy rzeczywiście popełnią omyłkę, będąc przecież tylko ludźmi. Czujemy się w pełni uprawnieni do krytyki skądinąd uczciwych oficerów policji, którzy chronią swoich skorumpowanych podwładnych, bo tak każe im niepisany Niebieski Kodeks. My przecież też mamy swój Biały Kodeks. Pozwala on niektórym lekarzom wykręcić się od skutków nieudolności czy zwykłego niechlujstwa, a ja sądzę, że należy z tym skończyć.

Przysłuchiwał się jej nie tylko rozmówca. Pod koniec jej praktyki na oddziale kobiecym doktor Sidney Ringgold, naczelny lekarz

szpitala, zapytał, czy byłaby zainteresowana poprowadzeniem dwóch cykli wykładów: „Zapobieganie błędom w sztuce lekarskiej i obrona w sprawach o zaniedbanie” dla studentów czwartego roku i „Eliminacja powikłań szpitalnych” na roku trzecim. W ślad za tym przyszedł awans na członka stałego personelu szpitala. Roberta przyjęła go bez wahania. Nominacja wywołała szemranie i kilka skarg, które doktor Ringgold najspokojniej oddalił i na tym się skończyło.

Po stażu Samantha Potter przeszła prosto na stanowisko wykładowcy anatomii na wydziale medycznym uniwersytetu stanowego w Worcester. Gwen Bennett przejęła rozkręconą już praktykę ginekologiczną w Fanningham i niedługo później zaczęła pracować w niepełnym wymiarze godzin w Klinice Planowania Rodziny. Wszystkie trzy pozostały sobie bliskie, także ideologicznie. Gwen i Samantha, podobnie jak wiele innych kobiet i kilku obdarzonych szerszymi horyzontami lekarzy płci męskiej, stanowczo poparły Robertę, kiedy zaproponowała utworzenie przy szpitalu poradni leczącej zespół napięcia przedmiesiączkowego. Po krótkim okresie bojów z częścią lekarzy, którzy uważali to za marnotrawstwo budżetowych funduszy, poradnia stała się trwałą częścią pionu szpitalnego i dydaktycznego.

Wszystkie te kontrowersje sprawiały szczególną przykrość ojcu Roberty. Profesor Cole był uznanym członkiem medycznego establishmentu i ostra krytyka skierowana przeciwko jego córce, szczególnie zaś aluzje, że bywa ona nielojalna wobec kolegów po fachu, były dla niego ciężkie do zniesienia. Mimo to wiedziała, że ojciec jest z niej dumny. Stał twardo przy niej pomimo

wcześniejszych nieporozumień. Ich związek był silny, toteż teraz Roberta nie zawahała się znów do niego zwrócić.

14 OSTATNIA ROMANTYCZKA

Spotkali się na obiedzie u Pineroli w North End. Kiedy Roberta była tu po raz pierwszy, jeszcze z Charliem Harrisem, przechodziło się wąskim zaułkiem pomiędzy kamienicami, potem zaś trzeba się było wspiąć na pierwsze piętro. Lokal był w zasadzie kuchnią, w której ustawiono trzy małe stoliki. Krzątała się po niej właścicielka, wspomagana przez starzejącą się matkę, która prawie bez przerwy pokrzykiwała na nią i zrzędziła. Carla Pinerola była seksowną kobietą w średnim wieku. W owych czasach miała jeszcze męża, który ją bił, czasem zastawali ją z podbitym okiem lub siniakiem na ramieniu. Teraz stara matka już nie żyła, samej Carli zaś nigdy nie było widać; wykupiła jedną z kamienic i zmieniła parter oraz pierwsze piętro w dużą, szykowną restaurację. Teraz zawsze czekał tu na wolne miejsce długi ogonek klientów studentów, biznesmenów. Roberta nadal lubiła tu przychodzić; jedzenie było prawie tak samo dobre jak w dawnych czasach. Nauczyła się, żeby zawsze naprzód rezerwować stolik.

Ojciec spóźnił się nieco. Jego włosy prawie zupełnie zbiały. Patrząc na niego przypomniała sobie, że ona też się starzeje.

Zamówili antipasto, cielecą marsalę i domowe wino. Rozmawiali o sporcie, o teatrze bostońskim i o tym, że artretyzm w rękach

przysparza mu coraz więcej bólu.

Sącząc wino, powiedziała mu, że zamierza otworzyć prywatną praktykę w Woodfield.

– Po co? – Ojciec był wyraźnie zaniepokojony. – I dlaczego w takim miejscu?

– Muszę wyrwać się z Bostonu. Nie jako lekarz, jako człowiek.

Profesor Cole skinął głową.

– To jestem w stanie zrozumieć. Ale czemu nie pomyślisz o innym ośrodku? Albo... nie wiem, może o jakimś instytucie, gdzie zajmują się prawnymi aspektami medycyny? Dostała niedawno list od Rogera Carletona z Baltimore. W tej chwili ich budżet nie przewidywał etatu, który by jej odpowiadał, ale Carleton był w stanie zapewnić jej takowy w ciągu sześciu miesięcy. Otrzymała też faks od Irvinga Simpsona. Pisał, że chętnie zatrudni ją w Uniwersytecie Pensylwania i pytał, kiedy mogłaby przybyć do Filadelfii, żeby porozmawiać o wynagrodzeniu.

– Nie mam na to ochoty. Chcę zostać prawdziwym lekarzem.

– Na miłość boską. Rob! A kim jesteś teraz?

– Chcę być lekarzem domowym w małym miasteczku uśmiechnęła się. Chyba podałam się do twojego dziadka.

Profesor Cole opanował się i spojrzał na swoje biedne dziecko, które przez całe życie płynęło pod prąd.

– To, że siedemdziesiąt dwa procent amerykańskich lekarzy to specjaliści, nie jest pozbawione podstaw – rzekł. – Specjaliści zarabiają dwa albo trzy razy tyle, co lekarze ogólni i mogą spokojnie przespać noc. Na prowincji będzie ci o wiele ciężiej. Wiesz, co ja zrobiłbym, gdybym był niezależną osobą w twoim wieku?

Nauczyłbym się wszystkiego, co byłbym w stanie pojąć. Stałbym się superspecjalistą.

Roberta jęknęła.

– Koniec ze studiami, tatusiu, i z pewnością nie zniosę już żadnego stażu. Chcę spojrzeć głębiej, zobaczyć poza całą tą teorią żywych ludzi. Nie zrażają mnie niskie zarobki. Chcę żyć.

– Życ? – Ojciec potrząsnął głową. Rob, mówisz jak ostatni kowboj z tych, o jakich wciąż śpiewają romantyczne piosenki. Siodła swego mustanga, rusza autostradą, mijając tasiemcowe korki drogowe, i szuka prerii, która już nie istnieje.

Uśmiechnęła się i ujęła go za rękę.

– Możliwe, że prerii już nie ma, tatku, ale nawet w Massachusetts są jeszcze spokojne wzgórza pełne ludzi, którzy potrzebują lekarza. Praktyka rodzinna to najczystszy nurt medycyny. Mam zamiar podarować ją sobie w prezencie.

Długo siedzieli nad posiłkiem, wymieniając poglądy. Roberta słuchała z uwagą, zdając sobie sprawę, jak dużo jej ojciec wie o medycynie.

– Za kilka lat nie poznasz naszego systemu opieki zdrowotnej. Wszystko się drastycznie zmieni – żekł. – Kampania prezydencka nabiera barw, a Bili Clinton obiecał narodowi, że jeśli zostanie wybrany, każdy obywatel USA otrzyma ubezpieczenie zdrowotne.

– Sądysz, że to mu się uda?

– Myślę, że spróbuje. Jest chyba pierwszym politykiem, którego obchodzi sytuacja biedaków. Przyznaje głośno, że obecny stan napełnia go wstydem. Powszechne ubezpieczenie kosztów leczenia może wiele ułatwić właśnie wam, lekarzom pierwszego kontaktu, a równocześnie obniżyć dochody specjalistów. Pożyjemy, zobaczymy.

Przedyskutowali też kwestie finansowe. Dom na Brattlee Street po spłaceniu długów nie przyniesie wiele, gdyż ceny nieruchomości nadal utrzymują się na bardzo niskim poziomie. Roberta dokonała ostrożnych obliczeń, ile będzie potrzeba na wynajęcie i wyposażenie gabinetu i przetrwanie pierwszego roku. Brakowało jej prawie pięćdziesięciu trzech tysięcy dolarów.

– Byłam w kilku bankach. Mogę zaciągnąć kredyt. Hipoteka wystarczy na pokrycie długu, ale uparli się, że chcą żyranta.

Czuła się upokorzona, wątpiła, czy postawiliby to samo zastrzeżenie, gdyby przyszedł do nich Tom Kendricks.

– Jesteś absolutnie pewna, że tego właśnie chcesz?

– Absolutnie.

– Wobec tego, jeśli pozwolisz, podżyruję ci tę pożyczkę.

– Dzięki, tatusiu.

– W pewnym sensie jestem wściekły, kiedy pomyślę, co chcesz zrobić. Ale równocześnie muszę ci powiedzieć, jak bardzo ci zazdroszczę.

Roberta podniosła jego dłoń do ust.

Nad cappuccino przejrzeni razem kosztorys. Ojciec stwierdził, że jest zbyt skąpy i suma kredytu powinna być o dziesięć tysięcy dolarów wyższa. Przerażona Roberta spierała się zaciekle, po namyśle jednak uznała, iż ojciec ma rację. Oznaczało to jeszcze głębsze zadłużenie.

– Odważna jesteś, córuchno.

– Ty też, staruszk.

– Na pewno dasz sobie tam radę całkiem sama?

– Znasz mnie, ojciec. Nie potrzebuję nikogo. Z wyjątkiem ciebie – pochyliła się i pocałowała go w policzek.

CZĘŚĆ DRUGA

DOM NA SKRAJU

15 METAMORFOZA

Roberta zaprosiła Tessę Martulę na lunch. Nie rozumiem, dlaczego chcesz zdezerterować. Tessa roniła łzy do potrawki z homarów. Miałaś być moją windą po piętrach kariery.

Jesteś świetną pracownicą i bez trudu dasz sobie radę beze mnie. Poza tym nie uciekam – wyjaśniała cierpliwie Roberta – tylko przeprowadzam się tam, gdzie mi będzie lepiej.

Usiłowała wykrzesać w sobie tę samą pewność, którą nadała słowom, ale czuła się tak, jak gdyby znów świeżo skończyła szkołę tyle w niej było lęku przed nieznanym. W ostatnich latach prawie nie przyjmowała porodów i czuła się w tej dziedzinie kompletnym laikiem. Lew Stanetsky, ordynator oddziału położniczego, udzielił jej kilku wskazówek, starając się ukryć troskę pomieszaną z rozbawieniem.

– Chcesz być forpocztą medycyny w głuszy, tak? Od razu znajdź sobie licencjonowanego ginekologa-położnika. Przepisy mówią, że

do cesarskiego cięcia, porodu kleszczowego albo próżniociągowego musisz wezwać specjalistę.

Umożliwił jej spędzenie wielu godzin w sali porodowej ogromnym pomieszczeniu zastawionym stołami, na których stękały, krzyczały i często klęły wniebogłosy spocone kobiety ze śródmieścia, przeważnie czarnoskóre. Roberta przyglądała się dwóm liniom brązowych i purpurowych warg sromowych, napiętych w naturalnym okrucieństwie narodzin.

Napisała obszerny i pełen pochwał list rekomendacyjny dla Tessy, lecz jak się okazało, nie był on potrzebny. Kilka dni później Tessa wpadła do niej, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Nigdy nie zgadniesz, gdzie będę pracować! Zostałam asystentką! doktora Greensteina!

– Kiedy bogowie cię nie lubią pomyślała Roberta zrobią] wszystko, żeby ci dopiec.

– Przeniesie się tutaj?

– Nie, dostał gabinet doktora Rosemana, wiesz, ten piękny, wielki narożny pokój na piętrze Ringgolda.

Roberta uścisnęła ją.

– Powinien być wdzięczny losowi, że cię dostał – powiedziała.

Zaskakująco trudno było jej się rozstać ze szpitalem; o wiele łatwiej z Kliniką Planowania Rodziny. Wręczyła dyrektorce Monie Wilson swoje sześciotygodniowe wypowiedzenie. Na szczęście Mona już wcześniej energicznie szukała zastępstwa za Gwen. Nie udało jej się znaleźć nikogo na cały etat, ale trzy osoby zatrudnione w niepełnym wymiarze pomogły jej wypełnić opróżnione przez Robertę czwartki.

– Poświęciłaś nam dwa lata.– Mona spojrzała na Robertę i dodała z uśmiechem: – Brzydziłaś się każdą spędzoną tu chwilą, czyż nie?

Roberta skinęła głową.

– Chyba tak... Skąd wiedziałaś?

– Och, nietrudno było to zauważyć. Dlaczego to robisz, skoro jest ci tak ciężko?

– Czułam, że jestem naprawdę potrzebna. Kobiety powinny mieć prawo wyboru.

Gdy jednak wyszła z kliniki, pomyślała radośnie: „Nie muszę już tu wracać!” Była wolna i lekka jak ptak.

Musiała pogodzić się z tym, że jej ulubione BMW nie nadaje się na błotniste polne drogi, którym miała stawić czoło w Woodfield. Wnikliwie obejrzała kilkanaście samochodów z napędem na cztery koła i w końcu zdecydowała się na forda explorera. Wyposażyła go w klimatyzację, dobre radio, odtwarzacz CD, potężny akumulator i szerokie opony ze specjalnym bieżnikiem.

– Chce pani mojej rady? – zapytał sprzedawca. – Niech pani kupi jeszcze wyciągarkę.

– Co?

– Wyciągarkę. Elektryczny kołowrót na przednim zderzaku. Zasilany z akumulatora. Ma stalową linę z zatrzaskowym hakiem.

Zerknęła na niego z powątpiewaniem.

– Jeżeli zakopie się pani w błocie – tłumaczył – owija pani linę wokół dużego drzewa i winduje się w górę. Udźwig pięciu ton. Będzie to panią kosztowało jeszcze tysiąc, ale warto go wydać, skoro będzie pani jeździć po złych drogach.

Kupiła wyciągarkę, po czym poszli oglądać jej czerwone cacko.

Jest w doskonałym stanie. Skórzana tapicerka zaznaczyła.

– Dam pani w rozliczeniu dwadzieścia trzy tysiące.

– Hola, to jest drogi sportowy samochód. Zapłaciłam za niego ponad dwa razy tyle.

– Parę lat temu – wytknął. – Dobra, niech pani sprawdzi w notowaniach.

Tak też uczyniła. Zamieściła ogłoszenie w niedzielnym „Globe”. Inżynier z Lexington kupił jej BMW za prawie dwadzieścia dziewięć tysięcy, co pokryło koszt explorera i przyniosło niewielki zysk.

Jeździła tam i z powrotem między Bostonem a Woodfield. Markus sugerował, że najlepiej urządzałby ją lokal przy Main Street, w centrum miasteczka. Ulica ta biegła w obie strony białego drewnianego budynku kościoła, w którym ponad sto lat temu ulokował się ratusz. Zdobiała go iglica w stylu Christophera Wrena.

Obejrzała cztery lokale przy Main Street, które stały puste lub w najbliższym czasie miały się zwolnić. Zgodnie z utartym zwyczajem gabinet lekarski wymagał od tysiąca do tysiąca pięciuset stóp kwadratowych powierzchni. Dwa lokale Roberta wykluczyła od razu jako zupełnie nieodpowiednie. Jeden podobał jej się, ale był za ciasny. Czwarty, zachowany przez wytrawnego agenta na koniec, wyglądał obiecująco. Znajdował się niedaleko ratusza, naprzeciw biblioteki. Fasada domu była dobrze utrzymana, a otoczenie schludne. Wnętrze o powierzchni tysiąca stu dwudziestu stóp prosiło się o remont, ale czynsz był nieco niższy niż kwota szacunkowo przyjęta przez Robertę kwota, która spędzała jej sen z powiek. Właścicielką domu była starsza pani nazwiskiem Sally Howland, życzliwa osoba o pulchnych, rumianych policzkach.

Wyraziła radość, że w mieście znów będzie lekarz, a także dumę, iż to ona właśnie miała gościć „drogą panią doktor”.

– iestety, żyję z czynszu – dodała nerwowo, – więc rozumie pani, nie mogę obniżyć stawki.

Nie mogła też wyłożyć funduszy na remont, ale nie miała nic przeciwko temu, by pani doktor przeprowadziła go na własny koszt.

– Remont i malowanie pochłoną spore sumy – powiedział Markus. – Powinna pani wystąpić o potrącenie ich z opłaty czynszowej.

Tak właśnie zrobiła. Malowaniem zajęli się Bob i Tillie Matthewtson, małżeństwo, które prócz tego miało mleczną farmę. Stare drewniane belki zostały oczyszczone do aksamitnego delikatnego połysku, a wytarte podłogi z sosnowych desek nierównej szerokości Roberta kazała pomalować na niebiesko. Splotwiałe tapety pokryła podwójna warstwa zmywalnej białej emulsji. Miejscowy cieśla wykonał liczne półki i wyciął duże prostokątne okienko dla rejestratorki w wewnętrznej ścianie byłego saloniku. Hydraulik zainstalował dwie dodatkowe toalety, umieścił umywalki w dwóch sypialniach, która miały teraz pełnić rolę pokoi zabiegowych, i oprócz istniejącego bojlera w piwnicy podłączył jeszcze przepływowy grzejnik, żeby Roberta miała gorącą wodę na każde żądanie.

Zakup wyposażenia byłby niezłą frajdą, ale musiała liczyć się ze stanem konta. Problem polegał na tym, że była przyzwyczajona zamawiać najlepszy sprzęt dotąd przecież płacił za niego szpital. Teraz zdecydowała się na meble z drugiej ręki i dywan do poczekalni ze składu Armii Zbawienia. Zdobyła dobry używany mikroskop, a także autoklaw po gruntownej naprawie. Narzędzia

kupiła nowe. Jej doradcy twierdzili, że powinna mieć dwa komputery, pierwszy na dane dotyczące pacjentów, drugi do prowadzenia księgowości. Po namyśle uznała posępnie, że na razie musi jej wystarczyć jeden.

– Czy zna pani Mary Stem? – zagadnęła ją kiedyś Sally Howland.

– Nie sędzę.

– To kierowniczka poczty. Ma starą stojącą wagę, która kiedyś należała do doktora Thorndike’a. Kupiła ją na wyprzedaży dwadzieścia dwa lata temu. Chętnie ją pani sprzeda za trzydzieści dolarów.

Roberta kupiła wagę, wyszorowała ją, dała do wytarowania. Stała się ona symbolicznym łącznikiem pomiędzy starym a nowym lekarzem.

Roberta miała zamiar zamieścić ogłoszenie o naborze personelu, co jednak okazało się zbędne, gdyż Woodfield posiadało podziemny system informacyjny, który działał sprawnie i z prędkością światła. Niemal natychmiast zgłosiły się do niej cztery kandydatki do prowadzenia biura i trzy dyplomowane pielęgniarki. Roberta starannie rozważała podania, ale jedną z chętnych na miejsce sekretarki była Toby Smith, ta sama sympatyczna blondynka, która prowadziła karetkę owej nocy, gdy wezwano ją do Fredy Krantz. Od pierwszej chwili zrobiła na Robercie pozytywne wrażenie, miała też dodatkowy atut spore doświadczenie w księgowości i rachubie. W charakterze pielęgniarki Roberta zatrudniła tęgą, siwowłosą, pięćdziesięciosześcioletnią Margaret Weiler, zwaną w skrócie Peggy.

Nękana wyrzutami sumienia, przystąpiła do omawiania płac.

– Nie jestem w stanie zaoferować tyle, ile otrzymałyby panie w Bostonie – powiedziała do Toby.

– Proszę się tym tak strasznie nie przejmować – stwierdziła bez ogródek nowa rejestratorka. – Zarówno Peg, jak i ja jesteśmy uwiązane tu, na miejscu. To nie Boston. Na wsi ciężko jest znaleźć pracę.

David Markus wpadał od czasu do czasu, rzucał fachowym okiem na prace remontowe i służył jej cichą radą. Parę razy zjedli razem lunch w pizzerii „River Bank” na skraju miasta; dwukrotnie płacił on, raz ona. Stwierdziła w duchu, że go lubi, i kazała mu zwracać się do siebie po imieniu. Zrewanżował się informacją, że wszyscy mówią o nim Dave, natomiast przyjaciele nazywają go David.

Jego związane w koński ogon włosy wyglądały zawsze na świeżo umyte; podobnie wytarte džinsy pachniały czystością. Kiedy podali sobie ręce, wyчуła, że jego dłoń jest stwardniała od pracy, lecz paznokcie miał krótko przycięte i zadbane.

Nie mogła się zdecydować, czy jest atrakcyjny, czy tylko nietuzinkowy.

W sobotę przed jej ostatecznym wyjazdem z Bostonu David zabrał ją na prawdziwą randkę do restauracji w Northampton. Gdy wychodzili, zaczerpnął ze stojącej przy drzwiach wazy garść czekoladowych pralinek.

– Takie jak MM, tylko większe – wyjaśnił, podając jej kilka. – Pycha!

Odmówiła grzecznie, wsiadając do samochodu i patrząc z przerażeniem, jak żuje czekoladę.

Nie powinienes tego jeść – wypaliła, nie mogąc się dłużej pohamować.

- Uwielbiam je. Nie mam skłonności do tycia.
- Ja też je lubię. Kupię ci takie same, tylko w ładnym, higienicznym opakowaniu.
- Masz fioła na punkcie higieny? To naprawdę porządna, czysta knajpa.
- Czytałam niedawno wyniki badań, jakim poddano cukierki w takich właśnie miejscach. W większości przypadków są na nich ślady moczu.

Spojrzał na nią w milczeniu i przestał żuć.

- Panowie korzystający z toalety nie myją rąk. Wychodząc sięgają do słoja z cukierkami...

Widziała, że usiłuje się zdecydować, czy wypluć, czy też przełknąć to, co ma w ustach. Więcej się ze mną nie spotka, pomyślała. David przełknął, opuścił szybę i wyrzucił pozostałe pralinki.

- Popełniłaś właśnie straszliwy nietakt. A ponadto raz na zawsze zepsułaś mi przyjemność.

- Wiem. Ale czy ty nie ostrzegłbyś mnie, gdybyś wiedział to co ja?

- Może i nie – odparł, wybuchając śmiechem.

Chichotali przez pół drogi, jadąc szosą numer 91.

Siedząc w furgonetce zaparkowanej przed jej domem, opowiedzieli sobie swoje dzieje. Jako młody chłopak, David był sportowcem, „akurat na tyle dobrym, żeby zbierać kontuzje”. Zanim dostał się do college’u, musiał już ostatecznie zrezygnować ze sportu. Zdobył bakalaureat z literatury angielskiej w Hamilton College i magisterium, o którym tylko mgliście napomknął. Przed przyjazdem do Woodfield był udziałowcem i członkiem zarządu

agencji handlu nieruchomościami Lever Brothers w Nowym Jorku, z czego ostatnie dwa lata wiceprezesem.

– Czarna rozpacz – mówił.– Pociąg pięć po siódmej na Manhattan, wielki dom, basen i kort tenisowy.

Jego żona, Natalie, zapadła na stwardnienie zanikowe boczne, zwane też chorobą Lou Gehriga. Oboje wiedzieli, co to znaczy zdawali sobie z tego sprawę tym bardziej, że jeden z ich przyjaciół zmarł na tę samą chorobę. W miesiąc później, gdy diagnoza została potwierdzona, Natalie odprowadziła dziewięcioletnią wówczas córkę do sąsiadów, sama zaś uszczelniła mokrymi ręcznikami drzwi do garażu, włączyła silnik i umarła słuchając muzyki klasycznej z ulubionej stacji radiowej.

David zatrudnił kucharkę i gospodynię, żeby zapewnić Sarze opiekę, sam zaś pił na umór przez osiem miesięcy. Kiedy nieco przetrzeźwiał, dowiedział się, że jego zdolna, błyskotliwa córka ma problemy w szkole, narastające zaburzenia osobowości i chroniczny nerwowy kaszel. Poszedł na spotkanie Anonimowych Alkoholików. Dwa miesiące później David i Sara sprowadzili się do Woodfield.

Kiedy nieco później nad mocną kawą w kuchni Roberty usłyszał jej historię, pokiwał głową.

– Te góry pełne są ludzi z przeszłością – rzekł.

16 INAUGURACJA

Sprowadziła się do Woodfield upalnym rankiem w końcu czerwca, gdy na niebie piętrzyły się wysokie, ciemne burzowe chmury. Wcześniej myślała, że z radością opuści wreszcie dom na Brattle Street, ale w ostatnich dniach, gdy część mebli sprzedano, część poszła do magazynu, a część zabrał mąż ubywało ich dotąd, aż jej wysokie obcasy zaczęły budzić głośne echo w pustych pokojach spojrziała na ów dom pobłażliwym okiem byłego właściciela i nareszcie ujrzała w nim piękno i splendor, o których mówił Tom. Nie chciała stąd odjeżdżać, mimo małżeńskiej klęski tu było jej gniazdo. Potem przypomniała sobie, że była to również ogromna czarna dziura, w której bez końca topili pieniądze, i z ulgą zamknęła drzwi. Odjechała podjazdem wzdłuż ceglanego muru, który wciąż się osypywał, ale o to już niech martwi się kto inny.

Miała świadomość, że jedzie w nieznane.

Przez całą drogę do Woodfield mózg Roberty bez ustanku wałkował problemy lekarskiej ekonomiki. Bała się, że popełnia straszliwy w skutkach błąd.

Przez kilka kolejnych dni pracowała głównie umysłowo. Przypuśćmy, że miałyby brać tylko gotówkę, ignorując całkowicie towarzystwa ubezpieczeniowe, dzięki którym zawód lekarza nie był rajem na ziemi. Obniżając drastycznie cenę wizyty powiedzmy, do dwudziestu dolarów czy zgromadziłyby dość pacjentów, by przetrwać? Niektórzy by przyszli ci, którzy chorowali, a nie byli ubezpieczeni. Ale czy jakikolwiek właściciel ważnej polisy Błękitnego Krzyża i Błękitnej Tarczy puściłby ten fakt w niepamięć i z własnej woli zechciałby płacić gotówką doktor Cole?

Z żalem uświadomiła sobie, że nie może na to liczyć.

Postanowiła wprowadzić nieoficjalną taryfę w wysokości dwudziestu dolarów dla pacjentów pozbawionych świadczeń. Firmy ubezpieczeniowe zapłacały za każdą poradę zwyczajowe czterdzieści do sześćdziesięciu pięciu dolarów z dodatkową opłatą za wizyty domowe. Kompleksowe badanie oszacowała na dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Diagnostyką laboratoryjną miał zająć się ośrodek w Greenfield.

Zatrudniła Toby już na dwa tygodnie przed oficjalnym otwarciem gabinetu. Należało wprowadzić do komputera wszystkie dane towarzystw ubezpieczeniowych. Prócz pięciu wielkich firm istniało piętnaście mniejszych, z których usług korzystało wielu jej pacjentów, a ponadto około trzydziestu pięciu drobnych agencji. Każda musiała być ujęta w komputerze, każda wymagała licznych formularzy. Wpisanie ich stanowiło jednorazowy wysiłek, ale Roberta wiedziała z doświadczenia, że dane trzeba będzie ciągle aktualizować, firmy bowiem wycofywały niektóre formularze, zastępując je innymi. Była to dość kosztowna zabawa, z którą nie musiał się liczyć jej pradziadek.

Poniedziałek rano.

Do pracy przyszła wcześniej; skąpe, pospieszne śniadanie zbiło jej się w żołądku w twardą zimną kulę. Pomieszczenia pachniały farbą i pokostem. Toby siedziała już przy swoim biurku, a Peg pojawiła się dwie minuty później. Wszystkie trzy uśmiechnęły się do siebie głupkowato.

Poczekalnia była niewielka, ale pusta wydała się Robercie ogromna.

Zarejestrowało się tylko trzynaście osób. Ludzie, którzy przez dwadzieścia dwa lat obchodzili się bez miejscowego doktora,

przywykli do konieczności wyjazdów do Greenfield. Przywiązali się też do tamtejszych lekarzy. Po cóż mieliby teraz iść do kogoś obcego?

– A jeśli nikt nie przyjdzie? – zastanawiała się w panice, myśląc równocześnie, że jej obawy są pozbawione podstaw.

Pierwszy pacjent przybył na kwadrans przed oznaczoną porą. Był nim George Palmer, siedemdziesięciodwuletni emerytowany robotnik tartaczny z bolącym biodrem i trzema kikutami w miejscu palców.

– Dzień dobry, panie Palmer – powitała go spokojnie Toby, jak gdyby całe życie spędziła na wpuszczaniu pacjentów.

– Jak się masz, Toby. Cześć, Peg.

Peg Weiler wiedziała, jak się ma zachować. Wprowadziła go do pokoju badań, wypełniła nagłówek karty, zmierzyła tętno, ciśnienie i zapisała dane.

Przeprowadzony w lekkim tonie wywiad sprawił Robercie niekłamaną przyjemność. Pierwsza wizyta musiała trwać długo, bo każdy z tych ludzi był dla niej niewiadomą i trzeba go było bliżej poznać.

W Bostonie odesłałaby pacjenta z zapaleniem kaletki maziowej do ortopedy na zastrzyk kortyzonu. Tu wykonała iniekcję własnoręcznie i umówiła się z Palmerem do kontroli.

Kiedy wystawiła głowę do poczekalni, Toby pokazała jej bukiet świeżych kwiatów, przysłany przez ojca, i olbrzymiego fikusa w donicy – prezent od Davida Markusa. W poczekalni siedziało sześć osób, trzy z nich nie były wcześniej umówione. Ustaliły kolejność: pacjentów z bólem lub poważnie chorych należało przyjąć niezwłocznie, innym podawano najbliższy wolny termin. Z dziwną

mieszaniną ulgi i żalu Roberta zdała sobie sprawę, że mimo wszystko nie będzie miała wolnej chwili. Poprosiła Toby o kanapkę z serem i dużą kawę bez kofeiny.

– Nie robię przerwy na lunch dodała.

W drzwiach wejściowych pojawiła się Sally Howland.

– Byłam umówiona – oznajmiła takim tonem, jakby bała się, że nie zechcą jej wpuścić. Roberta z trudem powstrzymała się od uściskania swojej pyskatej gospodyni.

Peg i Toby również zrezygnowały z przerwy na lunch i zamówiły kanapki w sklepie.

– Ja stawiam powiedziała radośnie Roberta.

17 DAVID MARKUS

David zaprosił Robertę do siebie na obiad.

– Sara też będzie?

– Sara idzie na wielkie, uroczyste przyjęcie szkolnego kółka gastronomicznego – rzekł, przyglądając jej się z namysłem.

– Nie możesz zjeść ze mną obiadu bez przyzwoitki?

– Ależ oczywiście, że przyjdę. Miałam tylko nadzieję, że spotkam się z Sarą.

Spodobał jej się dom Markusów, ciepło i przyjazny nastrój tworzony przez ściany z grubych drewnianych bali i wygodne stare meble. Na ścianach wisiało mnóstwo prac miejscowych artystów, których nazwiska nic jej nie mówiły. David oprowadził ją po

pokojach. Obejrzała kuchnię połączoną z jadalnią i jego zarzucony papierami gabinet, gdzie na krześle przy biurku spał duży szary kot.

– Czy kot też jest żydowski, jak koń?

– owszem, tyle, że to kotka – David wyszczerzył zęby. – Dostaliśmy ją wraz z wyleniałym, napalonym kocurem, którego Sara uznała za jej męża. Wytrzymał w domu tylko dzień lub dwa, po czym zwiął. Toteż nazwałem kocicę Aguna, co w jidysz znaczy: porzucona żona.

Ascetyczna sypialnia. Roberta odczuła seksualne napięcie, oglądając olbrzymi materac na łóżku. Było tu biurko z kolejnym komputerem, biblioteczka pełna książek historycznych i rolniczych oraz stos zapisanych kartek. Przyciśnięty do muru, David przyznał się, że pisze powieść o upadku małych gospodarstw w Ameryce i dawnych farmerach z gór Berkshire.

– Zawsze chciałem opowiadać ludziom historie. Po śmierci Natalie postanowiłem spróbować. Musiałem jednak zapewnić byt Sarze, więc po przeprowadzce nie zrezygnowałem z handlu nieruchomościami, ale w tej okolicy nie jest to czasochłonne zajęcie. Mam mnóstwo czasu na pisanie.

– I jak ci idzie?

– Ee... – uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Pokój Sary. Okropne, pstrokate zasłony w oknach, własnoręcznie ufarbowane przez Sarę. Dwa plakaty z Barbrą Streisand. I wszędzie tace pełne kamieni. Dużych, małych, średnich, a każdy w kształcie serca. Geologiczne walentynki.

– Co to?

– Sara mówi o nich „serdeczne kamienie”. Zbiera je od dzieciństwa. To Natalie ją tym zaraziła.

W Tufts Roberta uczyła się przez rok geologii. Rozpoznawała kwarcyt, marmur, piaskowiec, bazalt, skaień, gnejs, łupek, czerwony granit, ale były tam też kryształy, których nazw nawet nie próbowała zgadywać.

– Ten przywiozłem z pola w czerpaku koparki – rzekł David, wskazując oparty w kącie granitowy głaz w kształcie serca, wysoki na ponad dwie stopy. – Leżał o sześć mil stąd, w lesie Franka Parsona. Trzeba było trzech mężczyzn, żeby wnieść go do domu.

– I Sara po prostu znajduje je na ziemi?

– Znajduje je wszędzie. Ma wyczucie. Mnie prawie nigdy się to nie udaje. Sara nie idzie na łatwiznę, nie bierze byle, czego. Muszą naprawdę mieć kształt serca.

– Może powinieneś uważniej patrzeć pod nogi. Są tu przecież setki tysięcy kamieni. Założę się, że uda mi się znaleźć przynajmniej kilka.

– Tak myślisz? Masz dwadzieścia pięć minut, zanim podam do stołu. O co chcesz się założyć?

– O pizzę z mnóstwem dodatków. Dwadzieścia pięć minut powinno mi wystarczyć.

– Jeżeli wygrasz, dostaniesz pizzę. Jeśli ja wygram, dostanę całusa.

– Żartujesz?

– Co, boisz się? Chyba nie chcesz się wycofać? – uśmiechnął się wyzywająco.

– Ani mi to w głowie.

Nie traciła czasu na przeszukiwanie podwórza i podjazdu, wychodząc z założenia, że obszar ten musiał zostać dokładnie

zbadany. Gruntowa droga dojazdowa pełna była kamieni. Roberta ruszyła powoli, wlepiając wzrok pod nogi. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak różnorodny kształt przybierają kamyczki, jakie są ciekawe – podłużne, okrągłe, kanciaste, cienkie, płaskie.

Od czasu do czasu pochylała się i podnosiła kamień, ale żaden się nie nadawał.

Po dziesięciu minutach była o ćwierć mili od domu i znalazła tylko jeden okaz, który jedynie w dużym przybliżeniu przypominał serce: był niekształtny, zbyt płaski z jednej strony.

Pochopny zakład, uznała w duchu. Pragnęła znaleźć serdeczny kamień. Nie chciała, żeby David pomyślał, iż nawaliła celowo.

Kiedy czas się skończył, wróciła do domu.

– Znalazłam jeden – oznajmiła, wyciągając rękę.

Spojrzał i uśmiechnął się.

– Ten kamień nie ma... jak nazywa się to na górze?

– Przedstonek.

– Właśnie. Brakuje mu prawego przedstoneka – podszedł do drzwi i wyrzucił kamień na dwór.

Roberta czuła wagę tego, co ma nastąpić. Jeżeli David wykorzysta zakład, żeby jej pokazać, jaki z niego macho, będzie się ślinić albo pchać z łapami, raz na zawsze przestanie się nim interesować.

Ale on pochylił się i ledwie musnął wargami jej usta. Pocałunek był delikatny i niewiarygodnie słodki.

No, no!

Podał jej prosty, lecz wykwintny posiłek: wielką, kruchą sałatę wzbogowaną warzywami z jego ogrodu (z wyjątkiem pomidorów,

które kupił w sklepie, bo ogrodowe nie były jeszcze dojrzałe). Sałata skropiona była specjalnością domu ostrym miodowym sosem – i ugarniowana szparagami, które razem zrywali przed obiadem, David miał własne nasiona z krzyżówek, które trzymał w tajemnicy. Upiekł też chrupkie bułeczki z małą kawałkami czosnku, które przy ugryzieniu pękały, eksplodując smakiem.

- Niezły z ciebie kucharz.
- Lubię się tym bawić.

Na deser były lody waniliowe domowej roboty, a do nich tort jeżynowy upieczony rano. Po jakimś czasie Roberta stwierdziła, że, z pełnymi ustami opowiada mu o wyznaniowej mieszance w jej rodzinie,!

– Cole’owie to protestanci, a Regensbergowie – kwakrzy! Oprócz tego w obu rodzinach są Żydzi. A także ateści. Natomiast moja kuzynka Marcella Regensberg jest zakonnicą w Virginii, klaryską. Dla każdego coś miłego.

Przy drugiej filiżance kawy dowiedziała się czegoś, co ją zamurowało. „Uczelnia”, o której mętnie napomykał, była Żydowskim Seminarium Teologicznym w Nowym Jorku.

- Czym jesteś, przepraszam?
- Rabinem. W każdym razie wyświęcono mnie wiele lat temu. Bardzo krótko pracowałem w zawodzie.
- Dlaczego zrezygnowałeś? Zabrakło dla ciebie wiernych?
- Po prostu... – David znów wzruszył ramionami za wiele było we mnie pytań i wątplenia, bym mógł przewodzić wiernym. Nie mogłem się zdecydować, czy Bóg istnieje. A uważałem, że ludzie zasługują na rabina, który przynajmniej tego jest pewny.
- A jak sądzisz teraz?

Twarz Abrahama Lincolna zwróciła się ku niej. W jaki sposób błękitne oczy mogły stać się tak smutne, wypełnić się takim bólem?

David powoli potrząsnął głową.

– Nic nie sędzę. Rozprawa się jeszcze nie skończyła.

Nie był wylewny. Dopiero po kilku tygodniach częstych spotkań dowiedziała się szczegółów. Po ukończeniu seminarium poszedł prosto do wojska, skończył trzymiesięczny kurs oficerski i wylądował w Wietnamie jako kapelan w stopniu podporucznika. Było to stosunkowo bezpieczne zajęcie na tyłach, w dużym szpitalu w Sajgonie. Całe dni spędzał przy okaleczonych i umierających, wieczorami pisał listy do ich rodzin, wchłaniał w siebie ich ból, strach i gniew na długo przedtem, nim sam został ranny,

Jechał wojskowym dżipem wraz z dwoma katolickimi księżmi, majorem Josephem Fallonem i porucznikiem Bernardem Towersem. Ugrzęźli na ulicy w czasie ataku bombowego. Bomba wybuchła tuż przed samochodem, żaden z nich nie wyszedł bez szwanku. Bernie Towers, siedzący z lewej, zginął na miejscu. Joe Fallon, w środku, stracił prawą nogę od kolana. David miał uszkodzoną kość, po trzech operacjach i długiej rekonwalescencji jego lewa noga była krótsza od prawej, choć utykał tak nieznacznie, że Roberta do tej pory nie zwróciła na to uwagi.

Po zwolnieniu do rezerwy wrócił do Nowego Jorku i wygłosił jedno gościnne kazanie. Ubiegał się o posadę w świątyni Bejt Szalom, zwanej Domem Pokoju, w Bay Path na Long Island. Mówił o utrzymaniu pokoju w skłóconym świecie. W połowie kazania jego wzrok padł na dużą tablicę, na której dekorator świątyni kazał wyryć pierwszy z trzynastu Artykułów Wiary Majmonidesa: Wierzę

niezachwianie, że Stwórca, błogosławione niech będzie Jego imię, jest ojcem i przewodnikiem całego stworzenia; i że za Jego jedynie sprawą wszystkie rzeczy są, były i będą.

Z zimnym dreszczem zgrozy uświadomił sobie, że nie może w pełni przyjąć tych słów za własne. Z trudem dobrnął do końca kazania.

Potem zatrudnił się jako praktykant u braci Lever rabin-agnostyk, nazbyt udręczony zwątpieniem, aby być kapłanem jakiegokolwiek Boga.

– Czy nadal wolno ci udzielać ślubów?

Miał ujmujący, nieco asymetryczny uśmiech.

– Przypuszczam, że tak. Skoro raz już zostałem rabinem...

– Wiesz, to dopiero byłby kapitalny szyld: „Śluby u Marksa”, a tuż obok: „Palce lizać!”

18 KOCIE SPOJRZENIE

Nie zakochała się w nim natychmiast. Najpierw było drobne nasionko podziw dla jego twarzy i mocnych, długich palców, reakcja na barwę jego głosu, czuły wyraz oczu. Lecz ku jej zaskoczeniu a nawet przerażeniu ziarno wykiełkowało i rozkwitło, uczucie wzrosło. Nie padli sobie od razu w ramiona, jak gdyby sama ich cierpliwość, ta dojrzała ostrożność, miała o czymś świadczyć. Pewnego wszakże deszczowego sobotniego popołudnia,

wyprawiwszy wprzód Sarę z przyjaciółmi do kina, pocałowali się leniwie, jak gdyby znali się od lat.

David poskarżył się, że nie umie opisać kobiecego ciała.

– Malarze i fotograficy korzystają z modelek – mówił, – co jest bardzo praktyczne.

– I nader rozsądne – zgodziła się.

– Będziesz mi pozować?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Musisz pisać z wyobraźni.

Byli właśnie w trakcie rozpinania guzików.

– Rozumiem – rzekł. – Jesteś dziewicą.

Nie przypomniiała mu, że jest rozwódką i ma czterdzieści dwa lata.

– A ponieważ i ja nie znam niewiasty, oboje jesteśmy jako te białe, nie zapisane stronice dodał.

I naraz tak właśnie było. Patrzyli na siebie długo. Roberta czuła, że brakuje jej tchu. David był powolny i bardzo delikatny, panował nad niecierpliwością i obchodził się z nią jak z kruchą drezdeńską lalką, lecz zarazem bez słów przekazywał jej wszystko. Wkrótce oboje ogarnęło szaleństwo.

Potem leżeli jak w letargu, wciąż złączeni. Kiedy w końcu Roberta odwróciła głowę, ujrzała tuż przed sobą zielone kocie oczy. Aguna siedziała słupka na krześle przy łóżku, przyglądając jej się wnikliwie. Roberta nagle zyskała pewność, że kotka wie doskonale, co tu przed chwilą zaszło.

– Davidzie, jeśli to jest jakaś próba, poddaję się. Zabierz ją stąd.

– To nie próba zaśmiał się.

Wyswobodził się z niej, wyniósł kota, zamknął drzwi i wrócił. Drugi raz był powolniejszy, mniej nerwowy i napełnił Robertę cichą rozkoszą. David był delikatnym i szczodrym kochankiem. Wyjaśniła mu, że jej orgazm bywa zwykle długi i pełny, ale gdy już wystąpi, na następny z reguły trzeba poczekać parę dni. Mówiła to z zażenowaniem, pewna, że jego poprzednia kobieta szczytowała raz za razem jak kosz fajerwerków, okazało się jednak, że Davidowi można powiedzieć wszystko.

Po jakimś czasie zostawił ją w łóżku i poszedł robić kolację. Korzystając z otwartych drzwi kotka wróciła na swoje krzesło, ale Roberta nie miała jej tego za złe. Słuchała, jak w kuchni David fałszywie, acz radośnie wyśpiewuje arie Pucciniego. Zapach ich ciał mieszał się z aromatem omletów, smażonej cebuli, papryki i małych cukinii, słodkich jak pocałunki, smacznych jak obietnice, niesione przez życie. Później leżeli przy sobie dzemiąc, Aguna zaś usadowiła się w nogach łóżka między ich stopami. Roberta stwierdziła w duchu, że chyba polubi dotyk miękkiego futra.

– Dzięki za udostępnienie wspaniałego materiału literackiego – zachichotał David.

– Bo wyrwę ci serce! – huknęła nań groźnie.

– Już to zrobiłaś rzekł dwornie.

Jeden na sześciu odwiedzających ją pacjentów nie był ubezpieczony. Niektórzy nie mieli też dwudziestu dolarów na wizytę. Od części przyjmowała zapłatę w naturze. Zgromadziła sześć wiązek drewnianych szczap, ustawionych w stertę za domem. Jedna z kobiet sprzątała jej raz w tygodniu w domu, inna w biurze.

Regularnie dostawała patroszone kurczęta i indyki, a także świeże warzywa, owoce i kwiaty.

Ten handel wymienny był bardzo zabawny, lecz niepokoiła się o swój kredyt.

Wypracowała metodę ambulatoryjnego leczenia nieubezpieczonych pacjentów, świadoma, iż musi zahamować rozwój zaniedbywanych przez długi czas dolegliwości. Nie ci jednak chorzy martwili ją najbardziej, lecz tacy, którzy nie przychodzili w ogóle, bo nie mieli pieniędzy, a byli zbyt dumni, by przyjąć jałmużnę. Ci szukali lekarza tylko w ostateczności, gdy na pomoc było już za późno: rak dał przerzuty, cukrzyca wywołała ślepotę. Od początku stykała się z takimi przypadkami. Nie miała wyjścia: leczyła ich, klnąc w duchu na system.

Wiedziała, że miejscowy tam-tam przekaże wiadomość: W razie potrzeby idź do tej nowej doktorki. Sprawy pieniężne można z nią jakoś załatwić.

W rezultacie niektórzy jednak do niej trafili. Rewanżowali się jak mogli, nawet, gdy nie chciała przyjąć nic w zamian. Mężczyzna z chorobą Parkinsona pokonał drżenie rąk, żeby upleść dla niej wiklinowy koszyk. Kobieta z rakiem jajników dała jej w prezencie patchworkową kołdrę. W górach mieszkało jednak o wiele więcej ludzi pozbawionych wszelkiej pomocy medycznej. Roberta wiedziała o tym i spędzało jej to sen z powiek.

Nadal bardzo często widywała się z Davidem. Ku jej zaskoczeniu i ubolewaniu, życzliwość, jaką z początku okazała jej Sara, wkrótce wyraźnie zgasła. Roberta czuła, że dziewczyna jest o nią zazdrosna.

– To skądinąd zrozumiałe, że czuje się zagrożona przez koi która nagle zajmuje wiele miejsca w życiu jej ojca – westchnęła rozmawiając na ten temat z Davidem.

Kiwnął głową.

– Przyzwyczaj się. Musimy tylko dać jej trochę czasu.

Podtekst tego stwierdzenia zawierał informację, że ich znajomość rozwija się w kierunku, do którego Roberta nie była jeszcze całkiem przekonana. David szczerze wyznawał, co do niej czuje. Ona była tak samo szczerą, wobec siebie i wobec Davida.

– Chcę, żeby na razie zostało tak, jak jest. Nie róbmy pochopnie ważkich planów na przyszłość. Dla mnie to za wcześnie, aby myśleć o trwałym związku. Mam pewne cele, które chcę osiągnąć. Muszę wyrobić sobie dobrą opinię w tym mieście i póki co, wstrzymać się od osobistych zobowiązań.

David wyraźnie uczeplił się słów „na razie”, czerpiąc z nich otuchę.

– Dobrze. Nam też potrzeba czasu – powiedział.

A Roberta nie była pewna, co ma o tym myśleć, dzieliła się z nim jednak swoimi nadziejami i zmartwieniami, te zaś dotyczyły głównie finansów.

– Nie znam się na ekonomii – rzekł – ale powinnaś mieć tu dość pacjentów, żeby nieźle zarobić.

– Nie muszę dobrze zarabiać. Wystarczy, że nie zbankrutuję. Nie mam na utrzymaniu nikogo poza sobą.

– Mimo to... dlaczego jesteś taką minimalistką?

Spojrzał na nią z miną, jaką często przybierał jej ojciec.

– Nie zależy mi na pieniądzu. Chcę, żeby to miasteczko miało opiekę lekarską na światowym poziomie.

– Widzę, że mam do czynienia ze swego rodzaju świętą – rzekł z powagą.

– Bredzisz. Żadna święta nie poszłaby z tobą do łóżka – ucięła rzeczowo i uśmiechnęła się.

19 DOM NA SKRAJU

Stopniowo ona, Peg i Toby dotarły się tak, że praca w gabinecie szła bez przeszkód. Powoli również Roberta przyzwyczała się do rytmu życia w miasteczku. Spozrzegła, że spotkani na ulicy ludzie lubią się jej kłaniać i mówić ceremonialnie: „Dzień dobry, pani doktor”, jakby chętni się tym, że znów mają lekarza. Zaczęła jeździć po domach, odnajdując przykutych do łóżka pacjentów, którym trudno było do niej dotrzeć. Kiedy miała czas, siadała z nimi w kuchni przy cieście i kawie. Rozmawiała o polityce i pogodzie, notowała przepisy kulinarne na bloczku recept.

Woodfield zajmowało obszar ponad czterdziestu dwóch mil kwadratowych, a czasami wzywano ją również do sąsiednich miejscowości. Powiadomiona przez chłopca, który przejechał na rowerze trzy i pół mili do najbliższego telefonu, dotarła do chaty na samym szczycie Houghton’s Mountain, żeby nastawić zwichniętą w kostce nogę Lewisa Magouna, hodowcy owiec.

Kiedy wróciła do gabinetu, zastała Toby zmartwioną i zdenerwowaną.

– Seth Rushton miał atak serca – usłyszała. – Najpierw dzwonił po ciebie, ale ponieważ nie mogłam cię nigdzie znaleźć, wezwałam karetkę.

Roberta pojechała na farmę Rushtonów, gdzie dowiedziała się, że karetka odjechała już do Greenfield. Rushton przeżył atak i zaczął wracać do zdrowia, ale była to nauka na przyszłość. Roberta kupiła w Greenfield przenośny telefon komórkowy. Trzymała go w samochodzie i odtąd zawsze już była uchwytana.

Od czasu do czasu, krążąc po miasteczku, mijala Sarę Markus. Zawsze naciskała wtedy klakson i machała ręką. Czasami Sara odpowiadała na pozdrowienie.

Ilekcio David zapraszał ją do siebie, a Sara była w domu, Roberta czuła na sobie uważny wzrok dziewczyny, analizującej każdy jej ruch, każde słowo.

Pewnego popołudnia, wracając do domu, minęła córkę Davida, galopującą na Chaimie w przeciwnym kierunku. Sara doskonale siedziała na koniu, bez trudu brała przeszkody, a jej ciemne włosy powiewały za nią malowniczo. Tym razem Roberta nie trąbiła w obawie, że spłoszy konia.

Kilka dni później, siedząc w salonie, Roberta zerknęła w okno i pomiędzy gałęziami jabłoni dostrzegła, że dziewczyna jedzie stępą wzdłuż Laurel Hill Road i przez cały czas patrzy na jej dom.

Sara interesowała ją po części z powodu ojca, częściowo także przez wzgląd na nią samą. Była wszakże jeszcze inna przyczyna. W podświadomości Roberty tkwił nieukształtowany obraz, nieśmiała wizja ich trojga jej, Davida i Sary w roli córki.

Kilka minut później młoda amazonka zawróciła i ponownie zlustrowała posiadłość Roberty. Dotarwszy do granicy, uderzyła

konia piętami i Chaim przeszedł w kłus.

Po raz pierwszy od dawna Roberta pozwoliła sobie na myśl o dziecku, które poroniła. Miałoby dziś trzynaście lat, trzy lata mniej niż Sara.

Czekała przy oknie, mając nadzieję, że zobaczy ją jeszcze raz.

Pewnego dnia, kiedy o zmierzchu wróciła do domu, znalazła kamień w kształcie serca, tak duży jak jej dłoń, pozostawiony na ganku obok drzwi wejściowych,

Był to piękny okaz: z wierzchu szary, przerośnięty warstwą jaśniejszej skały połyskującej miką.

Łatwo było zgadnąć, kto go tam położył. Ale czy był to znaki aprobaty? Symbol zawieszenia broni? Taki ładny kamień nie mógł oznaczać wypowiedzenia wojny, tego Roberta była pewna.

Umieściła go na honorowym miejscu: na gzymsie kominka w salonie, obok mosiężnych lichtarzy po matce.

Frank Sotheby stał na werandzie swojego sklepu i chrząkał nerwowo.

– Może powinna tam zejść pielęgniarka, jak pani myśli, doktor Cole? – Mieszkają same, tylko z hordą kotów, nad sklepem żelaznym. A śmierdzi tam... Uch!

– Tu obok? Jak to się stało, że nigdy ich nie spotkałam?

– Ano, one prawie w ogóle nie wychodzą. Panna Eva Goodhue jest już stara jak świat, a ta druga, Helen Phillips, jej bratanica, ma mniej lat, ale za to nierówno pod kopułą. Właściwie opiekują się sobą nawzajem – Frank zawahał się. Panna Goodhue dzwoni do mnie zawsze w piątki i zanoszę im prowiant na cały tydzień. Tylko

że... tego... w zeszłym tygodniu bank zwrócił mi jej czek. Przekroczyły stan konta.

Na wąskich stromych schodach nie było żarówki. U ich szczytu Roberta zapukała do drzwi, a po dłuższej chwili jeszcze raz, mocniej. Potem jeszcze raz.

Nie słyszała kroków, ale wyczuła nieznaczne poruszenie za drzwiami.

– Dzień dobry! – zawołała.

– Kto tam?

– Roberta Cole. Jestem lekarzem.

– Od doktora Thomdike’a?

O Boże! – jęknęła w duchu.

Doktor Thomdike... już od jakiegoś czasu... no, nie ma go. Teraz ja jestem doktorem. Proszę pani... Czy mówię z panną Goodhue, czy panią Phillips?

– Eva Goodhue. Czego pani chce?

– Chciałabym panią poznać, przywitać się. Czy będzie pani tak miła i wpuści mnie do środka?

Za drzwiami panowała zupełna cisza. Chwila przedłużała się. Cisza gęstniała.

– Panno Goodhue?

Odpowiedzi nie było.

W końcu Roberta westchnęła i zawołała:

– Mój gabinet jest tuż obok, na Main Street, w domu Sally Howland. Jeżeli kiedykolwiek będę paniom potrzebna, proszę za dzwonić albo posłać kogoś, dobrze? – Wyjęła wizytówkę i wsunęła ją pod drzwi. – Zgoda, panno Goodhue?

Nie doczekawszy się reakcji, zeszła na dół.

Kiedy wraz z Tomem z rzadka wyjeżdżali na wieś czasem udawało im się zaobserwować dzikiego królika albo wiewiórki, gnieźdzące się pod okapem drewnutni. Teraz, gdy przebywała tu na co dzień, składały jej wizyty rozmaite zwierzęta, których przedtem tu nie spotykała. Nauczyła się trzymać pod ręką lornetkę.

Kiedyś bladym świtem przez okno kuchenne zobaczyła, jak po łące włóczy się bezczelnie ryś. Z okien domowego gabinetu, wychodzących na pastwisko, ujrzała cztery wydry, które wyszły zapolować na podmokłym gruncie. Biegły wijącym się rzędem tak blisko jedna za drugą, że wyglądały jak wąż, potwór z Loch Ness na jej ziemi. Widywała żółwie i węże, tłustego starego świstaka, codziennie wyjadającego koniczynę na łące, a także jeżozwierza, który wymykał się z lasu, zwabiony bladymi ulęgałkami jabłek pod drzewami. Las pełen był ptaków, również drapieżnych. Bez większego zachodu udało jej się zaobserwować wielką siwą czapłę i kilka gatunków jastrzębi. Z ganku widziała, jak pikuje w dół puchacz, cichy niczym tchnienie i szybki jak zagłada, i porywa z łąki uciekającą mysz polną, a potem ulatuje wzwyż i w dal.

Opisała swoje obserwacje znajomej radnej. Janet Cantwell wykładała biologię na uniwersytecie w Amherst.

– To, dlatego, że pani dom znajduje się na granicy kilku różnych biocenoz. Mokre pastwisko, sucha łąka, gęsty las, a w nim stawy i spora, rwąca rzeka, płynąca przez sam środek. Idealny teren łowiecki dla zwierząt.

Jeżdżąc po okolicy zwróciła uwagę, że wiele posiadłości ma swoje nazwy. Niektóre identyfikowały właściciela, jak „Dziesięć akrów Schroedera”, „Sady Ransome’a” lub „Duma Petersona”. Inne

nazwy były albo dziwaczne jak „Dunrovin” czy „Nasza chata”, albo opisowe, jak „Dziesięć Dębów”, „Wydmuchowisko” i „Orzechowe Wzgórze”. Niektóre brzmiały stanowczo zbyt górnolotnie. Roberta chętnie nazwałaby swój dom „Nadrzeczną Farmą”, ale po pierwsze taką właśnie nazwę nosiło ongiś gospodarstwo oddalone o milę w górę rzeki; po drugie, w obecnej sytuacji określenie „farma” wydawało się pretensjonalne.

David, człowiek wszechstronnie uzdolniony, posiadał całe mnóstwo potrzebnych narzędzi. Zaoferował jej pomoc w wykonaniu szyldu.

Roberta wspomniała o tym w rozmowie z Hankiem Krantzem, ten zaś pewnego ranka z grzmiącym rykiem zajechał przed jej dom ogromnym traktorem marki John Deere, ciągnąc za sobą przyczepę do rozrzucania nawozu.

– Niech pani wsiada – zakomenderował. – Wybierzemy słup pod pani szyl.

Z niedowierzaniem wdrapała się do wielkiej metalowej balii, na szczęście pustej, lecz cuchnącej gnojem, i trzymała się kurczowo, kiedy Hank bezlitośnie kolebał nią w drodze nad rzekę. Teraz czuła się jak prawdziwa wiejska baba.

Hank wybrał zdrowe wysokie drzewo świętojańskie w zagajniku nad rzeką i powalił je piłą łańcuchową, po czym oczyścił z gałęzi i wrzucił na pakę, gdzie dotrzymywało Robercie towarzystwa.

David pochwalił trafny wybór i wyciął z pnia solidny czworoboczny słup.

Drzewo świętojańskie jest niemal absolutnie odporne na gnicie – powiedział, wkopując słup na trzy stopy w ziemię. Wyżej biegło

poprzeczne ramię, pod którym na dwóch metalowych hakach miał zawisnąć znak.

– Chcesz coś napisać poza swoim nazwiskiem? Jakąś nazwę?

Nie – powiedziała, po czym zmieniła zdanie i uśmiechnęła się. –
A właściwie tak.

Gotowy szyld wyglądał bardzo sztywnie: od tła, pomalowanego tą samą beżową farbą co dom, odcinały się czarne litery:

DOM NA SKRAJU
dr med. R. J. Cole

Napis ten intrygował ludzi. Na skraju, czego? – pytali.

W zależności od nastroju Roberta odpowiadała, że na skraju bankructwa, załamania, ruiny, rozwiązania kosmicznej tajemnicy życia. Wkrótce niektórzy znudzili się jej dziwactwem, inni zaś przyzwyczaili i zaprzestali pytań.

20 FOTOGRAFIE

– Kto następny? – spytała Roberta pewnego popołudnia.

– Ja odparła nerwowo Toby.

– Ty? No tak, oczywiście... Chodzi o rutynowe badanie czy coś ci dolega?

– Mam problem.

Toby, usiadłszy przy biurku, jasno i zwięźle wyłożyła fakty. Ona i jej mąż, Jan, byli małżeństwem dwa i pół roku. Od dwóch lat zaś starali się o dziecko.

– W ogóle nie mamy szczęścia. Kochamy się bez przerwy, rozpaczliwie i, prawdę mówiąc, o wiele za często. To całkiem zrujnowało nasze życie intymne.

Roberta pokiwała współczująco głową.

– Na razie weźcie trochę na wstrzymanie. Nie zawsze rzecz w tym, co się robi, a jak. I kiedy. Czy Jan wie, że o tym ze mną rozmawiasz? Może zechciałby też do mnie przyjść?

– O tak.

– W porządku; zrobimy analizę nasienia i wstępne badania. Kiedy zbierzemy więcej informacji, postaram się ułożyć dla was sensowny „rozkład jazdy”

Toby spojrzała na nią poważnie.

– Wolalabym inne określenie, pani doktor.

– Naturalnie. Może harmonogram? Ułożymy harmonogram.

– Harmonogram brzmi o wiele lepiej – uśmiechnęła się Toby.

Roberta i David osiągnęli etap, na którym zadawali sobie mnóstwo pytań, chcąc się jak najlepiej poznać. Davida interesował stosunek Roberty do jej pracy, fascynowało dwustronne wykształcenie.

– Majmonides też był prawnikiem i lekarzem. A ponadto rabinem?

– Tak. Dla chleba zaś handlował drogimi kamieniami.

– Może i ja powinnam się tym zająć – uśmiechnęła się Roberta.

Z Davidem mogła rozmawiać o wszystkim. Zdawało jej się to szczytem luksusu. Na temat aborcji miał zbliżone poglądy, jak na

temat Boga: był niezdecydowany.

– Owszem, kobieta powinna mieć prawo ratować własne życie, chronić zdrowie lub swoją przyszłość, ale z drugiej strony... dziecko to bardzo ważna sprawa.

– Och, oczywiście. Ja też tak uważam. Przecież mój zawód polega na ratowaniu i przedłużaniu życia.

Opowiedziała mu, jakie to uczucie, kiedy naprawdę jest w stanie komuś pomóc, uśmierzyć ból, ocalić od śmierci.

– To jak kosmiczny orgazm. Jak najwspanialszy uścisk świata.

Słuchał, gdy wspominała leż bolesne błędy, chwile, gdy uświadamiała sobie, że pacjent odniósł krzywdę wskutek jej usiłowań.

– Wyprawiłaś już kogoś na tamten świat?

– Czy nieumyślnie spowodowałam śmierć? – Tak.

Podobało jej się, że nie mówił rzeczy oczywistych. Spojrzał jej tylko w oczy, kiwnął głową i ujął ją za rękę.

Miewał zmienne nastroje. Nieruchomości rzadko psuły mu humor, ale od razu była w stanie stwierdzić, jak idzie mu pisanie. Kiedy szło źle, szukał ucieczki w pracy fizycznej. Czasem w weekendy zatrudniał ją w ogrodzie. Wyrывała chwasty i zagłębiała dłonie w ziemię, napawając się szorstkim dotknięciem gleby. Mimo że pacjenci dostarczali jej świeżych warzyw, chciała mieć własny ogród. David namówił ją na podwyższone grządki, wiedział też, gdzie można kupić używane belki na obramowania.

Usunęli dwa prostokątne płaty darni z nachylonej w stronę południa łąki kwadrat po kwadracie, jak Inuitowie budujący igloo. Darń wrzucili do kompostnika. Na ziemi ułożyli płaskie kamienie,

posługując się poziomą, by grządki były równe. Obramowania David zbudował z dwóch warstw dębowych belek. Belki były twarde jak serce grzesznika i ciężkie jak wyrok Pana”, wkrótce jednak zbił naroża i wzmocnił je metalowymi prętami.

David odłożył młotek i czule wziął ją za rękę.

– Wiesz, co najbardziej działa mi na wyobraźnię?

– Co? – spytała z bijącym sercem.

– Gnój. Koński i krowi.

Nawóz mogli zebrać w oborze Krantzów. Wymieszali go z torfem i ziemią i wypełnili ramy grządek, a następnie zwalili na wierzch grubą warstwę luźnej słomy.

– Trochę to osiądzie. Na wiosnę wystarczy, że usuniesz słomę i wetkniesz nasiona, a potem, kiedy sadzonki podrosną, dodasz jeszcze trochę kompostu – powiedział.

Roberta jak dziecko nie mogła się doczekać wiosny.

W końcu lipca w jej finansach zarysowały się już pewne wyraźne trendy. Stało się na przykład kłopotliwie jasne, że niektórzy pacjenci korzystają z jej usług, nie zadając sobie zbytniego trudu, by zapłacić. Zwrot kosztów leczenia ubezpieczonych pacjentów, acz powolny, był jednak gwarantowany. Spośród pozostałych część była niewypłacalna; ich zadłużenie Roberta skreślała bez wahania czy żalu pro bono. Kilku wszakże pacjentów ociągało się z zapłatą, mimo iż mieli na to fundusze. Gregory’ego Hintona, właściciela dobrze prosperującej mlecznej farmy, wyleczyła z serii ropnych czyraków na plecach. Był w jej gabinecie trzy razy. Za każdym razem informował Toby, że „przyśle czek”, ale jak dotąd żaden czek nie nadszedł.

Mijając jego farmę, Roberta spostrzegła, że Hinton właśnie wchodzi do obory, skręciła więc na podjazd. Powitał ją grzecznie, choć z pewnym zaciekawieniem.

– Zdrowy jestem jak rydz, trzeba pani wiedzieć. Czyraki zniknęły co do jednego.

– To świetnie, panie Hinton. Miło mi to słyszeć. W związku z tym chciałam spytać... no, czy mógłby pan uregulować należność za tamte trzy wizyty?

– Co takiego? – rozjuszyl się Hinton. Dobry Boże! Widziane to rzeczy, napastować pacjentów! Co z pani za lekarz, kobieto!

– Taki, który niedawno otworzył praktykę.

– Powinna pani wiedzieć, że doktor Thorndike zawsze dawał pacjentom mnóstwo czasu.

– Doktor Thorndike nie żyje już od bardzo dawna, a ja nie mogę sobie pozwolić na ten luksus. Będę wdzięczna, jeśli spłaci pan swój dług – ucięła i pożegnała go tak grzecznie, jak tylko była w stanie.

Kiedy wieczorem opowiedziała o tym Davidowi, ten z wolna pokiwał głową.

– Hinton to uparty stary gbur. Wszystkim każe czekać na pieniądze, tak, żeby wydoić do końca procent z każdego dolara, jakiego ma w banku. Musisz zrozumieć – a przede wszystkim muszą pojąć to twoi pacjenci, że leczenie to twój zawód, a nie działalność charytatywna.

Należy wypracować system ściągania opłat, stwierdził. Powinien zająć się tym, kto inny, żeby Roberta mogła zachować image „świętej”. Windykacja należności wygląda zawsze mniej więcej tak samo, niezależnie od branży, powiedział. Ułożyli więc program,

który Roberta objaśniła nazajutrz Toby, wydelegowanej do pełnienia tych czynności.

Toby dobrze znała miejscową społeczność i miała podejmować trudną decyzję, czy pacjent rzeczywiście jest w stanie zapłacić. Każdy, kto nie mógł, lecz chciał to odpracować, winien mieć tę możliwość. Pacjent, który nie mógł dać nic w zamian, nie dostawał wezwania do zapłaty.

Tych, których Toby uznała za wypłacalnych, uszeregowano w specjalne kategorie rachunków przeterminowanych: do miesiąca, Od dwóch do trzech miesięcy i ponad trzy miesiące. Czterdzieści pięć dni po wystawieniu rachunku wysyłano pierwszy monit, prosząc pacjenta o kontakt z lekarzem w sprawie zaległej należności. Po dwóch miesiącach Toby dzwoniła do pacjenta, przypominając mu o zadłużeniu i zapisywała, jaką dał odpowiedź. Po trzech zaś wysyłano drugi monit i wezwanie do zapłaty w określonym terminie, utrzymane już w bardziej stanowczym tonie.

David sugerował, że po czterech miesiącach powinna korzystać z usług firmy windykacyjnej. Roberta krzywiła się z dezaprobatą, nie pasowało to do wizji stosunków, jakie chciała nawiązać z mieszkańcami Woodfield. Uświadomiła sobie jednak, że nie może wyłącznie być uzdrowicielką; musi także pilnować swoich interesów. Mimo to zgodziły się z Toby, że na razie wstrzymają się od drastyczniej szych kroków.

Pewnego dnia Toby przyniosła do pracy kawałek pożółkłego papieru, który z uśmiechem wręczyła Robercie. Dla ochrony umieszczono go w przezroczystym plastikowym etui.

– Mary Stem znalazła to w archiwum Towarzystwa Historycznego – powiedziała Toby. – Ponieważ adresatem był

przodek mojego męża, brat jego praprababki, przyniosła to, żeby nam pokazać.

Był to datowany dnia 16 maja 1889 roku rachunek wystawiony przez doktora Petera Eliasa Hathawaya na nazwisko Alonza S. Sheffielda, za „poradę względem influenzy 50 centów”

– Od tego czasu praktykowało w Woodfield kilka tuzinów lekarzy, – powiedziała Toby ale niech pani zajrzy na drugą stronę. Na odwrocie wydrukowany był wierszyk:

*W potrzebie i biedzie,
gdy strach w oczy zajrzy,
Bóg nam wtedy miły,
doktor także drogi;
Kiedy groźba minie,
obu lekceważym:
Doktor bez zapłaty;
mamy inne bogi.*

Toby zwróciła rachunek do archiwum, ale najpierw zapisała wierszyk w pliku z „Kwotami do odzyskania”

David wiele mówił o Sarze, często zachęcany przez Robertę. Pewnego wieczoru wyjął zdjęcia cztery grube albumy z fotografiami, zapis życia jednego dziecka. Tu Sara jako niemowlę w ramionach pulchnej, uśmiechniętej babci, nieżyjącej już Trudi Kaufman. Tu mała dziewczynka w wysokim krzeselku, z powagą przyglądająca się młodemu ojcu przy goleniu. Wiele zdjęć pociągało za sobą opowieść.

– Widzisz ten granatowy skafanderek? Pierwszy, jaki jej kupiliśmy. Miała wtedy rok i oboje z Natalie pękaliśmy z dumy, że udało nam się oduczyć ją siusiania w pieluszki. W którąś sobotę zabraliśmy ją do AS Abrahama i Straussa, całkiem niezłego domu towarowego w centrum Brooklynu. Był styczeń, tuż po Nowym Roku, i trzymał straszny ziąb. Wiesz, co to znaczy ubrać małe dziecko na mróz? Ile warstw trzeba na nie włożyć?

Roberta kiwnęła głową z uśmiechem.

– Mała okutana była tak, że wyglądała jak piłka albo bułka kajzerka. Stoimy z nią w windzie domu towarowego. Wcześniej niosłem ją na rękach, ale w windzie postawiłem ją na podłodze i oboje z Natalie trzymaliśmy ją za rączki. Windziarz recytuje, jakie działały mieszczą się na każdym pięttrze, ale ma przy tym dziwną minę. Patrzę za jego wzrokiem i widzę dwa białe dziecinne buciki w wielkiej kałuży. Nogawki też są mokre i o ton ciemniejsze niż reszta skafandra. – David uśmiechnął się.– Mieliśmy dla niej ubranko na zmianę w samochodzie, więc w te pędy pobiegłem na parking. Musieliśmy z niej zdjąć wszystkie mokre warstwy, a potem po kolei założyć suche. Skafander był jednak przemoczony na wylot, toteż zmuszeni byliśmy pójść do działu dziecięcego i kupić jej drugi.

Sara po raz pierwszy w szkole. Sara jako chudziutka ośmiolatka ryje w piasku podczas wakacji w Old Lyme Beach w Connecticut. Sara z aparatem na zębach, uśmiechnięta przesadnie, żeby go pokazać.

Czasem obok Sary ukazywał się David, ale chyba przeważnie to on robił zdjęcia, bo na większości była Natalie. Roberta przyglądała jej się ukradkiem. Widziała ładną, pewną siebie kobietę o długich

czarnych włosach, szokująco znajomą, gdyż Sara była do niej tak bardzo podobna.

Ogarnęło ją nienormalne, wręcz chore uczucie zazdrości o zmarłą. Roberta zazdrościła jej wszystkiego. Tego, że żyła, gdy robiono te zdjęcia, tego, że poczęła i urodziła córkę, wychowywała ją i uczyła, dała jej swoją miłość. Stwierdziła z niepokojem, że część jej zainteresowania Davidem Markusem wypływa stąd, iż sama bardzo pragnie mieć córkę i czyni zakusy wobec dziewczynki, którą on i Natalie Kaufman Markus wydali na świat.

Od czasu do czasu, kręcąc się po mieście, przypominała sobie o kolekcji Sary i wypatrywała serdecznych kamieni, ciągle bez skutku. Zwykle jednak zanadto się spieszyła, by spędzać miłe chwile przyglądając się leżącym na ziemi kamieniom. Zdarzyło się to przypadkiem, w chwili zapomnienia. Pewnego gorącego letniego dnia wyrwała się do lasu. Nad rzeką zdjęła buty i skarpetki. Podwinęła nogawki spodni nad kolana i radośnie brodziła w zimnej wodzie Catamount. Dotarwszy do rozlewiska, spostrzegła, że jest ono pełne małych rybek. Nie potrafiła stwierdzić, czy były to pstrągi tęczowe czy potokowe. Wtedy, tuż poniżej unoszącej się w przejrzystej wodzie ławicy, zobaczyła mały białawy kamień. Choć po wcześniejszych niepowodzeniach nie żywiła większych nadziei, weszła głębiej, płosząc ryby, które rozpiezchły się we wszystkie strony, i sięgnęła w dół, aż jej palce dotknęły kamienia.

Kamienia w kształcie serca.

Był to gładki matowy kwarcyt o średnicy około dwóch cali, ukształtowany tak przez niezliczone ziarna ostrego piasku, niesione przez rzeczny nurt.

Z triumfem zaniosiła go do domu. W szufladzie komody miała małe etui od jubilera; wyjęła z niego kolczyki z perłami i umieściła kryształ na aksamitnej wyściółce. Potem wzięła pudełko i pojechała na drugi koniec miasta.

Na szczęście dom Markusów wyglądał na opustoszały. Pozostawiając silnik fordka na chodzie, wysiadła i położyła pudełko na środku górnego stopnia, tuż przed drzwiami. Potem wskoczyła do samochodu i ewakuowała się pospiesznie z taką ulgą, jakby przed chwilą obrabowała bank.

21 PEWNIEJSZE KROKI

Roberta nie pytała Sary o kamień, który dla niej zostawiła, a Sara też nie napomknęła ani słowem, że znalazła kryształ w etui.

Ale w następną środę, kiedy Roberta wróciła z pracy, zauważyła pod drzwiami małe kartonowe pudełko. Zawierało ono ciemnozielony, lśniący kamień z zygzakowatą szczerbą, biegnącą od zagłębienia w górze do połowy szpiczastej dolnej części serca.

Nazajutrz Roberta miała wolny dzień. Pojechała do zwirowni, eksploatowanej przez Miejski Zarząd Dróg. Miliony lat temu wielki lodowy jezior przesunął się przez tę krainę porywając i unosząc ziemię, kamienie i skały. Wielkie zamrożone bryły odrywały się i tajały, by stać się rzeką, wymywającą materiał aluwialny w morenę, która teraz dostarczała surowca do utwardzania dróg w Woodfield.

Roberta przez cały ranek włóczyła się wśród pryzm żwiru, kopiąc w nich rękami. Były tam kamyki w niezliczonych barwach i deseniach – brązowe, beżowe, białe, niebieskie, zielone, czarne i szare. Miały różny kształt. Roberta przejrzała i odrzuciła tysiące, jeden po drugim, lecz nie znalazła tego, czego szukała. Około południa, spieczona słońcem i brudna, pojechała do domu. Mijając fermę Krantzów, zobaczyła, że Freda macha do niej z ogrodu.

– Wyrrywamy buraki – zawołała, kiedy Roberta opuściła szybę. – Weźmie pani trochę?

– Bardzo chętnie. Wysiądę i pomogę rwać.

W dużym ogrodzie po południowej stronie czerwonej obory Krantzów wyrrywając ósmy wielki, okrągły burak zauważyła w zrytej ziemi kawałek czarnego bazaltu wielkości paznokcia małego palca. Miał idealny kształt. Puknęła w niego palcem i roześmiała się.

– Mogę sobie to zabrać?

– Co to, szlachetny kamień? – spytała zdumiona Freda.

– Nie, zwykły otoczak – odparła Roberta i triumfalnie uniosła do domu buraki i serdeczny kamień.

W domu umyła go i owinęła papierową serwetką, a potem włożyła do plastikowego pudełka po kasecie video. Znalazła kwadratowy kartonik o boku długości czternastu cali, uprażyła kukurydzę, z której część zjadła na lunch, włożyła pudełko po kasecie do kartonika, a pozostałą przestrzeń wypełniła popcornem. Następnie wzięła duży karton, dwie na trzy stopy, włożyła mniejszy do środka, otoczyła go kulkami ze zmiętej gazety i wreszcie okleiła porządnie taśmą.

Nastawiła budzik i rano wstała wczesnie, mając nadzieję, że David i Sara będą jeszcze spali. Słońce dopiero wzeszło; jego promienie' błyszcząły na mokrej od rosy trawie. Roberta zostawiła samochód przy drodze, na palcach zakradła się pod drzwi i złożyła pudło na schodkach, gdy wtem Chaim zarżał na pastwisku.

– Ha! A więc to jednak ty! – rozległ się głos z otwartego okna.

Po chwili dziewczynka zbiegła na dół.

– Rany, tu musi być gigant; – wykrzyknęła, a Roberta zaśmiała się na widok jej miny, gdy okazało się, że pudło prawie nic nie waży.

– Wejdz, zrobię ci kawę – powiedziała Sara.

Usadowiły się przy kuchennym stole.

– Bardzo mi się podobają te dwa kamienie, które mi dałaś. Zatrzymam je na zawsze – powiedziała Roberta.

– A ten kryształ od ciebie to mój ulubieniec... przynajmniej na razie dodała uśmiechem Sara. – Podobno kryształ ma moc uzdrawiania chorób. Myślisz, że to możliwe?

Roberta była ostrożna w sądach.

– Wątpię, ale ostatecznie nigdy nie miałam do czynienia z kryształami, więc trudno mi wyrokować.

– Ja myślę, że serdeczne kamienie w ogóle są czarodziejskie. Wiem, że przynoszą szczęście i zawsze mam któryś przy sobie. Wierzysz w szczęśliwy traf?

– O tak, w to zdecydowanie wierzę.

W trakcie parzenia kawy Sara położyła paczkę na stole i przecięła taśmę. Przedzierała się przez kolejne warstwy i przeszkody, śmiejąc się do rozpuku. Kiedy zobaczyła maleńki czarny kamiń, aż jęknęła z wrażenia.

– Ten jest najlepszy ze wszystkich powiedziała.

Stół i podłogę zaścielał popcorn i papierowe zwitki; Roberta miała uczucie, jakby rozpakowywały prezenty w poranek Bożego Narodzenia. Tak zastał je David, kiedy zszedł na dół w piżamie, rozglądając się za kawą.

Roberta zaczęła poświęcać więcej czasu domowi, ciesząc się nowym doświadczeniem, jakim było dla niej wicie własnego gniazda bez konieczności liczenia się z upodobaniami drugiej osoby. Już wcześniej odebrała z magazynu książki, które ongiś tworzyły bibliotekę domu przy Brattle Street. Teraz w zamian za opiekę lekarską nad czwórką dzieci skorzystała z umiejętności ciesielskich George'a Garrowaya, ich ojca. Zakupiła wysezonowane drewno w małym tartaku położonym wysoko w górach. W Bostonie elektrycznie suszone deski z czarnej wiśni miałyby zaporowo wysoką cenę. Elliot Purdy pracował sam, ściągał pnie drzew na swoją ziemię, własnoręcznie ciął i starannie układał sągi, i suszył drewno na wolnym powietrzu, tak, więc cena była do przyjęcia. Roberta i David zwieźli deski furgonetką, Garroway zaś obudował ściany salonu półkami na książki. Roberta poświęciła wiele wieczorów na wygładzenie ich papierem ściernym i natarcie olejem. Często pomagał jej w tym David, a czasami również Toby i Jan, których wynagradzała ucztą złożoną ze spaghetti i włoskiej opery z odtwarzacza kompaktowego. Kiedy skończyli, pokój nabrał ciepłego klimatu, jaki może dać tylko lśniące drewno i grzbiety wielu książek.

Wraz z książkami z magazynu w Bostonie przywieziono jej fortepian, który ustawiła pod oknem salonu, na perskim dywanie

ojca. Antyczny Heriz sto dwadzieścia pięć lat temu jaśniał jaskrawymi barwami, ale w ciągu długich lat błękity i zielenie przygasły, czerwień przybrała rdzawy odcień, a biel barwę kości słoniowej.

Kilka dni później na jej podjazd skręciła ciężarówka Federal Express, a kierowca dostarczył jej wielką paczkę opieczętowaną holenderskimi stemplami przewozowymi. Był to spadek po Betts Sullivan pięknie wykonana srebrna taca, dzbanek do kawy, imbryk do herbaty, cukiernica i dzbanuszek na śmietankę.

Roberta spędziła cały wieczór polerując ciężkie sztuki srebra, po czym ustawiła je na komodzie, tak by mogła je widzieć grając na pianinie. Odkryła wtedy w sobie głębokie zadowolenie. Było to uczucie dotąd jej nieznane, ale doszła do wniosku, że chętnie się do niego przyzwyczai.

David wpadł w euforię na widok serwisu. Z zainteresowaniem wysłuchał opowieści o Betts i był poruszony, kiedy Roberta prowadziła go na małą nadrzeczną polanę, gdzie pochowała prochy.

– Często tu przychodzisz, żeby z nią porozmawiać?

– Przychodzę tu, bo lubię to miejsce. Ale... nie, nie rozmawiam z Betts.

– Nie chcesz jej powiedzieć, że otrzymałaś jej prezent?

– Jej tu nie ma, Davidzie.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Pogrzebałam pod tą skałą kawałki spalonych kości. Elizabeth chciała, żeby jej szczątki użyźniły ziemię w jakimś ładnym odludnym miejscu. Woodfield i Catamount River za życia nie znaczyły dla niej nic. Nie znała ich. Jeśli dusze mogą powracać po śmierci a nie wierzę, by tak było, bo dla mnie śmierć jest czymś

nieodwracalnym myślę, że Betts Sullivan powróciłaby w miejsce, które było ważne dla niej.

Widziała, że David jest wstrząśnięty. I rozczarowany. Pod pewnym względem sprawiła mu zawód.

Tak bardzo się od siebie różnili. Być może to prawda, że przeciwieństwa się przyciągają pomyślała.

Choć ich związek był pełen pytań i niepewności, przeżywali ze sobą cudowne chwile na przykład wtedy, gdy razem zwiedzali posiadłość Roberty i znajdowali tam prawdziwe skarby. W lesie znajdował się ciąg stawów przypominających paciorki gigantycznego naszyjnika. Zaczynał się niewielką tamą przegradzającą stróżkę zbyt małą, by mogła zasłużyć na miano potoku. Utworzony w ten sposób zbiornik wodny był nieznacznie większy od kałuży. Pracując z nieomylnym instynktem inżynierskim, bobry zbudowały cały szereg tam, z których każda była nieco potężniejsza od poprzedniej, a końcowy staw zajmował powierzchnię ponad akra. Gnieździły się wokół niego ptaki brodzące, a zwierzęta przychodziły polować na pstrągi. Była to oaza ciszy i spokoju.

– Szkoda, że za każdym razem płoszę je, przedzierając się przez poszycie.

– Trzeba wyciąć ścieżkę – zgodził się David.

W sobotę przyniósł farbę w sprayu do oznaczenia szlaku. Przeszli go kilkakrotnie, aby się upewnić, co do przebiegu trasy, nim zaczęły karczować drzewa. Potem David wyjął piłę łańcuchową i wziął się do roboty.

Ścieżka była wąska; celowo unikali rozkruszania powalonych pni i niszczenia większych drzew, ograniczając się do usuwania dolnych gałęzi, które hamowały marsz. Roberta odciągała na bok gałęzie i mniejsze drzewka wycięte przez Davida. Grubsze kawałki odkładała na podpałkę, cienkie zaś zrzucała na sterty, by zapewnić schronienie drobniejszej zwierzynie.

David pokazywał jej ślady na mchu, resztki aksamitnej osłonki z jelenich rogów na korze drzewa, suchy pień rozdarty przez czarnego niedźwiedzia szukającego w nim larw i owadów, a także niedźwiedzie odchody, czasem rozwolnione po jagodach, a czasem dokładnie takie same jak ludzkie, jeśli pominąć ich niedorzeczną wielkość.

- Czy w okolicy jest dużo niedźwiedzi?
- Sporo. Prędzej czy później uda ci się któregoś spotkać, ale wątpię, czy zobaczysz je z bliska. Słyszają nas, wyczuwają nasz zapach i zwykle nie wchodzą w drogę ludziom.

Niektóre szczególnie piękne miejsca Roberta notowała w pamięci, aby w przyszłości postawić tam ławki. Na razie kupiła dwa plastikowe krzesła w supermarkecie w Greenfield i schowała je w kępie krzewów na brzegu dużego stawu. Nauczyła się siedzieć długo bez ruchu, a w nagrodę mogła obserwować bobry, przekomiczną parę dzikich kaczek, siwą czaplę brodzącą po płyciźnie, jelenia, który przychodził tu do wodopoju i dwa żółwie wielkości srebrnej tacy Betts. Korki drogowe traciły tu pozór rzeczywistości, stawały się częścią innego, dalekiego świata.

Krok po kroku, ilekroć znajdowali czas, prowadzili wąską ścieżkę przez szepczące lasy, do bobrowych stawów i dalej, w kierunku rzeki.

22 NOCNE ŚPIEWY

Mimo wszelkich złych przeczuć, zakochała się.

Była przerażona, że kobieta w jej wieku i z jej doświadczeniem może się do tego stopnia rozkleić, stać się bezbronna jak nastolatka. Praca sprawiała, że większość czasu spędzała z dala od Davida, ale zdarzało jej się myśleć o nim w przypadkowych i mało po temu odpowiednich chwilach o jego ustach, głosie, oczach, kształcie głowy, sposobie, w jaki się trzymał. Próbowwała określić swe reakcje naukowo, składała je na karb reakcji chemicznych organizmu, kiedy David był przy niej, jej mózg stymulował wydzielanie fenyletylaminy, która doprowadzała jej ciało do szaleństwa. Gdy jej dotykał, całował, gdy uprawiali seks, jej gruczoły produkowały oksytocynę, dzięki której miłość była jeszcze słodsza.

Wypędzała Davida bezlitośnie z myśli w ciągu dnia, żeby w ogóle móc funkcjonować zawodowo. Wieczorem spotykali się i nie mogli utrzymać przy sobie rąk.

Był to trudny okres dla Davida, okres przełomowy. Wysłał pół swojej książki i jej konspekt do jednej z wiodących firm wydawniczych i w końcu lipca został zaproszony do Nowego Jorku. Pojechał tam pociągiem w najgorętszym dniu lata.

Wrócił z podpisaną umową. Zaliczka nie zmieniła w sposób znaczący jego życia – dwadzieścia tysięcy dolarów, przeciętne wsparcie dla autora debiutanckiej powieści, która nie epatuje

seksem i strugami krwi. Był to jednak triumf tym większy, że zaproszony przez wydawcę na kolację David nie tknął wina.

Uczcili to z Robertą w „Deerfield Inn”, a potem pojechali razem na spotkanie klubu Anonimowych Alkoholików w Greenfield. Przy kolacji wyznał jej, że potwornie się boi, czy zdoła ukończyć książkę. W klubie zauważyła, że nie jest jeszcze pewny, czy może nazywać się pisarzem.

– Nazywam się David Markus – powiedział.– Jestem alkohikiem i sprzedaję nieruchomości w Woodfield.

Wróciwszy późnym wieczorem do domu, usiedli w ciemności na zniszczonej sofie na ganku od frontu, obok słoików miodu. Rozmawiali cicho, z lubością wdychając wietrzyk, który od czasu do czasu kapryśnie powiewał nad pastwiskiem Markusów.

Gdy tak siedzieli, na podjazd skręcił samochód. Żółte światła reflektorów rzuciły na twarz Davida koronkowy cień starej wisterii, ocieniającej ganek.

– To Sara powiedział. – Pojechała do kina z Bobbym Hendersonem.

Po chwili usłyszeli śpiew. Sara i młody Henderson wyśpiewywali piskliwie „Oh, my darling Clementine”, fałszując przy tym okrutnie. Najwyraźniej świetnie się bawili.

David parsknął śmiechem.

– pst! – szepnęła Roberta.

Samochód zatrzymał się tuż pod domem, oddzielony od ganku tylko gąszczem wisterii.

Sara zaczęła następną piosenkę, o proboszczu, który poszedł się modlić do piwnicy. Po chwili zapadła cisza. Pewnie się całują –

pomyślała Roberta. Powinni byli wcześniej ich zawołać. Cóż, przypadło. Trzymali się z Davidem za ręce jak stare małżeństwo i uśmiechali się do siebie w mroku.

Nagle Bobby zaczął śpiewać:

- Okrągła jak paczuszek jest i ciepła właśnie tak...
- Jak za kominem szpak – dodała drugim głosem Sara.
- Futerko miękkie ma i czarne jak kot, co myszkę zjadł...
- Ach, biedną myszkę zjadł...

David wypuścił dłoń Roberty.

– Lecz szparkę w środku małą ma, co dzieli ją na dwa...

– Och, Bobby, straszny świntuch z ciebie – zachichotała Sara, ale podjęła szybko:

- Równiutko raz i dwa...
- Ach, czy to czary?
- Co za czary!
- Przecież to kuciapka Sary!

Aha, aha, kuciapka to jest ma!

- Saro! – odezwał się głośno David.
- O rany... – jęknęła dziewczyna.
- W tej chwili do domu!

Dał się słyszeć szybki, nasilony szept, potem chichot i trzask drzwi. Sara wbiegła po schodkach i minęła ich bez słowa, a samochód Bobby'ego ruszył z piskiem opon, wykręcił omal nie zawadzając o stodołę i popędził z powrotem.

– Chodź rzekł David odwiozę cię do domu. Potem się z nią rozmówię.

- Uspokój się. To nie zbrodnia.

- Gdzie jej godność osobista?
- To... to tylko błąd w ocenie. Szczęnięca głupota.
- Głupota!
- Ma się rozumieć! Nigdy nie śpiewałaś sprośnych piosenek, kiedy byłeś w jej wieku?
- Owszem, z kolegami. Nigdy w towarzystwie przyzwoitej dziewczyny, tyle ci powiem.
- To żałuj – ucięła, schodząc z ganku do jego samochodu.

Zadzwoił nazajutrz z zaproszeniem na kolację. Roberta była jednak zajęta; zaczynał się dla niej właśnie pięciodniowy maraton trwający dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak przewidział jej ojciec, aż nazbyt często wyrywano ją ze snu. Problem polegał na tym, że odległy o pół godziny drogi szybką karetką szpital w Greenfield, gdzie odsyłała poważniejsze przypadki, nie był kliniką. W Bostonie, jeśli nawet dzwonił dyżurny stażysta, podawał jej rzeczową ocenę stanu pacjenta, i udzieliwszy mu wskazówek przez telefon mogła wrócić do łóżka. Tu nie było lekarzy dyżurnych. Dzwoniły pielęgniarki, często w środku nocy. Owszem, średni personel był świetnie wyszkolony, ale Roberta aż za dobrze poznała krętą trasę z Mohawk Trail, jeżdżąc nią w dzień, w nocy, w pierwszym brzasku poranka.

Zazdrościła lekarzom w krajach europejskich, gdzie pacjent przyjmowany był wraz z kartoteką i zespół lekarzy szpitalnych brał za niego pełną odpowiedzialność. Ona jednak mieszkała w Woodfield, nie w Europie.

Potwornie obawiała się tych jazd z nastaniem zimy, gdy drogi będą śliskie. Pewnej nocy, wracając wściekła do domu, upomniała się w duchu, że przecież sama chciała praktykować na wsi.

Dopiero w końcu tygodnia znalazła trochę czasu dla Davida, ale kiedy przyjechała do jego domu, nie zastała go.

– Musiał zawieźć klientów na Potter's Hill, żeby pokazać im posiadłość Weilandów. Takie młode małżeństwo z New Jersey – poinformowała ją Sara. Miała na sobie trykotową koszulkę i szorty, w których jej długie, opalone nogi zdawały się jeszcze dłuższe.

– Ja dzisiaj gotuję. Będzie gulasz cielęcy. Chcesz lemoniady?

– Jasne.

Sara podała jej szklankę.

– Możesz wypić na ganku albo dotrzymać mi towarzystwa w kuchni.

– Zdecydowanie wolę kuchnię.

Roberta usiadła przy stole i sączyła lemoniadę, przyglądając się, jak Sara wyjmuje z lodówki posiekaną na kawałki cielęcinę, płucze ją pod kranem, osusza papierowym ręcznikiem i wrzuca do plastikowego woreczka z mąką i przyprawami. Wstrząsnąwszy nim kilkakrotnie, nalała na patelnię nieco oliwy i włożyła mięso.

– No – sapnęła, kiedy się przyrumieniło teraz na pół godziny do piekarnika.

– Widzę, że jesteś świetną kucharką.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Wdałam się w ojca.

– Rzeczywiście. On ma talent, nie sądzisz? – Roberta zamilkła na chwilę. – Nadal się gniewa?

– Nie. Tato łatwo się wścieka, ale szybko mu przechodzi.

Sara zdjęła wiklinowy koszyk z haka nad ladą kuchenną.

– Trzeba przynieść jarzyny, zanim mięso zbrązowieje.

W ogrodzie uklękły po przeciwnych stronach grządki krzaczastej fasoli Blue Lake i zrywały razem.

– Ojciec w ogóle śmiesznie mnie traktuje. Najchętniej owinałby mnie w celofan i nie pozwolił odwijać przed ślubem.

Roberta uśmiechnęła się.

– Mój ojciec był taki sam. Chyba większość rodziców tak się zachowuje. Rozpaczliwie chcą ochronić swoje dzieci przed cierpieniem.

– I tak nie są w stanie.

– To prawda, Saro. Nikomu się to nie udaje.

– Starczy już fasoli. Pójdę po pasternak. Wyrwij z dziesięć marchewek, dobrze?

Ziemia wokół marchewek była często spulchniana. Wychodziły łatwo ciemnopomarańczowe, krótkie i krępe.

– Dawno chodzisz z Bobbym?

– Około roku. Ojciec chce, żebym spotykała się i z żydowską młodzieżą, między innymi, dlatego zresztą jeździmy do synagogi w Greenfield. Ale Greenfield jest za daleko, żebym miała tam naprawdę bliskich przyjaciół. Poza tym od urodzenia powtarza mi, że ludzi nie należy osądzać według ich rasy czy religii. Czy wszystko to traci ważność, kiedy człowiek umawia się na randkę? – prychnęła Sara. – Jakoś twoje wyznanie mu nie przeszkadzało, kiedy zaczął się z tobą umawiać.

Roberta przytaknęła ruchem głowy.

– Bobby Henderson jest bardzo miły – ciągnęła Sara i okazał mi tyle życzliwości. Nie miałam wielu przyjaciół, dopóki nie zaczęłam z nim chodzić. Bobby gra w futbol, a przyszłej jesieni zostanie

kapitanem drużyny. Jest bardzo popularny, a co za tym idzie, ja też stałam się popularna, rozumiesz?

Roberta kiwnęła głową, zatroskana. Rozumiała.

– Jedna rzecz, Saro – wtrąciła. – Tamtego wieczoru twój ojciec miał rację. Nie popełniłaś zbrodni, ale śpiewając tę piosenkę nie wykazałaś wiele szacunku dla samej siebie.

Takie śpiewki są jak pornografia. Jeśli zachęcasz mężczyzn, by widzieli w kobietach tylko ciało, ciebie też będą tak traktować. Przedmiotowo.

Sara spojrzała na nią z taką miną, jak gdyby korygowała wcześniejsze mniemanie o Robercie.

– Bobby tak nie myśli. Mam szczęście, że jest moim chłopakiem. Nie jestem taka znów śliczna.

Tym razem Roberta zmarszczyła brwi.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Dlaczego?

– Albo kpisz, albo sama się oszukujesz. Saro jesteś wyjątkowo ładna.

Sara otrzepała pasternak z ziemi, wrzuciła go do kosza i wyprostowała się.

– Wiele bym dała, żeby taka być.

– Twój ojciec pokazywał mi zdjęcia z tych albumów, które trzyma w salonie. Na wielu z nich jest twoja matka. Była bardzo piękna, a ty uderzająco ją przypominasz.

Głęboko w oczach Sary coś lekko odtajało.

– Słyszałam kiedyś, że jestem do niej podobna.

– Jak dwie krople wody. Jesteś równie piękna jak ona.

Sara podeszła o krok bliżej

– Mam do ciebie prośbę, Roberto.

– Cokolwiek zechcesz.

– Powiedz mi, co mam z tym zrobić – zadarła brodę, na której widniały dwa pryszcze. – Nie mogę pojąć, dlaczego je mam. Dokładnie myję twarz i stosuję właściwą dietę. Jestem okazem zdrowia. Nigdy nie byłam u lekarza. Nawet nie mam plombowanych zębów. I kremuję się, aż mi palce mdleją, ale...

– Daj sobie spokój z kremem. Na razie wystarczy ci woda i mydło, tylko wycieraj buzię bardzo delikatnie, bo łatwo podrażnić skórę. Dam ci maść.

– Pomoże?

– Powinna. Nie zaszkodzi spróbować.– Zawahała się. – Słuchaj, o niektórych sprawach łatwiej pogadać z kobietą niż z mężczyzną, nawet własnym ojcem. Jeśli kiedykolwiek będziesz miała jakieś pytania, albo po prostu zechcesz pogawędzić...

– Dziękuję. Słyszałam, że wtedy wstawiałaś się za mną. Doceniam to. – Sara podeszła i uściśnęła ją.

Roberta poczuła, że mięknie jej serce. Chciała pogłaskać lśniące czarne włosy, ale zadowolili się niezgrabnym poklepaniem dziewczynki po ramieniu wolną ręką, w drugiej, bowiem trzymała marchewkę.

Z reguły, zimą i latem w górach było o jakieś pięć stopni chłodniej niż na nizinie, ale tego roku trzeci tydzień sierpnia był bardzo upalny, więc Roberta i David chronili się w cieniu lasu. Wędrowali szlakiem, potem przedzierali się nad rzekę i tam, spoceni, kochali się na igliwiu, którym usłany był brzeg. Roberta panicznie się bała, że zdybie ich jakiś myśliwy. Później siadali nago w stawie o piaszczystym dnie i myli się nawzajem.

– Jak w raju – stwierdziła kiedyś.

– W każdym razie dużo lepiej niż w piekle – rzekł z namysłem David.

Opowiedział jej pewną legendę:

W każdy piątek o zachodzie słońca malach ha-mawet. Anioł Śmierci, uwalnia oczyszczone dusze z Szeolu, ognistej podziemnej krainy, dokąd po śmierci idą wszyscy grzesznicy. Uwolnione dusze przez cały szabas chłodzą się w strumieniu, tak jak my teraz. Dlatego też dawniej niektórzy bardzo pobożni Żydzi nie pili wody w czasie szabasu. Nie chcieli odbierać jej kojących kropeł duszom ułaskawionym z Szeolu.

Legenda bardzo się Robercie podobała, nie umiała natomiast wyrobić sobie zdania o samym narratorze.

– Nie wiem, co mam o tobie myśleć. Do jakiego stopnia żartujesz sobie z wiary, a w jakim stopniu została ona wpisana w charakter prawdziwego Davida Markusa? Zresztą kimże jesteś, by mówić o aniołach? Nie wierzysz nawet w Boga.

Na swój łagodny sposób był zaszokowany.

– Kto tak powiedział? – zaprotestował z lekką urazą. Po prostu... nie jestem pewien, czy Bóg istnieje, a jeśli tak, to czym jest. – Uśmiechnął się do niej. – Wierzę w całe szeregi wyższych istot.

Anioły. Dżumy. Skrzaty kuchenne. Wierzę w duchy, które mieszkają w młynkach modlitewnych, w leprechauny i elfy.– Wziął ją za rękę.
– Posłuchaj.

Słyszała jedynie skargę wody, buńczuczne trele ptaków, szum wiatru w miliardach liści i aksamitne, pszczele brzęczenie ciężarówki na odległej szosie.

– Czuję duchy za każdym razem, kiedy wchodzę do lasu.

– Ja mówię poważnie, Davidzie.

– Ja też, do licha.

Zrozumiała, że jest zdolny do spontanicznej euforii, osiągnięcia czegoś na kształt rauszu bez kropli alkoholu. Czy jednak na pewno! Czy alkohol nie miał już dziś nad nim władzy?

Jak dalece zblizniła się ta szrama na sile jego ducha? Wietrzyk - włóczęga nadal szemrał w listowiu, a leśne skrzaty osaczały zewsząd najbardziej wrażliwą część jej psyche, szepcząc, że chociaż ten mężczyzna jest jej coraz bliższy, wielu jeszcze rzeczy o nim nie wie.

Roberta powiadomiła okręgowy urząd opieki socjalnej, że Eva Goodhue i Helen Phillips potrzebują pomocy. Ale władze okręgowe działały powoli i zanim jej telefon przyniósł rezultaty, pewnego popołudnia do jej gabinetu wszedł jakiś chłopczyk, mówiąc, że w mieszkaniu nad sklepem żelaznym pilnie potrzebny jest lekarz.

Tym razem drzwi otworzyły się przed nią i uderzył ją zaduch tak obrzydliwy, że omal nie wymiotowała. Koty snuły się wszędzie, ocierały o jej nogi, kiedy lawirowała, by nie wdepnąć w ich ekskrementy. Z plastikowego wiaderka wysypywały się śmieci, w zlewie piętrzył się stos zapleśniałych talerzy. Roberta myślała, że

wezvano ją do panny Goodhue, ale dziewięćdziesięciodwuletnia kobieta, ubrana i wyprostowana, podeszła do niej ze słowami:

– Helen bardzo źle się czuje.

Helen Phillips leżała w łóżku. Roberta osłuchiwała stetoskopem jej serce, ale nie brzmiało alarmująco. Chora była brudna, na plecach i pośladkach miała odleżyny. Cierpiała na niestrawność, odbicia, puszczała wiatry i nie reagowała na pytania. Eva Goodhue odpowiadała za nią.

– Dlaczego leży pani w łóżku?

– Bo tak jest jej wygodnie, ciepło i może oglądać telewizję. Ze stanu prześcieradeł wynikało jasno, że posiłki również spożywała w łóżku. Roberta zamierzała wprowadzić tu surowy dryl: wczesne wstawanie, regularne kąpiele, jedzenie przy stole i lekarstwo na niestrawność. Kiedy jednak ujęła dłonie Helen w swoje, zalała ją fala świadomości, która napełniła ją smutkiem i zgrozą. Już od dawna nie doświadczyła tego niepojętego i straszego uczucia niepodważalnej, ostatecznej pewności.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer pogotowia, poganiając w duchu dyspozytora, by prędzej podniósł słuchawkę.

– Joe, tu Roberta Cole. Mam nagły wypadek, potrzebna mi karetka. Natychmiast. Mieszkanie Ewy Goodhue, nad sklepem żelaznym koło mojego gabinetu.

Przyjechali w rekordowym czasie czterech minut, lecz serce Helen Phillips przestało bić w połowie drogi do szpitala. Mimo gorączkowych wysiłków reanimacyjnych w izbie przyjęć stwierdzono zgon.

Roberta już od kilku lat nie otrzymała przesłania zbliżającej się śmierci. Teraz po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że posiada Dar. Przypomniała sobie, co mówił o nim ojciec i odkryła, iż gotowa jest uwierzyć.

Być może, powiedziała sobie, nauczy się posługiwać nim w walce z czarnym aniołem, którego David nazywał malach hamawet.

Odtąd nosiła w torbie zapas streptokinazy, korzystała też z każdej okazji, by wziąć pacjenta za rękę.

Niecałe trzy tygodnie później, w czasie wizyty domowej u Franka Olchowskiego, nauczyciela matematyki, leżącego z ciężką gripą, ujęła dłonie Stelli, jego żony, i odebrała sygnał, którego tak się obawiała.

Zaczerpnęła głęboki oddech i zmusiła się do trzeźwej kalkulacji.

Nie miała pojęcia, jaką formę przybierze nadciągająca katastrofa, ale najprawdopodobniej będzie to albo zawał serca, albo udar naczyniowy mózgu.

Kobieta miała pięćdziesiąt trzy lata i około trzydziestu funtów nadwagi. Była zaniepokojona i zbita z tropu.

– To Frank jest chory, pani doktor! Dlaczego wezwała pani karetkę, i po co ja mam jechać do szpitala?

– Proszę mi zaufać.

Stella Olchowski wsiadła do karetki, mierząc lekarzkę dziwnym wzrokiem.

Roberta nałożyła jej maskę tlenową i ustawiła przepływomierz tak, by dostarczał sto procent tlenu. Ambulans prowadził Timothy Dalton, robotnik z jednej z farm. Kazała mu włączyć światła, ale bez

syreny; nie chciała niepokoić pani Olchowski bardziej, niż to się już stało.

Steve Ripley również był zakłopotany. Ciśnienie krwi i tętno mieściły się w normie.

– Co jej jest, pani doktor? – spytał zmieszany, sięgając po radiotelefon.

– Proszę na razie nie łączyć się ze szpitalem.

Jeżeli ni stąd, ni zowąd przywiozę im pacjentkę bez żadnych objawów, będę miał poważne kłopoty. Spojrzała na niego.

– Tym razem posłuchaj mnie, Steve.

Sanitariusz z wahaniem odwiesił słuchawkę. Przyglądał się Robertce i Stelli Olchowskiej z coraz bardziej nieszczęśliwą miną, karetka zaś mknęła szosą numer 2.

Byli w dwóch trzecich drogi do szpitala, kiedy kobieta skrzywiła się boleśnie i złapała za serce. Szeroko otwarte oczy wbiła w Robertę.

– EKG, szybko!

– Jezu, ma ciężką arytmieję.

– Teraz połącz się ze szpitalem. Zamelduj atak serca i powiedz, jest z tobą doktor Cole. Poproś o zgodę na wstrzyknięcie streptokinazy – nie skończyła mówić, kiedy cienka igła już wbiła się w ciało, a palce nacisnęły tłoczek.

Komórki mięśnia sercowego nasycono tlenem, a nim dyspozytor udzielił pozwolenia; lek zaczął już działać. W ten sposób szkody zostały zminimalizowane.

Roberta uwierzyła wreszcie, że dziwne przesłanie, jakie czasem odbiera od pacjentów, może im ocalić życie.

Fama o internistce wyposażonej w cudowną medyczną moc obiegała całą okolicę.

– Tylko na mnie spojrzała i już wiedziała, co się stanie! – powtarzała wszystkim wokół Stella. Obsada karetki potwierdziła jej słowa i wzbogaciła opowieść dalszymi szczegółami. Roberta zaczęła zbierać a serdeczne uśmiechy, kierowane do niej na ulicy i podczas wizyt.

Ludzie się cieszą, że znów mają lekarza – powiedziała do niej Peg. – I są dumni, że ich doktor jest cholernie dobry.

Robertę to peszyło, ale uśmieła się setnie, kiedy Toby Smith po powrocie ze zjazdu demokratów w Springfield powtórzyła jej słowa delegata z Charlemont, który wspomniał, iż mówiono mu o pani doktor z Woodfield. Jest to bardzo miła, przyjacielska osoba. Zawsze trzyma pacjentów za rękę.

Październik przegonił wreszcie natrętne muchy i zapoczątkował niewiarygodną eksplozję barw. Miejscowi mówili, że ta wesoła jesień i pstrokacizna nie jest niczym nadzwyczajnym, lecz Roberta nie chciała im wierzyć. Korzystając z babiego lata poszli na ryby; David złowił trzy spore pstrągi, a ona dwa – samce jaskrawo ubarwione do tarła. Gdy oczyścili wszystkie, David odłożył ikrę do usmażenia z jajecznicą. Roberta zręcznie wymówiła się od jedzenia. Nie cierpiała ani ikry, ani mleczu.

Siedząc z nim na brzegu rzeki, relacjonowała mu szczegóły doświadczeń, z których nie ośmieliłaby się zwierzyć innemu lekarzowi.

David się nie śmiał. Słuchał z zaciekawieniem nawet, jak zauważyła, z niejaką zazdrością.

– Napisane jest w Misznie... Wiesz, co to jest Miszna?
– Żydowska święta księga?
– Podstawowy zapis żydowskiego prawa, dokonany tysiąc osiemset lat temu. Zapisano tam, że żył pewien rabin imieniem Hanina ben Dosa, który czynił cuda. Modlił się nad chorymi i powiadał: „Ten będzie żył” albo: „Ten umrze”. A kiedy go pytali: „Skąd to wiesz?”, mówił: „Jeśli modlitwa gładko płynie z mych ust, wiem, że został przyjęty. Jeśli zaś nie, wiem, że został odrzucony”

Roberta była rozczarowana.

– Ja się nad nimi nie modlę.
– Wiem. Ale twoi przodkowie trafnie to nazwali. To jest dar.
– Ale co to jest?

Wzruszył ramionami.

– Mędrzec powiedziała by, że jest to wiadomość, którą jedynie ty masz przywilej usłyszeć.

– Dlaczego ja? Dlaczego moja rodzina? Wiadomość, od kogo?
– Z pewnością nie od Anioła Śmierci. Twój ojciec miał chyba rację, zgadując, że jest to cecha genetyczna, kombinacja psychicznych i biologicznych receptorów, które dostarczają ci dodatkowych danych. Rodzaj szóstego zmysłu.

Wyciągnął do niej obie ręce.

– Nie. Odczep się – zaprotestowała, kiedy dotarło do niej, czego chciał.

On jednak czekał, nieludzko cierpliwy, dopóki nie ujęła obu jego dłoni. Poczwała jedynie ciepło i siłę jego uścisku, w sobie zaś słabość, ulgę złość na niego.

– Będziesz żył wiecznie.
– Tak, jeśli ty będziesz przy mnie odparł.

Mówił, jakby łączyło ich porozumienie dusz. Zdawała sprawę, że przeżył wielką miłość. Uwielbiał swoją żonę, lecz ją opłakał. Ona miała Charliego, młodzieńczego kochanka, który zmarł, zanim czas zdołał poddać próbie ich miłość, a potem nieudane małżeństwo z samolubnym i niedojrzałym mężczyzną.

Ścisnęła dłonie Davida, jakby bała się je wypuścić.

24 NOWE ZNAJOMOŚCI

Pewnego pracowitego popołudnia w czasie godzin przyjęć Toby odebrała telefon od kobiety nazwiskiem Penny Coleridge.

– Powiedziałam jej, że jesteś zajęta pacjentem i że się z nią skontaktujesz – poinformowała Robertę. – To położna. Chciałaby cię poznać.

Roberta oddzwoniła w pierwszej wolnej chwili. Penny Coleridge miała miły głos, ale nie sposób było domyślić się jej wieku. Powiedziała, że od czterech lat pracuje w górach Berkshire. Poza nią w okręgu były jeszcze dwie położne Susan Millet i June Todman, pracowały razem. Roberta zaprosiła je do siebie na kolację w czwartek, kiedy miała wolny dzień. Po konsultacji z koleżankami Penny Coleridge zawiadomiła ją, że przyjdą wszystkie trzy.

Penny okazała się postawną, pełną werwy brunetką pod czterdziestkę. Susan Millet i June Todman blondynki tak do siebie podobne, że ludzie brali je za siostry były od niej o jakieś dziesięć lat starsze. June uczyła się położnictwa w Yale-New Haven. Ona i

Penny były oprócz tego dyplomowanymi pielęgniarkami. Penny zdobyła kwalifikacje na Uniwersytecie Minnesota, a Susan w Urbana, w stanie Illinois.

Wszystkie trzy dały jej do zrozumienia, że są bardzo rade z jej obecności w Woodfield. Jak mówiły, część kobiet woli rodzić pod opieką lekarza, a dotychczas musiały daleko go szukać. Inne pacjentki preferują mniej inwazyjne techniki stosowane przez położne.

– W rejonach, gdzie wszyscy lekarze to mężczyźni, niektóre ciężarne przychodzą do nas, bo chcą, żeby poród odbierała kobieta – powiedziała Susan, uśmiechając się do Roberty. – Teraz, kiedy pani jest tutaj, będą miały większy wybór.

W większych miastach istniała silna konkurencja pomiędzy akuszerkami a lekarzami-położnikami. Naciski ze strony lekarskiego lobby nasiliły się zwłaszcza przed kilkoma laty.

– Tu, na wsi, lekarze nie robią nam problemów – powiedziała Penny. Pracy jest więcej niż ludzi i cieszą się, że przynajmniej częściowo możemy ich odciążyć. Zgodnie z przepisami, pracujemy na etacie w szpitalu albo u ginekologa. Oczywiście mamy dostateczne kwalifikacje, żeby dać sobie radę nawet ze skomplikowanymi porodami, jednak w takich przypadkach jak poród kleszczowy albo próżniociągowy mamy obowiązek wzywać specjalistę, podobnie jak pani.

– Czy nawiązała już pani kontakt z jakimś ginekologiem, który byłby pani konsultantem? – wtrąciła June.

– Jeszcze nie. Chętnie wysłucham waszej rady.

– Pracowałyśmy z dobrym młodym ginekologiem. Gramem Hardym – powiedziała Susan. Inteligentny, z otwartą głową,

idealista... – skrzywiła się lekko – jak na mój gust, może trochę zanadto nawiedzony. Po czterech latach przeniósł się do Waszyngtonu.

– Macie już nowego pracodawcę?

– Daniel Noyes zgodził się wziąć nas pod swoje skrzydła. Kłopot polega na tym, że za rok odchodzi na emeryturę i będziemy musiały zacząć od nowa. – Mimo to – rzekła z namysłem Penny doktor Noyes to idealny konsultant zarówno dla pani, jak dla nas. Z pozoru jest utyskliwy i szorstki, ale to naprawdę kochany staruszek. Jest bez wątplenia najlepszym ginekologiem w okolicy, a w ciągu tego roku będzie pani mogła spokojnie rozejrzeć się za kimś innym.

Roberta skinęła głową.

– Całkiem rozsądne rozwiązanie. Spróbuję nakłonić go do współpracy.

Położne bardzo ucieszyło, że Roberta ma za sobą pogłębiony staż w zakresie kobiecych schorzeń hormonalnych. Mogło się to przydać w przyszłości, a ponadto miały na oku kilka pacjentek, które zamierzały przysłać jej do zbadania.

Spodobały się Robercie zarówno na gruncie towarzyskim, jak i zawodowym, a ich obecność sprawiła, że poczuła się pewniej.

Często wpadała odwiedzić Evę Goodhue. Przynosiła lody albo owoce. Eva była milcząca i pogrążona we własnych myślach. Przez kilka dni Roberta podejrzewała, iż w ten sposób objawia się u niej po stracie bratanicy, ale doszła do wniosku, że cechy te były charakterystyczne dla Ewy.

Mieszkanie zostało gruntownie wysprzątanę przez komitet parafialny, a „Meals on Wheels”, charytatywna agencja opiekująca

się ludźmi chorymi i starymi, dostarczała codziennie gorący obiad. Roberta spotkała się z koordynatorką opieki społecznej na hrabstwo Franklin, Marjorie Lassiter, oraz z Johnem Richardsonem, proboszczem kościoła w Woodfield, żeby porozmawiać o innych potrzebach panny Goodhue. Dyskusję rozpoczęła Marjorie Lassiter, określając bez ogródek stan finansów Ewy:

– Jest kompletnie spłukana. Dwadzieścia dziewięć lat temu umarł na zapalenie płuc nieżonaty brat Ewy, Norman. Po jego śmierci została ona jedyną właścicielką rodzinnej farmy, na której spędziła całe życie. Eva natychmiast sprzedała gospodarstwo za niecałe czterdzieści jeden tysięcy dolarów i wynajęła mieszkanie przy Main Street. W kilka lat później Helen Goodhue Phillips, córka drugiego brata Ewy, który zmarł o wiele wcześniej, rozwiodła się ze swoim mężem-brutalem i zamieszkała z ciotką.

– Oprócz pieniędzy Ewy miały jeszcze drobną miesięczną zapomogę z opieki społecznej – powiedziała Marjorie Lassiter. – Myślały, że są zamożne, czasem nawet pozwalały sobie na zakupy wysyłkowe z katalogów. Zawsze wydawały więcej, niż wynosiły roczne odsetki z konta i kurczący się kapitał w końcu się wyczerpał. Proszę mi wierzyć – westchnęła – to nierzadki przypadek, że ktoś przeżyje swoje pieniądze.

– Dzięki Bogu ma jeszcze prawo do zapomogi.

– To jej nie wystarczy – stwierdziła opiekunka społeczna. Samego czynszu płaci miesięcznie czterysta dziesięć dolarów. Musi kupować żywność. Ma polisę Medicare, lecz tylko w podstawowej wersji i za leki musi płacić.

– Kwestię opieki lekarskiej biorę na siebie tak długo, jak długo będzie tutaj mieszkać – wtrąciła cicho Roberta.

Pani Lassiter uśmiechnęła się niewesoło.

– Zostaje olej grzewczy. Rachunki za prąd. Sporadyczne zakupy niezbędnej odzieży.

– Mamy Fundusz Sumnera – wtrącił pastor. Miasto Woodfield dysponuje pewną sumą złożoną w funduszu powierniczym, z której dochód przeznaczony jest na pomoc potrzebującym. Rozdysponowuje go dyskretnie troje radnych, a konkretne wydatki utrzymywane są przez nich w tajemnicy. Pomówię z Janet Cantwell – dodał.

Kilka dni później Roberta spotkała pastora Richardsona przed biblioteką. Poinformował ją, że wszystko zostało uzgodnione z Radą Miejską. Panna Goodhue będzie otrzymywać z Funduszu Sumnera comiesięczną dotację, która pokryje jej deficyt.

Później, gdy Roberta ślęczała przy biurku, uzupełniając kartoteki pacjentów, nagle objawiła jej się pewna jaskrawa prawda: dopóki w jej mieście robi się wszystko, by pomóc ubogiej starej kobiecie, wcale jej nie razi brak nowej instalacji w toaletach ratusza.

– Chcę zostać we własnym domu – powiedziała Eva Goodhue.

– I zostanie w nim pani odparła Roberta.

Na prośbę Ewy zaparzyła dzbanek ulubionej przez staruszkę herbaty z czarnej porzeczki. Siedziały przy kuchennym stole i rozmawiały o wynikach badań, przeprowadzonych niedawno przez Robertę.

– Jest pani w zaskakująco dobrej kondycji jak na kogoś, kto wkrótce będzie obchodził dziewięćdziesiąte trzecie urodziny. To chyba zasługa genów. Czy pochodzi pani z długowiecznej linii?

– Rodzice zmarli wcześniej. Matka na ślełą kiskę, kiedy miałam zaledwie pięć lat. Ojciec może i dożyłby starości, ale cztery lata później zginął w wypadku na farmie. Ładunek bali obluzował się i przygniótł go.

– Kto panią wychowywał?

– Mój brat Norm. Miałam dwóch braci: Norm był ode mnie starszy o trzynaście lat, a Harold o dziewięć. Nie zgodzali się ze sobą, oj, nie. Ciągłe się kłócili, aż w końcu Harold uciekł z domu. Całą farmę zostawił nam na głowie. Wstąpił do Straży Przybrzeżnej i nigdy już nie wrócił, do Normanna nawet nie napisał, choć mnie czasami przysyłał pocztówki, albo i list czy jakąś małą sumkę na gwiazdkę. – Eva siorbnęła herbaty. – Zmarł na gruźlicę w Szpitalu Marynarki Wojennej w Marylandzie, na jakieś dziesięć lat przed Normem.

– Czy wie pani, co mi chodzi po głowie?

Eva uśmiechnęła się, słysząc to sformułowanie.

– Cóż takiego?

– Kiedy się pani urodziła, w Anglii panowała królowa Wiktorja, Wilhelm II był ostatnim cesarzem Niemiec, a Teddy Roosevelt miał dopiero zostać prezydentem. A Woodfield – jakież musiała pani widzieć zmiany zachodzące w Woodfield!

– Nie takie wielkie, jak mogłoby się pani zdawać – powiedziała Eva. – Z pewnością automobil; o, to było coś. Teraz wszystkie główne drogi są kryte asfaltem. I elektryczność też dochodzi wszędzie. Pamiętam pierwsze uliczne lampy na Main Street. Miałam wtedy czternaście lat; po robocie szłam pieszo sześć mil do miasta i drugie sześć z powrotem, żeby tylko zobaczyć, jak się świecą. Minęło kilkanaście lat, zanim podciągnęli prąd do wszystkich

gospodarstw. Kiedy dorobiliśmy się elektrycznej dojarki, dobiegałam już pięćdziesiątki. O, to była błogosławiona zmiana!

Eva niewiele mówiła o śmierci Helen. Roberta w końcu sama o tym napomknęła, sądząc, że byłoby zdrowiej, gdyby staruszka mogła się wygadać, ale Eva tylko spojrzała na nią zmęczonymi oczyma, głębokimi i nieprzeniknionymi jak jeziora.

– Helen była dobrym dzieckiem. Oczywiście, że będzie mi jej brak. Nie tylko jej jednej mi brakuje.

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

– Przeżyłam wszystkich, których kiedyś znałam.

25 WRASTANIE

Pewnego ciepłego dnia w połowie października Roberta wychodząc ze szpitala w Greenfield natknęła się na Susan Millet, która stała na parkingu i rozmawiała z ogorzałym, łysiejącym mężczyzną. Był wysoki i tęgi, lecz nieco przygarbiony, jakby jego kręgosłup zrobiono z miękkiej blachy. Prawe ramię miał nieco wyższe. Chroniczna skolioza – zarejestrowała w duchu Roberta.

– Witaj, Roberto! Dobrze się składa; jest tu ktoś, kogo chcę ci przedstawić. Doktor Daniel Noyes. A to doktor Roberta Cole.

Uścisnęli sobie ręce.

– Zatem to pani? Mam wrażenie, że te trzy dzierlatki w ostatnim czasie nie mówią o niczym innym, jak tylko o doktor Cole. Jest pani ekspertem od hormonów, jak mi powiedziano.

– Gruba przesada. – Opowiedziała mu o swojej pracy w Lemuel Grace.

Noyes skinął głową.

– To czyni panią najlepszym specjalistą w tej dziedzinie, jakiego dotychczas tu oglądaliśmy, więc proszę nie protestować.

– W ramach praktyki ogólnej mam zamiar również przyjmować porody. Potrzebuję współpracy licencjonowanego ginekologa-położnika.

– Ach, tak? – rzucił chłodno.

– Tak.

Przyglądali się sobie przez chwilę.

– A więc? – przerwał milczenie Noyes. – Czy pani prosi mnie, żebym z panią pracował?

Jest szorstki i zmierzły – pomyślała.– Dokładnie taki, jak opisały go położne.

– Taki miałam zamysł. Zdaję sobie sprawę, że pan niewiele o mnie wie. Czy znalazłby pan nieco czasu i zjadł ze mną lunch?

– Nie ma potrzeby, żeby trwoniła pani pieniądze stawiając mi lunch. Powiedziano mi o pani wszystko, co powinienem wiedzieć. Ale czy pani wie, że za dwanaście i pół miesiąca zwijam kramik?

– Tak.

– Jeżeli mimo to nadal chce pani mieć we mnie konsultanta, nie widzę przeszkód.

– Świetnie. To znaczy: chcę.

Teraz on się uśmiechnął.

– Zatem umowa stoi. Co pani powie na to, żebym to ja zaprosił panią na lunch w najlepszej na świecie staroświeckiej jadłodajni i

opowiedział kilka kombatanckich historii z dziejów lecznictwa w zachodnim Massachusetts?

Naprawdę był kochanym staruszką, to dało się zauważyć.

– Będę zachwycona.

– Podejrzewam, że ty też chcesz się załapać? – rzucił kwaśno do Susan, która przyglądała im się z zadowoloną miną.

– Nie, jestem umówiona, ale na pewno dacie sobie radę beze mnie. – Susan ruszyła do swego samochodu, śmiejąc się pod nosem.

Roberta była bardzo zapracowana, kiedy zaś miała trochę wolnego czasu – zbyt zmęczona, by przejawiać jakiegokolwiek ambicje. Leśny szlak nie posunął się wiele poza żeremia. Jeśli chciała iść nad rzekę, nadal musiała przedzierać się przez gęste poszycie.

Późną jesienią byli zmuszeni trzymać się z dala od lasu, pełnego teraz uzbrojonych myśliwych z palcami na spuście. Roberta zżymała się, widząc białożade jelenie przerzucone bezwładnie przez kratownice samochodów i ciężarówek.

Wiele osób w górach polowało. Smithowie zaprosili Robertę i Davida na imponującą królewską pieczeń z dziczyzny.

– Namierzyłem młodego byka, dwulatka, na skraju lasu tuż za domem – powiedział Jan. Na otwarcie sezonu chodzę zawsze z wujem Carterem. Poluję z nim od czasu, kiedy byłem chłopcem.

Opowiadał im o zwyczajach myśliwskich, a także o pewnej rodzinnej tradycji Smithów. Gdy ustrzelili jelenia, jeszcze w lesie wycinali mu serce, kroili w plastry i jedli na surowo. Jan z ze swadą odmalowywał szczegóły, podkreślając miłość i poczucie więzi łączącą starego myśliwego z młodym.

Roberta ukryła niesmak. Mimo woli wyobrażała sobie, iloma pasożytami mogli się zakazić, jedząc surowe mięso. Musiała jednakże przyznać, że pieczeń była pyszna. Odsunęła od siebie mimowolne obawy, jadła do woli i nie mogła się nachwalić.

Roberta powoli wrastała w społeczność, której kultura była jej w znacznym stopniu obca. Czasami musiała z trudem naginać się do zwyczajów, z którymi dotąd nigdy się nie zetknęła.

Wiele rodzin mieszkało w miasteczku od pokoleń – przodkowie Jana Smitha przyszli tutaj pieszo z Cape Cod u schyłku siedemnastego wieku, pędząc bydło, a ponieważ żenili się między sobą, miało się wrażenie, że wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Niektórzy potomkowie starych rodzin byli życzliwi wobec nowo przybyłych, inni nie. Roberta zaobserwowała, że ludzie zadowoleni z siebie, mający poczucie bezpieczeństwa, chętniej zawierają nowe przyjaźnie. Ci, dla których jedynym powodem do dumy był stary ród i status tubylca, krytycznie i z rezerwą podchodzili do „nowych”.

Większość mieszkańców miasteczka była zadowolona z jej usług. Mimo to Roberta często miała uczucie, że jest pionierem na dzikim pograniczu. Praktyka na wsi była jak chodzenie po linie bez siatki zabezpieczającej. W Bostonie miała do swojej dyspozycji laboratoria i najnowszą technikę diagnostyczną. Tutaj była sama. Mogła korzystać ze zdobyczy nauki, ale zarówno ona, jak i jej pacjenci musieli włożyć pewien wysiłek w to, by do nich dotrzeć.

Roberta starała się nie odsyłać pacjentów, o ile nie była do tego zmuszona; wolała polegać na własnej wiedzy i umiejętnościach. Zdarzało się jednak, że podczas badania w jej umyśle wyraźnie odzywał się dzwonek alarmowy, wówczas kierowała pacjenta do

któregoś z pobliskich miast, a nawet do specjalistów z Bostonu, New Haven, Hanoveru czy New Hampshire.

Działała po omacku, ale poznawszy wielu swoich sąsiadów, zaczęła dostrzegać te aspekty ich życia, które miały wpływ na stan zdrowia w stopniu, w jakim było to możliwe dla prowincjonalnej lekarki.

Pewnej nocy o drugiej nad ranem obudził ją telefon Stacji Hinton, żony Grega.

– Pani doktor, jest u nas z wizytą córka z naszymi dwiema wnuczkami. Młodsza, Kathy, ma dwa latka i cierpi na astmę. Kaszle tak strasznie, że mało się nie udusi. Jest cała czerwona na buzi. Boimy się o nią; nie wiemy, co robić.

– Weźcie garnek z gotującą się wodą i zróbcie nad nim coś w rodzaju namiotu z ręcznika. Trzymajcie dziecko nad parą, dopóki nie przyjadę.

Upewniła się, że ma w torbie zestaw do tracheotomii, lecz kiedy przyjechała do Hintonów, okazało się, że nie będzie on potrzebny. Para wodna znacznie poprawiła stan dziecka. Zanosilo się kaszlem, jednak nabierało już trochę powietrza w płuca i przestało sinieć. Roberta chętnie by ją prześwietliła, żeby wykluczyć możliwość ostrego zapalenia nagłośni. Dokładniejsze badanie wykazało wszakże grzybiczą infekcję głębszych partii gardła i krtani. Kathy płakała głośno przy badaniu i wtedy Roberta przypomniała sobie sztuczkę, którą ojciec pocieszał małych pacjentów.

– Chcesz dostać rower?

Kathy kiwnęła głową, pociągając nosem.

Roberta otarła jej łzy z policzków, wzięła czystą drewnianą szpatułkę i narysowała na niej trójkołowy rowerek. Dziewczynka

wzięła szpatułkę i przyjrzała jej się z zainteresowaniem.

– A klauna?

Kathy znów kiwnęła głową i wkrótce dostała klauna.

– Duzi ptak powiedziała.

– Hm... – mruknęła Roberta. Jej znajomość filmów dla dzieci była praktycznie żadna, lecz zdołała narysować strusia w kapeluszu i dziecko uśmiechnęło się.

– Czy będzie musiała iść do szpitala? – spytała Stacia Hinton.

– Nie sądzę odparła Roberta. Zostawiła im trochę leków i dwie recepty, które mieli zrealizować rano, kiedy w Shelbume Falls otworzą aptekę. – Proszę nadal jej robić inhalacje z pary. Gdyby wystąpiły jakiegokolwiek problemy, natychmiast dzwońcie.

Powlokła się do samochodu, na pół śpiąc dojechała do domu i na łóżko.

Nazajutrz po południu Greg Hinton pojawił się na Main Street i oznajmił Toby, że musi się osobiście widzieć z panią doktor, po czym usiadł z gazetą w poczekalni,

– Ile jestem pani winien za wczorajszą wieczór? – spytał, gdy Roberta poprosiła go do gabinetu.

Usłyszawszy kwotę, skinął głową i wypisał czek, który pokrył również należność za wszystkie jego wcześniejsze wizyty.

– Nie widziałam pana wczoraj – powiedziała Roberta.

Zawahał się na moment.

– Pomyślałem, że lepiej będę się trzymał na uboczu. Uparty głupiec ze mnie. Było mi wstyd, że wzywam panią w środku nocy po tym, jak wcześniej panią potraktowałem.

Uśmiechnęła się.

– Niech się pan nie przejmuję, panie Hinton. Jak się dzisiaj czuje Kathy?

– Dużo lepiej. Oboje ze Stacją jesteśmy pani ogromnie wdzięczni. Nie ma pani do mnie żalu?

– Skądże – powiedziała, potrząsając dłonią, którą do niej wyciągnął.

Będąc właścicielem stu siedemdziesięciu pięciu sztuk bydła, Greg Hinton z łatwością mógł sobie pozwolić na opłacenie lekarza. Wśród pacjentów Roberty byli jednak również Bonnie i Paul Roche'owie, młode małżeństwo z dwójką małych dzieci, które walczyło o byt hodując osiemnaście mlecznych krów.

Co miesiąc – powiedziała Robercie Bonnie – weterynarz bada i szczepi nasze krowy, ale nie stać nas na leczenie nas samych. Dopóki pani tu nie przyjechała, zwierzęta miały lepszą opiekę niż nasze dzieci.

Przypadek Roche'ów nie był odosobniony. W listopadzie odbyły się wybory prezydenckie. Roberta pojechała do starego drewnianego ratusza i oddała głos na Billa Clintona. Clinton obiecał jej pacjentom, że zapewni ubezpieczenie kosztów leczenia wszystkim, którzy go nie posiadają. Doktor Roberta Cole postanowiła dać mu szansę spełnienia tej obietnicy. Wrzuciła kartkę do urny z taką miną, jak gdyby był to pocisk wymierzony w dotychczasowy system opieki zdrowotnej.

– Sara straciła dziewictwo.

Roberta odczekała chwilę, po czym zapytała ostrożnie:

– Skąd wiesz?

– Powiedziała mi.

– Davidzie, to wspaniale, że rozmawia z tobą o czymś tak osobistym. Świadczy to, że jesteś z nią w wyjątkowo dobrych stosunkach.

– Jestem zdruzgotany – rzekł cicho, i spostrzegła, że tak jest naprawdę. – Chciałem, żeby najpierw do tego dorosła. Dawniej, kiedy kobiety czekały do nocy poślubnej, wszystko było o wiele prostsze.

– Sara ma siedemnaście lat, Davidzie. Można powiedzieć, że już dawno dorosła. Miewałam jedenastoletnie pacjentki, które przeszły już inicjację seksualną. To prawda, że niektóre czekają z tym do ślubu, ale w dzisiejszych czasach to rzadkie przypadki. Dawniej niezamężna panna też nie zawsze bywała dziewicą.

Kiwnął głową. Milczał posępnie prawie przez cały wieczór, ale później z czułością zaczął mówić o córce. Powiedział, że kiedy wkraczała w okres dojrzewania, oboje z Natalie rozmawiali z nią o seksie. Przyznał, iż ma szczęście, że Sara wciąż chce rozmawiać z nim szczerze.

– Nie zdradziła mi, kim był ten chłopak, ale umawia się tylko z Bobem Hendersonem, więc to chyba on. Sara twierdzi, że był to swego rodzaju eksperyment dwojga dobrych przyjaciół. Chcieli mieć to już za sobą.

– Mam z nią pomówić o antykoncepcji i tym podobnych rzeczach?

Miała nadzieję, że David się zgodzi, ale on wyraźnie się zaniepokoił.

– Nie sędzę, by to było konieczne. Nie chcę, żeby wiedziała, że rozmawiałem z tobą na jej temat.

– Wobec tego sam musisz to zrobić.

– Tak, pogadam z nią – David nieco się rozchmurzył.– Zresztą podobno ten eksperyment już się skończył. Znadto cenią swoją przyjaźń, żeby psuć ją seksem, i postanowili wrócić do koleżeńskich układów.

Roberta pokiwała głową z powątpiewaniem. Z jej obserwacji wynikało, że gdy młodzi ludzie raz już zakosztują seksu, niezmiernie rzadko zdarza im się z niego rezygnować.

Świąteczny obiad w Dniu Dziękczynienia zjedli wspólnie u Markusów. David upiekł indyka i faszerowane ziemniaki, a Sara zrobiła kandyzowane yamy z syropem klonowym i sos jabłkowo-jagodowy z własnych owoców. Roberta przyniosła placek dyniowy i szarlotkę. Mrożone ciasto kupiła w supermarkecie, natomiast owocowe nadzienie w pocie czoła przygotowała według przepisu około trzeciej ranem.

Był to przemiły, domowy świąteczny obiad. Roberta cieszyła się, byli tylko we trójkę. Objadali się smakołykami, pili grzany jabłecznik i prażyli kukurydzę nad kominkiem. Dla dopełnienia owego wzorcowego obrazu zachmurzone niebo zrobiło się niemal czarne i sypnęło wielkimi białymi płatkami.

– Przecież jeszcze za wcześnie na śnieg!

– Nie tutaj odrzekł David.

Nim wróciła do domu, drogi pokryła kilkucalowa warstwa śniegu. Włączyła wycieraczki i ogrzewanie, ale jechała powoli i ostrożnie, bo nie miała zimowych opon.

W czasie wszystkich zim spędzonych w Bostonie, Roberta nie zdołała się do woli nacieszyć owymi ulotnymi, mistycznymi wręcz chwilami, gdy cały świat cichnie, otulony białym puchem. Prawie natychmiast z rykiem ruszały pługi, ciężarówki, samochody i autobusy i śnieg szybko zamieniał się w brudną, obrzydliwą breję.

Tu było inaczej. Gdy znalazła się w domu, rozpałała w kominku, a potem zgasła światła i usiadła przy ogniu. Przez okna widać było niebieskawą biel, okrywającą lasy i pola.

Myślała o zwierzętach skulonych w swoich norach, jamach i dziuplach drzew. Z całego serca życzyła im, by przetrwały do wiosny.

Sobie życzyła tego samego. Wiosna i lato w Woodfield nie przysporzyły jej problemów. Teraz górską przyrodę pokazywała zęby i Roberta miała nadzieję sprostać jej wyzwaniu.

Zima, gdy już raz zawładnęła górami, nie miała zamiaru ustąpić. Linia demarkacyjna przebiegała mniej więcej w dwóch trzecich długiego grzbietu, zwanego przez miejscowych Woodfield Mountain, więc Roberta zjeżdżała do Pioneer Halley – szpitala, kina lub restauracji – bezśnieżny pejzaż przez kilka chwil wydawał się jej równie obcy jak ciemna strona księżyca. Dopiero po Nowym Roku w dolinie spadło dość śniegu, by utrzymał się na gruncie.

Roberta z radością wracała do białego świata swoich gór. Choć mlecznych farm było coraz mniej, służby komunalne z przyzwyczajenia odśnieżały wszystkie drogi, aby ciężarówki mogły

odbierać mleko. dzięki temu i ona nie miała problemów z dojazdem do chorych w domach.

Pewnej nocy w początku grudnia położyła się wcześniej, lecz w pół do dwunastej obudził ją telefon.

– Doktor Cole?

– Tu Letty Gates z Pony Road. Jestem ranna. – Kobieta z trudem łąpała powietrze i popłakiwała w słuchawkę.

– Jakie ma pani obrażenia, pani Gates?

– Chyba złamaną rękę, nie wiem, może i żebra... Boli mnie, kiedy oddycham. Phil strasznie mnie pobił.

– Kto? Pani mąż?

– Tak.

– Jest w domu?

– Nie, poszedł dalej pić.

Pony Road jest niedaleko wierzchołka Henry Mountain, czy tak?

– Tak.

– Dobrze. Zaraz tam będę.

Najpierw zadzwoniła do komendanta policji. Telefon odebrała Giselle McCartney, jego żona.

– Bardzo mi przykro, pani doktor, ale męża nie ma. Wielka ciężarówka wypadła z szosy na oblodzonym odcinku tuż za miejskim wysypiskiem i Mack tkwi tam już od dziewiątej; kieruje ruchem. Lada moment powinien wrócić.

Roberta wyjaśniła, dlaczego jest potrzebny.

– Proszę mu powtórzyć, żeby przyjechał na farmę Gatesów, kiedy będzie wolny.

– Naturalnie, pani doktor. Będę próbowała złapać go przez radio.

Dopiero na Pony Road musiała przełączyć napęd na cztery koła. Droga biegła stromo pod górę, lecz ubity śnieg sprawiał, że gruntowa nawierzchnia była lepsza niż w lecie.

Letty Gates zapaliła silną latarnię, zamocowaną nad drzwiami obory, więc Roberta już z dala zobaczyła światło. Wjechała na podwórze i zaparkowała przy kuchennych drzwiach.

Wysiadła z samochodu sięgnęła na tylne siedzenie po torbę, gdy nagle głośny dźwięk sprawił, iż podskoczyła. Niewielka fontanna wyprysnęła w górę tuż obok jej nóg.

Prawie natychmiast spostrzegła męską postać w cieniu drzwi obory. Światło z zewnątrz odbijało się od śniegu i lśniło matowo na lufie czegoś, co wyglądało na dubeltówkę.

– Wypierdalaj stąd! – wrzasnął Gates chwiejąc się na nogach i znów uniósł strzelbę.

– Nazywam się Roberta Cole, jestem lekarzem. Pańska żona jest ranna, panie Gates.

O Boże – pomyślała – chyba całkiem zgłupiałam. Nie powinnam była przypominać mu o żonie, jeszcze wejdzie do domu i tym razem ją wykończy.

Gates strzelił ponownie; szkło prawego reflektora eksplodowało kaskadą odłamków.

Była bezbronna i nie miała gdzie się przed nim ukryć. Mogła skulić się za samochodem albo wewnątrz niego, wystarczyło jednak, by zrobił parę kroków, a mógłby ją zabić, gdyby chciał.

– Niech pan będzie rozsądny, panie Gates. Nie musi się pan mnie obawiać. Chcę tylko pomóc.

Rozległ się trzeci wystrzał i lewy reflektor przestał istnieć. Następny pocisk wyrwał fragment lewej przedniej opony. Gates

skuteczniej złomował jej samochód.

Roberta była zmęczona, niewyspana i tak przerażona, że przestała zważać na cokolwiek. Nagromadzony stres, ruina jej dotychczasowego życia i składowanie go od nowa w innym miejscu wszystko to nagle spiętrzyło się w niej i czara się przebrała.

– Przestań, przestań, przestań, sukinsynu!

Tracąc resztki rozsądku postąpiła krok w jego kierunku. Wyszedł jej naprzeciw, trzymając broń opuszczoną w dół, lecz nie zdejmując palca ze spustu. Był zarośnięty, miał na sobie brudny dres, splamiony gnojem brązowy wacik i filcową czapkę z reklamą pasz dla zwierząt firmy Plaut.

– Wcale nie musiałam tu przyjeżdżać – Roberta ze zdumieniem słuchała własnego głosu. Był opanowany i rzeczowy.

Gates zmieszał się, lecz uniósł broń. Równocześnie usłyszeli nadjeżdżający samochód.

Ten moment wahania wystarczył. Mack McCartney włączył syrenę, brzmącą jak modulowany ryk gigantycznego stwora. Po chwili auto woczyło się na podjazd i wysiadł z niego komendant policji.

– Nie bądź frajerem, Phil, odłóż tę broń, bo będzie źle. Albo cię zastrzelę, albo przesiedzisz resztę życia w mamrze, gdzie nie będziesz już miał okazji zachlać mordy – rzekł cicho i spokojnie.

Gates oparł strzelbę o ścianę domu. McCartney zakuł go w kajdanki i zamknął w budzie dżipa, zabezpieczonej ciężką metalową kratą.

Ostrożnie, jak gdyby stąpała po cienkim lodzie, Roberta weszła do środka.

Letty Gates miała liczne wylewy podskórne – ślady pięści męża – i jak się później okazało, mikropęknięcia lewej kości łokciowej oraz dziewiątego i dziesiątego żebra. Roberta wezwała karetkę, która właśnie wróciła ze szpitala, dokąd trafił kierowca ciężarówki.

Ramię pani Gates zostało ujęte w szynę, umieszczone na temblaku i przymocowane do piersi szerokim bandażem, co częściowo usztywniało również żebra. Przed odjazdem karetki Mack zdążył wymienić koło w samochodzie Roberty. Pozbawiony świateł ford był ślepy jak kret, lecz i na to znalazł się sposób: McCourtney wolno ruszył z góry, ona zaś jechała tuż za nim.

Po powrocie do domu usiadła na brzegu łóżka i rozpłakała się.

Nazajutrz była uwiązana w gabinecie, ale Dennis Stanley, półetatowy urzędnik policyjny, pojechał jej explorerem do Greenfield. Kupił nową oponę, kazał wymienić oba reflektory i instalację elektryczną lewej lampy. Potem udał się do aresztu i przedstawił rachunki Philowi Gatesowi, wspierając je sugestią, że naprawienie szkód może świadczyć na jego korzyść, gdy sędzia będzie rozpatrywał prośbę o zwolnienie za kaucją. Wystawiony przez Gatesa czek Dennis przywiózł Robercie wraz z naprawionym samochodem. Doradził jej, by bez zwłoki poszła go zrealizować, co też uczyniła.

W grudniu fala chorób nareszcie opadła i Roberta z ulgą powitała możliwość złapania tchu. Profesor Cole miał spędzić Boże Narodzenie u przyjaciół na Florydzie, ale wybierał się do córki na cztery dni począwszy od dziewiętnastego grudnia.

Ta przedterminowa gwiazdka zbiegła się w czasie z żydowskim świętem Chanuka, toteż David i Sara chętnie przyjęli zaproszenie na uroczysty obiad.

Roberta wycięła małą choinkę z własnego lasu, co sprawiło jej nieopisaną przyjemność, i z zapałem zabrała się do gotowania.

Po posiłku wymienili prezenty. Roberta dała Davidowi niewielki obrazek przedstawiający sięn wiejskiej chaty, która nieco przypominała jego dom, oraz wielkie opakowanie drażetek MM. Dla ojca kupiła u Roche'ów bańkę syropu klonowego i dodała do niej słój miodu „Palce lizać!”. Dla Sary miała zbiór powieści Jane Austen. Ojciec z kolei podarował jej butelkę francuskiego koniaku, a David tom poezji Emily Dickinson. Sara zapakowała razem parę zrobionych przez siebie rękawic z owczej wełny i trzeci serdeczny kamień kolekcji Roberty. Nie omieszkała przy tym zaznaczyć, że udział w tych prezentach ma również Bobby Henderson.

– Wełna jest z owiec hodowanych przez jego matkę, a kamyk znalazłam u nich na podwórzu.

Ojciec Roberty starzał się. Był teraz jakby cichszy, bardziej niezdecydowany i nieco kapryśny. Przywiózł ze sobą violę. Ręce miał w takim stanie, że gra na niej sprawiała mu ból, ale twierdził, że tęskni za wspólnym muzykowaniem. Po rozdaniu prezentów Roberta usiadła przy fortepianie i seria duetów przerodziła się w długi koncert. Było jeszcze przyjemniej niż w Dniu Dziękczynienia. Roberta uznała w duchu, że to najwspanialsze Boże Narodzenie w jej życiu.

Kiedy David i Sara udali się do domu, ojciec wyszedł na ganek. Było mroźno, ośnieżona łąka lśniła warstwą lodu, a księżyc w pełni

kładł na niej smugę światła, jak na jeziorze.

– Posłuchaj rzekł ojciec.

– Czego?

– Tej nocnej ciszy.

Przez długą chwilę nasłuchiwali razem, wdychając krystaliczne powietrze. Wiatr ucichł i panował niezmacony spokój.

– Czy tu zawsze jest tak spokojnie? – spytał ojciec.

Roberta uśmiechnęła się.

– Przeważnie odparła.

27 PORA CHŁODÓW

David wpadł do niej pewnego popołudnia podczas jej nieobecności i trzykrotnie przedeptał oczyszczony szlak, ubijając głęboki śnieg, aby można było przejechać przez las na nartach. Ścieżka była zbyt krótka, przejażdżka pozostawiała niedosyt; oboje zgodzili się, że będą musieli dokończyć szlak przed przyszłą zimą, żeby zyskać lepszą trasę do jeżdżenia.

Zimą las stał się zupełnie innym miejscem. ślady na śniegu zdradzały obecność zwierząt, które latem przemknęłyby niepostrzeżenie: jeleni, norek, szopów, dzikich indyków, rysy. Jeden trop króliczy kończył się nagle w wygniecionym miejscu nieopodal szlaku. Kiedy David odgarnął śnieg kijkiem, odkrył zamarznąłą krew i strzępy białego króliczego futra resztki sowiej uczyty.

Śnieg stanowił ważny element życia w górach. Za radą Davida Roberta kupiła parę rakiet śnieżnych i ćwiczyła chodzenie w nich, aż osiągnęła znaczny postęp. Trzymała je w samochodzie, „na wszelki wypadek”. Tej zimy wszakże nie musiała z nich korzystać.

W początku stycznia nad Woodfield przeszła śnieżycą, którą nawet wioskowi nestorzy okrzyknęli straszną zawieruchą. Po całej dobie bezustannych, obfitych opadów śniegu, w chwili gdy Roberta siadała akurat do śniadania, rozdzwonił się telefon. Była to Bonnie Roche.

– Pani doktor, strasznie kłuje mnie w boku i mam takie mdłości, że musiałam przerwać w połowie dojenia.

– Czy ma pani gorączkę?

– Niezbyt wysoką, ale boli jak diabli.

– Po której stronie?

– Po prawej.

– Wysoko czy nisko?

– Wysoko... Sama nie wiem, chyba tak pośrodku.

– Czy miała pani usuwany wyrostek?

– Nie... Rany boskie, pani doktor! Ja nie mogę iść do szpitala, to w ogóle nie wchodzi w rachubę! Nie mamy na to pieniędzy!

– Nie uprzedzajmy faktów. Zaraz u pani będę.

Nie dojedzie pani dalej niż do skrzyżowania z główną szosą. Droga przez farmę nie jest przetarta.

– Niech się pani trzyma – rzekła posępnie Roberta. – Jakoś do was dotrę.

Dojazdówka miała półtorej mili długości. Roberta połączyła się z pogotowiem, w którym działała grupa ratownicza, wyposażona w skutery śnieżne. Spotkali się z nią u wlotu na drogę Roche'ów i po

chwili Roberta siedziała za Janem Smithem obejmując go mocno w pasie i wtulając czoło w jego plecy, kiedy mknęli po zasypanej głębokim śniegiem drodze.

Bonnie miała klasyczne objawy zapalenia wyrostka robaczkowego. W normalnych okolicznościach Roberta nie pozwoliłaby pacjentce z ostrym stanem wyrostka transportować skuterem śnieżnym, i w obecnej sytuacji nie mieli innego wyjścia.

– Nie mogę iść do szpitala, Paulie – odezwała się Bonnie do męża. – Nie mogę. Cholera, przecież zdajesz sobie z tego sprawę!

– Spokojnie. – Zostaw to mnie – odpowiedział Paul Roche. Był kościsty dwudziestoparoletni mężczyzna, który nadal wyglądał zbyt młodo, by legalnie napić się w barze. Zawsze był zajęty pracą i zawsze miał zmartwioną minę, która znaczyła jego chłopięcą twarz grymasem starca.

Mimo protestów Bonnie została usadzona za Dennisem Stawnleyem, który ruszył naprzód tak powoli, jak tylko się dało. Jechali skulona, osłaniając brzuch. Przy głównej drodze czekała karetka Bonnie prędko została umieszczona na noszach i uwięziona w dal; tylko ryk syreny jeszcze przez chwilę ciął zalegającą wokół ciszę.

W kwestii pieniędzy, doktor Cole... Nie jesteśmy ubezpieczeni – powiedział Paul.

– Czy wasz zysk z farmy przekroczył w zeszłym roku trzydzieści sześć tysięcy?

– Przekroczył? – Paul uśmiechnął się gorzko. – Pani chyba żartuje.

– Zatem zgodnie z ustawą Hilla-Burtona nie zostaniecie obciążeni kosztami pobytu w szpitalu. Dopilnuję, żeby otrzymał pan

odpowiednie dokumenty.

– Naprawdę?

– Tak. Tylko... niestety, ustawa Hilla-Burtona nie dotyczy honorariów lekarzy. O moje wynagrodzenie niech się pan nie martwi – dodała z przymusem. – Będzie pan jednak musiał opłacić chirurga, anestezjologa, radiologa i patologa.

Poczuła żal, gdy jego oczy znów wypełniło strapienie.

Wieczorem opowiedziała Davidowi o kłopotach Roche'ów.

– Ustawa Hilla-Burtona miała chronić biednych przed kompletną ruiną, ale mija się z celem, bo pokrywa tylko rachunek szpitala. Finansowo Roche'owie stąpają po cienkim lodzie. Pozostałe koszty mogą wystarczyć, żeby ich pogрузić na amen.

– Tylko że szpital podnosi żądania wobec firm ubezpieczeniowych, żeby odzyskać to, czego nie zdoła ściągnąć od pacjentów takich jak Bonnie – rzekł z namysłem David. – A firmy ubezpieczeniowe podnoszą stawki, żeby pokryć zwiększone koszty. Tak, więc w końcu pobyt Bonnie w szpitalu opłacają ci, którzy wykupują ubezpieczenia zdrowotne.

Roberta kiwnęła głową.

– System jest fatalny. Zupełnie nie zdaje egzaminu. Trzydzieści siedem milionów ludzi w tym kraju nie ma uprawnień do świadczeń leczniczych. Inne rozwinięte gospodarczo państwa na przykład Niemcy, Włochy, Francja, Japonia, Wielka Brytania czy Kanada obejmują opieką zdrowotną wszystkich obywateli, zaś koszty są o wiele mniejsze w porównaniu z tym, co najbogatszy kraj świata wydaje na kompletnie niewydolną służbę zdrowia. Powinniśmy się wstydzić.

David westchnął.

– Wątpię, by Paul utrzymał się na gospodarstwie, nawet, jeśli uda mu się pokonać ten problem. Gleba w górach jest cienka i kamienista. Mamy trochę kartoflisk, kilka sadów, a dawniej część farmerów uprawiała tytoń. Ale naprawdę dobrze rośnie tu tylko trawa. Dlatego kiedyś wszyscy hodowali krowy. Niestety, rząd nie subsydiuje już cen mleka i zarobić na nim mogą jedynie wielcy producenci gigantyczne gospodarstwa o wielkim pogłowie w stanach Wisconsin i Iowa.

O tym właśnie mówiła jego powieść.

– Małe farmy w tej okolicy jedna po drugiej zrobiły klapę. A gdy zmalała ich liczba, runął też system wspomagający rolnictwo. W tej chwili tylko dwóch weterynarzy leczy jeszcze zwierzęta hodowlane. Handel sprzętem rolniczym przestał się opłacać, więc kiedy komuś takiemu jak Paul potrzebna jest część do traktora lub snopowiązałki, musi po nią jechać do innego stanu. Drobnny farmer skazany jest na zagładę – perorował z przejęciem. – Pozostali tylko ci naprawdę zamożni albo tacy jak Bonnie i Paul nieuleczalni marzyciele.

Roberta przypomniała sobie określenie ojca.

– Ostatni kowboje szukający prerii, która już nie istnieje?

David wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Coś w tym rodzaju.

– Marzenia to nic złego.

Postanowiła w duchu dołożyć wszelkich starań, aby Bonnie i Paul utrzymali się na swojej ziemi.

Sara wyjechała ze szkolnym kółkiem teatralnym na dwudniowy biwak do New Haven i David nieśmiało spytał, czy mógłby zostać

u niej na noc.

Była to jakby zmarszczka na spokojnej tafli ich związku, David jej nie przeszkadzał, ale nagle zaczął w większym stopniu wypełniać przestrzeń życiową, a do tego musiała się dopiero przyzwyczaić. Kochali się, potem został w jej pokoju, rozparty na ponad połowie łóżka, i spał tak mocno, jak gdyby spędził tu tysiąc poprzednich nocy.

O jedenastej wciąż nie mogła usnąć. Wymknęła się z łóżka, poszła do salonu i cicho włączyła telewizor. W wieczornych wiadomościach usłyszała jednego z senatorów, który piętnował Hillary Clinton jako „fantastkę, która chce wszystkim dogodzić”, albowiem przysięgła, że wywalczy zatwierdzenie ustawy o powszechnej opiece zdrowotnej. Senator był milionerem, a leczył się za darmo w szpitalu Marynarki Wojennej w Bethesda. Roberta potrząsnęła pięścią w stronę ekranu, klnąc wściekłym szeptem, aż zaczęła się śmiać z własnej głupoty. Wyłączyła senatora w pół zdania i wróciła do łóżka.

Na dworze wył wiatr, zimny jak serce polityka. Z rozkoszą wmościła się w ciepłe ciało Davida, przylgnęła do niego niczym jedna łyżka do drugiej w etui. Po chwili spała już równie mocno jak on.

28 WZBIERAJĄCE SOKI

Nadejście wiosny było dla Roberty zaskoczeniem. W czwartym tygodniu zimnego, ponurego lutego, kiedy w jej duszy wciąż jeszcze panowała mroczna zima, spostrzegła nagle, że w mijanych lasach pojawili się ludzie. Wbijali w pnie klonów drewniane lub metalowe szpikulce i wieszali na nich zbiorniczki albo rozciągali plastikowe rurki niczym gigantyczną sieć żył, zbiegającą się w większych pojemnikach. Wczesny marzec przyniósł pogodę odpowiednią do zbierania słodkiego syropu mroźne noce i cieplejsze dni.

Drogi, co dzień rano tajały, zmieniając się w kanały wypełnione kleistą mazią. Roberta wpadła w tarapaty, gdy tylko zaryzykowała dojazd do domu Roche'ów. Po kilkunastu jardach eksplorator zarył się w błocie aż po osie.

Wysiadła z samochodu i natychmiast zaczęła się zapadać, jak gdyby coś wciągało ją pod ziemię. Odczepiła stalową linkę z zamocowanego na zderzaku kołowrotu i pobrała z nią pod górę, aż ponad sto jardów linki legło za nią w błocie. Wybrała wielki dąb, który wyglądał, jakby był zakotwiczony w ziemi od początku świata, okrążyła go z liną i zatrzasnęła hak tak, że drzewo znalazło się wewnątrz pętli.

Wyciągarkę uruchamiało się pilotem. Roberta odsunęła się na bok i nacisnęła guzik, po czym przyglądała się zafascynowana, jak nawijana na kołowrót lina napręża się stopniowo i nieubłaganie. Koła z głośnym młaśnięciem wynurzyły się z błota; ford zaczął powoli przesuwac się do przodu. Po dwudziestu jardach wyłączyła wyciągarkę, wróciła do samochodu i uruchomiła silnik. Tym razem opony złapały przyczepność, odczepiła więc linę i po paru minutach zajęchała przed oborę Roche'ów.

Pozbawiona wyrostka robaczkowego Bonnie siedziała sama w domu. Nadal nie mogła wykonywać cięższych prac, toteż Sam Roche, piętnastoletni brat Paula, przychodził codziennie rano przed lekcjami i wieczorem po kolacji, żeby wydoić krowy. Paul podjął pracę jako ładowacz w fabryce noży w Buckland. Wracał do domu o trzeciej po południu i aż do zmierzchu zbierał sok klonowy, a potem gotował go prawie przez całą noc. Zbieranie i warzenie czterdziestu galonów soku w celu otrzymania jednego galonu syropu było katorgą, ale ludzie dobrze płacili za syrop, a zadłużeni po uszy Rochc'owie potrzebowali każdego dolara.

– Jestem przerażona, pani doktor – powiedziała Robercie Bonnie.
– Boję się, że Paul tego nie wytrzyma. Jeśli któreś z nas znowu zachoruje, będziemy mogli pożegnać się z farmą.

Roberta żywiła te same obawy, lecz energicznie potrząsnęła głową.

– Nie dopuścimy do tego – powiedziała.

Były w jej życiu chwile, których nie mogła zapomnieć.

22 listopada 1963 roku. Wchodziła właśnie na lekcję łaciny. Dwóch nauczycieli rozmawiało o tym, że John F. Kennedy zginął od kuli w Dallas.

4 kwietnia 1968. Zwracała książki w bostońskiej bibliotece publicznej, kiedy spostrzegła, że bibliotekarka płacze. Dowiedziała się od niej, iż kula skrytobójcy dosięgła Martina Luthera Kinga.

5 czerwca tego samego roku. Całowała się z chłopakiem w samochodzie pod domem pamiętała, że chłopak był niezgrabny i grał jazz na klarncie, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak miał na imię. Właśnie dotknął jej piersi, okrytych niczym zbroją grubym

swetrem i sztywnym stanikiem. Zastanawiała się, jak ma zareagować, gdy radio w samochodzie podało komunikat, że Robert Kennedy został ranny i jest umierający.

Była w tym zbiorze również chwila, w której usłyszała o śmierci Johna Lennona i ta, kiedy eksplodował „Challenger”

Teraz, w domu Barbary Kingsmith, w deszczowy marcowy poranek przeżyła kolejny paraliżujący moment.

Pani Kingsmith cierpiała na zapalenie nerek; gorączka ani trochę nie powściągnęła jej gderliwości i właśnie zawzięcie krytykowała koloru na jaki zostało pomalowane wnętrze ratusza, kiedy do Roberty doleciało kilka słów z drugiego pokoju, w którym córka pani Kingsmith oglądała telewizję.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała do chorej i podeszła bliżej odbiornika.

Usłyszała, iż jeden z aktywistów ruchu „Prawo do życia”, niejaki Michael F. Griffin, zastrzelił doktora Davida Gunn pracującego w klinice aborcyjnej na Florydzie. Członkowie ruchu zbierali pieniądze, żeby zaangażować dla Griffina najlepszego z dostępnych obrońców sądowych.

Pod Robertą kolana ugięły się ze strachu. Gdy wyszła od Kingsmithów, pojechała prosto do Davida.

Znalazła go w biurze. Tulił ją, pocieszał, wysłuchał bezładnej opowieści o wykrzywionych twarzach, jakie mijała tylekroć w Jamaica Plain, o ludzkich oczach kipiących nienawiścią. Teraz wiedziała, czego bała się w każdy czwartek: wycelowanej w nią lufy pistoletu i palca naciskającego spust.

Odwiedzała Evę Goodhue częściej niż było to konieczne z lekarskiego punktu widzenia. Eva mieszkała tuż obok gabinetu i Roberta często korzystała z okazji, by posłuchać wspomnień starej kobiety o tym, jak wyglądało Woodfield w czasach jej młodości.

Zwykle przynosiła lody, jadły je i rozmawiały. Eva miała jasny umysł i doskonałą pamięć. Opowiadała Robertcie o sobotnich potańcówkach, które ongiś urządzano na piętrze ratusza, przychodzili tam wszyscy mieszkańcy miasteczka, przyprowadzali ze sobą nawet dzieci. Opowiadała, jak zimą stu mężczyzn naraz cięto w bloki lód na stawie i wozilo go do lodowni. Pewnego wiosennego ranka lód załamał się i zaprzężony w cztery konie wóz pogrążył się w czarnej toni. Woźnica nazwiskiem Chink Roth nie zdołał się uratować.

Ewa zdumiała się, kiedy Roberta powiedziała jej, gdzie mieszka.

– Coś podobnego. Spędziłam w tamtych stronach prawie całe życie. Mieliśmy gospodarstwo o milę dalej, przy drodze biegnącej w górę.

– Tam, gdzie mieszkają teraz Freda i Hank Krantz?

– Masz tobie! To właśnie oni kupili naszą farmę.

Posiadłość Roberty należała w owych czasach do niejakiego Harry'ego Crawforda.

– Miał żonę imieniem Rosalie – mówiła Eva. – Ten kawałek ziemi też kiedyś należał do nas, Crawford kupił go i zbudował na nim dom, w którym pani teraz mieszka. Miał nad rzeką niewielki młyn z prądnicą. Wycinał drzewa z lasu i robił najrozmaitsze rzeczy: skopki, maślnice, wiosła i motyki, jarzma dla wołów, kółka do serwetek, czasem meble. Młyn spalił się wiele lat temu. Fundamenty pewnie jeszcze stoją, tylko musiałyby się pani dokładnie przyjrzeć. Pamiętam... och, mogłam mieć wtedy siedem

albo osiem lat... co chwilę zbiegałam na dół i patrzyłam, jak Harry Crawford z dwoma robotnikami piłuje deski i stawia ten dom. Tamtych dwóch nie znałam, ale przypominam sobie, że pan Crawford zrobił dla mnie malutki pierścionek z ciesielskiego gwoźdźdza. – Eva ujęła Robertę za rękę i uśmiechnęła się do niej. – Wie pani, to sprawia, że traktuję panią jak sąsiadkę.

Roberta wypytała ją dokładnie, mając nadzieję, że dzieje Crawfordów rzucą nieco światła na sprawę dziecięcego szkieletu wykopanego na jej ziemi. Nie dowiedziała się jednak niczego konkretnego.

Kilka dni później wstąpiła do małego drewnianego domu przy Main Street, w którym mieściło się Muzeum Historyczne Miasta Woodfield, i przejrzała pożółkłe rejestry. Crawfordowie mieli czworo dzieci. Dwoje, Tyrone Joseph i Linda Ræ, zmarło w dzieciństwie. Zostali pochowani na miejskim cmentarzu. Druga córka, Barbara, zmarła w wieku dojrzałym w miejscowości Ithaca w stanie Nowy Jork; po mężu nosiła nazwisko Sewall. Harry Hamilton Crawford Junior wyjechał do Kalifornii i nikt o nim więcej nie słyszał.

Harry i Rosalie Crawford byli członkami Pierwszego Kościoła Kongregacjonistów w Woodfield. Dwoje dzieci pochowali na cmentarzu. Czy było prawdopodobne, zapytywała się Roberta, by złożyli niemowlę w podmokłej, nie poświęconej ziemi, bez nagrobka?

Trudno było w to uwierzyć. Chyba że z narodzinami dziecka wiązało się coś, czego Crawfordowie głęboko się wstydzili.

Zagadka pozostała nie rozwiązana.

Znajomość Roberty z Toby Smith wykroczyła poza zwykłe stosunki szefowej i pracownicy. Zostały prawdziwymi

przyjaciółkami, mogły szczerze i w zaufaniu rozmawiać o sprawach ważkich. Tym trudniej było Robertcie pogodzić się z faktem, że nie zdołała pomóc Toby w poczęciu dziecka.

– Mówiłaś, że wynik biopsji śluzówki macicy był prawidłowy a nasienie Jana także jest w porządku. Robiliśmy wszystko według twoich wskazówek...

– Czasami po prostu nie da się ustalić przyczyny bezpłodności – westchnęła Roberta, nękana wyrzutami sumienia. – Powinniście oboje wybrać się do specjalisty. Do Bostonu lub Danmouth.

– Wątpię, czy Jan da się namówić. Jest tym wszystkim zmęczony. Oboje mamy już dość – rzekła posepnie Toby. – Pomówmy o czym innym.

Wobec tego Roberta opowiedziała jej szczerze o Davidzie. Toby jednak powstrzymała się od komentarza.

– Zdaje się, że za nim nie przepadasz?

– Ależ skąd! – obruszyła się Toby. – David to przyzwoity facet. Większość ludzi go lubi, ale nikt nie poznał go bliżej. On tak jakby... żyje wewnątrz siebie, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Roberta wiedziała.

– Ważne, czy ty go lubisz – dodała Toby.

– Tak, ale nie na tym polega pytanie. Chodzi o to, czy go Kocham.

Toby uniosła brwi.

– A kochasz go?

– Nie wiem. Tak krańcowo się od siebie różnimy. David określa się mianem niedowiarka, a jest tak uduchowiony, że w ogóle wymyka się to mojemu pojmowaniu. Dotychczas wierzyłam wyłącznie w antybiotyki. – Roberta uśmiechnęła się smętnie. – Teraz nawet ich nie jestem pewna.

– Zatem... dokąd zmierzacie?

Roberta wzruszyła ramionami.

– Będę musiała się wkrótce zdecydować. Mam wrażenie, że nie traktuję go uczciwie.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabyś być nieuczciwa wobec kogokolwiek.

– Mogłabyś się zdziwić odparła sucho Roberta.

David pracował nad zakończeniem książki. Widywali się rzadziej, ale Robertę cieszyła myśl, że zbliża się do mety po długim wysiłku.

Nieliczne wolne chwile spędzała w samotności. Spacerując wzdłuż rzeki znalazła fundamenty młyna Harry'ego Crawforda, zbudowane z wielkich bloków ciosanego kamienia. Zarosły je gęsto krzewy i młode drzewka, a kilka kamieni osunęło się do koryta rzeki. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże Davidowi to miejsce.

Tuż obok ruin młyna znalazła mały kamyk w kształcie serca, niebieskawy minerał, którego nie potrafiła zidentyfikować. Nie wyglądał na obdarzony czarodziejską mocą.

Pod wpływem impulsu zadzwoniła do Sary.

– Masz ochotę wybrać się ze mną do kina?

– Hm... pewnie.

Głupi pomysł zbeształa się w duchu Roberta. Ku jej miłemu zaskoczeniu wszakże było bardzo przyjemnie. Pojechały do Pittsfield, zjadły kolację w tajlandzkiej restauracji i obejrzały film.

– Musimy to powtórzyć – powiedziała szczerze Roberta. Jak myślisz?

– Jasne przytaknęła z zapalem Sara.

Przez kilka tygodni jednak Roberta miała mnóstwo pracy. Parokrotnie spotkała Sarę na Main Street i dziewczyna uśmiechała się do niej. Ich wzajemne stosunki stawały się coraz mniej wymuszone. Pewnego sobotniego popołudnia Sara zaskoczyła ją, podjeżdżając pod ganek wierzchem na Chaimie.

- Dzień dobry! – zawołała, przywiązując lejce do poręczy.
- Jak to miło, że wpadłaś. Napijesz się herbaty?
- Bardzo chętnie.

Roberta właśnie skończyła piec słodkie bułeczki według przepisu, który dostała od Ewy Goodhue. Podała je na stół.

- Chyba czegoś im brakuje, jak myślisz? – zapytała niepewnie.
- Sara ugryzła kęs.

– Mogłyby być pulchniejsze. Czy wiele rzeczy może spowodować zatrzymanie okresu?

Roberta w jednej chwili zapomniała o swoich problemach kuchen nych.

– O tak. Mnóstwo. Czy zdarzyło się to pierwszy raz? Ile miesiączek się nie pojawiło? Jedna?

– No... parę.

– Rozumiem powiedziała raźnie Roberta kontrolowanym tonem „lekarki-równiachy” – Czy są jakieś inne objawy?

– Mdłości i wymioty – powiedziała jej Sara. Można by to określić jako „poranną słabość”

– Czy chodzi o jakąś twoją koleżankę? Wolałabym, żeby sama do mnie przyszła.

Sara podniosła ciastko, jakby zastanawiała się, czy ma je ugryźć czy nie, odłożyła je z powrotem na talerz. Spojrzała na Robertę mniej więcej takim samym wzrokiem, jakim przyglądała się ciastku.

Kiedy się odezwała, w jej głosie dała się słyszeć tylko odrobina goryczy i bardzo leciutkie drżenie.

– Chodzi o mnie.

CZĘŚĆ TRZECIA

KAMIENNE SERCA

29 ŻYCZENIE SARY

Tej wiosny Sara nosiła taką samą fryzurę jak dziesiątki młodych aktorek filmowych długie włosy skręcone w potargane pierścionki, Jej czułe smutne oczy za grubymi szklami wydawały się większe i bardziej świetliste. Pełne usta drżały, a przygarbione, napięte ramiona zdawały się oczekiwać karzących ciosów surowego Boga. Na brodzie znów pojawiły się pryszczki, jeden wykwitł w zagłębieniu skrzydełka nosa. W tej chwili, starając się ukryć rozpacz, wyglądała jak jej zmarła matka, której zdjęcia Roberta oglądała ukradkiem. Sara była jednak wyższa i przejęła też coś z mocnych rysów twarzy Davida; jej uroda zapowiadała się bardziej interesująco niż ta, która bila z fotografii Natalie.

Wypytana dokładnie przez Robertę, przyznała, że owe „parę” brakujących okresów to dokładnie trzy.

- Dlaczego nie przyszedł do mnie wcześniej? – spytała Roberta.
- Zawsze mam tak nieregularny okres. Myślałam, że w końcu się pojawi.

Ponadto, jak stwierdziła, nie mogła się zdecydować. Dzieci są takie rozkoszne. Godzinami wylegiwała się na łóżku, wyobrażając sobie ich ciepłą miękkość, słodką bezradność. Ale... że przytrafiło się to jej?

– Nie zabezpieczyliście się?

– Nie.

– Saro, w szkole bez przerwy trąbią wam o AIDS – Roberta nie zdołała ukryć goryczy w głosie.

– Wiedzieliśmy, że się nie zarazimy.

– Tego nie można wiedzieć.

– Żadne z nas nie robiło jeszcze tego z nikim. Za pierwszym razem Bobby włożył kondom, ale za następnym nie byliśmy przygotowani.

Prostaczkowie Boży – sarknęła w duszy Roberta zmuszając się do opanowania.

– Rozmawiałaś o tym z Bobbym?

– Sika w majtki ze strachu – stwierdziła sucho Sara.

Roberta kiwnęła głową bez słowa.

– Mówi, że jeżeli chcę, możemy wziąć ślub.

– A chcesz tego?

– Robbie... ja bardzo go lubię, właściwie nawet Kocham, ale nie tak... no wiesz, na wieki wieków. Mam świadomość, że on jest o wiele za młody, żeby być dobrym ojcem, a ja jestem za młoda, żeby być dobrą matką. Bobby chce studiować prawo i zostać wielkim adwokatem jak jego ojciec, a ja – Sara odrzuciła z oczu pukiel włosów – też muszę się uczyć. Mam zamiar być meteorologiem.

– Naprawdę?

Mając w pamięci kolekcję kamieni Sary, Roberta podejrzewała by ją raczej o zainteresowanie geologią.

– Codziennie oglądam prognozy w telewizji. Niektórzy z tych facetów to zwyczajni komedianci, którzy nie mają zielonego pojęcia, o czym mówią. Naukowcy dowiadują się wciąż nowych rzeczy o pogodzie i myślę, że inteligentna pracowita kobieta może w tej branży daleko zajść.

Roberta uśmiechnęła się przelotnie, lecz zaraz spoważniała. Widziała, do czego zmierza ta rozmowa, lecz nie chciała dziewczynie niczego sugerować.

– Wobec tego jakie masz plany?

– Nie mogę sobie pozwolić na wychowywanie dziecka.

– Myślałaś o adopcji?

– Sporo. Jesienią będę w maturalnej klasie. To ważny rok. Chcąc wstąpić do college'u, muszę dostać stypendium, a nie zdobędę go, jeśli będę musiała borykać się z ciążą. Muszę ją usunąć.

– Jesteś pewna?

– Tak. To szybki zabieg, prawda?

Roberta westchnęła.

– O ile nie zajdą żadne komplikacje.

– Często się zdarzają?

– Niezbyt często, co jednak nie zmienia tego, że mogą się przytrafić w każdej chwili. Aborcja jest zabiegiem inwazyjnym.

– Możesz chyba skierować mnie gdzieś, gdzie robią to porządnie?

Pięgi, odcinające się wyraźnie w bladej twarzy, nadawały Sarze tak młody i kruchy wygląd, że Roberta przez chwilę nie mogła wydobyć głosu.

– Owszem, mogę cię zabrać do dobrej kliniki, jeśli się zdecydujesz. Powinnyśmy to przedyskutować z twoim ojcem.

– On nie może o niczym wiedzieć! Ani słowa, rozumiesz?

– Robisz błąd, Saro!

– Pozwól, iż ja to ocenię. Myślisz, że znasz go lepiej niż ja? Po śmierci mamy omal nie zapił się na śmierć. Teraz znów może zacząć pić, a ja nie podejmę takiego ryzyka. Jesteś dla niego bardzo dobra, Roberto, i widzę, że jest tobą oczarowany, ale mnie również kocha. A poza tym... chyba patrzy na mnie przez różowe okulary. Boję się, że mógłby się załamać.

– To ogromnie ważna decyzja, Saro. Nie powinnaś podejmować jej sama.

– Nie jestem sama. Mam ciebie.

Roberta czuła, że musi postawić pewne sprawy jasno.

– Nie jestem twoją matką powiedziała twardo.

– Nie potrzebuję matki, tylko przyjaciółki – Sara zmierzyła ją wzrokiem. – Zrobię to z twoją pomocą lub bez niej. Ale naprawdę chcę, żebyś była przy mnie.

Roberta zamyśliła się, po czym skinęła głową.

– Dobrze. Przecież jestem twoją przyjaciółką.

Musiała mieć nietęgą minę, bo Sara wzięła ją za rękę.

– Dziękuję ci. Będziemy musiały wyjechać na kilka dni?

– Z tego, co mówiłaś, wynika, że zaczął się już drugi trymestr ciąży. Tak późna aborcja to zabieg dwudniowy, po którym występuje krwotok, zwykle niewiele obfitszy od silnej miesiączki, ale nigdy nic nie wiadomo. Musisz być przygotowana na spędzenie poza domem przynajmniej jednej nocy. Tylko że... w Massachusetts

dziewczyna, która nie ukończyła osiemnastu lat, musi mieć pisemną zgodę rodziców na przerwanie ciąży.

Sara spojrzała na nią.

– Możesz mi to zrobić tutaj.

Wykluczone – powiedziała stanowczo, ujmując drugą dłoń dziewczyny. Wyczuła krzepiącą żywotność młodości. – Mój gabinet nie jest odpowiednio wyposażony. Poza tym chcemy ograniczyć ryzyko. Jeżeli jesteś absolutnie zdecydowana, masz dwa wyjścia: możesz jechać na zabieg do innego stanu albo poprosić sędziego o pozwolenie na aborcję w tym stanie bez zgody ojca.

– O Boże! Publicznie?

– Nie, skądże. Spotkasz się z nim w cztery oczy.

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Sara przyparła ją do muru. Nie mogła się wykręcić, zresztą winna była dziewczynie odpowiedź.

– Poszłabym do sędziego – powiedziała sucho. – Mogę was umówić na spotkanie. Bardzo rzadko się zdarza, by sędzia odmówił zgody. Potem pojedę z tobą do kliniki w Bostonie. Kiedyś tam pracowałam i wiem, że jest dobra.

Sara uśmiechnęła się i otarła oczy końcami palców.

– Tak właśnie zrobimy. Ile to będzie kosztować?

– Wczesna aborcja kosztuje trzysta dwadzieścia dolarów. usunięcie ciąży w drugim trymestrze jest bardziej skomplikowane i droższe. Nie masz pięciuset pięćdziesięciu dolarów, prawda?

– Nie.

– Ja zapłacę połowę. Drugą połowę będzie musiał pokryć Bobby Henderson. Zgoda?

Sara kiwnęła głową. Dopiero teraz jej ramiona zaczęły drżeć.

– Najpierw muszę cię umówić na badania – dodała Roberta.

Wbrew temu co powiedziała dziewczynie, już myślała o niej jak o... może nie córce, lecz o kimś, z kim łączy ją silna więź osobista. Nie była w stanie zbadać Sary Markus, tak jak nie mogłaby tego zrobić gdyby sama wydała ją na świat, sama uczyła ją stawiać pierwsze kroki i gdyby to ona jechała z Sarą windą w tamtym domu towarowym.

Podniosła słuchawkę, wykręciła numer Daniela Noyesa w Greenfield i umówiła się, że przywiezie Sarę na badania.

Doktor Noyes określił ciążę na czternasty tydzień,

Za długo. Jędrny młody brzuch dziewczyny ledwie się uwypuklił, lecz już niedługo miał pozostać płaski. Roberta wiedziała, że z każdym mijającym dniem komórki się mnożą, płód rośnie i aborcja staje się coraz trudniejsza. Ustaliła termin przesłuchania z sędzią Geoffreyem J. Moynihanem. Zawiozła Sarę do sądu, ucałowała ją przed drzwiami i usiadła na twardej drewnianej ławce w marmurowym korytarzu.

Celem rozmowy było przekonanie sędziego Moynihana, że Sara jest wystarczająco dojrzała, by poddać się aborcji. Dla Roberty stanowiło to paradoks; jeśli dziewczyna była zbyt niedojrzała na aborcję, jak mogła sprostać wychowaniu dziecka?

Po upływie dwunastu minut Sara wyszła z gabinetu i z powagą skinęła głową.

Roberta objęła ją i razem wróciły do samochodu.

„Czymże jest w sumie kłamstwo? Prawdą, tylko w przebraniu” – napisał Byron. Roberta nienawidziła maskarady.

Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Davidzie, porywam twoją córkę na dwa dni do Bostonu. Wycieczka wyłącznie dla pań.

– No, no! A cóż takiego jest w Bostonie?

– Po pierwsze, powtórka inscenizacji „Nędzników” w wykonaniu objazdowej trupy. Po drugie, będziemy się włóczyć po sklepach. Chcę, żebyśmy się lepiej poznały – Roberta czuła się ponizona tym oszustwem. Nie widziała jednak innego sposobu.

Zachwycony David ucałował ją i ze śmiechem udzielił im błogosławieństwa na drogę.

Roberta upредиła telefonicznie Monę Wilson, że przywiezie ze sobą siedemnastoletnią pacjentkę w drugim trymestrze ciąży.

– Ta mała wiele dla mnie znaczy. Mono. Bardzo wiele.

– Oczywiście, Roberto, zrobimy wszystko, żeby ją zadowolić – odpowiedziała Mona głosem nieco chłodniejszym niż zwykle.

Roberta pojęła aluzję, że dla Mony nie ma pacjentek ważniejszych i mniej ważnych, ale nie dała za wygraną.

– Czy Les Ustinovich nadal u was pracuje?

– Tak.

– Czy mogłabym prosić, żeby to on robił zabieg?

– Doktor Ustinovich dla Sary Markus, raz! Załatwione.

Wsiadając do samochodu, Sara była nienaturalnie promienna i beztroska. Za radą Roberty, która wyjaśniła jej, że będzie musiała się rozebrać tylko od pasa w dół, miała na sobie luźny dwuczęściowy komplet.

Dzień był ciepły, powietrze czyste jak szkło. Nie spiesząc się zbytnio dotarli do Bostonu w ciągu niecałych trzech godzin.

Przed kliniką tym razem nie demonstrowano, na chodniku stali tylko dwaj znudzeni policjanci, których twarze wydały się Robertcie obce. Kiedy weszły do środka, recepcjonistka Charlotte wydała na ich widok radosny okrzyk.

– Witam emigrantkę! – zawołała, zrywając się zza biurka żeby ucałować Robertę w policzek.

Rotacja personelu była tu wysoka. Połowy ludzi, kręcących się po korytarzach, Roberta nie знаła. Reszta witała ją owacyjnie, z czego Roberta była szczególnie rada, ponieważ wyraźnie dodawało to Sarze otuchy. Nawet Mona tym razem przełamała rezerwę i mocno ją uściskała. Les Ustinovich, wymiętoszony i zrzędnny jak zwykle obdarzył ją przelotnym, lecz ciepłym uśmiechem.

– Co słysząc na dzikich kresach?

– Wszystko w porządku, Les.

Przedstawiła mu Sarę, po czym wzięła go na bok i cicho wyjaśniła, że ta pacjentka jest dla niej kimś szczególnym.

– Cieszę się, że znalazłeś czas, żeby się nią zająć.

– Tak? – Les studiował kartotekę Sary. Zauważył, że badań wstępnych nie robiła Roberta, lecz Daniel Noyes. Zerknął na ciekawie. – To twoja krewna?

– Jej ojciec jest mi bliski.

– Ho-ho! Szczęściarz! – Les ruszył w stronę drzwi, lecz odwrócił się jeszcze. – chcesz asystować?

– Nie, dzięki. – Wiedziała, że jest to propozycja grzecznościowa.

Towarzyszyła Sarze podczas kilkugodzinnych przygotowań, rejestracji i badań medycznych. Czekwała na korytarzu, czytając

dwumiesięcznego „Time’a” w czasie, gdy Sarze udzielano pouczeń, z których większość już słyszała, albowiem Roberta omówiła z nią wszystko tak dokładnie, jak to tylko możliwe.

Ostatnim etapem tego dnia miało być założenie laminarii.

Roberta wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w stronicę czasopisma, wiedząc, że za ścianą Sara leży na stole z nogami w strzemionach, zaś Beth-Ann DeMarco, pielęgniarka, umieszcza w szyjce macicy zwitek wodorostów, cienki patyczek dwucalowej długości. Przy wczesnych aborcjach Roberta rozszerzała wejście do macicy prętami z nierdzewnej stali o coraz większym przekroju. W drugim trymestrze to nie wystarczało, używało się, bowiem większej łyżeczki. W ciągu nocy wodorost pęczniał, wchłaniając wilgoć z ciała, i nazajutrz otwór miał odpowiednią wielkość.

Beth-Ann DeMarco odprowadziła je do wyjścia, opowiadając Robertce plotki o byłych pracownikach kliniki.

– Będziesz czuła lekki ucisk – rzuciła mimochodem do Sary a w nocy mogą wystąpić skurcze.

Z kliniki udały się do hotelu nad Charles River. Kiedy się rozpakowały, Roberta zabrała Sarę do restauracji Changa, mając nadzieję, że skwiercząca zupa i kaczka po pekińsku poprawią dziewczynie humor. W połowie deseru musiały jednak zostawić napoczęte lody imbirowe, ponieważ „lekki ucisk”, o którym wspominała pielęgniarka, nagle przerodził się w silne skurcze.

Zanim dotarły do hotelu, Sara była blada i zgięta w pół. Wyjęła z torebki kryształowe kamienne serce i położyła je na stoliku przy łóżku, po czym zwinęła się w kłębek, powstrzymując płacz.

Roberta podała jej kodeinę, zrzuciła buty i przysiadła obok, boleśnie pewna, że spotka się z odprawą. Sara jednak wtuliła twarz

w jej ramię.

Roberta pogłaskała ją po policzku i przygładziła jej włosy.

– Widzisz, kochanie, aż szkoda, że do tej pory byłaś taka zdrowa. Gdybyś miała za sobą parę wizyt u dentysty albo operację wyrostka, wiedziałabyś, że pan doktor serdecznie się tobą zajmie, a ból wkrótce minie. Jeszcze tylko do jutra, potem już wszystko będzie dobrze – powiedziała, przygarniając dziewczynę do siebie. Długo tuliła ją tak, jak tuliłaby własną córkę.

Nazajutrz wczesnie rano przybyły do kliniki. Les Ustinovich, który nie zdążył jeszcze wypić porannej kawy, przywitał je skinieniem głowy i nieartykułowanym pomrukiem. W czasie, gdy wchłaniał niezbędną porcję kofeiny, wezwano je do pokoju zabiegowego, gdzie Sara została ułożona na stole.

Dziewczyna była blada i sztywna z napięcia. DeMarco zaaplikowała jej znieczulenie przyszyjkowe, dwadzieścia centymetrów sześciennych lignokainy, a potem podłączyła kroplówkę. Jak gdyby los sprzyścił się przeciwko nim, musiała wkłuwać się trzy razy, zanim trafiła w żyłę, a Sara ścisnęła dłoń Roberty tak mocno, że omal nie zmiażdżyła jej kości.

– Zaraz poczujesz się lepiej powiedziała Roberta, gdy DeMarco dodała do kroplówki sto mikrogramów uspokajającego fentanylu. Ustinovich wszedł i spojrzał na ich splecione ręce.

– Lepiej, jeśli pójdziesz teraz do poczekalni, Roberto.

Czuła, że Les ma rację.

Oswobodziła dłoń i ucałowała Sarę w policzek.

– Niedługo się zobaczymy.

Usiadła na twardym krześle pomiędzy młodym kościstym mężczyzną, skoncentrowanym wyłącznie na ogryzaniu paznokci, a kobietą w średnim wieku, która udawała, że czyta postrzępiony egzemplarz Czerwonej książeczki. Roberta wzięła ze sobą czasopismo medyczne, lecz nie mogła się skupić. Znała na pamięć kolejne fazy zabiegu, któremu w tej chwili poddawano Sarę. Pierwszy etap zwany „długim”, trwał około półtorej minuty. Kolejne ssanie, po przerwie, było krótsze i aplikowano je tylko miejscowo. Nie zdążyła nawet skończyć artykułu, kiedy Les Ustinovich otworzył i kiwnął na nią.

W pracy zachowywał się wyłącznie obcesowo.

– Już wyskrobana, ale przebiłem się na wylot.

– Jezu Chryste, Les!

Zmroził ją spojrzeniem, które przywołało ją do rozsądku. Bez wątplenia czuł się wystarczająco podle, nie trzeba mu było sypać soli na rany.

– Dziewczyna była istnym strzępkiem nerwów. W krytycznym momencie drgnęła, chociaż Bóg świadkiem, że nie miała prawa odczuwać bólu. Perforacja nastąpiła w miejscu, gdzie w ścianie macicy tkwił włókniak, więc tkanka trochę się rozlazła. Krwawi mocno, ale w tej chwili nic jej nie zagraża. Karetka już jedzie.

Od tej chwili wszystko rozegrało się w zwolnionym tempie, jakby Roberta nagle znalazła się pod wodą. Nigdy nie zdarzyło jej się przebić ściany macicy, ale pracowała wyłącznie z kobietami w pierwszym trymestrze ciąży. Perforacje zdarzały się bardzo rzadko; wymagały interwencji chirurga. Na szczęście szpital Lemuel Grace

znajdował się blisko i karetka zjawiła się, nim jeszcze Roberta skończyła uspokajać Sarę.

Pojechała razem z nią do szpitala, gdzie dziewczynę wprost od wejścia zabrano na salę operacyjną.

Szczęśliwym zrządzeniem losu dostała się w ręce Sumnera Harrisona, cieszącego się doskonałą opinią, tak więc Roberta nie musiała prosić o innego lekarza.

Jak przez mgłę widziała dobrze znane kąty i mnóstwo obcych twarzy. Ktoś z uśmiechem rzucił jej „cześć!”, pośpiesznie mijając ją na korytarzu.

Pamiętała jeszcze, jak dojsć do telefonu. Podniosła słuchawkę, wsunęła swoją kartę kredytową i wykręciła numer. Odebrał po dwóch sygnałach.

– Halo, David? Tu Roberta.

31 POWRÓT

Zanim David dotarł do Bostonu, Sara była już po operacji. Usiadł przy łóżku i trzymał ją za rękę, gdy budziła się z narkozy. Z początku widząc go, rozplakała się, ale zdaniem Roberty David postąpił z córką w najwłaściwszy sposób: był czuły i wyrozumiały. Nic też nie wskazywało, by wrócił do nałogu.

Lekarz określił stan Sary jako dobry, Roberta uznała, więc, że najlepiej zrobi, zostawiając ich na jakiś czas samych. Chciała

dowiedzieć się szczegółów, zadzwoniła, więc do Beth-Ann DeMarco zapytaniem, czy ma wolną chwilę, żeby zjeść z nią obiad.

Spotkały się w małej meksykańskiej restauracji w Brookline, w pobliżu mieszkania

Beth-Ann. Ależ podżyłyśmy dziś rano, nie? – zagaiła pielęgniarka.

– To prawda. Polecam ci arroz con pollo, robią tu bardzo dobre – wtrąciła Beth-Ann. – Les jest zdruzgotany. Nie mówi o tym, ale ja go znam. Pracuję w tej klinice cztery lata, Roberto, i to dopiero druga perforacja, jakiej byłam świadkiem.

– Kto spowodował pierwszą?

Beth-Ann zmieszała się nieco.

Tak się składa, że również Les. Tamta była tak nieznaczna, że nawet nie trzeba było szyć. Wystarczyło położyć dziewczynę do łóżka. Les nie jest temu winny, Roberto. Sara poruszyła się mimowolnie, jakby złapał ją silny skurcz, i łyżeczka po prostu weszła w ścianę macicy. Lekarz, który badał ją tam u was...

– Daniel Noyes.

– Tak, do niego też nie możesz mieć pretensji. To znaczy, o to, że przeoczył włókniaka. Był niewielki i schowany w fałdzie tkanki, gdzie w ogóle go nie było widać. Gdybyśmy mieli do czynienia tylko z perforacją albo tylko z włókniakiem, łatwiej byłoby to opanować. Jak ona się czuje?

– Chyba dobrze.

– Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ja biorę arroz con pollo, a ty?

Robercie było naprawdę wszystko jedno. Zdecydowała się na samo.

Dopiero wieczorem, gdy znaleźli się sami, David zaczął zadawać surowe pytania, na które trudno było znaleźć odpowiedź.

– Co cię, u diabła, opętało. Rob? Nie sądzisz, że powinnaś się była ze mną skonsultować?

– Miałam taki zamiar, ale Sara nie chciała o tym słyszeć. To była jej decyzja, Davidzie.

– Sara jest jeszcze dzieckiem!

– Czasami ciąża zmienia dziecko w kobietę. Sara ma siedemnaście lat i uznała, że sama rozwiąże swój problem. Była u sędziego, który orzekł, że jest wystarczająco dorosła, aby przerwać ciążę nie mieszając cię do tego.

– Pewnie to ty załatwiłaś jej widzenie z sędzią?

– Tak, na jej prośbę.

– Niech cię szlag. Postąpiłaś tak, jak gdyby jej ojciec był dla ciebie kimś zupełnie obcym.

– Davidzie, to nie fair.

Kiedy nie odpowiedział, zapytała, czy zostanie w Bostonie, dopóki Sara nie wyjdzie ze szpitala.

– Oczywiście.

– Mam umówionych pacjentów. Muszę wracać.

– Wolna droga odparł.

Przez trzy dni w górach lało jak z cebra, ale w dniu, w którym Sara wróciła do domu, świeciło słońce i korzenny zapach rozgrzanych lasów unosił się w łagodnym wietrze.

– Wymarzony dzień na konną przejażdżkę stwierdziła Sara. – Znow się uśmiechała, ale była blada i wyglądała na wycieńczoną.

– Ani mi się waź. Masz siedzieć w domu i wypoczywać co najmniej przez kilka dni. To bardzo ważne. Rozumiesz?

– Tak jest uśmiechnęła się Sara.

– Masz okazję posłuchać bardzo głośnej muzyki.

Roberta wręczyła jej najnowszy kompakt Pearl Jam. – W oczach dziewczyny zaszklity się łzy.

– Roberto, nigdy ci nie zapomnę tego, że...

– Mniejsza o to. Teraz dbaj o siebie, kochanie, i żyj dalej. Tato nadal jest zły?

– Przejdzie mu. Zagadamy go i zapieścimy na śmierć.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną. – Roberta ucałowała ją w policzek. Postanowiła bez zwłoki rozmówić się z Dawidem. Poszła do stodoły, gdzie wyładowywał z furgonetki beły siana.

– Przyjdiesz do mnie jutro na kolację? Sam, bez Sary.

Spojrzał na nią, po czym skinął głową.

– Dobrze.

Nazajutrz rano wkrótce po jedenastej Roberta wybierała się właśnie do szpitala w Greenfield, gdzie chciała odwiedzić dwóch swoich pacjentów. Wtem zadzwonił telefon.

– Roberto, tu Sara. Mam krwotok.

– Silny?

– Bardzo.

– Zaraz tam będę.

Nim wyszła, wezwała karetkę pogotowia.

Sara nie miała nic przeciwko temu, by siedzieć jak inwalidka na starym bujaku obok słoików miodu. Tyle było ciekawych rzeczy do oglądania. Wiewiórki płoszyły gołębie na dachu stodoły, w trawie

baraszkowały króliki, sąsiad, pan Riley, wyprowadzał z garażu zardzewiałą niebieską furgonetkę, a na północno-zachodnim krańcu pastwiska żerował w koniczynie nieprzyzwoicie tłusty świstak.

Po chwili świstak niezgrabnie pokicał do swojej nory pod kamiennym murem. W kilka sekund później zrozumiała, dlaczego. Z lasu wyszedł na łąkę czarny niedźwiedź.

Zwierzak był młody, ledwie roczny, ale jego zapach wystarczył, by zaniepokoić konia. Chaim zadarł ogon, stanął dęba i zarżał głośno. Na ten dźwięk niedźwiedź czmychnął z powrotem do lasu, a Sara roześmiała się.

Ale wtedy Chaim uderzył barkiem o jedyny przegniły słupek w ogrodzeniu. Większość została świeżo wyciosana z czarnego drzewa świętojańskiego i mogła opierać się wilgoci jeszcze przez wiele lat. Ten był sosnowy; pod naciskiem ułamał się w miejscu, gdzie wchodził w grunt, koń zaś skorzystał z okazji, by przesadzić zwisające tuż nad ziemią druty.

Sarah odstawiła filiżankę z kawą i wstała.

– A niech to wszyscy diabli. Ty paskudo! – zawołała. – Stój!

Wzięła kawałek sznura i wiadro z obrokiem, w którym pozostało jeszcze trochę ziarna. Miała przed sobą kawał drogi i zmusiła się, żeby iść powoli.

– Chodź tu, Chaim – zawołała. Chodź, dostaniesz jeść!

Zastukała palcami w wiadro. Zwykle wystarczyło to, by przybiegł galopem, ale wciąż był wystraszony zapachem niedźwiedzia i tym razem odsunął się jeszcze dalej.

– Cholera – zaklęła pod nosem.

Czekał na nią, odwrócony tak, by mógł obserwować skraj lasu. Nigdy dotąd jej nie kopnął, lecz wołała nie ryzykować. Podeszła

ostrożnie z boku, wyciągając przed siebie wiadro.

– Jedz, stary głuptasie.

Kiedy zanurzył pysk w owsie, zarzuciła mu sznur na szyję. Nie związała go z obawy, że jeśli Chaim znów się spłoszy i o coś zaczepi, może się udusić. Najprościej byłoby wsiąść na niego na oklep, nie odważyła się jednak tego zrobić. Przytrzymała ręką oba końce sznura, szepcząc czule do końskiego ucha.

Musiała przeprowadzić Chaima aż do prowizorycznej bramy i zdjąć z podpór ciężkie drągi, żeby z powrotem wypuścić go na pole. Właśnie zakładała je z powrotem, martwiąc się, czym zatkać wyrwę w płocie do powrotu ojca, kiedy spostrzegła mokrą, połyskliwą czerwień, szokujący ślad, jaki zostawiała za sobą. Zachwiała się bezsilnie i zaczęła płakać.

Nim Roberta dotarła do drewnianej chaty, wykorzystane przez Sarę ręczniki przesiąkły już na wylot. Na podłodze było więcej krwi, niż Robercie wydało się możliwe. Odgadła, że Sara stała i krwawiła, nie chcąc zniszczyć pościeli; dopiero potem opadła na łóżko. Jej nogi zwisały z pokrytej szkarłatnymi plamami kapy, stopy opierały się o podłogę.

Roberta uniosła jej nogi, usunęła przemoczone ręczniki i zastąpiła je świeżymi prasowanymi tamponami.

– Musisz mocno ścisnąć uda.

– Robbie... – powiedziała słabo Sara, jakby z bardzo daleka.

Traciła przytomność i nie była w stanie zapanować nad swoimi mięśniami. Roberta związała jej nogi w kolanach i w kostkach kawałkami bandaży, następnie zrolowała koce i uniosła nogi Sary w górę.

Karetka zjawiła się błyskawicznie. Sanitariusze biegiem wnieśli Sarę do środka, Roberta wsiadła za nią i natychmiast podała dziewczynie tlen. Steve Ripley mierzył ciśnienie i tętno, trzęsący się pojazd gnał naprzód z przeraźliwym jazgotem syreny.

Odczytawszy wyniki, Steve chrząknął. Były nie lepsze od tych, jakie Roberta stwierdziła w domu, przed przyjazdem karetki. Pokiwała głową.

– Jest w szoku.

Przykryli Sarę kilkoma kocami, utrzymując jej stopy w górze. Pod szarą maską tlenową przykrywającą usta i nos twarz dziewczyny miała barwę pergaminu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Roberta każdą komórką swego ciała starała się nawiązać bezpośredni kontakt z Bogiem.

Błagam cię – mówiła w duchu. – Proszę, ocal to dziecko. Błagam cię, błagam, błagam, błagam, ocal tę schludną, długonogą dziewczynę, tę wesołą, śliczną nastolatkę, która może zastąpić mi córkę. Potrzebuję jej.

Zmusiła się, aby ująć dłonie Sary i nagle nie mogła już ich wypuścić czuła, jak piasek przesypuje się w klepsydrze.

Nie mogła go powstrzymać, nie była w stanie zrobić nic, by odwrócić to, co już się działo. Mogła jedynie ustawić zawór butli na najbogatszą mieszankę i kazać Williemu połączyć się ze szpitalem, tak by czekała na nich odpowiednia krew do transfuzji.

Kiedy karetka z Woodfield zajechała przed oddział pomocy doraźnej, oczekujące pielęgniarki otworzyły drzwi i wybałuszyły oczy na widok Roberty wciąż ściskającej kurczowo dłonie Sary. W całej ich karierze był to pierwszy przypadek, by lekarz również potrzebował pomocy.

32 BRYŁA LODU

Steve Ripley zatelefonował do Macka McCourtneya z prośbą, żeby przywiózł Davida do szpitala.

Paula Simms, lekarka z oddziału pierwszej pomocy, zaaplikowała Robertcie środek uspokajający. Sprawił on, że Roberta ucichła i jakby zapadła się w siebie, ale poza tym wcale nie wywarł dostrzegalnego wpływu na jej zgrozę. Jak skamieniała siedziała przy Sarze, kiedy wpadł David z obłądem w oczach.

– Wyjdź stąd rzucił, – nie patrząc na Robertę.

Usiadła w poczekalni. Po dłuższej chwili podeszła do niej Paula Simms.

– David chce, żebyś wróciła do domu. Myślę, że tak będzie najlepiej, Roberto. Jest bardzo... no wiesz, bardzo poruszony...

Ta bolesna świadomość była nie do zniesienia. Sara nie mogła po prostu odejść, tak... umrzeć. Roberta nie potrafiła się z tym pogodzić. Raniła ją każda myśl, każdy oddech.

Nagle znów znalazła się wewnątrz bryły lodu, tej samej, w której żyła po śmierci Charliego.

Po południu zatelefonowała do Davida. Potem dzwoniła co piętnaście, dwadzieścia minut. Za każdym razem słyszała nagrany na taśmie głos taki profesjonalny, taki beztroski który w imieniu Wbodfield Realty Company dziękował za telefon i prosił o pozostawienie wiadomości.

Następnego ranka pojechała tam, myśląc, że być może nie podnosi słuchawki. Will Riley, sąsiad Markusów, mocował w ziemi nowy słupek ogrodzenia.

– David w domu, panie Riley?

– Nie. Znalazłem dziś rano w drzwiach kartkę od niego. Prosi, żebym przez parę dni karmił jego zwierzęta. Pomyślałem, że przy okazji naprawię płot. To straszne, co się stało, prawda, pani doktor?

– Tak. Straszne.

– Taka miła dziewczynka.

Sara....

Co się dzieje z Dawidem, gdzie on jest?

Wnętrze domu wciąż wyglądało tak samo jak w chwili, gdy zeń wychodziła. Krew wyschła, tworząc na podłodze ćwierćcalowej grubości strup. Roberta zdjęła z łóżka prześcieradła i koce, i wepchnęła je do worka na śmieci. Z pomocą ogrodowej łopaty Davida zdrapała koszmarny skrzep, wyniosła go w plastikowym kubku do lasu i tam zakopała. Znalazła sztywną szczotkę i mydło. Szorowała podłogę, a kolejne wiadra wody zmieniały barwę z czerwonej przez różową aż do całkiem przezroczystej. Pod łóżkiem znalazła kota.

– Och, Aguna...

Chętnie przytuliłaby kotkę, ale ta spojrzała na nią jak zaszczuta lwica.

Musiała się pospieszyć, żeby wziąć prysznic i zdążyć na czas do gabinetu. Wczesnym popołudniem usłyszała od Toby to, o czym wiedziało już pół miasta, a mianowicie, że David Markus zabrał córkę, żeby ją pochować na Long Island.

Przez krótką chwilę siedziała przy biurku, próbując zrozumieć cokolwiek z historii choroby kolejnego pacjenta, lecz słowa i litery rozpląwały się w wielkiej błyszczącej kropli. W końcu zrobiła rzecz bez precedensu. Powiedziała Toby, żeby przeprosiła pacjentów w jej imieniu i umówiła ich, na kiedy indziej. Wymówiła się bólem głowy.

Po powrocie do domu opadła na krzesło w kuchni. Było bardzo cicho. Siedziała tak parę godzin.

Odwołała wszystkie wizyty w ciągu najbliższych czterech dni. Dużo spacerowała. Wychodziła z domu i szła przed siebie leśną ścieżką przez pola, nie wiedząc, dokąd idzie. Po jakimś czasie przystawała i rozglądała się wokół zaskoczona: jak się tu znalazłam, na Boga?

Zadzwoiła do Daniela Noyesa i umówiła się z nim na lunch. Oboje byli przybici i skrępowani.

– Zbadałem ją dokładnie – powiedział cicho Noyes. – Nie znalazłem żadnych nieprawidłowości.

– To nie pańska wina, doktorze. Wiem to na pewno.

Spojrzał na nią przeciągle, wnikliwie.

– Pani też nic nie zawiniła – rzekł. – Czy o tym także pani wie?

Kiwnęła głową.

Kiedy wyszli z restauracji, pocałował ją w policzek, po czym odwrócił się i wszedł do samochodu.

Nie miała kłopotów z zasypianiem. Przeciwnie, wieczorem pogrążała się jak kamień w głębokim i pozbawionym snów schronieniu. Rano leżała skulona pod kołdrą w pozycji płodu, przez całe godziny niezdolna się poruszyć.

Sara...

Rozsądek odrzucał wyrzuty sumienia, ale poczucie winy beznadziejnie splotło się z jej smutkiem i wiedziała, że już się go nie pozbędzie.

Zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli przed spotkaniem z Dawidem napisze do niego. Chciała, aby zrozumiał, iż śmierć Sary mogła równie łatwo być wynikiem usunięcia wyrostka lub resekcji jelita. Niezawodna chirurgia nie istnieje. Sara sama podjęła decyzję o aborcji i zrobiłaby to również bez pomocy Roberty.

Czuła, że dla Davida niewielką pociechą będzie informacja, że ryzyko zgonu towarzyszy nawet najbezpieczniejszym zabiegom inwazyjnym. Decydując się na przerwanie ciąży Sara w istocie zwiększyła swoje szansę, bowiem w USA jedna na czternaście tysięcy trzysta kobiet umiera przy porodzie lub w czasie trwania ciąży; z tych zaś, które poddadzą się aborcji – nawet po upływie czternastego tygodnia – tylko jedna na dwadzieścia trzy tysiące. A już w obliczu tego, iż na sześć tysięcy osób zasiadających za kierownicą samochodu także jedna, zarówno ciąża, jak aborcja są niezwykle bezpieczne.

Tak, więc śmierć Sary w rezultacie legalnej aborcji była czymś niezwykle rzadkim. Ewenementem.

Pisała jeden list za drugim; w końcu udało jej się spłodzić taki, który ją zadowolił, i pojechała z nim na pocztę.

Zamiast jednak nadać list, podarła go na kawałki i wrzuciła do kosza. Uświadomiła sobie, że bardziej chciała przekonać samą siebie niż Davida. Zresztą, było to bez znaczenia. Cóż mogła go obchodzić statystyka?

Sara odeszła.

David też.

33 PRZEDMIOTY

Mijał dzień za dniem, a Roberta wciąż nie miała żadnych wiadomości. Zadzwoiła do Willa Rileya w nadziei, że wie, kiedy jego sąsiad wróci do domu.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Wie pani, że sprzedał konia. Telefonicznie. Przysłał mi tylko list, żebym był na miejscu, kiedy nowy właściciel przyjedzie go odebrać.

– Wezmę kota – zaofiarowała się Roberta.

– To dobrze. My mamy już cztery.

Zawiozła Agunę do siebie.

Kotka przeprowadziła inspekcję całego domu, krocząc przez pokoje nieco podejrzliwie i z wyraźną pogardą, niczym królowa wizytująca zbuntowaną prowincję. Roberta miała nadzieję, że David wkrótce po nią wróci. Nigdy nie zdołała wykrzesać w sobie sympatii do tego zwierzęcia.

Kilka dni później Frank Sotheby zastanawiał się głośno, czy do Woodfield sprowadzi się jakiś inny agent sprzedaży nieruchomości.

Byłem zaskoczony słysząc, że Markus pozbywa się domu – rzekł, przyglądając się z uwagą Robercie. – Złożył ofertę u Mitcha Bowditcha z Shelburne Falls.

Roberta pojechała do Shelburne Falls, gdzie zjadła lunch i wstąpiła do biura pośrednika. Bowditch był uprzejmym, otwartym mężczyzną. W jego głosie brzmiał szczery żal, kiedy ją informował, że nie ma ani adresu, ani numeru telefonu Davida Markusa.

– Dostałem od niego tylko list z upoważnieniem do sprzedaży domu wraz z meblami oraz numer konta w Nowym Jorku, na które mam przesłać czek. David pisze, że chce to załatwić szybko. Cena jest atrakcyjna, więc pewnie wkrótce znajdzie się nabywca.

– W razie gdyby się z panem kontaktował, czy będzie pan tak miły i przekaże mu, żeby do mnie zadzwonił? – Roberta wręczyła mu swoją wizytówkę.

– Z przyjemnością, pani doktor rzekł Bowditch.

Po trzech dniach kotka uciekła.

Roberta włóczyła się tam i z powrotem po lesie, a także wzdłuż Laurel Hill Road, wołając:

– AGUUUNAAA!

Drżała na myśl o drapieżnikach, dla których kot domowy jest łatwym kąskiem: rysiach, kojotach, pumach, dużych ptakach drapieżnych. Ale kiedy wróciła do domu, automatyczna sekretarka przekazała jej wiadomość od żony Willa Rileya, Muriel, że kotka wróciła na drugi koniec miasta i osiedliła się w ich stodole.

Roberta zabrała ją ponownie, a dwa dni później Aguna znów wróciła do Rileyów. Uciekała jeszcze trzy razy.

Tymczasem powoli kończył się wrzesień. Kiedy po raz kolejny przyjechała po swego niechętnego gościa. Will wyszczerzył zęby.

– Jeżeli o nas chodzi, może tutaj zostać – rzekł.

Roberta zgodziła się natychmiast, mimo to jednak czuła pewne opory.

– Szałom, Aguna – szepnęła, a cholerna kocica w odpowiedzi ziewnęła tylko ze znużeniem.

Kiedy wracając mijała dom Markusów, zobaczyła na podjeździe nowego niebieskiego dżipa z nowojorską rejestracją.

David?

Zatrzymała się. Jednakże gdy zapukała do frontowych drzwi, otworzył jej Mitch Bowditch. Za nim stał opalony mężczyzna o siwiejących, przerzedzonych włosach i krzaczastych wusach.

– O, witam. Proszę, niech pani wejdzie i pozna kolegę po fachu. Doktor Roberta Cole, doktor Kenneth Dettinger – przedstawił ich Bowditch.

Uścisk dłoni Dettingera był przyjacielski, lecz pobieżny.

– Pan doktor Dettinger właśnie kupił ten dom – wyjaśnił Bowditch.

Roberta ukryła zaskoczenie.

– Gratuluję. Czy będzie pan tu praktykował?

– Na Boga, nie! Chcę tu tylko spędzać weekendy i urlopy. pani rozumie...

Rozumiała. Dettinger przyjmował w White Plains, był psychiatrą, specjalistą w leczeniu dzieci i młodzieży.

– Pracuję od rana do nocy wyjaśnił. Tu będę miał swój niebiański azyl.

Przeszli przez podwórze w stronę stodoły, mijając pół tuzina uli.

– Zamierza pan hodować pszczoły?

– Nie.

– Chce pan sprzedać ule?

– Cóż... będę rad, jeśli je pani zabierze. Zaplanowałem w tym miejscu basen z tarasem, a jestem uczulony na ukąszenia pszczoł.

Bowditch ostrzegł Robertę, żeby nie ruszała uli jeszcze przez kilka najbliższych tygodni, dopóki nie przyjdą pierwsze silne chłody, po których pszczoły zapadną w sen zimowy.

– A, właśnie – zajrzał do listy David ma jeszcze osiem uli, które ustawił w sadzie u Dovera. Czy one także panią interesują?

– Przypuszczam, że tak.

– Kupowanie domu z całym inwentarzem nastęcza nieco problemów – rzekł Kenneth Dettinger. W szafach są ubrania, w biurkach papiery. Trzeba je opróżnić, a nie mam nikogo, kto by mi w tym pomógł. Widzi pani, niedawno się rozwiodłem.

– Współczuję.

– Ech... – lekarz skrzywił się i wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się smętnie. – Będę musiał wynająć kogoś do uprzątnięcia tych rzeczy. Może pani wie, kto by się tego podjął?

Ubrania Sary...

– Jeśli pan pozwoli, ja to zrobię. Za darmo. Jestem przyjaciółką rodziny.

– Nie mam zastrzeżeń. Przeciwnie, będę wdzięczny.

Przyjrzał jej się z zainteresowaniem. Miał ostre rysy twarzy, które budziły w niej nieufność. Mogły oznaczać, że jest przyzwyczajony zawsze stawiać na swoim.

– Meble mam własne – ciągnął. – Lodówkę zatrzymam, jest prawie całkiem nowa. Jeśli cokolwiek się pani przyda, proszę się nie krępować. Pozostałe rzeczy niech pani rozda albo poprosi kogoś, kto ma ciężarówkę, żeby wywiózł je na wysypisko śmieci i przysłał mi rachunek.

- Na kiedy dom ma być gotowy?
- Gdyby pani zdążyła przed Bożym Narodzeniem, byłbym zobowiązany.
- Nie ma problemu.

Jesień w górach była szczególnie piękna. W październiku zrudziały liście, a nie padał deszcz, który strąciłby je z drzew. Jeżdżąc do gabinetu, do szpitala, z wizytami, Roberta zachwycała się orgią barw widzianą przez pryzmat zimnego krystalicznego powietrza.

Próbowała wrócić do normalnego życia, skoncentrować się na pacjentach, ale miała uczucie, że ciągle zostaje o jeden krok z tyłu. Zaczynała się martwić, iż może to wpłynąć na jej zdolność oceny schorzenia.

Jej bliscy sąsiedzi, Pru i Albano Trigo, mieli chorego syna, dziesięcioletka imieniem Lucien w skrócie Luke. Od dawna cierpiał na brak apetytu, osłabienie i silną biegunkę. Roberta zrobiła chłopcu wziernikowanie esicy, wysłała go na prześwietlenie górnych dróg pokarmowych i na rezonans magnetyczny.

Niczego nie wykryto.

Luke wciąż niedomagał. Roberta umówiła go na konsultację z gastroenterologiem w Springfield, ale ten też nie zdołał zdiagnozować choroby.

Kiedyś wczesnym wieczorem Roberta wybrała się na spacer szeleszczącą opadłymi liśćmi leśną ścieżką. W stawie przy żeremiu zobaczyła pod wodą smukłe ciało, podobne do miniaturowej foki.

Kolonie bobrów istniały prawie na całej długości Catamount River. Rzeka zaś płynęła przez posiadłość Trigów.

Pobiegła do auta i udała się wprost do nich. Lucien leżał na kanapie w saloniku i oglądał telewizję.

– Luke, czy tego lata pływałeś w rzece?

Kiwnął głową twierdząco.

– A w stawie za zrobioną przez bobry tamą?

– Jasne.

– Piłeś z niego wodę?

Prudence Trigo zamieniła się w słuch.

– Czasami – odparł Lucien. – Jest czysta i bardzo zimna.

– Rzeczywiście wygląda na czystą. Sama w niej pływam. Właśnie sobie pomyślałam, że bobry i inne zwierzęta oddają do niej kał i mocz...

– Kał i co?

– Kupkę i siusiu – wyjaśniła synowi Pru. – Pani doktor mówi, że zwierzęta robią kupkę i siusiu do wody, a potem ty ją pijesz – Odwróciła się do Roberty. – Sądzi pani, że to przyczyna?

– Możliwe. Zwierzęta wydalają do wody pasożyty. Jeśli ktoś się jej napije, pasożyty mnożą się w jego trzewiach, a po jakimś czasie tworzą taki kłęb, że jelita nie są już w stanie wchłaniać pożywienia. Nie będziemy mieć pewności, dopóki nie wyślę próbki kału do laboratorium. Tymczasem zaaplikujemy mu silny antybiotyk.

Wynik badania potwierdził niezbicie, że przewód pokarmowy Luciena zapchany jest pierwotniakami Giardia lamblia, a prócz tego wykryto ślady kilku innych pasożytów. W ciągu dwóch tygodni chłopcu wrócił apetyt, biegunka ustała. Kilka tygodni później następne badanie wykazało, iż dwunastnica i jelito czcze są czyste, zaś młodzieńcza energia rozpierająca chłopca zaczynała już działać matce na nerwy.

Luke obiecał Robercie, że w przyszłym roku będzie pływać wyłącznie w jeziorze i nie będzie pił wody.

Z Kanady nadciągnął mróz, pocałunek śmierci dla wszystkich kwiatów z wyjątkiem najodporniejszych chryzantem. Pola, zestrzyżone krótko niczym głowy więźniów, zbrązowiały w bladym słońcu. Will Riley przewiózł ule Davida do Roberty. Kazała je ustawić między domem a lasem, po czym przestała o nich myśleć, zajęta leczeniem ludzi. Otrzymała biuletyn z Centrum Epidemiologii, a w nim ostrzeżenie, iż jeden z tegorocznych szczepów wirusa grypy, A/Beijing 32/92 (H3N2) jest wyjątkowo zjadliwy i bardzo dotkliwie osłabia organizm. Przez kilka tygodni Toby wzywała osoby w starszym wieku na szczepienia ochronne. Nie wpłynęło to jednak w dostatecznym stopniu na spadek liczby zachorowań i kiedy wybuchła epidemia, dla Roberty dni nagle stały się zbyt krótkie. Dzwonek telefonu budził w niej obrzydzenie. Paragrypowe infekcje bakteryjne zwalczała antybiotykami, reszta pacjentów mogła co najwyżej łykać aspirynę, pić dużo płynów, okrywać się ciepło i leżeć w łóżku. Toby też złapała grypę, ale Roberta i Peg Weiler trzymały się na nogach mimo nadmiaru pracy. „Nie mamy czasu chorować” – burczała Peggy.

Dopiero drugiego dnia listopada Roberta zabrała stos kartonowych pudeł i pojechała do domu Davida.

Miała wrażenie, że zamyka nie tylko życie Sary, ale i jej ojca. Składając i pakując rzeczy dziewczynki, usiłowała odsunąć od siebie myśl o tym, co robi. Gdyby mogła pracować z zamkniętymi oczyma, być może udałoby jej się. Kiedy karton był pełen, zawiozła go na

miejskie śmietnisko i umieściła w pojemniku z darami dla Armii Zbawienia.

Długo stała nad kolekcją Sary, zastanawiając się, co z nią zrobić. Nie mogła jej rozdać ani też wyrzucić. W końcu zapakowała ją starannie i zaniósła do samochodu z takim pietyzmem, jakby przewoziła klejnoty. Jej pokój gościnny wypełnił się kamieniami w kształcie serc. Leżały wszędzie.

Wyrzuciła zawartość apteczki, brutalnie zwalając na kupę Clearasil Sary i antyhistaminy Davida. Narastał w niej bunt, żal do niego za to, że przez swą nieobecność zmusił ją do tego bolesnego zajęcia. Zachowała leżące na jego biurku listy; nie czytając włożyła je do brązowej koperty. W dolnej szufladzie biurka znalazła maszynopis książki. Zabrała go do domu i umieściła na najwyższej półce w szafie, obok starych szalików, za ciasnych rękawiczek i baseballowej czapki, którą miała od czasów college'u.

Święto Dziękczynienia spędziła w pracy; na szczęście epidemia zaczęła już wygasać. W następnym tygodniu zdołała się wyrwać na dwa dni do Bostonu. Okazja była ważna: ojciec opuszczał katedrę, którą piastował przez tak wiele lat. Dobiegał sześćdziesiątego szóstego roku życia, o kilka miesięcy przekroczył, więc ustawowy wiek emerytalny. Koledzy z wydziału przysłali Robertcie zaproszenie na uroczystą kolację, zorganizowaną na jego cześć w Union Club. Był to miły wieczór, pełen wyrazów uznania i serdecznych wspomnień. Roberta była dumna z ojca.

Nazajutrz rano zabrał ją na śniadanie do „Ritza”

– Jak samopoczucie? – zagadnął. Już wcześniej zdążyli wyczerpująco omówić sprawę śmierci Sary.

– W absolutnym porządku. Jak myślisz, co się dzieje z Davidem?

Pytał nieśmiało, nie chcąc zadać jej bólu. Roberta jednak już od pewnego czasu sama zadawała sobie to pytanie. Pogodziła się z tym, że David może już nigdy nie wrócić.

– Na pewno topi gdzieś żal w butelce.

Napomknęła ojcu, że spłaciła już jedną trzecią pożyczki, którą jej podżyrował, i oboje z ulgą zmienili temat.

Profesor miał teraz szansę napisać planowany od kilku lat podręcznik i wygłosić cykl gościnnych wykładów na uniwersytecie w Miami.

– Mam bliskich przyjaciół na Florydzie, a poza tym tęsknię za ciepłem i słońcem – rzekł, wyciągając przed siebie dłonie, poskręcane przez artretyzm jak gałęzie drzewa. – Chcę, żebyś wzięła sobie wzięta violę dziadka.

– A cóż ja z nią zrobię?

– Może nauczysz się na niej grać. Ja i tak już nie mogę, a wolę podróżować bez stosu bagaży.

– A skalpel Roba J.?

Ten rodzinny antyk zawsze robił na niej ogromne wrażenie.

Ojciec uśmiechnął się.

– Skalpel nie zajmuje dużo miejsca. Na razie go zatrzymam. I tak wkrótce go dostaniesz.

– Mam nadzieję, że dopiero za wiele, wiele lat. – Pochyliła się nad stołem, żeby go pocałować.

Ojciec zamierzał oddać wszystkie meble na przechowanie do magazynu. Zapytał, co chciałyby sobie wziąć.

– Dywan z twojego gabinetu odparła bez namysłu.

Zdziwił się. Był to niczym nie wyróżniający się belgijski dywan, beżowy i dość już wytarty, niewart grosza.

– Weź sobie raczej hamadana z salonu – powiedział. – Jest o wiele lepszy niż ten z gabinetu.

Ale Roberta była już właścicielką perskiego dywanu, a chciała mieć coś, co nieodłącznie kojarzyło się jej z ojcem. We dwoje, zatem udali się do mieszkania, zwinęli dywan i związali go. Nieźle się napocili, by znieść go ze schodów i wpakować do explorera. Viola da gamba zajęła całe tylne siedzenie.

Cieszyła się zarówno z instrumentu, jak z dywanu, ale nie sprawiało jej radości to, że wciąż otrzymuje w spadku przedmioty należące do bliskich jej ludzi.

34 ZIMOWE WIECZORY

W pewną sobotę rano Dettinger zastał w domu Markusów Robertę sortującą resztę ich dobytku. Pomógł jej uporządkować narzędzia i przybory kuchenne.

– Chciałbym zatrzymać śrubokręty i niektóre piły.

– Oczywiście. Zapłacił pan za nie.

W jej głosie słychać było przygnębienie. Spojrzał na nią badawczo.

– Co stanie się z resztą rzeczy?

– Oddam je na wyprzedaż komitetu parafialnego.

– Znakomicie!

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu.

– Jest pani zamężna? – spytał w końcu.

– Nie. Rozwiedziona, tak samo jak pan.

Skinął głową. Na jego twarzy mignął ulotny ból, który po chwili zniknął.

– Cholernie liczny klub, nie sądzi pani?

– Ogólnoświatowy przytaknęła.

Wiele czasu spędzała z Eva Goodhue. Rozmawiały o zdarzeniach, które miały miejsce, kiedy Eva była małą dziewczynką albo młodą kobietą. Roberta z troską przyglądała się staruszce, zaniepokojona wyraźnym spadkiem witalności, stopniowym przygasaniem, które rozpoczęło się u Ewy wkrótce po śmierci bratanicy.

Roberta wypytywała o dzieci Crawfordów, nadal zafascynowana tajemnicą niemowlęcego szkieletu. Linda Ræ Cawtord zmarła w szóstym roku życia, Tyron, kiedy miał lat dziewięć, zatem nim doszli do wieku rozrodczego. Roberta skupiła się na pozostałej dwójce, Barbarze i Harrym Hamiltonie Juniorze.

– Młody Harry był uroczym chłopcem, ale nie stworzonym do życia na wsi – wspominała Eva. – Bez przerwy siedział z nosem w książkach. Studiował przez pewien czas w stanowym college’u w Amherst, ale potem go wyrzucili... wiem, że miało to jakiś związek z hazardem. Wyjechał na zachód. Do Kalifornii albo Oregonu...

Druga córka, Barbara, miała według Ewy bardziej zrównoważony charakter.

– Czy była ładna? Czy miała chłopaka, który, wie pani, zalecał się do niej?

– Była dość ładna i bardzo miła. Nie pamiętam, czy miała jakiegoś fatyganta. Wyjechała do szkoły w Springfield i wyszła za jednego z tamtejszych nauczycieli.

Ewę zniecierpliwiły indagacje Roberta i zaczęła jej chyba doskwierać obecność lekarki.

– Nie masz dzieci, prawda? – zmieniła temat. Ani mężczyzny w domu?

– Nie.

– Robisz błąd, to ci powiem. Ja nie wzięłam sobie męża, a wim, że mogłabym, gdybym była wolna.

– Wolna? Evo, mówi pani, jak gdyby ktoś panią więził. Człowiek zawsze jest wolny.

– Tak się tylko wydaje. Nie mogłam się stamtąd wyrwać. Byłam potrzebna bratu – stwierdziła sztywno staruszka.

Czasem podczas rozmowy wyraźnie się podniecała, palce jej prawej ręki przebierały nerwowo po blacie stołu lub kołdrze, splatały się kurczowo z palcami lewej.

Miała ciężkie życie i widać było, że nie lubi, gdy się jej o tym przypomina.

W jej obecnym życiu również narastały problemy. Panie z kółka parafialnego, które sprzątały i gotowały dla niej, w trudnej sytuacji zachowały się wspaniale, ale nie były w stanie ciągnąć tego bez końca. Marjorie Lassiter dysponowała środkami na opłacenie sprzątaczk raz w tygodniu, ale Eva wymagała gruntowniejszej opieki i Marjorie zwierzyła się Robertcie, że zaczyna rozglądać się za domem starców, w którym można by umieścić Ewę. Staruszka była kłótniwa, często podnosiła głos i Roberta obawiała się, że w

większości zakładów zechcą jej aplikować środki uspokajające. Przyszłość nie rysowała się różowo.

W połowie grudnia do mrozów przyłączył się śnieg. Roberta wkładała kilka warstw odzieży i na nartach zapuszczała się na leśny szlak. Zimą las był cichy jak opuszczony kościół, lecz bynajmniej nie pusty. Napotykała świeże tropy rysy i jeleni, a także krwawe, wydeptane miejsca, usiane strzępkami futra. Teraz już wiedziała sama, bez Davida, że ogląda ślady mordy; stłoczone wokół odciski psich łap świadczyły, iż tym razem kojoty dobrały się do królika.

Staw przy źeremiu zamarzł i pokrył się śniegiem, rzeka zaś bulgocząc pędziła dalej pod lodową pokrywą. Roberta miała ochotę przejechać się wzdłuż brzegu, ale tam właśnie szlak się kończył, musiała, więc wrócić tą samą drogą.

Zima była cudowna, lecz o ileż milej byłoby mieć, z kim dzielić te przeżycia. Roberta boleśnie tęskniła za Davidem. Miała perwersyjną chęć zadzwonić do Toma i opowiedzieć mu o swoich zmartwieniach, lecz Tom należał już do przeszłości. Była sama, przerażona myślą o tym, co ją czeka. Kiedy wypuszczała się w zimną biel, czuła się jak piórko porwane w bezdenną lodową otchłań.

Dwukrotnie wieszła słoninkę dla ptaków i dwukrotnie skradł ją rudy lis. Widziała jego tropy; raz udało jej się dostrzec, jak się skrada wytrawny, czujny złodziej. W końcu przystawiła drabinę do młodego jesionu na skraju lasu i wspięła się wysoko, szczękając zębami, chcąc umieścić kolejny kawałek słoniny tak wysoko, by lis nie miał szans go dosięgnąć. Codziennie napełniała dwa karmniki dla ptaków. Z ciepłego wnętrza domu zaobserwowała kilka gatunków kowalików i grubodziobów, czubate sikory, wielkiego

kosmatego dzięcioła i parę kardynałów. Samiec kardynała zawsze ją irytował: wysyłał samicę pierwszą na wypadek, gdyby w karmniku czaiło się niebezpieczeństwo. Potencjalna ofiara leciała posłusznie, nie skarżąc się na los.

Kiedy my, baby, wreszcie nauczymy się cenić? – zapytywała się w duchu Roberta.

Telefon Dettingera zupełnie ją zaskoczył. Przyjechał na weekend i pytał, czy nie miałyby ochoty zjeść z nim kolacji.

Otworzyła usta, by odmówić, po czym zbeształa się w duchu. Milczenie kłopotliwie się przedłużało.

– Bardzo chętnie powiedziała w końcu.

Spędziła trochę czasu przed lustrem i włożyła elegancką sukienkę, w której dawno nie miała okazji wystąpić. Lekarz przyjechał po nią ubrany w tweedową marynarkę, wełniane spodnie i czarne turystyczne buty oraz grube palto typowy górski ubiór na większe „wyjścia”. Pojechali do gospody przy Mohawk Trail i najpierw dłuższy czas siedzieli przy winie, zanim złożyli zamówienie. Roberta odzwyczaiła się od alkoholu; wino szybko wprawiło ją w dobry nastrój, tym bardziej że Dettinger okazał się interesującym człowiekiem i ciekawym rozmówcą. Co roku spędzał trzy tygodnie w Gwatemali, gdzie leczył urazy psychiczne u dzieci, które były świadkami zamordowania jednego lub obydwójga rodziców. Zadawał mnóstwo inteligentnych pytań, interesował się też jej praktyką.

Posiłek, rozmowa o medycynie, książkach i filmach sprawiły jej taką przyjemność, że gdy odwiózł ją do domu, uznała, iż śmiało

może zaprosić go na kawę. Poprosiła, żeby rozpałił w kominku, sama zaś znikła w kuchni.

Pocałunek również wydał jej się naturalny i sprawił przyjemność. Ale po chwili jej usta stały się sztywne jak drewno. Kenneth wyprostował się.

– Przepraszam cię, Ken – bąknęła. – Chyba po prostu nie jest to najlepsza chwila.

Uśmiechnął się, jeśli zraniła jego dumę, nie dał tego po poznać.

– Będzie jeszcze wiele okazji – uniósł do góry kubek z kawą

– Wypijmy za odpowiedniejszy moment. Kiedy będziesz miała ochotę się ze mną spotkać, daj znać.

Pocałował ją w policzek i wyszedł,

Tydzień później przyjechał na Boże Narodzenie w towarzystwie mężczyzny i dwóch młodych, atrakcyjnych kobiet. Kiedy mijała ich na drodze, Ken nacisnął klakson i pomachał do niej.

Dzień Bożego Narodzenia spędziła z Evą. Upiekła w domu wspaniałego indyka, przyniosła też przystawki i tort czekoladowy, ale poczęstunek sprawił Evie niewiele radości. Dowiedziała się właśnie że za dwa tygodnie ma zostać przewieziona do domu opieki w Northampton. Roberta pojechała tam, żeby wszystko obejrzeć. Powiedziała Evie, że zakład jest dobry, ale stara kobieta tylko bez słowa kiwnęła głową.

Gdy sprzątały ze stołu, Eva zaczęła kaszleć. Nim umyte naczynia znalazły się w szafkach, dostała wypieków i silnej gorączki.

Roberta miała wystarczające doświadczenie w walce z gripą, by łatwo ją rozpoznać. Musiał to być wirus nie ujęty w szczepionce.

Roberta zastanawiała się, czy zostać u niej na noc, czy też sprowadzić którąś z miejscowych kobiet. Eva jednak była mało odporna, toteż w końcu Roberta wezwała karetkę, odwiozła ją do Greenfield i umieściła w szpitalu.

Nazajutrz ucieszyła się, iż tak postąpiła, bo infekcja zaatakowała układ oddechowy. Roberta podała antybiotyk w nadziei, że zapalenie płuc ma podłoże bakteryjne, ale był to wirus i Ewa szybko traciła siły.

Roberta usiadła na chwilę obok niej.

– Evo – powiedziała – Evo, jestem tu z tobą.

Jeździła tam i z powrotem pomiędzy Woodfield a Greenfield, siedziała przy łóżku, trzymając staruszkę za ręce i czując, jak w milczeniu wycieka z niej życie.

Zaaplikowała tlen, by ulżyć płucom, a następnie morfinę. Eva zmarła na dwa dni przed Nowym Rokiem.

Ziemia na cmentarzu w Woodfield była zmarznięta na kamień i nie dało się wykopać grobu. Trumnę Ewy umieszczono w tymczasowej krypcie. Pogrzeb musiał poczekać do wiosennych roztopów. W kościele Kongregacji odbyła się msza żałobna, w której wzięło udział niewiele osób, bo na przestrzeni dziewięćdziesięciu dwóch lat mało kto zdołał poznać bliżej Evę Goodhue.

Pogoda była pod psem, a nawet, jak mawiała Toby, „pod trzema psami”. Roberta nie miała nawet jednego zwierzaka, do którego mogłaby się przytulić i ogrzać, a w nieustępliwym szarym niebie widziała zagrożenie natury duchowej. Zajęła się, więc sobą. W Nortbampton znalazła nauczycielkę gry na violi, niejaką Olgę

Melnikoff, panią po siedemdziesiątce, która przez dwadzieścia sześć lat grała w Bostońskiej Orkiestrze Symfonicznej. Roberta zaczęła brać u niej lekcje, wieczorami zaś w cichym zimnym domu obejmowała kolanami wielką violę niczym kochanka. Pierwsze pociągnięcia smyczka dawały posępne basowe wibracje, które przenikały ją do szpiku kości, wkrótce zatraciła się całkiem w magicznej sztuce wydawania dźwięków. Pani Melnikoff zaczęła od podstaw, surowo korygując sposób, w jaki Roberta próbowała trzymać smyczek, i każąc jej wciąż od nowa ćwiczyć gamy. Ale Roberta grała już na pianinie i gitarze, toteż wkrótce przeszła do trudniejszych wprawek, a potem paru prostych melodii. Była w siódmym niebie. Muzykując w samotności czuła, że towarzyszą jej pokolenia Cole'ów, którzy ongiś grali na tym instrumencie.

Pora sprzyjała wieczorom przy kominku albo w ciepłym łóżku.

Roberta zdawała sobie sprawę, jak cierpią dzikie zwierzęta. Chciała wyłożyć w lesie siano dla jeleni, lecz Jan Smith ją powstrzymał.

– Oszczędź im ludzkiej życzliwości – powiedział. – O wiele dla nich zdrowiej, jeśli da się im spokój.

Starła się nie myśleć o zwierzętach i ptakach w owe noce, gdy drzewa pękały od mrozu wydając trzaski podobne do wystrzałów.

Szpital w Greenfield ogłosił, że każdy lekarz, który posiada modem sieciowy, a dzięki niemu szybki dostęp do karty zdrowia pacjenta, może udzielać pielęgniarce instrukcji telefonicznych, zamiast ryzykować życie na oblodzonej szosie. Zdarzało się wszakże, iż mimo to Roberta musiała nocą jechać do szpitala, lecz zainwestowawszy w sprzęt znalazła się nieco bliżej technicznych udogodnień, jakie pozostawiła za sobą w Bostonie.

Wielkie stosy drewna, które co wieczór spalała w kominku, ogrzewały Dom na Skraju, chociaż targał nim wicher. Roberta siadała przy ogniu z lekturą czytając jeden biuletyn medyczny za drugim. Zawsze była o krok lub dwa spóźniona, choć udało jej się w znacznym stopniu nadrobić zaległości.

Pewnego wieczoru podeszła do szafy i wyjęła z niej powieść Dawida. Usiadła na zwykłym miejscu i zaczęła czytać.

Kilka godzin później zdała sobie sprawę, że w pokoju jest zimno. Wstała by od nowa rozniecić ogień, skorzystać z łazienki, zaparzyć świeżej kawy. Potem czytała dalej. Czasem chichotała, kilka razy popłakała się.

Nim skończyła, zaczęło świtać, chciała jednak doczytać tę historię i to opowieść o farmerach, którzy musieli zmienić swój styl życia, gdyż zmienił się świat wokół nich, ale nie wiedzieli, jak tego dokonać. Postaci były pełne życia, brakowało jednak zakończenia. Była poruszona, a równocześnie chciało jej się płakać. Czuła, że skoro Dawid nie upomniał się o taką książkę, musi być ciężko chory lub martwy.

35 UKRYTY DRAMAT

Dwudziesty stycznia.

Walcząc z chłodem za pomocą muzyki, Roberta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dzisiejszy wieczór jest w jakiś sposób wyjątkowy.

Urodziny? Rocznica? Nagle znalazła w pamięci wyjątek z Keatsa, którego musiała nauczyć się na pamięć.

*Ach, wigilia Agnieszki świętej – straszny mróz!
Skostniał puchacz kosmaty w spróchniałym pniu drzewa,
Zając łapy kaleczył o zmarzłe źdźbła traw,
W owczarni cicho drżała wełnista czereda.*

Roberta nie wiedziała, jak miewają się owce, ale zdawała sobie sprawę, że los tych zwierząt, które nie mają wstępu do obory, jest godzien politowania. Kilkakrotnie widziała rankiem dwie dzikie indyczki drepzące powoli przez ośnieżone pola. Kuśtykały jak para zreumatyzowanych staruszków. Każdy kolejny opad pokrywał się zmarzniętą lodową skorupą, tworząc pancerz, którego ptaki i jelenie nie mogły sforsować. a przecież bez traw i nasion nie miały szans przeżyć.

Roberta zastanawiała się, czy jej Dar działa także w odniesieniu do zwierząt. Nie musiała, co prawda, dotykać indyków, aby wiedzieć, że są bliskie śmierci. W sadzie zebrały siły w bezowocnym wysiłku, by wlecieć na gałęzie jabłoni i dostać się do zmarzniętych pączków.

Dłużej nie mogła już tego znieść. W sklepie rolniczym w Amherst kupiła spory worek łamanej kukurydzy i rozrzuciła parę garści w miejscach, gdzie widziała indyki.

Jan Smith był zgorszony.

– Przyroda przez tysiąclecia doskonale radziła sobie bez ludzkiej ingerencji. Dopóki człowiek nie tępi ich celowo, zwierzętom nie grozi wymarcie. Przeżyją najsilniejsze – rzekł.

Tak samo pogardliwie odnosił się do karmników.

– Ich jedynym celem jest ułatwienie ludziom obserwacji ulubionych śpiewaków. Gdyby nie karmniki, ptaki musiałyby się trochę wysilić, żeby przeżyć, a ruch to zdrowie.

Roberta miała w nosie uczone opinie. Patrzyła z satysfakcją, jak ptaki uczują dzięki jej hojności. Prócz indyków zjawiały się gołębie i bażanty, wrony, sójki i drobniejsze ptaki, których nie umiała rozpoznać z daleka. Gdy wyjadły resztki albo, kiedy świeży śnieg przykrył poczęstunek, wychodziła na pole dorzucić więcej kukurydzy.

Zimny styczeń się skończył, zaczął się mroźny luty. Ludzie niechętnie wypuszczali się na dwór okutani mnóstwem izolujących warstw, wełnianymi swetrami, ciepłymi paltami, watowanymi lotniczymi kurtkami. Roberta nosiła grube kalesony i włóczkową czapkę naciągniętą na uszy.

Bezlitosna pogoda budziła pionierskiego ducha, który ongiś pomagał ludziom przetrwać w-górach. Pewnego ranka w szalejącej śnieżycy Roberta, z trudem zgięta wpół, dobrnęła do gabinetu. Zamknęła za sobą drzwi i przystanęła, obielona od stóp do głów.

– Boże, co za dzień! – jęknęła.

– Prawda? – rozpromieniła się Toby. – Fantastyczny!

Luty był miesiącem gorących, obfitych posiłków, na które zapraszało się przyjaciół i sąsiadów, bowiem zima w górach trwała dostatecznie długo, aby w czterech ścianach własnego domu każdy w końcu zaczął cierpieć na klaustrofobię.

Nad miską chili u Smithów Roberta miała okazję porozmawiać o wykopaliskach z Lucy Gotelli, kustoszem muzeum przy Williams College. Dowiedziawszy się, że technika laboratoryjna pozwala

datować obiekty z dużą dokładnością, nie mogła się oprzeć żeby nie napomknąć o półmisku znalezionym wraz z dziecięcym szkieletem.

– Chętnie bym go zobaczyła – powiedziała Lucy. – W XIX wieku istniała w Woodfield wytwórnia ceramiki, produkująca użytkowy fajans. Być może z niej właśnie pochodzi pani okaz.

Kilka tygodni później Roberta zaniósł jej swój półmisek. Lucy obejrzała go przez lupę.

– Wygląda na fajans z Woodfield. – Oczywiście nie możemy mieć pewności. Wytwórnia stosowała wyraźne sygnatury, splecione litery T i R wymalowane czarną farbą na dnie każdej sztuki. Jeśli na tym półmisku kiedykolwiek był taki znak, zdążył do tej pory całkowicie wyblaknąć – Lucy spojrzała z zainteresowaniem na siedem ocalałych rdzawych liter – ah, od i o, i znowu od. Zadrapała paznokciem literę h.– Śmieszny kolor. Atrament, jak pani sądzi?

– Nie wiem. Wygląda jak krew – zaryzykowała Roberta, ale Lucy parsknęła śmiechem.

– Nie, gwarantuję pani, że to nie krew. – Hm... może by tak wypożyczyła mi pani ten półmisek na jakiś czas? Wezmę go do pracy i sprawdzę, co da się odczytać.

– Naturalnie.

Zostawiła półmisek, chociaż dziwnie niechętnie wypuszczała go z rąk.

Pomimo mrozu i głębokiego śniegu pewnego wieczoru Roberta usłyszała skrobanie do drzwi. Po chwili odgłos powtórzył się. Z duszą na ramieniu uchyliła drzwi, jednak zamiast wilka lub niedźwiedzia wśliznęła się przez nie kotka i natychmiast zaczęła krążyć po pokojach.

– Przykro mi, Aguna. Tu ich nie ma – poinformowała ją Roberta.

Aguna spędziła u niej niecałą godzinę. Potem znów stanęła pod drzwiami i Roberta musiała ją wypuścić.

W tym samym tygodniu pojawiła się jeszcze dwa razy. Z niedowierzaniem przeszukała dom i wyszła, nie zniżając się do tego, by spojrzeć na gospodynię.

Lucy Gotelli zadzwoniła dopiero po dziesięciu dniach, przepraszając za zwłokę.

– Uporałam się wreszcie z pani półmiskiem. Właściwie nie było to nic trudnego, ale mieliśmy w muzeum straszne urwanie głowy i dopiero przedwczoraj mogłam się nim zająć.

– I?

– . Rzeczywiście pochodzi z Woodfield. Znalazłam sygnaturę. Przeprowadziłam też analizę substancji, która tworzy napis na górnej powierzchni. To farba kazeinowa.

– Kazeina... to składnik mleka, prawda? – bąknęła Roberta.

– Zgadza się. Główne białko występujące w mleku, które ścina się, gdy mleko kwaśnieje. Farmerzy w dawniejszych czasach sami robili farby. Zsiadłego mleka mieli pod dostatkiem; zostawiali je, aż całkiem wyschło, a potem ucierali na zamach, mieszały z barwnikiem, mlekiem, białkiem jaj i odrobiną wody. W tym przypadku użyto pigmentu ołowiowego. Takiej czerwonej, w oryginale bardzo jaskrawej farby używano do malowania obór. Zmieniła zabarwienie na rdzawe pod wpływem działania czasu i chemicznych reakcji z glebą.

Lucy powiedziała jej, że wystarczyło umieścić półmisek pod lampą ultrafioletową. Porowata glina wchłonęła farbę, która

poddana promieniowaniu natychmiast emituje z powrotem otrzymaną energię; napis zaczął więc fluoryzować.

– Odczytała pani pozostałe litery?

– Naturalnie. Ma pani pod ręką ołówek? Przeczytam je pani.

Powoli przeliterowała napis. Roberta zapisała go na receptariuszu, a kiedy już odłożyła słuchawkę, usiadła na sofie i niemal bez tchu odczytała jeszcze raz:

ISAIAH NORMAN GOODHUE
ODSZEDŁ BEZ GRZECHU DO BOGA
12 LISTOPADA 1915

A więc mały szkielet nie miał nic wspólnego z rodziną Crawfordów. Roberta błędziła po manowcach.

Sprawdziła w archiwum i dowiedziała się, że takie imiona nosił brat Ewy Goodhue, ów Norm, z którym mieszkała prawie przez całe życie. Zamiast jasnej odpowiedzi Roberta uzyskała materiał do nowych hipotez, z których każda była bardziej niepokojąca od poprzedniej.

W tysiąc dziewięćset piętnastym roku Eva miała czternaście lat, mogła, więc urodzić dziecko, choć pod wieloma ważnymi względami sama była jeszcze dzieckiem. Ona i jej starszy brat mieszkali samotnie w ustronnym wiejskim domu przy Laurel Hill Road.

Jeżeli matką noworodka była Eva, kim był jego ojciec? Jakimś obcym mężczyzną, czy też... jej własnym bratem?

Odpowiedź biła z niezgrabnie wypisanych imion.

Isaiah Norman Goodhue był o trzynaście lat starszy od siostry. Nigdy się nie ożenił, życie spędził w odosobnieniu, pracując sam na farmie. Od Ewy wymagał, żeby mu gotowała, sprzątała, pomagała w oborze i w polu...

Czy również w sypialni?

Jeśli zaś dziecko poczęło się z kazirodztwa, czy był to gwałt, czy też romans?

Jakiż koszmar musiała przeżyć czternastoletnia dziewczynka, kiedy zrozumiała, że jest w ciąży!

Roberta mogła ją sobie wyobrazić. Prerażona, nękana wyrzutami sumienia, bo jej dziecko spoczęło w nie poświęconej ziemi; obolała po porodzie i praktycznie bez opieki.

Widocznie podmokłe pastwisko sąsiadów zostało wybrane na miejsce pochówku, ponieważ ziemia była tu bezwartościowa i nie opłacało się jej orać.

Czy rodzeństwo razem dokonało pogrzebu? Gliniany półmisek znaleziono wyżej niż zwłoki dziecka. Pewnie Eva wypisała na nim imiona i datę – jedyne wspomnienie, jakie jej zostało – i ukradkiem zakopała obok noworodka.

Przez większość życia Ewa patrzyła z okien wprost na to mokrądo. Jak musiała się czuć, widząc krowy Harry'ego Crawforda, które pasły się tam, deptały ziemię i zanieczyszczały ją gnojem?

A jeśli dziecko urodziło się żywe?

Tylko Eva знаła tę ponurą tajemnicę; przed Robertą zamknęła się ona na zawsze. Może to i lepiej. Nie chciała już trzymać półmiska na wierzchu. Był świadectwem tragedii, zbyt głośno krzyczał o nieszczęściu młodej wiejskiej dziewczyny w sytuacji bez wyjścia. Owinęła go w szary papier i schowała w dolnej szufladzie komody.

36 NA SZLAKU

Myśl o Evie rzucała na Robertę upiorny cień, którego nie była w stanie rozproszyć nawet muzyka. Z ochotą teraz wychodziła do pracy, łaknąc kontaktu z ludźmi, ale i tam nie wszystko szło jak po maśle. Bezpłodność spowodowała, że Toby stała się drażliwa i wybuchowa, a sytuacji wcale nie polepszało to, że dziewczyna świetnie zdawała sobie z tego sprawę.

Roberta czuła, iż w końcu będą musiały poruszyć ten temat, o wiele łatwiej jednak byłoby jej rozmawiać ze zwykłą pracownicą lub pacjentką. Z Toby łączyła ją szczerą przyjaźń i dlatego Roberta bez końca odkładała czekającą je konfrontację. Mimo tych problemów spędzała długie godziny w gabinecie, niechętnie wracając do pustego domu, ciszy i samotności.

Pociechę stanowiła zbliżająca się wiosna. Śnieżne zaspę na poboczach kurczyły się z dnia na dzień. Ogrzana słońcem ziemia spijała roztopę, a zbieracze soku rozpoczęli coroczne nacinanie klonowych pni. W grudniu Frank Sotheby wypchał gałganami parę starych tenisówek i nadjedzone przez mole spodnie narciarskie, po czym umieścił je w sięgającej pasa stercie śniegu przed sklepem. Obok wkopał jedną nartę i kijek, co dawało wrażenie, że jakiś narciarz wpadł głową w zaspę. Teraz manekin topniał wraz ze śniegiem. Kiedy Frank uprzątnął przemoczone szmaty, Roberta uznała, iż to najpewniejszy znak nadejścia wiosny.

Pewnego wieczoru posłyszała dobrze znane skrobanie. Kotka weszła do domu i rozpoczęła zwykłą, niespieszną inspekcję.

– ch, Aguna, zostań ze mną wreszcie – jęknęła Roberta, zła na siebie, że poniża się przed zwierzęciem, lecz Aguna zignorowała jej życzenie, upomniała się o swoją wolność i wymknęła na dwór, zostawiając ją samą.

Wieczorami wyczekiwała wezwań karetki pogotowia, choć z zasady robili to tylko w sytuacji, której sami nie byli w stanie opanować. Ostatniej nocy marca nad górami przeszła ostatnia burza śnieżna w tym sezonie. Na drodze szybkiego ruchu odchodzącej od Main Street pijany kierowca w poślizgu zjechał buickiem na przeciwny pas ruchu i zderzył się czołowo z małą toyotą. Kierowca toyoty nadział się na kierownicę, łamiąc wszystkie żebra. Jego klatka piersiowa została spłaszczona, tylko mostek sterczał z niej niczym wyspa. Przy każdym oddechu ranny cierpiał męczarnie. Co gorsza, luźny segment żebra nie poruszał się wraz z resztą; w efekcie przebił płuco.

Na miejscu ekipa ratownicza mogła tylko obciążyć mostek, podać tlen i odwieźć poszkodowanego do szpitala. Właśnie to robili, kiedy nadjechała Roberta. Tym razem, dla odmiany, sanitariuszy było aż za wielu, wśród nich i Toby. Roberta odwołała ją od grupki strażaków, uprzątających z jezdni szkło i kawałki metalu.

Odeszły kawałek szosą do miejsca, skąd mogły się przyglądać.

– Sporo o tobie myślałam – powiedziała Roberta. Noc była chłodna i Toby dygotała w czerwonej służbowej kurtce. Żółte światło ostrzegawcze karetki, obracające się niczym latarnia morska, oświetlało jej twarz, co kilka sekund. Toby otuliła s ramionami i spojrzała na Robertę.

- Tak?
 - Tak. Jest pewien zabieg, któremu moim zdaniem powinnaś się poddać.
 - Jaki znów zabieg?
 - Diagnostyczny. Trzeba by wreszcie dokładniej przyjrzeć się twoim przydatkom,
 - Słowem: inwazyjny? Zapomnij o tym. Nie mam zamiaru dać się ciąć. Widać niektórym... po prostu nie jest pisane macierzyństwo.
 - Mnie to mówisz? – Roberta uśmiechnęła się cierpko i potrząsnęła głową. – W dzisiejszych czasach nie otwiera się brzucha. Wystarczą trzy maleńkie nacięcia: jedno w pępku, a dwa poniżej, nad każdym jajnikiem. Używa się cieniutkich światłowodowych wzierników o niewiarygodnie czułych soczewkach, pozwalających dostrzec najdrobniejsze szczegóły. Jeżeli trzeba dokonać korektur, robi się to właśnie przez te trzy nacięcia.
 - Musieliby mnie uśpić?
 - Tak, zostałabyś poddana ogólnej narkozie.
 - Robisz te... jak to się nazywa?
 - Laparoscopia, czyli wziernikowanie jamy brzusznej. Nie, tym się nie zajmuję. Posłałabym cię do Danny’ego Noyesa. To świetny lekarz.
 - Nie ma mowy.
- Roberta straciła cierpliwość.
- Dlaczego? Tak rozpaczliwie chcecie mieć dziecko.
 - Posłuchaj, Roberto! Wygłaszasz tak cholernie fanatyczne kazania, że każda kobieta ma prawo decydować, co dzieje się z jej własnym ciałem. Cóż, to moje ciało. A ja się nie zgodzę na zabieg chirurgiczny, o ile nie będzie zagrożone moje zdrowie lub życie, co

akurat w tym przypadku nie ma miejsca. Więc zostaw mnie, do diabła, w spokoju, rozumiesz? I dzięki za troskę.

Roberta kiwnęła głową.

– Nie ma, za co powiedziała ze smutkiem.

W marcu próbowała wejść do lasu bez nart i rakiet śnieżnych, lecz bez powodzenia: zapadła się powyżej kolan w śnieg, który nie chciał topnieć na zacienionym szlaku. Ponowną próbę uczyniła w kwietniu. Śnieg jeszcze leżał, ale można było iść, chociaż z pewnym trudem. Zima sprawiła, iż las zmienił się w ostęp, na ścieżce piętrzyły się suche gałęzie, które trzeba było usunąć. Roberta miała uczucie, że z góry patrzą na nią leśne dżinny. Na łacie śniegu zobaczyła odciski tłustych, prawie ludzkich stóp z dziesięcioma ostrymi pazurami. Duże paluchy znajdowały się na zewnątrz stopy, wiedziała, więc, że ślady te zostawił spory niedźwiedź. Nabrała tchu i gwizdała tak głośno, jak tylko pozwalały jej płuca. Z niewiadomych powodów była przekonana, że „My Old Kentucky Home” najlepiej odstraszy zwierza, choć słysząc tę piosenkę w jej wykonaniu, niedźwiedź prędeż by usnął, niż czmychnął.

W trzech miejscach drzewa zwały się na ścieżkę. Roberta wróciła do stodoły, wzięła ręczną piłę i usiłowała pozbyć się zwałonych pni, ale narzędzie to okazało się stanowczo zbyt mało wydajne.

Są rzeczy, do których potrzebny jest chłop powiedziała sobie z rezygnacją.

Przez kilka dni dumiała, kogo by zatrudnić do oczyszczenia ścieżki i pociągnięcia jej dalej wzdłuż rzeki. Tydzień później jednak udała się do swojego ulubionego sklepu ze sprzętem rolniczym i ku własnemu zaskoczeniu zapytała o piły łańcuchowe.

Wyglądały śmiercionośnie i czuła, że w istocie mogą być aż tak groźne.

– Sam ich widok przyprawia mnie o dreszcze – wyznała sprzedawcy.

– Nie dziwota. Można tym odciąć rękę równie łatwo jak gałąź – odparł wesoło.– Ale dopóki człowiek się boi, jest bezpieczny. Krzywdę robią sobie rutyniarze, którzy przestają zachowywać ostrożność.

Asortyment pił obejmował kilka marek o różnej wadze i długości. Sprzedawca pokazał jej najmniejszy model.

– Większość kobiet wybiera te.

Kiedy mu powiedziała, że chce wyciąć ścieżkę w lesie, pokręcił głową i podał jej inną piłę.

– Ta jest trochę cięższa. Szybciej zmęczą się pani ręce i trzeba będzie częściej odpoczywać, ale zdziała pani o wiele więcej.

Kilkanaście razy kazała mu demonstrować, jak się włącza silnik i jak zatrzymuje, jak należy ustawić automatyczny hamulec, żeby wirujący łańcuch nie rozplątał jej głowy, jeżeli piła natrafi na sęk i odskoczy.

Nim przywiozła ją do domu wraz z zapasem oleju i puszką benzyny, już tego żałowała. Po kolacji uważnie przeczytała instrukcję i doszła do wniosku, iż zakup ów był szaleństwem. Narzędzie było skomplikowane i przewrotnie zdolne do destrukcji; czuła, że nigdy nie będzie miała dość odwagi, by się nim posłużyć. Schowała piłę w kącie stodoły i postanowiła o niej zapomnieć.

Dwa dni później, wracając z pracy, jak zwykle wyjęła pocztę ze skrzynki przy drodze. Zaniósła ją do kuchni i podzieliła na kilka

kupek; na jedną listy, na drugą rachunki, katalogi, które miała ochotę przejrzeć oraz czasopisma. Ulotki reklamowe powędrowały do kosza.

Średniej wielkości prostokątna koperta była jasnoblękitna, W chwili, gdy Roberta poznała charakter pisma, zrobiło jej się duszno.

Nie spieszyła się z otwarciem. Potraktowała list jak bombę-pułapkę, obejrzała go uważnie z obu stron. Nadano go trzy dni wcześniej w Chicago bez adresu zwrotnego.

Wzięła nóż do papieru i schludnie rozcięła górną część koperty. W środku znalazła kartkę wielkanocną z napisem: „Wesołych Świąt!” Patrzyła na stłoczone, pochylone litery:

Droga Roberto!

Właściwie nie wiem, co powiedzieć, od czego zacząć.

Chyba przede wszystkim powinienem przeprosić, że przysporzyłem Ci niepotrzebnych zmartwień.

Jestem cały i zdrowy. Od pewnego czasu również trzeźwy i staram się bardzo, żeby tak było nadal. Nic mi tu nie grozi, otaczają mnie dobrzy ludzie. Powoli godzę się z życiem.

Pomyśl czasem o mnie tak życzliwie, jak ja o Tobie myślę.

Szczerze oddany

David

„Pomyśl czasem o mnie”?

„Wesołych Świąt”?

Rzuciła kartkę i kopertę na gzyms kominka. Złapana w kleszcze lodowatej furii, miotła się po domu; w końcu wyszła na dwór.

Wzięła ze stodoły nową piłę i pomaszerowała leśną ścieżką w stronę pierwszego powalonego drzewa.

Zrobiła dokładnie tak, jak kazała instrukcja: uklękła, przygwoździła tylny uchwyt prawą stopą do ziemi, zamontowała osłonę, ustawiła bezpiecznik i włączyła zapłon; następnie mocno ścisnęła lewą ręką przedni uchwyt, a prawą pociągnęła rączkę rozrusznika. Kilka pierwszych szarpnięć nie odniosło skutku i Roberta już miała się poddać, kiedy piła kaszlnęła, prychnęła i ocknęła się.

Roberta pociągnęła spust i dodała gazu; silnik ryknął głośno. Odwróciła się do zwałonego drzewa, znów mocniej nacisnęła spust i przyłożyła ostrze do pnia. Łańcuch śmigał wokoło, jego zęby ogryzały się w drewno jak w masło. Wizg piły był niczym muzyka.

Toż to potęga! – myślała. – Potęga!

W krótkim czasie pień został pocięty na kawałki dostatecznie małe, by mogła usunąć je ze ścieżki. Gdy zapadł zmierzch, przystanęła z ryczącym narzędziem w ręku, pijana sukcesem, gotowa rozsiekać wszystkie swoje problemy. Nie trzęsała się już ze strachu. Nie bała się niedźwiedzia. Wiedziała, że niedźwiedź ucieknie na sam dźwięk jej ostrych, wibrujących zębów.

Udało się – pomyślała z triumfem. Wezwała duchy lasu na świadków, że kobieta może zrobić wszystko.

37 JESZCZE JEDEN MOST

Przez dwa kolejne popołudnia brała do lasu piłę i atakowała pozostałe dwa zwalone pnie. W czwartek miała wolne, wyszła, więc wcześniej rano, kiedy milczące, podobne druidom drzewa otulała jeszcze lodowata wilgoć. Do rzeki pozostał niewielki odcinek, wykarczowała go jeszcze przed lunchem. Po krótkim odpoczynku, czując dreszcz podniecenia, zaczęła posuwać się wzdłuż brzegu.

Piła była ciężka. Musiała robić przerwy, które wykorzystywała na uprzątnię ściętych gałęzi i drzewek. Zrzucała je na stosy, by dały schronienie królikom i innym drobnym leśnym zwierzętom. Brzeg rzeki upstrzony był jeszcze bielą, ale wezbrana woda toczyła się prędko niczym ciekły kryształ. Roberta przykucnęła w miejscu, gdzie spod śniegu przebijały się zielone kiełki, i nagle jej uwagę przykuł błękitny, sercokształtny kamień, leżący w płytkiej wodzie. Podwinęła rękaw swetra, a gdy zanurzyła dłoń, zimny prąd przeszył całe jej ciało, zmieniając ramię w lodowate szkło. Kamień miał ładny kształt; delikatnie wytarła go chusteczką i włożyła do kieszeni. Przez całe popołudnie, pracując bez wytchnienia, czuła, jak serdeczna magia dodaje jej sił.

W nocy czarowały ją soprany kojotów i barytonowy poszum wezbranej rzeki. Rankami, ścieląc łóżko, jedząc, porządkując salon widziała z okien jeżozwierze, jastrzębie, sowy, myszołowy, wielkie kruki, które trzymały jej ziemię w wieczystej dzierzawie. Było mnóstwo królików i kilka jeleni, ale ani śladu dwóch indyczek, które dokarmiała zimą. Roberta martwiła się o nie.

Teraz, co dnia pędem wracała z pracy, zmieniała odzież i chwytła piłę. Pracowała ciężko, z upajającą satysfakcją prowadziła

wielką pętlę szlaku z powrotem w stronę domu.

Wiatr był teraz łagodny, zmrok zapadał coraz później, a boczne drogi nagle zmieniły się w bagniska. Roberta nabrała wprawy w poruszaniu się po okolicy i wiedziała już, kiedy zostawić samochód i brnąć dalej pieszo, nie musiała, więc ponownie wyciągać forda z błota.

Mięśnie jej ramion, pleców i ud stężały od wysiłku i były tak obolałe, że przez jakiś czas pojękiwała przy każdym kroku. Później ciało okrzepło i przystosowało się do codziennej pracy. Przepychając piłę przez gałęzie, żeby dostać się do pnia, dorobiła się licznych zadrapań i ranek na dłoniach i ramionach. Próbowwała się zabezpieczać, lecz rękawy darły się, a rękawice nie pozwalały jej pewnie ująć piły, więc z nich zrezygnowała. Codziennie po kąpieli starannie dezynfekowała skaleczenia i obnosiła strupy niczym medale za bitewne męstwo.

Czasem nagły wypadek lub wizyta u pacjenta zakłócały jej harmonogram. Biadała nad każdą zmarnowaną chwilą i cały wolny czas spędzała w lesie. Ilekroć wygospodarowała parę godzin na pracę, front robót przesunął się i dotarcie do niego zajmowało z dnia na dzień coraz więcej czasu. Nauczyła się zostawiać puszki z paliwem w lesie, starannie zabezpieczone w plastikowych workach. Czasem widziała ślady, które ją niepokoiły: w oczyszczonym poprzedniego dnia miejscu znalazła długie pióra i miękkie pierze indyka, który zginął tej nocy. Miała absurdalną nadzieję, że nie jest to jeden z „jej” ptaków. Pewnego zaś ranka zastała na ścieżce szczególną wizytówkę gigantyczną kupę niedźwiedzich odchodów. Czarne niedźwiedzie przesypiały zimę nie jedząc i nie wypróżniając się, wiosną obżerały się bez opamiętania, aż w końcu silny skurcz

jelit wydalają z nich twarde, gęste fekalia. Czytała o tym; teraz przyjrzała się odchodom, których rozmiar wskazywał na bardzo duże zwierzę, przypuszczalnie tego samego niedźwiedzia, którego łapy widziała odcisnięte na śniegu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż niedźwiedź specjalnie wypróżnił się na szlaku, aby jej przypomnieć, że to jego terytorium. Odtąd znów z obawą myślała o samotnych wyprawach do lasu.

Przez cały kwiecień popychała szlak w stronę domu, czasem karczując dziennie tylko kilka stóp gąszczy, to znów większy odcinek w łatwiejszym terenie. W końcu stanęła przed ostatnią przeszkodą strumieniem, nad którym trzeba było przerzucić most. W ciągu wieków potok wgryzł się głęboko w dno lasu, drenując mokre pastwisko i odprowadzając zeń wodę do rzeki. David zbudował trzy drewniane mostki w innych miejscach; nie wiedziała, czy sama zdoła zrobić czwarty. Być może wymagało to więcej siły i doświadczenia.

Pewnego dnia po przyjściu z pracy obejrzała uważnie wysokie brzegi, a potem zwiedziła mosty zrobione przez Davida, analizując uważnie ich konstrukcję. Widziała, że praca zajmie jej co najmniej jeden pełny dzień, musiała więc odłożyć to na któryś czwartek. Chociaż do zmroku pozostało jeszcze trochę czasu, postanowiła zakończyć pracę. Stan wody był za wysoki, żeby łowić ryby, poszła jednak do domu, wzięła wędkę i wykopała pół tuzina robaków przy kupie kompostu. Zarzuciła wędkę w największym z bobrowych stawów i na zmianę to patrzyła na spławik, to znów podziwiała pracę bobrów, które zbudowały tamę, wycinając imponującą liczbę drzew. Pojawił się zimorodek, krzyknął do niej szyderczo, zanurkował w stawie i odleciał z rybą w dziobie. Odczuła ze

wstydem, że nie dorasta mu do pięt, ale w końcu złapała dwa śliczne małe pstrągi, które zjadła na kolację z jarzynowo-ziołową potrawką.

Po kolacji, wynosząc śmieci, zobaczyła mały czarny serdeczny kamień tuż obok miejsca, gdzie wykopywała robaki. Nadepnęła go szybko, jak gdyby bała się, że ucieknie. W domu szorowała go dotąd, aż zaczął lśnić, potem zaś umieściła na telewizorze.

Gdy już ziemia została obnażona ze śniegu, okazało się, iż Roberta w niepojęty sposób odziedziczyła szczególny talent Sary Markus do odnajdywania kamieni w kształcie serc. Trafiła na nie wszędzie, jak gdyby kierował nią duch Sary. Były rozmaite – pyzate jak gruszka i głęboko wcięte, kanciaste, lecz o harmonijnych kształtach, o szpicach ostrych jak iglice lub rozgiętych jak płytki łuk przedszkolnej huśtawki.

Znalazła kamień płaski niczym brunatne znamię w plastikowym worku kupnego torfu. Inny, wielkości pięści – u podnóża walącego się kamiennego muru na zachodniej granicy swojej posiadłości. Dostrzegła je pracując w lesie, spacerując wzdłuż Laurel Hill Road załatwiając sprawunki na Main Street.

Ludzie z Woodfield szybko zwrócili uwagę na namiętność lekarki do sercokształtnych kamieni i zaczęli je znosić do domu i gabinetu Roberty, zadowoleni, że pomogą jej wzbogacić zbiór. Przyzwyczała się wchodząc do domu opróżniać z kamieni kieszenie, torebkę, siatki z zakupami. Myła je, suszyła i dumiała w podnieceniu, gdzie też je położyć. Kolekcja szybko przestała się mieścić w gościnnym pokoju, Kamienie panoszyły się na gzymsach boazerii, w salonie nad kominkiem, na stoliku okolicznościowym i na nocnej szafce. Na

szafkach w kuchni i w łazience na piętrze, na biurku w sypialni i na spłuczce w toalecie na parterze.

– Kamienie mówiły jej o Sarze i Davidzie. Nie chciała go słuchać, mimo to jednak nie mogła się powstrzymać od ich gromadzenia. Kupiła podręcznik geologii i zaczęła badać poszczególne okazy, czerpiąc przyjemność z wiedzy, iż ten na przykład to bazalt z dolnej jury, kiedy potworne gady władały doliną, tamten zaś to zestalona magma, która wypłynęła z wrzącego krateru milion lat temu, gdy ziemia w atakach czkawki wypluwała z siebie rozżarzone wymioty. Piaskowo-żwirowy zlepieniec pochodził z czasów, gdy położone teraz w głębi lądu wzgórze pokrywał ocean, kawałek połyskującego gnejsu prawdopodobnie był bezbarwną, burą skałą, zanim zderzające się kontynenty nie przetopiły go w metamorficznym tyglu.

Któregoś popołudnia Roberta szła w Northampton przez King Street, wzdłuż której wymieniano właśnie rury kanalizacyjne. Podłużny wykop miał około pięciu stóp głębokości, przechodniom broniły dostępu drewniane krzyżaki, metalowe bariery i żółta plastikowa taśma. W dole tkwił czerwony, pięknie ukształtowany kamień długi mniej więcej na piętnaście cali, a szeroki na osiemnaście. Na jego widok oczy jej zabłyśły.

Skamieniałe serce przedwiecznego olbrzyma.

Wykop był pusty; robotnicy skończyli już dniówkę i odeszli, nie miała, więc kogo poprosić, żeby podał jej kamień. Fatalnie – pomyślała, ruszając dalej. Po pięciu krokach jednak przystanęła i zawróciła. Przemknęła pod taśmą, usiadła na ziemi, zapominając, że ma na sobie nowe spodnie, spuściła nogi do wykopu i zeskoczyła.

Kamień był rzeczywiście ładny, ale strasznie ciężki, a musiała go podnieść na wysokość barków i dopiero wtedy wypchnąć z rowu. Dokonała tego za drugim podejściem, w akcie czystej desperacji.

– Co tu się, u licha, dzieje?

Policjant patrzył na nią z niedowierzaniem, nachylony nad wykopem od strony jezdni.

– Czy byłby pan tak miły i pomógł mi wyjść? – zapytała, wyciągając ręce. Policjant nie był zbyt postawny. Po chwili jednak wyholował ją w górę, sapiąc równie głośno jak ona, gdy dźwigała kamień.

Zmierzył wzrokiem błoto rozmazane na jej policzku, czarne spodnie poznaczone smugami szarej gliny, ubrudzone buty.

– o pani tam robiła?

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko słodko i podziękowała mu za pomoc.

– Jestem kolekcjonerką – rzuciła na odchodnym.

Trzy czwartki minęły, nim trafiła się jej sposobność poświęcenia dnia na budowę mostu. Wiedziała, co ma robić. Kilkakrotnie przeszła szlak do strumienia, żeby przyjrzeć się brzegom i coraz to od nowa powtarzała w myśli kolejne czynności.

Musi ściąć dwa dobrane grubością drzewa, których pnie spełnią rolę dźwigarów. Okorowane i wyrównane pnie powinny być na tyle solidne, by utrzymać ciężar i nie pęknąć, a równocześnie dość lekkie, by mogła osadzić je na miejscu.

Wybrała już drzewa i od razu wzięła się do roboty. Gwizd piły znacznie poprawił jej humor. Obcinając boczne gałęzie czuła się teraz nieomal ekspertem. Pnie były zwodniczo smukłe, ale bardzo

ciężkie, przekonała się wszakże, iż może je przemieszczać po kilka stóp naprzód, unosząc i przesuwając na zmianę to jeden, to drugi koniec. Za każdym razem, kiedy pień upadał, ziemia drżała w posadach, ona zaś czuła się jak Amazonka tyle, że bardzo zasapana.

Kilofem i łopata wykopała cztery płytkie wgłębienia, w których musiała osadzić końce pni, aby były stabilne. Powoli lecz nieustępliwie dowlókłszy je na miejsce, weszła do wody i dźwigając na barkach potężne kłocę, manewrowała nimi to w tę, to w tę stronę, aż w końcu znalazły się w przygotowanych gniazdach. Była już pora lunchu, a gzy i moskity zjadały ją żywcem, zarządziła, więc odwrót.

Zbyt podekscytowana, by marnować czas na gotowanie, zjadła kilka pająd chleba, maźniętych pobieżnie masłem arachidowym, i wypija filiżankę herbaty. Marzyła o gorącej kąpieli, lecz zdawała sobie sprawę, że jeśli ulegnie pokusie, nie skończy mostu, a zwycięstwo było już tak blisko. Spryskana świeżą warstwą preparatu odstraszającego komary wróciła do pracy.

Kupiła nieco wcześniej od Hanka Krantza ciężarówkę desek z drzewa świętojańskiego. Leżały w sągach na podwórzu za domem. Mierzyła i cięła czterostopowe odcinki, starając się wybierać deski więcej równej grubości. Potem nosiła je, po trzy albo cztery na raz, nad strumień. Była już naprawdę skonana, ale podtrzymywała ją świadomość, że to, co pozostało do zrobienia, całkowicie mieści się w ramach jej możliwości. Przybijiała deski długimi gwoździami, a huk młotka wyzywał leśne drapieżniki, by zmierzyły się z nią na jej terytorium.

Gdy późnym popołudniem na las padł cień, skończyła pracę. Most był mocny. Brakowało mu tylko eleganckich poręczy z

białych brzózek, ale te mogła zamontować innego dnia. Ugiął się nieco bardziej niż mosty Davida – przyznała sama przed sobą – bo też dźwigary były cieńsze. Wykonała jednak kawał dobrej roboty. Odtąd most będzie jej wiernie służył. Stanęła na środku i zatańczyła triumfalną tarantelę.

Na wschodnim brzegu prawy koniec mostu lekko się poruszył.

Kiedy podeszła bliżej i podskoczyła w miejscu, róg osunął się. Podskoczyła jeszcze parę razy, klnąc pod nosem, i naroże opadło jeszcze bardziej. Taśma miernicza uświadomiła jej, że most kończy się po tej stronie czternaście cali niżej niż na drugim brzegu. Sama napylała sobie biedy, zapominając o utwardzeniu podłoża, a ciężar mostu dokonał reszty. Zrobiłaby mądrzej, gdyby umieściła pod każdym dźwigarem płaski kamień.

Wlaza z powrotem do strumienia i spróbowała unieść niższy koniec mostu, ale nie była w stanie nawet go poruszyć. Z goryczą spojrziała na pochyłą konstrukcję. Można było chodzić po nim ostrożnie dopóki jeszcze bardziej nie opadnie. Na szaleństwo natomiast zakrawała próba przenoszenia tędy ciężarów albo pchania wyładowanych taczek.

Pozbierała narzędzia i powłócząc nogami wróciła do domu, śmiertelnie rozczarowana. Nie będzie jej łatwo chełpić się, że jest w stanie osiągnąć wszystko, co sobie postanowi, skoro musi w duchu dopowiedzieć słówko: „prawie”

George Palmer pojawił się w gabinecie Roberty pewnego dnia, gdy w poczekalni wszystkie krzesła były zajęte, a Nordahl Petersen siedział nawet na schodkach przed domem. Roberta miała urwanie głowy, kiedy jednak skończyła tłumaczyć Palmerowi, dlaczego mimo bólu biodra nie będzie mu dłużej podawać kortyzonu, ten kiwnął głową, lecz wyraźnie nie miał zamiaru wyjść.

– Mój najmłodszy syn ma na imię Harold – oznajmił i dodał z przekąsem: – Mój kochany bobas. Harold Wellington Palmer. Ma teraz czterdzieści dwa lata.

Roberta uśmiechnęła się z przymusem i skinęła głową.

– Jest księgowym. Mieszka w Bostonie. To znaczy, mieszkał tam przez ubiegłe dwanaście lat. Teraz wraca do taty. Do Woodfield.

– O? To miłe – powiedziała ostrożnie, ponieważ z ogólników rzucanych przez Palmera nie sposób było wywnioskować, czy się z tego cieszy.

Jak się okazało, sprawa wcale nie była taka miła.

– Harold zaraził się tym... jak to się nazywa, wirusem HIV. Przyjeżdża tu razem ze swoim przyjacielem. Mieszkali ze sobą przez dziewięć lat i... – mogło się wydawać, że George Palmer zgubił wątek. Po chwili jakby wzdrygnął się i podjął: – Chodzi mi o to, że pewnie będzie potrzebować opieki lekarskiej.

Roberta położyła rękę na dłoni George'a.

– Chętnie go poznam i będę leczyć powiedziała, ściskając ją lekko. Palmer zrobił wysiłek, żeby się uśmiechnąć, podziękował i wyszedł.

Do końca leśnej pętli nie pozostało wiele, ale smętnie przekrzywiony most przyćmił budowlany entuzjizm Roberty. Z ulgą

wzięła się za warzywnik. Na jarzyny liściaste było jeszcze za wcześnie, podręcznik zaś mówił, że powinna była zasiać groch parę tygodni wcześniej, zamiast pracować w lesie. Zimny górski klimat dawał jej jednakże margines swobody, rozrzuciła więc na swoich grządkach torf, kompost i dwa worki kupnej ziemi, i wszystko to przekopała. Zasiała groch i szpinak, wiedząc, że żadnemu z nich nie zaszkodzi mróz, jaki wciąż regularnie nękał nocami Woodfield.

Podlewała starannie nie za dużo, żeby nasiona nie zgniły; nie za mało, żeby nie wyschły i w nagrodę ujrzała rządki kiełków, które przetrwały zaledwie tydzień. Kluczem do ich zniknięcia okazał się pojedynczy ślad, idealnie odcisnięty na aksamitnej ziemi.

Młody jeleni.

Tego wieczoru, pijąc kawę u Smithów, opowiedziała im, co się stało.

– I co ja mam teraz zrobić? Siał jeszcze raz?

– Jasne powiedziała Toby. Masz jeszcze czas, żeby doczekać się zbiorów.

– Znajdzie się inny jeleni – skrzywił się Jan. – Musisz coś przedsięwziąć, żeby dzikie zwierzęta trzymały się z dala od twojego ogrodu.

– Ale co? – zdenerwowała się Roberta. – To ty jesteś ekspertem od dzikiej zwierzyny.

– Cóż, niektórzy zbierają u fryzjera ścinki ludzkich włosów i rozsiewają je wokół ogrodu.

Sam też próbowałem. Czasami skutkuje, czasem nie.

– To jak chronicie ogród?

– Obsikujemy go dookoła – oznajmiła z kamienną twarzą Toby. – Ścisłej mówiąc, on się tym zajmuje – wskazała kciukiem męża.

Jan kiwnął głową.

– To najlepszy sposób. Kiedy zwierzę zwęszy ludzki mocz, jest to dla niego wystarczający pretekst, by zarządzić strategiczny odwrót. Też powinnaś to zrobić.

– Dobrze ci mówić. Istnieje między nami pewna drobna anatomiczna różnica, która odrobinę utrudnia mi podlewanie. Może w ramach przyjacielskiej przysługi podjąłbyś się...

– Nie ma mowy – wtrąciła stanowczo Toby. – Jego pęcherz ma ograniczoną wydajność, a to, co wycisnie, jest z góry zaklepane.

– Korzystaj z plastikowych kubków – doradził jej Jan, szczerząc zęby.

To właśnie robiła, ponownie zasiawszy groch. Niestety, jej wydajność również była niewielka, choć piła więcej płynów, niż miała ochotę. Podlała jednak wokoło przynajmniej tę część grządki i tym razem młode siewki nie zostały zjedzone.

Pewnego dnia z podwórza dobiegł dźwięk podobny do warkotu kilku motocykli. Gdy Roberta wyszła z domu, zobaczyła bzycający kłęb, który uniósł się z jednego z uli. Tysiące pszczoł wzlatywały krętymi, tańczącymi sznurkami, które na wysokości dachu zrastały się w grubą, niemal twardą kolumnę, tak liczne i stłoczone były małe ciała. Po chwili kolumna zmieniła się w pulsującą ciemną chmurę, która napęczniała, uniosła się i w końcu uleciała w las.

Dwa dni później wyroił się następny ul.

David bardzo dbał o swoje pszczoły, Roberta zaś zupełnie o nich zapomniała, nie była, więc zbyt poruszona ich stratą. Zajmowała ją praca i własne sprawy; uznała, iż w pierwszym rzędzie musi się troszczyć o siebie.

Tegoż popołudnia zadzwoniła Gwen Gabler. Przyjeżdżała z Idaho, żeby ją odwiedzić.

– Zamierzam pokręcić się dwa tygodnie po zachodnim Massachusetts – powiedziała. – Opowiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy.

Problemy małżeńskie? Nie, na to nie wyglądało.

– Phil i chłopcy przesyłają ci ucałowania – powiedziała Gwen.

– Ty też ucałuj ich ode mnie. I przyjeżdżaj prędko. Już nie mogę się doczekać.

Chciała odebrać Gwen z lotniska, ale ta wiedząc, jak napięty bywa harmonogram lekarza, przyjechała taksówką. Ta sama przemądrzała, serdeczna, cudowna Gwen!

Przywiozła ze sobą wiosenne oberwanie chmury, ścisnęły się więc „na mokro”, wydając radosne okrzyki. Roberta wskazała Gwen gościnny pokój.

– To potem. Gdzie jest toaleta? Trzymam od Springfield.

– Pierwsze drzwi na lewo. Ojej, zaczekaj!

Roberta pobiegła do swojego pokoju, złapała cztery plastikowe kubki i wręczyła je Gwen. – Proszę. Czy mogłabyś zrobić to do nich? Byłabym ci niezmiernie wdzięczna.

Gwen osłupiała.

– Potrzebne ci próbki moczu?

– Ile tylko zdołasz z siebie wydusić. To do ogródka.

– A, do ogródka! – Gwen zrobiła krok w stronę łazienki, ale ramiona już jej podrygiwały i po chwili kwiczała ze śmiechu, bezwładnie oparta o ścianę. – Nic a nic się nie zmieniłaś i to mnie najbardziej cieszy. Boże, jak ja się za tobą stęskniłam, Roberto J. Cole! – powiedziała ocierając łzy z oczu. – Do ogródka, powiadasz?

- Zaraz ci wytłumaczę...
- Ani mi się waź! Nie chcę o niczym słyszeć. Nie psuj mi zabawy!
- parsknęła Gwen i ściskając kubki pobiegła do toalety.

Wieczór spędziły w poważniejszym nastroju. Rozmawiały do późnej nocy przy wtórze bębniącej w parapety ulewy. Roberta mówiła o Davidzie i Sarze. Gwen słuchała uważnie, zadała jedno lub dwa pytania i ujęła Robertę za rękę. Skończywszy opowiadać, Roberta zmieniła temat.

- A co u ciebie? Jak ci się wiedzie w pracy?
- Cóż, Idaho jest piękne, a ludzie bardzo mili. Ale Highland Family Health Center to firma z piekła rodem.
- Oj, Gwen, jaka szkoda. Tyle sobie po niej obiecywałaś.

Gwen wzruszyła ramionami. Na początku ośrodek wydawał się rajem. Wierzyła w społeczną służbę zdrowia, podpisując zaś kontrakt otrzymała premię w postaci gwarantowanych czterech tygodni pełnego urlopu rocznie. Dodatkowo przysługiwały jej trzy tygodnie uczestnictwa w sympozjach i konferencjach naukowych. Część zatrudnionych w ośrodku lekarzy nie wyglądała co prawda na geniusza ale za to czworo trzech mężczyzn i kobieta – reprezentowało pierwszorzędny poziom.

Niestety, po krótkim czasie jeden z dobrych lekarzy, internista, przeniósł się do pobliskiego szpitala wojskowego. Niedługo potem następny jedyny poza Gwen ginekolog w ośrodku wyprowadza się do Chicago. W chwili, gdy wypowiedzenie złożyła kolejna osoba, lekarka-pediatra, Gwen już całkiem dobrze orientowała się, czemu należy zawdzięczać ten exodus.

Spółdzielnia prowadziła dziewięć takich ośrodków na terytorium zachodnich stanów, nie szczędząc deklaracji, że jej celem nadrzędnym jest wysoki poziom opieki zdrowotnej. W rzeczywistości jednak chodziło głównie o zysk. Miejscowy kierownik, były internista nazwiskiem Ralph Buchanan, studiował teraz metody zwiększania wydajności pracy, zamiast interesować się medycyną. Owszem, przeglądał wszystkie karty pacjentów, ale tylko po to, by ustalić, gdzie zatrudnieni przez niego lekarze „marnowali” pieniądze. Nie miało znaczenia, czy lekarz zauważył u pacjenta symptomy, które uznał za stosowne zbadać nieco dokładniej. O ile nie było wyraźnych, podręcznikowych podstaw do wykonania analiz, kosztami obciążano zlecającego je lekarza. Wprowadzono coś, co nazywano Algorytmicznym Drzewem Decyzyjnym. Jeśli zachodzi A, patrz B. Jeśli wystąpi B, patrz C. Medycyna sprowadzona do poziomu liczb. Zautomatyzowana i jednoznaczna, nie pozostawiająca choćby wąskiego marginesu dla jednostkowych odchyłeń i potrzeb. Wywiad środowiskowy, a więc badanie warunków życia pacjenta, które często stanowią rzeczywistą przyczynę schorzeń, uznano za stratę czasu. W tak określonej sztuce medycznej całkowicie brakło miejsca dla lekarza.

Gwen mimo to była zdania, że wina nie leży w samym systemie.

– Wciąż wierzę, że scentralizowane leczenie może zdać egzamin. Nauka medyczna osiągnęła dostateczny postęp, byśmy mogli przestrzegać limitów czasowych, a w odniesieniu do badań diagnostycznych także finansowych, pod jednym wszakże warunkiem: lekarz musi mieć prawo do niestandardowych działań i nie powinien marnować czasu i energii na wyklócanie się z kierownictwem. Pech chciał, że zarząd mojego ośrodka składał się z

jełopów. Czekaj – Gwen machnęła ręką – to jeszcze nie wszystko. Aby wypełnić lukę po utracie trzech dobrych specjalistów, Buchanan zatrudnił pierwszych z brzegu internistę z Boise, któremu za niekompetencję odebrano prawo do praktyki klinicznej, sześćdziesięciosiedmioletniego naukowca, który nigdy nie pracował w lecznictwie, oraz tymczasowo młodego lekarza ogólnego na stażu. Oprócz mnie pozostał tylko jeden przyzwoity lekarz. Niejaki Marty Murro, trzydziestoparoletni wyznawca filozofii New Age. Nosił długie włosy i chodził do pracy w dżinsach. Ten chłopak jeździł na sympozja, żeby naprawdę nauczyć się czegoś nowego. Czytał całą literaturę fachową, jaka mu wpadła w rękę. Wspaniały młody idealista, zakochany po uszy w medycynie. Taki jak my kiedyś, pamiętasz? – zamyśliła się Gwen. – Tak czy owak – podjęła – oboje natychmiast wpadliśmy w kłopoty.

Dla niej, jak stwierdziła, kłopoty zaczęły się w momencie, kiedy spółka wyznaczyła „tłuka z Boise” na jej zastępcę. Wielokrotnie dzwoniła w tej sprawie do Buchanana, najpierw grzecznie i po przyjacielsku, później coraz bardziej stanowczo. Oznajmiła mu, że jest licencjonowanym ginekologiem-położnikiem i nie pozwoli, by odpowiedzialność za jej pacjentki dzieliła z nią osoba bez żadnych kwalifikacji. Zaznaczyła, że po odejściu drugiego ginekologa liczba obsługiwanych przez nią kobiet znacznie przekroczyła limit przewidziany w kontrakcie, skutkiem, czego nie jest w stanie zapewnić im opieki na właściwym poziomie i powinni wreszcie ruszyć tyłki i znaleźć kogoś, kto by ją odciążył.

Buchanan przypomniał mi, że nasza praca opiera się na działaniu zespołowym, i że powinnam mieć na względzie dobro całej drużyny. Kazałam mu sobie wsadzić te dęte frazesy do flexura

sacralis recti i zatrudnić drugiego wykwalifikowanego ginekologa. W ten sposób wylądowałam na samej górze jego czarnej listy.

Gwen skrzywiła się z niesmakiem.

– Marty Murrow wpakował się w jeszcze gorsze bagno – podjęła, zacerpnąwszy tchu. – Jego kontrakt opiewał na tysiąc sześciuset pacjentów, a leczył już ponad dwa tysiące dwieście. Dla porównania, nasi nowi koledzy mieli pod opieką od czterystu do sześciuset osób. Staruszek jajogłowy na przykład w ogóle nie wiedział zbyt wiele o internie. Recepty wystawiały za niego pielęgniarki. Po niecałych dwóch miesiącach zmienił pracę. Oczywiście pacjenci bardzo szybko zwęszyli, „kto jest kim” w Highland Family Health Center. Kiedy firma załatwiła sobie umowę na zapewnienie opieki medycznej z niewielką fabryczką, w której pracowało pięćdziesięciu ludzi, czterdziestu ośmiu z nich zgłosiło się do Marty’ego. Oboje zaczynaliśmy dostawać szału. Większość nazwisk na kartach była dla nas obca. Często musieliśmy zapisywać leki cudzym pacjentom, ludziom, których nie widzieliśmy na oczy i nie znaliśmy ich chorób. A jako zwykli najemni pracownicy, nie mieliśmy absolutnie żadnego wpływu na podłą jakość usług w tym zakładzie. Jedna z pielęgniarek robiła szczególnie groźne błędy. Marty Murrow wielokrotnie ją na tym przyłapał, kiedy przynosiła mu do podpisu recepty na leki, których dawkowanie zostało przedłużone. Myliła zantax z xanaxem, i tym podobne. Musieliśmy stale patrzeć jej na ręce. Recepcjonistka zaś była nieuprzejma i rzadko zadawała sobie trud, by przekazać lekarzowi wiadomość od pacjenta. – Gwen westchnęła ciężko. – Te cholerne baby zmusiły nas w końcu do powiedzenia im paru cierpkich słów. Skarżyliśmy się Buchananowi, który nas ignorował, chcąc pokazać nam, gdzie nasze

miejsce. Wobec tego Marty napisał prosto do prezesa spółki, emerytowanego urologa z Los Angeles. Złożył skargę na pielęgniarkę, recepcjonistkę i Buchanana, zakończoną wnioskiem o zwolnienie całej trójki. Prezes zadzwonił do Buchanana, ten zaś wysłał pisma do pielęgniarki i recepcjonistki, informując je o zarzutach Murrowa. Natychmiast obie wystąpiły z tą samą historyjką: doktor Martin B. Murrow napastował je seksualnie.

Gwen zamilkła na chwilę i napiła się herbaty.

– Możesz sobie wyobrazić radość Buchanana – podjęła. – Powiadomił Marty’ego o tych oskarżeniach i zawiesił go w pracy na dwa tygodnie celem przeprowadzenia dochodzenia. Marty ma bardzo atrakcyjną żonę i dwie córki, którym poświęca każdą wolną chwilę. Oczywiście powiedział żonie, co się dzieje. Oboje przeżyli bardzo trudne chwile. Buchanan „w zaufaniu” doniósł kilku osobom o kłopotach Marty’ego, nie skąpiąc szczegółów. Plotka natychmiast dotarła do znajomych. Marty wkurzył się, złapał za telefon i wezwał na pomoc swojego starszego brata, członka zarządu kancelarii prawniczej z Wali Street. Pewnie o niej słyszałaś: Golding, Griffey i Moore. Ówże Daniel J. Murrow zadzwonił do Buchanana i oznajmił mu, że dochodzenie naprawdę musi się odbyć tak jak zapowiedziano, bowiem jego klient, doktor Martin Boyden Murrow nalega, by przesłuchano wszystkich bez wyjątku pracowników przychodni.

Roberta wyprostowała się odruchowo.

Mimo że zdradziła prawo na rzecz medycyny, zawsze ożywiała się słysząc o ciekawej sprawie.

– Jesteś pewna, że Murrow.nie...

Gwen parsknęła śmiechem.

– Ręczona pielęgniarka dobiega sześćdziesiątki i jest gruba jak szafa. Sama z każdym rokiem jestem starsza i grubsza, toteż nie deprecjonuję pań dojrzałych i puszystych, ale też nie twierdzę, że są one bardziej pociągające od młodych dziewczyn, które nie wiedzą, co to jest cellulitis. Recepcjonistka, co prawda ma lat dziewiętnaście, ale dla odmiany jest chuda i brzydka. W ośrodku pracuje jedenaście kobiet, z których trzy lub cztery można by umieścić na okładce „Vogue’a”. Każda z nich zeznała, że doktor Murrow nigdy jej nie zaczepiał. W ogóle nie rozmawiał z dziewczynami o seksie; no, może tylko raz. Jedna z pielęgniarek zrobiła mu kiedyś żartobliwy test. „Skoro jest pan takim dobrym diagnostykiem – powiedziała – to niech pan spojrzy na Josie i Francine i odgadnie, która z nich spała wczoraj z mężczyzną.” Odpowiedział, że na pewno Francine, bo jest uśmiechnięta.

– Niezbyt obciążające – stwierdziła sucho Roberta.

– To była najgorsza rzecz, jaką mogli mu przypisać. Żadna z dwóch skarżących nie potrafiła podać bliższych szczegółów i było oczywiste, że chciały go zrobić z zemsty. Zresztą nie tylko Marty miał do nich zastrzeżenia i po zakończeniu śledztwa zarówno pielęgniarkę, jak i recepcjonistkę wyrzucono z pracy.

– A Buchanan?

– Buchanan zachował stołek. Dzięki niemu ośrodek przynosi sowite zyski. Wysłał Marty’emu list, w którym poinformował, że ponieważ dochodzenie nie przyniosło przekonujących dowodów na poparcie zarzutów, które zostały mu postawione, przywraca mu prawo wykonywania zawodu w Highland Family Health Center. Marty natychmiast odpisał, że zamierza wytoczyć jemu i obu zwolnionym pracownikom proces o zniesławienie, firmie zaś o

złamanie warunków umowy. Sam prezes przyleciał z Kalifornii. Spotkał się z Martym i spytał, jakie ma plany na przyszłość. Kiedy Marty powiedział, że zamierza otworzyć prywatną praktykę, prezes zadeklarował, że chętnie mu w tym pomogą, byle nie dopuścić do sprawy sądowej, która zaszkodzi firmie w oczach opinii publicznej. Zaoferował pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów w gotówce, czyli wypłatę za cały okres, jaki pozostał do wygaśnięcia umowy o pracę. Ponadto Marty miał otrzymać kompletne wyposażenie gabinetu i dwóch pokoi zabiegowych, jak również elektrokardiograf i sprzęt do rektoskopii, które i tak tylko on potrafił obsługiwać. Oczywiście Marty zgodził się natychmiast.

W tym momencie Gwen zdecydowała, że ona również tam nie pozostanie.

– Mówię ci, byłam w kropce. Mój mąż rozwinął skrzydła jako wykładowca, a nie chciałam stawać mu na drodze do kariery. I wtedy na konferencji w Nowym Orleanie, Phil poznał dziekana wydziału ekonomii na Uniwersytecie Massachusetts. Okazało się, że mają wakat i Phil mógłby od razu podjąć pracę. Tak, więc z kolei ja zagroziłam Buchananowi procesem i po drobnych przetargach zgodził się pokryć koszty naszej przeprowadzki na Wschód. Wracamy we wrześniu. Phil będzie wykładał w Amherst... – Gwen urwała i z uśmiechem spojrzała na Robertę, skaczącą po pokoju jak uradowane dziecko.

39 CHRZEST MOSTU

– To jak? Co zamierzasz robić, kiedy tu wrócicie?

Gwen wzruszyła ramionami.

– Wciąż wierzę, że publiczna służba zdrowia to jedyna szansa na zapewnienie wszystkim opieki lekarskiej. Pewnie poszukam sobie podobnej spółdzielni. Tylko tym razem upewnię się co do jej poziomu.

Rano pojechały razem do miasteczka. Przeszły całą Main Street, odpowiadając na kierowane do Roberty uśmiechy i pozdrowienia. Gwen przyglądała się temu w zadumie. Zwiedziła skrupulatnie gabinet Roberty, od czasu do czasu przystając, żeby zadać jakieś pytanie.

Kiedy Roberta zaczęła przyjmować pacjentów, Gwen usiadła w poczekalni i wyjęła stos czasopism medycznych. Na lunch zamówiły sobie kanapki w sklepie.

– Ilu ginekologów jest w tej okolicy?

– Ani jednego. Kobiety muszą jeździć do Greenfield, Amherst albo Northampton. Tu dociera tylko kilka położnych, których bazą jest szpital w Greenfield. Te górskie osady rozrastają się, Gwen. Jest tu teraz dość kobiet, by zapewnić chleb twoim kolegom po fachu.

Nie śmiała nawet robić sobie nadziei, że Gwen zechce otworzyć praktykę w górach, nie była, więc zaskoczona, kiedy przyjaciółka pokiwała tylko głową i zmieniła temat.

Wieczorem Toby i Jan zaprosili je na kolację. W czasie posiłku Jan otrzymał przez telefon wiadomość, że jakiś myśliwy zranił orła w Colrain, więc przeprosił panie i pojechał zobaczyć, jak sprawa wygląda. Nie były tym zmartwione. Rozsiadły się w saloniku, swobodnie gawędząc o różnych babskich sprawach.

Roberta miała świadomość, że spotkanie dwóch osób, z których każda jest jej przyjaciółką, niekoniecznie musi okazać się przyjemne. Atmosferę mogła zatruć zazdrość lub rywalizacja, albo też odwrotnie osoby te potrafiły dostrzec w sobie nawzajem to, co cenił w nich wspólny przyjaciel. Zawsze jednak była to loteria. Na szczęście Gwen i Toby odniosły się do siebie nadzwyczaj serdecznie. Toby wypytywała o rodzinę Gwen, sama zaś szczerze mówiła o tęsknocie za macierzyństwem i znużeniu, jakie oboje z Janem odczuwali w efekcie bezowocnych zabiegów.

– Ta babka jest najlepszym ginekologiem, jakiego znam – wtrąciła Roberta. – Czułabym się o wiele lepiej, gdybyś dała się jej zbadać jutro w gabinecie.

Toby zawahała się, po czym skinęła głową.

– Jeśli nie byłby to zbyt duży kłopot...

– Nonsens. To żaden kłopot – ucięła Gwen.

Nazajutrz rano po badaniu usiadły razem w biurze.

– Miewasz sporadyczne bóle w dole brzucha? – zapytała Gwen.

Toby kiwnęła głową.

– Czasami.

– Nie stwierdziłam żadnych problemów z jajnikami – powiedziała powoli Gwen – konieczna jednak jest laparoscopia, żeby stwierdzić dokładnie, co się dzieje w środku.

Toby skrzywiła się.

– Roberta też mnie na to namawia.

– Bo Roberta jest dobrym lekarzem – oświadczyła sucho Gwen.

– Robisz takie zabiegi?

– Często, zarówno w obrębie miednicy, jak i całej jamy brzusznej.

– A... zrobiłabyś i mnie?

– Żałuję, Tobie, ale po prostu nie mogę. Nadal mam de facto prawo wykonywania zawodu w stanie Massachusetts, ale nie jestem na etapie klinicznym. Jeśli dałoby się to załatwić przed moim powrotem do Idaho, z największą przyjemnością wyszoruję łapki i będę w tym uczestniczyć jako obserwator, a potem wezmę udział w konsylium.

Tak właśnie postąpili.

Sekretarce Noyesa udało się zarezerwować salę operacyjną na trzy dni przed planowanym wyjazdem Gwen. Doktor chętnie zgodził się na to, by Gwen zaglądała mu przez ramię.

– Niech pani też przyjdzie – zachęcał Robertę. – Mam jeszcze drugie ramię.

Gwen spędziła następne pięć dni odwiedzając ośrodki zdrowia i lekarzy w kilku miejscowościach rozsianych wokół Amherst. Wieczorem piątego dnia oglądały z Roberta telewizyjną debatę na temat służby zdrowia w USA.

Było to ze wszech miar irytujące. Każdy z dyskutantów przyznawał od razu, że system opieki zdrowotnej w USA jest nieefektywny, dyskryminacyjny i za drogi. Najprostszy i o wiele bardziej ekonomiczny był system „jednego płatnika”, stosowany przez inne wiodące kraje, gdzie rząd zbiera podatki i opłaca z nich koszty opieki zdrowotnej dla wszystkich obywateli.

Tymczasem amerykański kapitalizm – podwalina najlepszych aspektów demokracji – stwarza również najgorsze jej aspekty, albowiem opłacani lobbyści wywierają potężne naciski na Kongres, by ocalić sówite zyski branży medycznej. Każdy chce przy tym upiec własną pieczeń: prywatne firmy ubezpieczeniowe, domy opieki,

szpitale, przemysł farmaceutyczny, grupy i związki zawodowe lekarzy, stowarzyszenia producentów, ugrupowania liberalne, opowiadające się za płatną aborcją, i antyaborcyjne żądające jej delegalizacji; bezrobotni, emeryci...

Niezbyt przyjemnie oglądało się tę brudną, zażartą walkę o dolary. Część republikanów przyznawała wprost, że ustawa o powszechnej ochronie zdrowia jest im nie na rękę, bowiem jej uchwalenie wzmocniłoby szansę prezydenta na powtórny wybór. Inni członkowie tejże samej partii deklarowali się za wprowadzeniem powszechnej opieki zdrowotnej, ale gotowi byli walczyć do ostatniej kropli krwi przeciwko podniesieniu podatków lub obowiązkowej refundacji ubezpieczeń zdrowotnych przez pracodawcę. Niektórzy demokraci zależni od grup nacisku, mając na uwadze przyszlą kampanię wyborczą, mówili dokładnie to samo, co ich przeciwnicy.

Panowie w garniturach na małym ekranie zgadzali się w dwóch punktach: że wszelkie reformy należy wprowadzać stopniowo i delikatnie, w ciągu wielu lat; i że docelowo powinny one objąć dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa. Gwen zerwała się i ze złością wyłączyła telewizor.

– Idioci. Mówią tak, jak gdyby dziewięćdziesiąt procent było szczytem marzeń. Czy nie zdają sobie sprawy, że pozostawią bez opieki ponad dwadzieścia pięć milionów ludzi? Stworzą w tym kraju nową kastę pariasów, miliony ludzi tak biednych, że pozwolą im się chorować i umierać.

– Co teraz będzie, Gwen?

– Pewnie kiedyś, po wielu zmarnowanych latach i setkach tysięcy niepotrzebnych zgonów, dochrapią się w miarę wydolnego

systemu. Niemniej to, iż Bili Clinton miał odwagę ich zmusić, by spojrzeli prawdzie w oczy, już czyni różnicę. Zbędne szpitale zamyka się, inne łączy. Lekarze nie zlecają zabiegów tylko po to, żeby nabić rachunek... – Gwen spojrzała na Robertę ponuro. – Być może sami musimy wprowadzać pewne zmiany bez wielkiej pomocy polityków, próbować leczyć część pacjentów za darmo...

– Ja już to robię.

Gwen skinęła głową.

– Cholera, przecież obie mamy głowy na karku! A gdybyśmy tak założyły własną spółdzielnię? Mogłybyśmy pracować razem.

Myśl ta w pierwszej chwili podnieciła Robertę, ale bardzo szybko zwyciężył rozsądek.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Gwen, i sama wiesz, jak cię lubię, ale mój gabinet jest za mały na nas dwie, a nie chcę się przenosić. Woodfield stało się moim domem, ci wszyscy ludzie sąsiadami. Cenię to, co udało mi się stworzyć. Jak ci to wytłumaczyć? Po prostu nie mogę ryzykować, że to stracę.

Gwen pokiwała głową i położyła palec na ustach Roberty.

– Za skarby nie chciałabym popsuć ci szyków.

– A gdybyś otworzyła własny gabinet w pobliżu? Zawiązałybyśmy zwykłą spółkę, a później być może coś w rodzaju spółdzielni dobrych, niezależnych lekarzy. Można by wspólnie się zaopatrywać, zawrzeć umowę z laboratorium, przekazywać sobie nawzajem pacjentów, zatrudnić wspólną księgową i razem starać się zapewnić opiekę najbiedniejszym. Co o tym sądzisz?

– Myślę, że jesteś wielka!

Nazajutrz po południu zaczęły szukać w pobliskich miasteczkach lokalu dla Gwen.

Trzy dni później znalazły odpowiednie miejsce w Shelburne Falls, w piętrowym budynku z czerwonej cegły, który mieścił już dwie kancelarie adwokackie, gabinet psychoterapeuty i studio tańca towarzyskiego.

We wtorek rano wstały przed świtem, pospiesznie wypiły kawę i szcękając zębami pojechały do Greenfield. Przed wejściem do sali operacyjnej wraz z doktorem Noyesem dokonały ablucji, będących jednocześnie wymogiem aseptyki, jak i swego rodzaju zawodowym rytuałem. O szóstej czterdzieści pięć przywieziono Toby.

– Cześć, mała – Roberta uśmiechnęła się zza maski.

Toby bąknęła coś niewyraźnie. Już wcześniej podano jej dożylnie roztwór Ringera z domieszką środka rozkurczowego midazolamu jak poinformował je anestezjolog Dom Perrone, żerkając jednym okiem na elektrokardiogram, a drugim na pomiar ciśnienia i tętna. Roberta i Gwen z założonymi na piersiach rękami stanęły poza polem sterylnym, patrząc, jak podaje Toby 120 mg propofolu.

Pa, pa, przyjaciółko, śpij słodko – pomyślała z rozrzewnieniem Roberta.

Anestezjolog intubował Toby i rozpoczął podawanie tlenu z dodatkiem podtlenku azotu i izofluranu. W końcu chrząknął z zadowoleniem:

– W pańskie ręce, doktorze.

Noyes szybko wykonał trzy maleńkie nacięcia i wprowadził do jamy brzusznej światłowodowy wziernik. Na ekranie monitora ukazał się obraz wnętrza miednicy Toby.

– Jest jakieś zgrubienie na śluzówce – zauważył Noyes. Mogła to być przyczyna sporadycznych napadów bólu, odczuwanych przez Toby.

Po chwili wziernik powędrował dalej i trójka lekarzy pokiwała głowami; pomiędzy jajnikami a wlotami jajowodów znajdowało się pięć niewielkich cyst dwie po jednej stronie, trzy po drugiej.

– To raczej wyjaśnia, dlaczego nie zachodzi w ciążę mruknęła Gwen.

– Prawdopodobnie tak – przytaknął z ożywieniem doktor Noyes i zabrał się do pracy.

Po godzinie zarówno narośl na ścianie macicy, jak i wszystkie cysty zostały usunięte; Toby odpoczywała na szpitalnym łóżku, a Gwen i Roberta wracały do Woodfield, żeby zdążyć na czas do gabinetu.

– Staruszek jest niezły – zauważyła Gwen.

– Świetny. W tym roku odchodzi na emeryturę. Większość naszych góralek to jego pacjentki.

Gwen kiwnęła głową.

– Hm... Przypomnij mi, żebym złożyła mu listownie wyrazy mojego najszczęśliwszego podziwu – uśmiechnęła się.

Gwen w piątek wyjeżdżała, chciały więc, by czwartek zapisał się czymś ważkim.

– Niech no pomyślę... – zadumała się Gwen. – Przyczyniłam się wydatnie do ochrony twojego cukrowego groszku, postawiłam na głowie całe swoje życie, żeby zostać twoją sąsiadką i współniczką, przyłożyłam też w pewnym sensie łapkę do jajników Toby. Czy jest jeszcze coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

– Prawdę mówiąc, tak. Chodź ze mną – powiedziała Roberta.

W stodole znalazła trzyfuntowy młot i długachny żelazny drąg, ongiś zapewne własność Harry'ego Crawforda. Dźwignęła drąg, Gwen dała robocze rękawice i młot, i poprowadziła ją szlakiem aż

do ostatniego mostu. Trzy płaskie kamienie leżały nadal tam, gdzie je pozostawiła. Zeszły do strumienia. Roberta umieściła koniec drąga pod skrajnym pnem na przeciwległym brzegu, kazała Gwen trzymać, a sama wbiła go porządnie młotem.

– Teraz spróbujemy go razem unieść. Na trzy: raz... dwa...

Jeszcze w podstawówce Roberta usłyszała o stwierdzeniu Archimedesesa, że gdyby miał odpowiednio długą dźwignię, ruszyłby z posad Ziemię. Ze słów tych teraz czerpała wiarę.

– ...Trzy!

Stępkając srodze wypchnęły ramiona w górę i koniec pnia uniósł się.

– Jeszcze trochę – oznajmiła rzeczowo Roberta. – Teraz – dodała – będziesz musiała utrzymać go sama. Twarz Gwen straciła wszelki wyraz.

– Dasz radę? – spytała z niepokojem Roberta.

Gwen skinęła głową.

Roberta puściła drąg i błyskawicznie schyliła się po kamień.

– Rob...

Dźwignia zadygotała, kiedy pierwszy kamień wylądował w gnieździe dźwigara. Roberta złapała następny. Gwen jęknęła.

– Rob! Na litość...

Drugi kamień.

– Ratuunku! Zaraz puszcę!

– Trzymaj! Trzymaj, Gwen!

Ostatni kamień z łoskotem wszedł na miejsce dokładnie w chwili, gdy Gwen wypuściła drąg i klapnęła na pupę do strumienia.

Wyszarpnięcie drąga zabrało Robercie całą resztkę sił. Zazgrzytał na kamieniach, ale wszystkie trzy pozostały na miejscu. Roberta

wygramoliła się ze strumienia i weszła na most.

Był względnie prosty. Kiedy tupnęła, wydał jej się mocny – most dla pokoleń.

Odańczyła wreszcie swoją tarantellę. Nieco się ugiął, ale trwał pewnie na swoim miejscu. Roberta odrzuciła głowę w tył i spojrzała w zieloną czapę liści, przytupując nogami.

– Nadaję ci imię Mostu Niezrównanej Gwendolyn Gabled – zawołała.

Gwen usiłowała wznieść triumfalny okrzyk, ale wydobyła z siebie tylko zduszony chichot.

– Mogę osiągnąć wszystko. Absolutnie wszystko – oznajmiła Roberta duchom lasu. – Jak śpiewali Beatlesi: *With a little help from my friends*.

40 CZEGO BAŁA SIĘ AGUNA

Maj był pogodny i ciepły. Ogrzana ziemia znów ustępowała pod łopatą i można było kopać groby. Piątego, na dzień przed rocznym Wiecem Obywatelskim, trumna Ewy Goodhue została wyjęta z krypty cmentarnej i pogrzebana. John Richardson odprawił proste, wzruszające modły nad grobem. Uczestniczyła w nich tylko garstka mieszkańców Woodfield, głównie starszych wiekiem, którzy pamiętali, że rodzina Ewy była jedną z najstarszych w historii miasta.

Po powrocie z pogrzebu Roberta obsiała drugą grządkę. Zmniejszyła rozstaw rzędów do niecałej stopy, żeby nie miały się gdzie pieńć chwasty. Zasiała dwa gatunki marchwi, trzy gatunki sałaty, czerwoną i białą rzodkiew, szalotki, buraki, bazylię, pietruszkę, koper i fasolę. Nie opuszczała jej przy tym świadomość, że Eva należy teraz do tej ziemi, która przynosi takie dobrodziejstwa.

Nim skończyła i uprzątnęła narzędzia ogrodnicze, był już prawie wieczór. Wzięła się do zmywania naczyń, gdy zadzwonił telefon.

– Doktor Cole, słucham.

– Dzień dobry, pani doktor, nazywam się Barbara Eustis. Jestem dyrektorem Ośrodka Planowania Rodziny w Springfield.

– Tak?

Powoli i spokojnie Barbara Eustis nakreśliła przed nią trudną sytuację, w jakiej znalazł się ośrodek. Lekarzy odstraszał terror antyaborcyjnych zelotów, pogrożki, a wreszcie los doktora Gunna z Florydy.

– Zabójca został skazany na karę śmierci – wtrąciła Roberta. – To z pewnością ostudzi potencjalnych naśladowców.

– O, mam nadzieję. Chodzi o to, że... wielu lekarzy nie chce narażać siebie i swych rodzin. Nie winię ich, obawiam się tylko, iż jeśli nie zdobędę kogoś do pomocy, ośrodek trzeba będzie zamknąć. A to byłby dramat, bo kobiety naprawdę nas potrzebują. Rozmawiałam z Gwen Gabler, podała mi pani numer telefonu.

Niech cię szlag, Gwen! Jak mogłaś? – pomyślała Roberta z goryczą.

– Podobno było parę odważnych osób, które deklarowały gotowość do współpracy. Po przeprowadzce na Wschód Gwen

miała przyjmować raz w tygodniu. Głos w telefonie błagał Robertę, żeby poświęciła klinice również jeden dzień, i zajęła się aborcjami w pierwszym trymestrze.

– Przykro mi, nie mogę. Ubezpieczenie od odpowiedzialności względem pacjentów kosztuje mnie obecnie trzy tysiące pięćset dolarów rocznie. Jeśli podejmę pracę u was, będę musiała płacić ponad dziesięć tysięcy.

– Pokryjemy koszty pani ubezpieczenia.

– Ale ja się boję, tak samo jak wszyscy. Po prostu brak mi odwagi.

– To całkiem zrozumiałe. Proszę posłuchać: wydajemy sporo pieniędzy na ochronę. Zatrudniamy uzbrojonych strażników, a prócz tego mamy grupę ochotników, którzy towarzyszą lekarzom w drodze do kliniki oraz z powrotem.

Roberta nie chciała ponownie skazywać się na strach, na nienawiść tłumu. Pragnęła poświęcić wolny dzień na pracę w lesie, spacer, grę na violi. Nie miała zamiaru nigdy więcej oglądać klinik aborcyjnych. Wiedziała, że do końca życia będzie ją prześladować los Sary. Ale nie mogła też zamykać oczu na to, co przydarzyło się młodej Evie Goodhue i wielu innym kobietom.

Westchnęła.

– Dobrze, wobec tego umówmy się na czwartki.

Pomiędzy Mostem Niezrównanej Gwendolyn Gabler a podwórkiem jej domu rozciągał się już stosunkowo wąski pas lasu, ale odcinek ten porośnięty był głównie splątanymi krzakami i gęstymi drzewami. Robertcie pozostał tylko jeden czwartek przed

rozpoczęciem pracy w Springfield, postanowiła, więc, że tego dnia musi skończyć karczować szlak.

Wstała wczesnie i szybko uporała się ze śniadaniem, chcąc jak najprędzej zabrać się do pracy. Gdy sprzątała naczynia, rozległo się znajome skrobanie do drzwi.

Jak zwykle Aguna nie zaszczyciła jej nawet spojrzeniem, skontrolowała dom i ustawiła się z powrotem przy drzwiach. Roberta dawno już przestała zabiegać o względy wyniosłego gościa. Otworzyła drzwi, lecz Aguna cofnęła się w popłochu, wygięła grzbiet w łuk i zadarła ogon. Wyglądała jak komiksowa karykatura wystraszonego kota. Zawróciła i uciekła do pokoju Roberty.

– Co jest, Aguna? Czego się boisz? – Roberta zatrzasnęła drzwi, instynktownie przekręciła klucz w zamku i wyjrzała przez okno.

Przez łąkę szedł niedźwiedź. Nigdy nie przypuszczała, że zwykły niedźwiedź może być tak ogromnego wzrostu. Olbrzymi samiec był bez wątpienia tym samym, którego ślady od dawna widywała w lesie. Zastygła bez ruchu, nie mogąc oderwać się od okna choćby na tyle, by pobic po aparat fotograficzny.

Zwierz zbliżył się do domu, stanął przy jabłonce i wspiął się na tylne łapy, wyciągając nos w stronę paru pomarszczonych jabłek, które pozostały na gałęzi od zeszłego roku. Potem znów opadł na cztery łapy i pocłapał za róg domu, niknąc jej z oczu.

Roberta popędziła do sypialni na piętro. Był tuż pod nią, patrzył na swoje odbicie w szybie. Pewnie myślał, że to inny niedźwiedź, miała tylko nadzieję, że nie zaatakuje i nie stłucze okna. Matowa czarna sierść na ramionach i karku zdawała się jeżyć. Ciężki, masywny łeb był lekko przechylony, a w oczach – za małych w stosunku do wielkiej głowy – błyszczała agresja.

Po chwili się odwrócił. Ze swojego punktu obserwacyjnego Roberta była w stanie ocenić siłę potężnych barków i zaskakująco długich, tęgich łap. Po raz pierwszy w życiu naprawdę poczuła, że włosy podnoszą jej się na głowie. Jest ze mną tylko kot – pomyślała.

Stała przy oknie, dopóki niedźwiedź nie wrócił do lasu. Potem zeszła do kuchni i opadła na krzesło. Kiedy Roberta je otworzyła, zawahała się tylko na moment, po czym śmignęła na dwór i pobiegła w kierunku przeciwnym do tego, w którym zniknął niedźwiedź.

Roberta siedziała dalej. Nie mogła przecież teraz iść do lasu.

Wiedziała jednak, że jeśli nie skończy szlaku, przez długi czas może nie mieć po temu okazji.

Minęło pół godziny. Poszła do stodoły, napełniła piłę benzyną i olejem, i ruszyła w stronę lasu. Jan Smith mówił kiedyś, że niedźwiedzie boją się ludzi i unikają ich, lecz w chwili, kiedy weszła na cieniłą, mroczną dróżkę, była przerażona. Czuła, że porzuca własne terytorium, a wkracza na terytorium dzikiej bestii. Jan zapewnił ją, że kiedy niedźwiedź jest świadom obecności człowieka, odchodzi, podniosła, więc patyk i stukała nim o uchwyt piły. Słyszała również, że gwizdanie nie ostrzeże niedźwiedzi, bo przyzwyczajone są do głosów ptaków. Zaczęła, więc wywrzaskiwać pełnym głosem piosenki, które jako nastolatka śpiewała na Harvard Square: „This Land is Your Land”, „Have All the Flowers Gone” i inne. Przy końcowych taktach „When the Saints Go Marching In” doszła do ostatniego mostu i przepравиła się na drugą stronę.

Dopiero, kiedy silnik piły łańcuchowej ocknął się z gromkim rykiem, poczuła się bezpieczna. Zwijała się jak w ukropie, chcąc

przemóc strach największym wysiłkiem, do jakiego była zdolna.

41 POKREWNE DUSZE

Ośrodek Planowania Rodziny w Springfield mieścił się w zgrabnym starym budynku z czerwonej cegły przy State Street, nieco już zszarzałym, ale wciąż zadbanym. Roberta powiedziała Barbarze Eustis, że przynajmniej na razie wolałaby przyjeżdżać i odjeżdżać sama. Nie wierzyła, że eskorta może jej zapewnić prawdziwą ochronę. Teraz wszakże, idąc pieszo do kliniki, bo samochód zostawiła dwie przecznice dalej, nie była już tak pewna swojej decyzji. Kilkanaście uzbrojonych w transparenty osób stało już przed wejściem. Gdy tylko Roberta weszła na pierwszy stopień, podniosły się krzyki i zaciśnięte pięści.

Jedna z demonstrantek trzymała tablicę z napisem: „Jezus zapłakał”. Była to kobieta na oko po trzydziestce, z długimi włosami barwy miodu i wąskim nosem o wydatnych nozdrzach. Miała ciemne smutne oczy. Utkwiła je w Robercie, która była pewna, że nigdy się nie spotkały, lecz mimo to miała uczucie, że skądś zna tę twarz. Skinęła głową, a nieznajoma kobieta odkłoniła się, jak gdyby i ona czuła coś podobnego. Potem Roberta weszła szybko do budynku, pozostawiając za sobą wrzawę.

Wczesne aborcje technicznie były proste, ale w życiu Roberty znów rozpanoszył się strach.

W każdy czwartek przeżywała koszmar, ale i w pozostałe dni tygodnia nie dane jej było zaznać spokoju. Jej samochód rozpoznawano niemal natychmiast. Telefony do domu zaczęły się już w dwa tygodnie po rozpoczęciu pracy w klinice. Odzywały się regularnie, przynosiły wyzwiska, oskarżenia, groźby.

– Czeka cię śmierć, zbrodniarko. Umrzesz, umrzesz w bólu. Twój dom spłonie, a ty razem z nim. O, znamy ten dom przy Laurel Hill Road w Woodfield. Sad jest zaniedbany, a i dach wkrótce wypadałoby poprawić, ale szkoda fatygi. Wszystko razem obróci się w popiół.

Nie starała się o zastrzeżony numer, musiała być przecież uchwytna dla pacjentów.

Pewnego ranka wstąpiła na posterunek policji, mieszczący się w suterenie ratusza, i ucięła sobie pogawędkę z Maćkiem McCourtneyem. Słuchał z uwagą, kiedy opowiadała mu o pogróżkach.

– Proszę ich nie lekceważyć – powiedział. – Musi pani traktować je poważnie. Powiem pani coś: mój ojciec był pierwszym katolikiem, jaki osiedlił się w Woodfield. Było to w tysiąc dziewięć set trzydziestym pierwszym roku. Nocą odwiedził nas Ku-Klux-Klan.

– Myślałam, że takie rzeczy zdarzały się tylko na Południu.

– O nie. Przyszli, owinięci w te swoje jankeskie prześcieradła, i podpalili wielki krzyż na naszym pastwisku. To byli ojcowie i wujowie ludzi, których oboje znamy, którym codziennie służymy pomocą. Spalili krzyż przed domem mego ojca, bo był cholernym papistą, który ośmielił się tu zamieszkać.

McCourtney potrzęsnał głową.

– Jest pani wspaniałą kobietą, doktor Cole. Wiem, bo widziałem panią w akcji; nawet pani nie wie, jak uważnie się przyglądałem. Teraz będę jeszcze uważniejszy. Dopilnuję zarówno pani, jak i domu.

Roberta miała już trzech pacjentów chorych na AIDS: dziecko zakażone wirusem HIV przy transfuzji i małżeństwo, w którym mąż zaraził żonę.

Syn George'a Palmera, Harold, przyszedł do gabinetu w towarzystwie swego przyjaciela. Kiedy go badała, Eugene Dewalski czytał czasopismo w poczekalni. Potem na prośbę Harolda poprosiła go, by również wysłuchał diagnozy.

Jej słowa nie były dla nich niespodzianką; już od trzech lat wiedzieli, że Palmer jest chory. Przed przyjazdem do Woodfield wykryto u niego pierwsze guzy Coxsackiego, symptom pełnego rozwoju choroby. Obaj mężczyźni odpowiadali na jej pytania rzeczowym, beznamiętnym tonem. Kiedy skończyła omawiać objawy, Harold Palmer powiedział jej z ożywieniem, że strasznie się cieszy z powrotu do Woodfield.

– Chłopaka ze wsi zawsze będzie ciągnąć na wieś – dodał.

– A panu jak się u nas podoba, panie Dewalski?

– O, tu jest kapitalnie – uśmiechnął się. – Ostrzegano mnie, że znajdę się wśród zimnych jankesów, ale jak dotąd jankesi, których tu poznałem, okazali się bardzo mili. Zresztą i tak pełno tu polskich farmerów. Już otrzymaliśmy dwa zaproszenia na swojską kiełbasę i gołąbki. Przyjęliśmy je z radością.

– Chcesz powiedzieć, że ty ochoczo je przyjąłeś – wytknął z uśmiechem Harold, po czym obaj wyszli, pogrążeni w żartobliwej dyskusji o wadach i zaletach polskiej kuchni.

Tydzień później Harold przyszedł na zastrzyk sam. Po dwóch minutach szlochał już gwałtownie w ramionach Roberty. Przytuliła go, głaskała po głowie, przemawiała do niego cicho i delikatnie robiła to wszystko, co składa się na drugie oblicze medycyny. Porozumienie, jakie nawiązało się między nimi tego dnia, miało im się przydać, kiedy Harold wejdzie w długą, wiodącą w dół spiralę.

Nie był to w ogóle łatwy czas dla jej pacjentów. Gazety i telewizja donosiły, że indeks giełdowy znów rośnie, ale w górach gospodarka wciąż przeżywała zastój. Toby wpadła w furję, kiedy pewna kobieta umówiła się na badanie najmłodszej córki, a przy okazji przy prowadziła też dwoje starszych dzieci, żeby pani doktor „rzuciła na nie okiem”. Wściekłość Toby zgasła, gdy się okazało, że cała rodzina nie jest ubezpieczona, a pieniędzy ledwie starcza im na życie. Tego wieczoru w wiadomościach jeden z senatorów znów gładko zapewniał, że nie może być mowy o kryzysie opieki zdrowotnej w Stanach Zjednoczonych.

Czasem w czwartek rano zastawała przed ośrodkiem tłum demonstrantów, kiedy indziej stało tam tylko parę osób. Odnotowała w duchu, że jedna ulewa im nie przeszkadza, za to po kilku dniach nieustannej pluchy szeregi protestujących znacznie się przerzedzają, Kobieta o smutnych oczach była tam jednak zawsze, niezależnie od pogody. Nie podnosiła głosu, nie wymachiwała transparentem, po prostu trwała przed wejściem jak głaz.

Co tydzień kłaniały się sobie – oszczędnie, zgoła niechętnie uznając w ten sposób, że osoba z przeciwnej strony barykady również jest człowiekiem. Pewnego wyjątkowo brzydkiego poranka Roberta przyszła wcześniej i zobaczyła swoją znajomą stojącą samotnie na ulicy w żółtym przeciwdeszczowym płaszczu i

nieprzemakalnym kapeluszu, z którego lały się strugi wody. Skinęła jej głową kierując się ku schodom, lecz po chwili zmieniła zamiar.

– Zapraszam panią na filiżankę kawy w barze tu, na rogu – powiedziała.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Po krótkim namyśle kobieta kiwnęła głową. W drodze oparła transparent o tył zaparkowanej przy jezdni półciężarówki marki Volvo.

W barze było ciepło i sucho, rozlegał się szczeł talerzy i chropawe męskie rozmowy o sporcie. Obie zdjęły deszczowce i usiadły naprzeciw siebie w niszy.

– Czy to pięciominutowy rozejm?

Roberta zerknęła na zegarek.

– Powiedzmy, że dziesięciominutowy. Potem będę musiała iść. Przy okazji: jestem Roberta Cole.

– Abbie Oliver – Kobieta powoli wyciągnęła rękę, a Roberta potrząsnęła nią energicznie.

– Jest pani lekarką, prawda? – zapytała Abbie.

– Tak. A pani?

– Nauczycielką.

– Czego pani uczy?

– Angielskiego w młodszych klasach.

Obie zamówiły kawę bez kofeiny. Przez moment zbroiły się w duchu przeciwko jakiejś nieprzyjemnej zaczepce, ale nic takiego nie zaszło. Roberta z trudem się hamowała, by nie zasypać tej drugiej lawiną faktów powiedzieć jej na przykład, że w Brazylii rocznie wykonuje się tyleż nielegalnych aborcji, ile robi się ich legalnie w Stanach. Różnica polega na tym, że w USA trafia z tego powodu do

szpitali dziesięć tysięcy kobiet w ciągu roku, podczas gdy w Brazylii odsetek powikłań poaborcyjnych jest czterdziestokrotnie wyższy.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że siedząca naprzeciw niej kobieta również pragnie przedstawić jej swoje racje, być może takie, iż każdy strzęp tkanki wysysanej z macicy zawiera duszę, która błaga o szansę narodzin...

– Ta scenka przypomina zawieszenie broni w czasach Wojny Secesyjnej – stwierdziła Abbie Oliver. – Żołnierze wychodzili z okopów i wymieniali między sobą żywność i tytoń.

– To prawda. Z tym wyjątkiem, że nie palę tytoniu.

– Ja również.

Rozmawiały o muzyce. Okazało się, że obie uwielbiają Mozarta. Zachwycąły się zgodnie dyrygenturą Ozawy i bolały nad zgonem Johna Williama z Boston Pops. Abbie grała na oboju.

Roberta napomknęła o swej violi da gamba.

W końcu jednak przerwa na kawę dobiegła końca.

Roberta uśmiechnęła się przepaszająco, odsunęła krzesło, a Abbie Oliver skinęła jej głową, powiedziała „dziękuję” i wyszła w deszcz. Zanim Roberta zdążyła uregulować rachunek, Abbie znów przechadzała się z transparentem przed kliniką. Tym razem nie patrzyły sobie w oczy.

Pielęgnowała ogród w ciągu kradzionych godzin przed nadejściem zmroku. Kilka razy pracowała po ciemku; niskopienne pomidory i zieloną paprykę zmuszona była sadzić podczas mżawki, co z paru względów nie jest właściwą praktyką ogrodniczą, ale nie miała wyjścia. Było to hobby uprawiane z doskoku, ale czując na rękach chropawy dotyk ziemi, znajdowała w nim wielką, radosną obietnicę.

Mimo tych niedociągnięć ogród kwitł. Pewnej środy, schylona nad grządkami, zrywała właśnie zieleninę, kiedy na podjazd skręcił jakiś samochód. Pochodził z wypożyczalni i miał rejestrację stanu Connecticut.

Wyprostowała się, widząc, że kierowca wysiada i idzie w jej stronę. Drobną mężczyznę w średnim wieku, z zaznaczonym brzuszkiem, wyraźnie utykał. Zwróciła uwagę na jego stalowoszare włosy, przerzedzone nad czołem, i krzaczasty wąs.

– Doktor Cole?

– Tak.

– Jestem Joe Fallon.

Przez moment nazwisko wydało jej się obce. Potem przypomniała sobie opowieść Davida o wybuchu bomby, w którym odniósł ranę. Byli tam z nim dwaj inni kapelani, jeden zginął.

Odruchowo zerknęła na nogi przybysza.

Był spostrzegawczy.

– Tak – uniósł prawą nogę i stuknął zgiętymi palcami w łydkę, która wydała głuchy odgłos. Ten Joe Fallon – rzekł z uśmiechem.

– Pan był porucznikiem czy majorem?

– Majorem. Porucznik Bemie Towers spoczywa w pokoju
Oczywiście od dawna nie jestem już ani majorem, ani księdzem.

Przeprosił ją za nie zapowiedziane najście.

– Jadę do klasztoru trapistów w Spencer. Mam tam być jutro, a z mapy wynikało, że mogę wpaść do pani tylko nieznacznie nadkładając drogi. Chciałbym z panią porozmawiać o Davidzie.

– Jak pan mnie znalazł?

– Zatrzymałem się przy remizie strażackiej i po prostu zapytałem.
Miał miły uśmiech i manierę irlandzkiego podrywacza.

– Proszę do środka.

Usiadł w kuchni i przyglądał się, jak Roberta płucze jarzyny.

– Czy jest pan po obiedzie?

– Nie. Jeśli znajdzie pani chwilę, chętnie zaproszę panią gdzieś na obiad.

– Tu w górach jest bardzo niewiele restauracji i trzeba by dość daleko jechać. Miałam właśnie zamiar zrobić skromną kolację jaja i sałatę. Może da się pan namówić?

– To bardzo uprzejmie z pani strony.

Potargała sałatę i jarmuż, posiekała kupnego pomidora, usmażyła jajecznicę, przypiekła grzanki i postawiła to wszystko na kuchennym stole.

– Dlaczego nie jest pan już księdzem?

– Chciałem się ożenić – odparł bez krzty skrępowania. Domyśliła się, że wielokrotnie musiał odpowiadać na to pytanie.

Pochylił głowę.

– Panie, dziękujemy ci za Twe dary rzekł.

– Amen. – Skrępowana, zmusiła się, by jeść bez pośpiechu.

– I co pan teraz robi?

- Wykładałam w college'u przy Uniwersytecie Loyoli w Chicago.
- Widział się pan z nim, prawda?
- Tak - Fallon odłamał kawałek grzanki, wrzucił ją do sałaty i popchnął widelcem, żeby nasiąkła sosem.
- Dawno?
- Niezbyt.
- Kontaktował się z panem, tak? Powiedział panu, gdzie jest?
- Tak.

Zamrugła oczyma, żeby zdusić łzy złości, cisnące się pod powieki.

- To bardziej skomplikowane, niż się pani wydaje. Jestem chyba jego najlepszym przyjacielem, a równocześnie tylko przyjacielem. Tak, więc mógł sobie pozwolić na to, żebym go zobaczył w stanie... załamania emocjonalnego. Pani jest dla niego ogromnie ważna w zupełnie inny sposób i dlatego nie zaryzykował.

- Przez tyle miesięcy nie mógł zaryzykować przesłania mi wiadomości, że w ogóle żyje? Wiem, ile znaczyła dla niego Sara. Jak bardzo załamał się po jej stracie. Ale ja też jestem istotą ludzką, a on nie okazał mi żadnych uczuć. Z pewnością nie miłości.

Fallon westchnął.

- Trudno oczekiwać, że zrozumie pani pewne rzeczy.
- Niech pan spróbuje.
- Zaczęło się to w Wietnamie. Było sobie dwóch księży i rabin, zupełnie jak w dowcipie. David, Bemie Towers i ja. Od rana do wieczora usiłowaliśmy nieść pocieszenie okaleczonym i konającym w szpitalach. Nocami pisaliśmy listy do rodzin poległych, a potem wypuszczaliśmy się na miasto. Szliśmy w tango i piliśmy do utraty przytomności. Bemie chlał tak samo jak David i ja, ale jego

powołanie było wyjątkowe. Niezachwiane jak skala. Ja już miałem kłopoty z dochowaniem ślubów i, paradoksalnie, pociechy i zrozumienia szukałem u Żyda, nie u kapłana tej samej wiary. David i ja staliśmy się wtedy bardzo sobie bliscy.

Fallon potrząsnął głową

– Dziwne podjął. Zawsze uważałem, że to ja miałem zginąć, a nie człowiek takiego formatu jak Bemie, ale... – wzruszył ramionami – niezbadane są Jego wyroki.

Milczał przez chwilę.

– Po powrocie do kraju podjął czułem, że powinienem zrzucić sutannę, ale nie byłem w stanie spojrzeć prawdzie w oczy. Rozpiłem się do reszty, stoczyłem na samo dno. David poświęcił mi mnóstwo czasu, ciągnął mnie na spotkania Anonimowych Alkoholików; to dzięki niemu stanąłem na nogi. Potem, kiedy umarła jego żona, role się odwróciły. Teraz znów nadeszła pora, żebym ja mu pomógł. Jest tego wart, niech mi pani wierzy. Ale nie jest to człowiek łatwy.

Roberta mruknęła potwierdzająco i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. Fallon wstał i pomógł jej. Nastawiła wodę na kawę i przeszli do salonu.

– Co pan wykłada?

– Historię religii.

– Uniwersytet Loyoli... To katolicka szkoła.

– Nie jestem już księdzem, ale pozostałem katolikiem. Zrobiłem wszystko zgodnie z prawem kanonicznym, jak stary wierny żołnierz. Zwróciłem się do papieża o rozwiązanie ślubów. Otrzymałem dispensę. Dorothy moja żona uczyniła to samo. Była zakonnicą.

– Pan i David... byliście ze sobą w bliskim kontakcie po powrocie z wojska?

– Owszem, przez większość czasu. Jesteśmy członkami niewielkiego, lecz wciąż rosnącego ruchu, stanowiącego część szerszego nurtu pacyfistycznej teologii. Po Wietnamie każdy z nas zrozumiał, że już nigdy więcej nie chce oglądać wojny. Szukaliśmy takich, a nie innych nauk, i okazało się, że jest nas więcej duchownych i teologów każdego wyznania, którzy mają podobne poglądy jak my.

Roberta wstała i poszła po kawę. Kiedy podała mu filiżankę, pociągnął łyk, kiwnął głową i zreasumował:

– Widzi pani, na całym świecie od początku ludzkości wierzymy w istnienie siły wyższej i rozpaczliwie pragniemy nawiązać kontakt z bóstwem. Odmawiamy nowenny, śpiewamy b'rochot, zapalamy świece, składamy wota, kręcimy młynkami modlitewnymi. Święci mężowie wznoszą ręce, klękają, padają na twarz. Wzywają Allaha, Buddę, Siwe, Jehowę, Jezusa i całe mnóstwo mniej lub bardziej potężnych świętych. Każdy z nas ma własną wizję Boga. Każdy uważa, iż to jego kandydat jest tym prawdziwym, a wszyscy inni to fałszyfikaty. Aby to udowodnić, od wieków zabijamy wyznawców fałszywych religii, powtarzając sobie, że działamy w świętej sprawie ku chwale jedyne prawdziwego Boga. Katolicy i protestanci wciąż mordują się nawzajem, podobnie jak Żydzi i muzułmanie, muzułmanie i hinduiści, szyici i sunnici.

Fallon przerwał, żeby zaczerpnąć tchu.

– Po Wietnamie – podjął – zaczęliśmy rozpoznawać bratnie dusze, ludzi wierzących, którzy jednak twierdzą, że każdy z nas może szukać Boga na swój własny sposób, nie machając zakrwawionym mieczem. Skupiliśmy się w bardzo luźną grupę nazywamy ją „Pokojem Bożym”. Zbieramy fundusze od instytucji i fundacji

wyznaniowych. Mamy na oku budynek z kawałkiem ziemi w Colorado. Chcemy go kupić i założyć ośrodek studiów, gdzie ludzie wszystkich wyznań mogliby się spotykać i rozmawiać o poszukiwaniu prawdziwego zbawienia, najlepszej religii, którą jest trwały światowy pokój.

– I David jest członkiem tego... ruchu?

– Właśnie.

– Ależ on jest niewierzący!

– Proszę mi wybaczyć, może będę niegrzeczny, ale widzę, że pod pewnymi względami w ogóle go pani nie zna.

– Zdaję sobie z tego sprawę – mruknęła posępnie.

– Owszem, w głębie to on jest agnostykiem. Ale w głębi serca a wiem, co mówię wierzy, że ktoś, kto stoi ponad nim, kieruje zarówno jego życiem, jak losami świata. Chodzi tylko o to, że David nie potrafi określić tej siły w kategoriach wystarczająco precyzyjnych, jak na swoje wymagania, i to doprowadza go do szału. Jest chyba najbardziej religijnym człowiekiem, jakiego w ogóle znam. – Fallon spojrział na nią. – Po rozmowie z nim jestem pewien, że zamierza wytłumaczyć się przed panią osobiście w niedalekiej przyszłości.

Poczuła smutek i rozczarowanie. Sara i David ofiarowali jej spokojną, ciepłą przystań. Ale Sara nie żyje, a David... odszedł, ścigany przez demony, których nie umiała sobie nawet wyobrazić. Nie dbał o nią choćby na tyle, żeby zadzwonić albo przysłać kartkę. Chciała o tym powiedzieć Fallonowi, lecz było to ponad jej siły.

Odnieśli filiżanki do kuchni. Kiedy Fallon zakasał rękawy, po wstrzymała go:

– Niech pan się nie trudzi. Zmyję po pana wyjeździe.

Zmieszał się trochę.

– Właściwie miałbym do pani prośbę. Cały czas jestem w drodze, odwiedzam różne zakony i fundacje, opowiadam o naszej działalności. Próbuję zgromadzić fundusze na otwarcie ośrodka. Jezuici pokrywają część kosztów podróży, ale hm, cóż... nie słyną z hojności. Czy mógłbym przenocować u pani w stodole?

Zmierzyła go czujnym, przenikliwym wzrokiem. Zachichotał.

– Niech się pani nie boi, jestem nieszkodliwy. Moja żona jest najwspanialszą kobietą na świecie. Kiedy człowiek złamie jedno ważne ślubie, jest gotów na wszystko, by dotrzymać następnych.

Zaprowadziła go do pokoju gościnnego.

Cały dom pełen serdecznych kamieni – powiedział. – Cóż, Sara była udaną młodą osobą.

– O, tak!

Zmyła naczynia, on je powycierał. Podała mu ręcznik kąpielowy i myjkę.

– Opłuczę się tylko prędko pod prysznicem i idę spać. Pan może korzystać z łazienki, jak długo pan zechce. Co do śniadania...

– Zanim pani wstanie, mnie już nie będzie.

– Zobaczymy. Dobranoc, panie Fallon.

– Przyjemnych snów, doktor Cole.

Po kąpeli leżała w ciemności i myślała o wielu rzeczach. Z gościnnego pokoju dolatywał cichy, modulowany szmer wieczornej modlitwy. Nie mogła rozróżnić słów aż do końca, gdy rzekł nieco głośniej, jakby z zadowoleniem: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.”

Tuż przed zaśnięciem przypomniało jej się to, co powiedział o łamaniu ślubów. Zaciekawilo ją przelotnie, czy Joe Fallon i jego

zakonnica obcowali ze sobą cielesnie, zanim uzyskali papieską dyspensę.

Rano obudził ją warkot samochodu Fallona. Było ciemno, więc obróciła się na drugi bok i spała jeszcze godzinę, nim zadzwonił budzik.

Pokój gościnny wyglądał tak samo jak przedtem, tylko łóżko zasłane było równiej niż zwykle, z wojskową precyzją. Rozścieliła je, zwinęła koce, włożyła prześcieradła i powłoczki do kosza na bieliznę.

W każdy czwartek rano przed wyjazdem do Springfield spotykała się na godzinę z Toby w celu odwalenia papierkowej roboty. Tego ranka przejrzały razem formularze, które musiała podpisać, po czym Toby uśmiechnęła się do niej nieśmiało:

– Wiesz, Roberto, wydaje mi się, że... chyba operacja odniosła skutek.

– Oj, Toby! Jesteś pewna?

– No, ty musisz to stwierdzić na pewno. Ale mam takie wrażenie. Chcę, żebyś odebrała poród, kiedy przyjdzie czas.

– Coś ty, Gwen będzie tu dużo wcześniej, a nie ma lepszego położnika od niej. Masz kupę szczęścia, mała.

– Przede wszystkim jestem ci strasznie wdzięczna. – Toby zaczęła płakać.

– W tej chwili przestań się mazać, głuptasie – zbeształa ją Roberta. Uścisnęły się mocno, aż do bólu.

Po południu w drugi czwartek lipca, wracając z kliniki, Roberta zobaczyła w lusterku poobijaną czerwoną furgonetkę. Trzymała się za nią przez całe Springfield i później na szosie nr 92.

Zjechała na pobocze i zatrzymała się. Kiedy czerwona furgonetka ją minęła, Roberta wciągnęła głęboki wdech, odczekała minutę lub dwie, żeby uspokoić przyspieszone tętno i z powrotem włączyła się do ruchu.

Pół mili dalej czerwona furgonetka czekała na poboczu. Wjechała na drogę tuż za fordem Roberty.

Teraz Roberta trzęsła się ze strachu. Ominęła skręt na drogę 292, którą mogła na przełaj dostać się pod Woodfield Mountain; co prawda wiedzieli już, gdzie mieszka, ale nie chciała ciągnąć ich za sobą na odludzie. Pozostała na Mohawk Trail. Jechała powoli, obserwując tamtych, gromadząc w pamięci wszelkie dane.

Zatrzymała forda przed budynkiem policji stanowej w Shelbume Falls, a czerwona furgonetka stanęła po drugiej stronie drogi. W środku siedziało trzech mężczyzn; patrzyli na nią. Chciała do nich podejść i wrzasnąć, żeby się odczepili, ale wiedziała, że lekarze także giną od kul, więc wbiegła do budynku, gdzie w porównaniu z jaskrawym słońcem na zewnątrz panował mrok i chłód.

Mężczyzna za biurkiem był młody, opalony, o krótkich czarnych włosach. Mundur miał odprasowany, koszulę wykrochmaloną, a na niej trzy pionowe kanty, ostrzejsze niż w galowym mundurze marines.

- Posterunkowy Buckman. Czym mogę pani służyć?
- Trzech mężczyzn w furgonetce jedzie za mną przez całą drogę od Springfield. Zaparkowali przed komisariatem.

Policjant wstał i wyszedł, ona za nim. Miejsce, gdzie przed chwilą stała furgonetka, było puste. Inna żółty ford zjechała z autostrady z dość dużą prędkością, ale widząc policjanta zwolniła.

– To oni?

– Nie – Roberta potrząsnęła głową. – Chodziło mi o czerwonego chevroleta. Widocznie odjechali. Posterunkowy kiwnął głową.

– Wejdźmy do środka.

Usiadł za biurkiem i wypełnił formularz: jej nazwisko, adres, charakter doniesienia,

– Jest pani pewna, że panią śledzili? Wie pani, czasem ktoś po prostu jedzie w to samo miejsce i wydaje się, że to ogon. Mnie już się to zdarzało.

– Było w niej trzech mężczyzn. Na pewno jechali za mną.

– Cóż, prawdopodobnie golnęli sobie po kielichu, zobaczyli ładną babkę... sama pani rozumie. Niezbyt miła sytuacja, ale niczym nie grozi, t

– To nie tak.

Opowiedziała mu o swojej pracy w klinice, o protestach. Kiedy skończyła, spojrzał na nią lodowatym wzrokiem.

– Taak... Rozumiem, że jest wiele osób, które za panią nie przepadają – rzekł. – Czego pani ode mnie oczekuje?

– Czy mógłby pan powiadomić patrol, żeby rozejrzał się za tą furgonetką?

– Mamy ograniczoną liczbę radiowozów, więc patrolujemy przede wszystkim główne szosy. Jest tu masa rozjazdów i gruntowych dróg we wszystkich kierunkach do Vermontu, do Greenfield, na południe aż do Connecticut, na zachód do Stanu

Nowy Jork. Większość tutejszych ludzi używa nu-guneiek, także czerwonych fordów lub chevroletów.

– To był czerwony chevrolet z opuszczanymi burtami, niezbyt nowy. W kabinie siedziało trzech mężczyzn. Kierowca miał na nosie okulary bez oprawek. On i facet przy drzwiach z prawej strony byli chudzi, a w każdym razie szczuplejsi od przeciętnej. Ten, który siedział w środku, wyglądał na tęgiego i miał okazałą brodę.

– W jakim byli wieku? Kolor włosów, oczu?

– Trudno mi powiedzieć. – Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła receptariusz z nabazgranym numerem rejestracyjnym. – Vermont, TZK-4922.

– Aha. – Policjant zapisał numer. – Dobrze, sprawdzimy to i skontaktujemy się z panią.

– Czy nie mógłby pan zrobić tego teraz? Dopóki tu jestem?

– To trochę potrwa.

– Zaczekam – powiedziała mściwie.

– Jak pani uważa.

Usiadła na ławce tuż obok jego biurka. Przez pierwsze pięć minut rozmyślnie ją ignorował, potem sięgnął po telefon. Podyktował komuś vermoncki numer rejestracyjny, podziękował i odłożył słuchawkę.

– Co powiedzieli?

– Musimy dać im trochę czasu. Oddzwonią.

Zajął się papierami, udając, że jej nie widzi. Telefon dzwonił dwukrotnie, za każdym razem jednak w innej sprawie. Co jakiś czas wstawała niespokojnie, podchodziła do drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Przed komisariatem ciągnął sznur obcych samochodów, gęstszy teraz, gdy ludzie wracali z pracy.

Kiedy po raz kolejny wróciła do środka, Buckman rozmawiał przez telefon o czerwonej furgonetce.

– Tablice były kradzione – poinformował ją. – Zdjęto je dziś rano z hondy sedan przy Hadley Mall.

– I... to już wszystko?

– Na razie tak. Roześlemy list gończy, ale do tej pory założyli już inne tablice, tego może pani być pewna.

Kiwnęła głową.

– Dziękuję.

Odwróciła się do wyjścia i nagle uderzyła ją pewna myśl. – Oni wiedzą, gdzie mieszkam. Czy byłby pan tak uprzejmy, zadzwonił na posterunek policji w Woodfield i poprosił komendanta McCourtneya, żeby zaczekał na mnie przed moim domem?

– Dobrze, proszę pani westchnął.

Mack McCourtney przeszukał z nią cały dom, pokój po pokoju, potem piwnicę i strych. We dwójkę przeszli też leśną ścieżkę. Opowiedziała mu o nękających ją telefonach.

– Zdaje się, że istnieje już sprzęt do rejestracji numerów ludzi, którzy do mnie dzwonią?

– Tak, nazywa się to identyfikatorem rozmówcy. Płaci pani kilka dolarów miesięcznie i kupuje urządzenie, które kosztuje mniej więcej tyle, co automatyczna sekretarka. Ale otrzyma pani tylko garść numerów, a New England Telephone nie ujawni, do kogo należą. – Mack zamyślił się. – Mogą to robić na zlecenie policji, liczą wtedy trzy dolary i dwadzieścia pięć centów za każdy numer, który wyśledzą i zidentyfikują. Niestety – westchnął – fanatycy, którzy do

pani dzwonią, są zorganizowani. Potrafią się zabezpieczyć. Uzyska pani tylko namiary mnóstwa budek telefonicznych.

– Uważa pan więc, że nie warto próbować?

Mack potrząsnął głową, rozglądając się po ścieżce.

– Założę się, że dawno ich tu nie ma – rzekł. – Problem polega na tym, że te lasy są gęste. Bez trudu można w nich ukryć furgonetkę kawałek od drogi. Chciałbym, więc, żeby porządnie zamykała pani drzwi i okna. Kończę pracę o dziewiątej wieczorem, a nocny dyżur Bili Peters. Będziemy się tu kręcić, co jakiś czas. Zgoda?

– Zgoda.

Była to gorąca, ciężka noc. Mijała powoli. Kilkakrotnie po ścianach pokoju przesunął się odblask reflektorów z szosy. Samochód zawsze zwalniał, kiedy mijał jej dom; uznała, że to Bili Petef w radiowozie.

Nad ranem zrobiło się duszno. Stwierdziła, iż zamykanie okien na piętrze jest głupotą, skoro i tak nie śpi i na pewno usłyszy, jeśli ktoś przystawi drabinę do ściany. Leżała w łóżku, delektując się wiejącym z okna chłodem. Parę minut po piątej za domem zaczęły wyc kojoty. To dobry znak, pomyślała: jeśli w lesie byłiby ludzie, kojoty nie podeszłyby tak blisko.

Czytała gdzieś, że najczęściej wycie jest zaproszeniem do łączenia się w pary. Z uśmiechem słuchała przeciągłego: „Aa-ooo-ooo-ooooo-jip-jip-jip” Tu jestem, czekam, przyjdź i weź mnie.

Roberta miała za sobą długi okres abstynencji. Ostatecznie po myślała ludzie to też zwierzęta, seks jest im potrzebny tak samo jak kojotom. Leżąc na wznak próbowała je naśladować.

– Aa-ooo-ooo-ooo-jip-jip-jip!

Wyli tak na zmianę, aż noc przybrała perłowoszarą barwę. Nad ranem z niedowierzaniem zdała sobie sprawę, że strach w niczym nie umniejszył tęsknoty jej ciała.

44 PORANNY KONCERT

Było to lato obfitujące w radości i smutki. Roberta nauczyła się już wybaczać swym pacjentom ich ludzkie słabostki i podziwiać w nich siłę ducha. Na przykład Elena Allen matka Janet Cantwell od osiemnastu lat cierpiała na cukrzycę. Zaburzenia krążenia doprowadziły w końcu do gangreny i amputacji prawej nogi. Również w lewej wystąpiły arteriosklerotyczne zmiany chorobowe, których rozwój Roberta starała się powstrzymać. Elena miała osiemdziesiąt lat, lecz umysł żwawy jak młody wróbelek. Kuśtykając o kulach oprowadzała lekarkę po ogrodzie, pokazywała jej swoje późne lilie, nagradzane na wielu wystawach ogrodniczych, wielkie, dojrzewające już pomidory, a także kabaczki, którymi chciała obdarować Robertę.

– Też mam warzywnik – protestowała ze śmiechem Roberta.–
Chętnie dałabym pani trochę własnych.

– Niech Bóg broni!

W Woodfield namiętnie uprawiano kabaczki. Jak wyraził się kiedyś Gregory Hinton, każdy kierowca, który parkuje samochód przy Main Street, powinien go dobrze zamknąć, bo jeśli tego nie

zrobi, może po powrocie znaleźć na tylnym siedzeniu stos podrzucanych warzyw.

Hinton początkowo krytycznie nastawiony do Roberty stał się jej lojalnym stronnikiem i przyjacielem. Dlatego też poczuła szczególny żal do losu, kiedy stwierdzono u niego małokomórkowego raka płuc. Miał siedemdziesiąt lat, z czego przez ponad pół wieku wypalał dwie paczki papierosów dziennie. Kiedy przyszedł do niej, zanosząc się rzęzącym kaszlem, było już za późno. Greg zresztą uważał, że winna jest nie tylko nikotyna.

– Każdemu się wydaje, jak to zdrowo być rolnikiem pracować na świeżym powietrzu i tak dalej. Nikt nie pomyśli o tym, że wdycha się nawozy sztuczne, środki chwastobójcze i słomiany pył w zamkniętej stodole. Nikt mi nie wmówi, że coś takiego człowiekowi nie szkodzi.

Wysiała go do onkologa w Greenfield. Badanie rezonansowe wykazało też mały, pierścieniowaty cień w mózgu. Roberta podtrzymywała starego na duchu w czasie naświetlań, pilnowała przebiegu chemioterapii i cierpiała wraz z nim.

Były jednak również jasne chwile i dni. Nie zawsze przygniatała ją myśl o śmierci, skoro wokół bujnie pieniło się życie. Brzuch Toby pęczniał jak torebka popcornu w kuchence mikrofalowej, poranne mdłości zaś nękały ją praktycznie aż do wieczora. Toby odkryła w końcu, że najskuteczniejszym środkiem na ich uśmierzenie jest lodowata woda mineralna z plasterkami cytryny. W przerwach więc między jednym a drugim atakiem wymiotów siedziała za swoim biurkiem w ambulatorium Roberty i popijała z godnością drobne łyżki napoju z wysokiej szklanki. W siedemnastym tygodniu ciąży Roberta musiała wysiać ją na punkcję owodni.

Spokojną zwykle toń prowincjonalnego bajorka, jakim bez wątpienia było Woodfield, zdążyły już wzburzyć inne narodziny. W potwornie duszny i upalny dzień Roberta odebrała poród Jessiki Garland dwie dziewczynki i chłopca. Z góry było wiadomo, że przyjdą na świat trojaczki, ale mimo to owego dnia świętowało całe miasto. Były to pierwsze trojaczki Roberta i prawdopodobnie ostatnie, ponieważ zdecydowała się po przyjeździe Gablerów przekazać całą praktykę położniczą w ręce Gwen. Dzieciom nadano imiona: Clara, Julia i Jony Roberta sądziła ongiś, że na wsi panuje zwyczaj, iż dziecko dostaje imię po lekarzu, który przyjął je na świat, ale widocznie zwyczaj ów już wygasł.

Któregoś ranka Gregory Hinton zatrzymał się po zastrzyku nieco dłużej.

– Słyszałem, pani doktor, że usuwa pani ciążę w Springfield.

Ten oficjalny ton postawił ją w stan pogotowia, już od dłuższego czasu, bowiem Gregory zwracał się do niej po imieniu. Samo pytanie jej nie zaskoczyło, nigdy nie starała się ukrywać tego, co robi.

– Tak, Greg. Jeżdżę tam w każdy czwartek.

Kiwnął głową.

Jesteśmy ze Stacją katolikami rzekł. Wiesz o tym?

– Nie.

– Urodziłem się tu, w Woodfield, w rodzinie kongregacjonistów. Stacia z domu nazywa się Kwiatkowski, a jej ojciec miał kurzą fermę w Sunderland. Kiedyś w sobotę przyjechała z koleżankami na potańcówkę w naszym ratuszu i tam ją poznałem. Po ślubie uznaliśmy, że prościej będzie chodzić na msze razem, toteż w końcu ja zacząłem chodzić z nią. W Wooufld nie ma, rzecz jasna,

katolickiego kościoła, więc należymy do parafii w South Deerfield. Po jakimś czasie sam przeszedłem na katolicyzm.

Greg zamilkł na chwilę, po czym podjął:

– W Colrain mamy bratanicę, Ritę, córkę mojego brata Arthura. Uczęszczała na uniwersytet w Syracuse, zaszła w ciążę, a chłopak puścił ją kantem. Zrezygnowała ze studiów, urodziła córeczkę. Opiekuje się nią moja bratowa Helen, a Rita pracuje, żeby pomóc im finansowo. Jesteśmy z niej bardzo dumni.

– To oczywiste. Jeśli taką podjęła decyzję, powinniście ją wspierać i cieszyć się wraz z nią.

– Chodzi o to rzekł cicho Greg że nie możemy pochwalać aborcji.

– Mnie samej też się to nie podoba, Greg.

– Więc dlaczego to robisz?

– Bo kobiety, które przychodzą do ośrodka, rozpaczliwie potrzebują pomocy. Wiele straciłoby życie bez szansy na bezpieczną, sterylną aborcję. Dla nich nie ma znaczenia to, jak postąpiły w danej sytuacji inne kobiety albo, co na ten temat sądzą różne grupy nacisku. Liczy się tylko to, co dzieje się w ich wnętrzu tak w ciele, jak i w duszy. Każda z nich musi sama zdecydować, co robić, żeby przetrwać. – Roberta spojrzała Hintonowi w oczy. – Czy potrafisz to zrozumieć?

Po chwili skinął głową.

– Chyba tak rzekł z ociąganiem.

– Cieszę się powiedziała.

Mimo to miała już dość ciągłego strachu na myśl o każdym nadchodzącym czwartku. Kiedy zgodziła się pomóc, zastrzegła, że robi to tylko czasowo, w ramach zastępstwa. W ostatni czwartek

sierpnia Roberta pojechała do Springfield zdecydowana złożyć wymówienie.

Gdy mijiała klinikę, demonstracja właśnie trwała. Jak zwykle zaparkowała kilka przecznic dalej i wróciła pieszo. Jedynym efektem polityki Clintona było to, że teraz policja miała obowiązek zatrzymać demonstrantów po przeciwnej stronie ulicy, gdzie nie byli w stanie fizycznie zablokować wejścia do kliniki. Jednakże, ilekroć na podjazd przed budynkiem skręcił jakiś samochód, podnosiły się tablice i transparenty.

– MAMO, NIE ZABIJAJ MNIE! MAMO, NIE ZABIJAJ MNIE! – dudnił megafon.

– Kobieto, nie zabijaj własnego dziecka!

– Nie wchodź tam! Ono żyje!

Ktoś rozpoznał Robertę, kiedy była ledwie kilka kroków od drzwi.

– MORDERCZYNI!
MORDERCZYNI!
MORDERCZYNI!

Wchodząc do budynku zdążyła zauważyć, że okno w biurze jest rozbite. Barbara Eustis na czworakach zbierała z podłogi odłamki szkła.

– Cześć – przywitała Robertę z olimpijskim spokojem.

– Witaj. Chciałam zamienić z tobą parę słów, ale w tej sytuacji...

– Nie, wejdź, Roberto. Dla ciebie zawsze mam czas.

– Przyszłam trochę za wcześnie. Czekaj, pomogę ci pozbierać to szkło. Co się stało?

– Nie „co”, a kto. Chłopiec, może trzynastoletni, szedł chodnikiem, niosąc papierową torbę. Tuż pod moim oknem wyjął z

niej t o i rzucił.

Na biurku leżał kamień wielkości piłki do baseballa. Naroże blatu było rozłupane.

– Ciesz się, że nie trafił cię w głowę. Jesteś pokaleczona?

Eustis potrząsnęła głową.

– Byłam wtedy w toalecie. Miałam szczęście. Rzec można, iż sama Opatrzność czuwała nad moim pęcherzem.

– A ten chłopak to kto? Syn któregoś z demonstrantów?

– Nie wiemy. Uciekł i skręcił w uliczkę biegnącą do Forbes Avenue. Policja go szukała, ale bez skutku. Całkiem możliwe, że czekał na niego samochód.

– Boże, posługują się dziećmi! Barbaro, co to będzie? Do czego to wszystko prowadzi?

– W przyszłość, pani doktor. Sąd Najwyższy utrzymał w mocy ustawę legalizującą aborcje w tym kraju. Ostatnio zaś rząd wydał zgodę na przetestowanie pigułki aborcyjnej.

– Sądzisz, że sprawi to jakąś istotną różnicę?

– Kolosalną. – Barbara wrzuciła kawałki szkła do kosza na śmieci, syknęła i wsadziła czubek palca do ust. – RU-486 bez trudu przejdzie nasze testy, bo stosuje się go już od kilku lat we Francji, Wielkiej Brytanii i Szwecji. Kiedy lekarze zaczną aplikować pigułki bez rozgłosu, w czterech ścianach swoich gabinetów, wojna o aborcję będzie już właściwie wygrana. Oczywiście nie wszyscy pozbędą się obiekcji natury moralnej i od czasu do czasu na pewno się zdarzy jakaś demonstracja. Nie będą jednak w stanie protestować przed każdym gabinetem.

– Kiedy do tego dojdzie?

– Sądzę, że w ciągu dwóch lat. Musimy jakoś dotrzeć do tego czasu. Codziennie ubywa nam lekarzy. W całym stanie Missisipi jeden człowiek wykonuje aborcje. W Północnej Dakocie także jedna lekarka. Lekarze w twoim wieku nie chcą tego robić. Wiele klinik działa tylko dzięki emerytom – Eustis uśmiechnęła się. – Starzy lekarze mają jaja z mosiądzu, Roberto, o wiele więcej odwagi niż nasze pokolenie. Ciekawam, dlaczego?

– Może mają mniej do stracenia niż my. My mamy dzieci, które chcemy wychować, i kariery, o które się martwimy.

– Taak...Cóż, dzięki Bogu za dziadków. Jesteś prawdziwym wyjątkiem, Roberto. Dałabym wiele, żeby znaleźć innych podobnych do ciebie. A, właśnie o czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Roberta wrzuciła kawałki szkła do kosza i potrzęsnęła głową.

– Późno już, muszę brać się do roboty. To nic ważnego, Barbaro, złapię cię innym razem.

W piątek wieczorem gotowała kolację, słuchając w radiu koncertu skrzypcowego Mozarta, kiedy zadzwoniła Toby.

– Oglądasz telewizję?

– Nie.

– O Boże, Roberto! Włącz.

Sześćdziesięciosiedmioletni lekarz nazwiskiem John Bayard Britton zginął przed kliniką aborcyjną, w której pracował. Strzał z broni myśliwskiej został oddany przez fundamentalistycznego protestanckiego pastora, Paula Hilla. Morderstwo miało miejsce w mieście Pensacola na Florydzie, tym samym, w którym rok wcześniej Michæl Griffln zabił doktora Gunna. Roberta bez tchu

opadła na sofę, słuchając coraz to nowych szczegółów. Kiedy wyrwał ją z transu smród przypalonej kapusty, pobiegła do kuchni, żeby zgasić gaz, wrzuciła zwęgloną kolację do zlewu, po czym pędem wróciła przed ekran i patrzyła dalej.

Hill podszedł do samochodu doktora przed wejściem do kliniki, przystawił do okna lufę dubeltówki i wystrzelił. Lekarz zginął na miejscu. W samochodzie wraz z nim było dwoje ochotników mężczyzna po sześćdziesiątce, który również zginął, oraz jego żona, siedząca z tyłu. Przewieziono ją do szpitala.

Reporter zacytował słowa doktora Brittona: „Nie lubię przeprowadzać aborcji, ale pracuję tu, bo kobiety muszą mieć prawo wyboru.”

Wyświetlono fragmenty wypowiedzi wielebnego Hilla, nagrane w czasie jednej z wcześniejszych demonstracji, kiedy to chwalił czyn Michæla Griffina, a także wywiady z innymi liderami ruchu antyaborcyjnego, wypowiadającymi się przeciwko przemocy i zbrodni. Krajowy przywódca ruchu, z którym redakcja telewizyjnych wiadomości połączyła się telefonicznie, oświadczył, iż uważa ten mord za godzien pożałowania. Potem jednak pokazano tego samego człowieka, gdy wzywał swoich zwolenników do modlitwy o to, by bicz Boży dosięgnął każdego, kto wykonuje skrobanki.

Dyżurny reporter w studiu streścił ostatnie regulacje prawne, które w znacznej mierze stanęły na drodze przeciwnikom aborcji w Stanach Zjednoczonych.

W świetle nowych przepisów i ustaleń – rzekł – można się spodziewać kolejnych aktów przemocy ze strony najbardziej radykalnych jednostek i ugrupowań wchodzących w skład ruchu.

Roberta poczuła, że przenika ją lodowaty dreszcz. Objęła się ciasno ramionami.

Wiadomości skończyły się i zaczął teleturniej, a ona dalej siedziała bez ruchu przed migoczącym ekranem.

Cały weekend spędziła zamknięta na klucz w domu, przy zamkniętych oknach, odziana bardzo lekko z powodu upału, usiłując na zmianę czytać i spać.

W niedzielę wcześniej rano wyszła, wezwana do pacjenta, który nagle zachorował. Po powrocie starannie zaryglowała drzwi.

W poniedziałek, kiedy pojechała do pracy, zaparkowała przy jednej z bocznych ulic i poszła do gabinetu na piechotę. Trzy domy wcześniej skręciła w czyjś podjazd. Podwórka nie były odgrrodzone płotami. Przedostała się, więc do gabinetu tylnym wejściem.

Nie mogła się skupić; zmieniała się w kłębek nerwów. Całą noc przeleżała bezsennie, ponieważ nękające ją telefony urwały się nagle. Wzdrygała się za każdym razem, gdy stary dom zaskrzypiał lub ocknął się hałaśliwy agregat lodówki. O trzeciej nad ranem zerwała się z łóżka, otworzyła wszystkie okna i drzwi.

Wyniosła na dwór składane krzesło i postawiła je obok grządek z warzywami. Potem wróciła do domu po violę da gamba. Siedziała pod gwiazdami, wbijając palce bosych stóp w trawę, i grała cudowną kanconę Maraisa, utwór, nad którym właśnie pracowała. Dziwne, mistyczne dźwięki unosiły się w porannym mroku; wyobrażała sobie, że słuchają ich zwierzęta przycajone w lesie. Robiła jeszcze błędy, lecz na to nie zważała: jej wdzięcznym audytorium były główki sałaty.

Muzyka zawsze dodawała jej odwagi i tym razem również podziałała jak zastrzyk ożywczego spokoju. Nazajutrz zaparkowała

na swoim zwykłym miejscu. W pracy normalnie rozmawiała z pacjentami. Rankiem znalazła czas, by przejść się leśnym szlakiem, a popołu dniami plewiła ogród. Przepikowała krzaczastą fasolę, która wykiełkowała z nasion.

W środę rano zadzwoniła Barbara Eustis i powiedziała jej, że zebrała ochotników, którzy będą wozić ją do ośrodka.

– Nie. Żadnej obstawy.

– Dlaczego?

– Nic mi się nie stanie, czuję to. Poza tym obstawa nie za wiele pomogła temu lekarzowi z Florydy.

– W porządku. Ale proszę wjechać prosto na parking. Ktoś z personelu będzie tam stał, żeby zająć pani miejsce tuż przy drzwiach. Policyjnych radiowozów też jest więcej niż kiedykolwiek dotąd. Gwarantują nam bezpieczeństwo.

– To znakomicie – skwitowała sucho Roberta.

W czwartek znów opanował ją strach.

Poczuła nieopisaną wdzięczność, kiedy radiowóz policyjny wyłowił ją spośród sznura pojazdów na drodze do Springfield i dyskretnie eskortował przez całe miasto.

Tego dnia nie było demonstracji. Sekretarka ośrodka zgodnie z obietnicą zajęła jej miejsce na parkingu.

Czas upływał spokojnie i zanim Roberta skończyła ostatni zabieg, nawet Barbara Eustis nieco się odprężyła. W drodze powrotnej policyjny radiowóz odprowadził ją na obwodnicę i nagle była już tylko jednym z wielu kierowców jadących na północ trasą 1-91.

Na ganku leżała torba z delikatnymi młodymi ziemniakami wielkości piłek golfowych i kartką od George'a Palmera, który życzył jej smacznego. Zalecał też maselko i odrobinę świeżego

koperku. Idealnym uzupełnieniem byłby pstrąg, wykopała więc kilka robaków, wzięła wędkę i poszła nad rzekę.

Jak na tę porę roku było ciepło. Gdy ścieżka zagłębiła się w las, tchnęło zeń zbawczym chłodem. Przez baldachim liści sączyło się słońce, malując wszystko w gęsty cętkowany wzór.

Z najgłębszego cienia wyłonił się mężczyzna a może niedźwiedź? Nie, to był człowiek! Miała tylko czas spozrzeć, że był wysoki, miał długie włosy i brodę jak Chrystus, a potem już jej ramię uniosło się bezwiednie, wędka smagnęła jego tors, a Roberta zamierzyła się do następnego ciosu. Wędka pękła, lecz ona wciąż tłukła nią w furii, bo nagle go rozpoznała.

Silne ramiona oplotły się wokół niej, jego podbródek gniótł ją w czubek głowy.

– Ostrożnie, haczyk się obluzował, skaleczysz się w rękę – mruknął wprost w jej włosy i dodał: – Widzę, że skończyłaś szlak.

CZĘŚĆ CZWARTA

LEKARKA Z PROWINCJI

45 OPOWIEŚĆ PRZY ŚNIADANIU

Kilka minut po powrocie z lasu usiedli w kuchni i patrzyli na siebie wciąż nieco podejrzliwie. Nie wiedzieli, jak rozpocząć rozmowę. Ostatni raz widzieli się nad ciałem jego zmarłego dziecka.

Oboje się zmienili. Zupełnie jakby był w przebraniu myślała Roberta, żerkając na jego brodę i żałując w duchu, że ściął koński ogon.

– Chcesz pomówić o Sarze? – zapytała.

– Nie – odparł szybko. – To znaczy, nie teraz. Chcę pomówić o nas.

Zacisnęła kurczowo ręce na kolanach, żeby nie zauważył, jak się trzęsą. Wahala się między nadzieją a rozpaczą, sparaliżowana dziwną kombinacją emocji radością, drżącym uniesieniem, olbrzymią ulgą. Czuła także destrukcyjną furję.

– Dlaczego zadałeś sobie trud, żeby wrócić?

– Nie mogłem przestać o tobie myśleć.

Wyglądał tak zdrowo, tak normalnie, jakby nic się nie stało. Był zbyt opanowany, zbyt rzeczowy. Chciała mówić mu czułe słowa, ale gdy otwierała usta, wycedziła:

– Czuję się zaszczycana, ot co. Przez okrągły rok ani słowa, a potem nagle: „Cześć, stara, wróciłem.” Skąd mam wiedzieć, czy po najbliższej sprzeczce nie wsiądziesz do samochodu i nie znikniesz bez śladu na następny rok? Albo pięć lat, albo osiem?

– Ponieważ ja ci to mówię. Może przynajmniej zgodzisz się to przemyśleć?

– O, na pewno gruntownie to przemyślę – syknęła z taką goryczą, że David się cofnął.

– Mogę zostać tu na noc?

Już chciała odmówić, lecz uzmysłowiła sobie, że nie potrafi.

– Czemu nie? – zaśmiała się sucho.

– Zostawiłem samochód przy drodze i przeszedłem przez pole Krantzów, żeby dotrzeć do rzeki. Podrzucisz mnie po wóz?

– Nie zaszkodzi ci, jak się przejdiesz. Ja w tym czasie zrobię kolację – rzuciła trochę zanadto gwałtownie. W jej głosie zabrzmiała nutka okrucieństwa. David bez słowa kiwnął głową i wyszedł.

Zanim wrócił, zdążyła się już opanować. Kazała mu wstawić walizkę do gościnnego pokoju.

Rozmawiała z nim teraz uprzejmie, jak z kimś, kto rzeczywiście przyjechał w odwiedziny, żeby się nie domyślił jej euforii, jej wiecznego oddania. Posiłek także nie był zbyt wykwintny: cielece hamburgery, odsmażone ziemniaki z wczorajszego obiadu, mus jabłkowy ze słoika.

Usiedli do stołu, ale zanim Roberta przełknęła kęs, zerwała się i wybiegła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. David

usłyszał, że włącza telewizor, potem rozległ się puszkowany śmiech z komediowego serialu.

Słyszał także Robertę. Podświadomie wiedział, że nie płacze nad sobą ani nad nim. Podszedł do drzwi i zapukał lekko. Leżała na łóżku. Ukląkł obok niej.

– Ja też ją kochałam wyszeptała.

– Wiem.

– Płakali razem, jak powinni to byli zrobić rok temu. Potem Roberta posunęła się, robiąc mu miejsce. Pierwsze pocałunki były delikatne i miały smak łez.

– Myślałem o tobie przez cały czas. Codziennie, w każdej chwili.

– Nie podoba mi się ta broda – odparła.

Rano miała dziwne uczucie, że spędziła noc z kimś, kogo świeżo poznała. Nie chodzi o zarost i ostrzyżone włosy rozmyślała, stojąc w kuchni i mieszając sok.

Zanim zrobiła grzanki i jajecznicę, zszedł na dół.

– Dobrze. Co to?

– Łączę sok pomarańczowy z żurawinowym.

– Nigdy przedtem tego nie robiłaś.

– A teraz tak. Czasy się zmieniają, Davidzie. Czy nie wpadło ci do głowy, że... mogłam poznać kogoś innego?

– A poznałaś?

– Nie masz prawa o to pytać – wypaliła gniewnie. – Dlaczego skontaktowałeś się z Fallonem, a nie ze mną? Dlaczego nie chciało ci się nawet zadzwonić? Dlaczego nie dałeś mi znać, że jesteś cały i zdrowy?

– Nie byłem zdrowy – powiedział.

Nietknięta jajecznicą stygła na talerzach, kiedy mówił:

– Po śmierci Sary powietrze przybrało dziwny odcień, jak gdyby wszystko pokrył bladożółty nalot. Część mnie funkcjonowała nadal, chyba siłą rozpędu. Zatelefonowałem do przedsiębiorcy pogrzebowego w Roslyn na Long Island, zamówiłem pogrzeb na następną dzień, pojechałem za karawanem do Nowego Jorku. Jechałem ostrożnie, bardzo ostrożnie. Zatrzymałem się w motelu. Rano pogrzeb był krótki: rabin był nowy, nie znał Sary, a poza tym poinstruowałem go, że ma się streszczać. Trumnę nieśli ludzie z zakładu pogrzebowego. W porannej gazecie ukazał się nekrolog, ale tylko parę osób zobaczyło go na czas, żeby zdążyć na pogrzeb. Na cmentarz Bejt Moses w West Babylon przyjechały dwie dziewczyny, które przyjaźniły się z Sarą w szkole średniej. Trzymały się za ręce i płakały, a pięcioro dorosłych, którzy znali naszą rodzinę z dawnych lat w Roslyn, nie wiedziało, gdzie podziąć oczy, kiedy odesłałem grabarzy i sam zakopałem grób. Kamienie dudniły w wieko trumny, później był już sam piach, wykop zrównał się z ziemią, a potem powstał kopczyk.

Podeszła do mnie tęga kobieta, którą z trudem rozpoznałem w młodszym i szczuplejszym wydaniu była najlepszą przyjaciółką Natalie. Szlochała i ścisnęła mnie, a jej mąż błagał, żebym jechał z nimi. Z trudem docierało do mnie, co mówią.

Wyjechałem od razu, tuż za karawanem. Przejechałem milę lub dwie i skręciłem na pusty parking przy kościele. Przeczekałem tam ponad godzinę. Kiedy wróciłem na cmentarz, ludzie, którzy brali udział w pogrzebie, już się rozeszli.

Leżały blisko siebie. Usiadłem pomiędzy nimi z jedną ręką na grobie Sary, a drugą na grobie Natalie. Nikt mi nie przeszkadzał.

Dostrzegałem tylko swój żal i niewiarygodne osamotnienie. Późnym popołudniem wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Nie miałem celu. Samochód sam prowadził mnie przez Wellwood Avenue, przez rozjazdy, przez mosty, do New Jersey.

W Newark wstąpiłem do „Old Glory”, robotniczego baru tuż przy Jersey Pike. Wypiłem trzy szybkie i nagle zdałem sobie sprawę, że jest cicho i wszyscy na mnie patrzą. Gdybym miał na sobie drelich albo dżinsy, nie byłoby sprawy, ale byłem w jednorzędowym granatowym garniturze Harta Schaffnera Marxa, wymiętym i ubrudzonym ziemią. Do tego koński ogon, w moim wieku... Zapłaciłem i wyszedłem z baru. W sklepie kupiłem trzy flaszki Beefeatera, które zabrałem do najbliższego motelu.

Setki razy słyszałem, jak pijacy mówią o smaku alkoholu. Niektórzy opisują go jako „płynne światło”, „nektar”, „boski napój”. Nie cierpię smaku zbożowych alkoholi i zawsze trzymałem się wódki lub ginu. W motelowym pokoju znalazłem zapomnienie piłem do utraty przytomności. Kiedy się budziłem, leżałem zdezorientowany przez kilka chwil, próbując wszystko poukładać w głowie, a potem zalewał mnie potworny ból, straszliwa świadomość, więc piłem dalej.

Był to stary, znajomy wzorzec, który dawno temu doprowadziłem do perfekcji. Piłem w zamkniętych pokojach, gdzie czułem się bezpieczny. Trzy butelki pozwalały mi nie trzeźwieć przez cztery dni. Potem przez dobę byłem ciężko chory, a następnie zjadałem możliwie lekkostrawne śniadanie, zwalniałem pokój i pozwalałem, żeby samo chód zawiózł mnie gdzie indziej.

Działałem rutynowo, w wypróbowany sposób. Nigdy nie jeździłem po pijanemu. Zdawałem sobie sprawę, że od dna dzieli

mnie tylko samochód, portfel z kartami kredytowymi i książeczka czekowa.

Prowadziłem powoli i automatycznie, z otępiąłym umysłem, próbując pozostawić rzeczywistość gdzieś z tyłu. Ale wcześniej czy później przychodziła taka chwila, kiedy rzeczywistość wsiadała do samochodu i jechała wraz ze mną. Gdy ból stawał się nie do zniesienia, zatrzymywałem się, kupowałem parę butelek i wynajmowałem pokój.

Piłem w Harrisburgu w Pensylwanii. Piłem pod Cincinnati w Ohio i w miejscach, których nazw do dziś nie znam. Przez cały koniec lata byłem non stop pijany.

Pewnego ciepłego, jesiennego poranka bardzo wcześnie rano jechałem wiejską drogą na potwornym kacu. Okolica była ładna, pagórkowata, choć nie tak górzysta jak w Woodfield; poza tym było tam więcej pól niż lasów. Wyprzedziłem zaprzężony w jednego konia czarny, lekki powozik, którym jechał brodaty mężczyzna w słomkowym kapeluszu, białej koszuli i czarnych spodniach na szelkach.

Amisz?

Minąłem wiejski dom i zobaczyłem kobietę w długiej sukni i tradycyjnym czepku; pomagała dwóm chłopcom rozładowywać dynie z wozu. Za polem kukurydzy inny mężczyzna powoził pięciokonnym zaprzęgiem, kosząc owies.

Było mi niedobrze i bolała mnie głowa.

Jechałem powoli przez tę uprawną ziemię, mijałem domy malowane na biało lub nie malowane w ogóle, piękne obory, studnie głębinowe z wiatrakami, dobrze utrzymane pola. Myślałem, że znów jestem w Pensylwanii, być może w pobliżu Lancaster, ale

po chwili zobaczy łem tablicę na granicy miasta i dowiedziałem się, że wyjeżdżam z Apple Creek w Ohio, a wjeżdżam do osady Kidron. Strasznie mnie suszyło. Zaledwie półtorej mili dzieliło mnie od sklepów, motelu, zimnej coca-coli, jedzenia. Wtedy jednak o tym nie wiedziałem.

Mogłem łąatwo przeoczyć ten dom, ale natrafiłem na pustą bryczkę; dyszel leżał na żwirowej nawierzchni. Zerwane skórzane lejce opowiadały niemą historię ucieczki zwierzęcia.

Minąłem biegnącego szosą mężczyznę, a w chwilę później klacz, która wydawała się dość pewna swego kłusowała, bowiem prosto przed siebie. Nie zastanawiając się zbytnio stanąłem w poprzek drogi, wysiadłem z samochodu i zacząłem gwałtownie machać rękami. Po jednej stronie miałem płot, po drugiej wysoki łąan kukurydzy. Kiedy klacz zwolniła, podszedłem naprzód, przemawiając do niej uspokajająco, i złapałem za uzdę.

Mężczyzna podbiegł, sapiąc, czerwony jak burak.

– Danke. Sehr danke. Wie pan, jak się obchodzić ze zwierzęciem, nie?

– Swego czasu mieliśmy konia – powiedziałem.

Twarz mężczyzny zaczęła rozpływać mi się w oczach; oparłem się o samochód.

– Pan chory? Trzeba pomóc?

– Nie. Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. – Zawrót głowy ustępował. Musiałem tylko zejść z palącego słońca. W samochodzie miałem tylenol. – Nie wie pan czasem, gdzie mógłbym dostać trochę wody?

Facet kiwnął głową i wskazał pobliski dom.

– Tam dadzą panu wodę. Niech pan zapuka.

Dom stał w środku pola kukurydzy, ale jego właścicielem nie był amisz przekonałem się o tym na podwórzu, gdzie parkowało kilka samochodów. Pukając do drzwi, zobaczyłem niewielką tabliczkę; Jeszwa Izrael. Dom Nauk Izraela. Przez otwarte okno dolatywały melodyjne hebrajskie słowa, niewątpliwie któryś z psalmów. Bejt Izrael barachu et-Adonai, bejt Aharon barachu et-Adonai. O, domu Izraela, wychwalaj Pana, o domu Arona, wychwalaj Pana.

Drzwi otworzył brodaty mężczyzna, który wyglądał jak amisz w każdym calu, lecz na głowie miał jarmużkę, lewy rękaw koszuli podwinięty, a na czole i ramieniu filakterie. Wewnątrz przy stole siedziało kilku mężczyzn.

Spojrzął na mnie.

- Proszę, proszę wejść. Bist ah Id?
- Tak.
- Czekaliśmy na ciebie rzekł w jidysz.

Nikt się nie przedstawiał. Zawarcie znajomości pozostawiliśmy na później.

- Jesteś dziesiąty – rzekł siwobrody.

Zrozumiałem, że dopełniając minjan pozwalałem im zaprzestać śpiewania psalmów i rozpocząć poranne modły. Paru mężczyzn uśmiechnęło się, a jeden mruknął niewyraźnie: Gottenyu, najwyższy czas. Jęknąłem w duchu. W żadnym wypadku nie miałem ochoty na przymusowy udział w ortodoksyjnym obrządku.

W tym jednak wypadku nie miałem innego wyjścia. Na stole stała woda i szklanki; najpierw dali mi się napić. Ktoś wręczył mi filakterie.

- Nie, dziękuję.
- Co? Nie bądź nar, człowiecze, musisz włożyć teflin, one nie gryzą – sarknął stary.

Minęło za wiele lat, musieli mi pomóc owinać cienki rzemyk wzdłuż przedramienia, potem w poprzek dłoni, wokół środkowego palca i przymocować puzderko z Pismem na czole między oczami. W tym czasie weszło dwóch innych, włożyli filakterie i odmówili brochę, ale nikt mnie nie poganiał. Dowiedziałem się później, że przywykli do tego, czasem trafiali do nich niezbyt religijni Żydzi. Pomoc lub naukę mogli zapisać na swym koncie jako micwę, dobry uczynek. Kiedy zaczęli modły, odkryłem, że mój hebrajski nieco zardzewiał, lecz nie umknął mi z pamięci; dawno temu, w seminarium, chwalono mnie za doskonałą wymowę. Pod koniec obrządku trzech mężczyzn wstało do kadisz, modlitwy za tych, którzy niedawno zmarli. Wstałem wraz z nimi.

Po modlitwie zjedliśmy śniadanie, na które składały się pomarańcze, jajka na twardo, kichłach i mocna herbata. Zastanawiałem się właśnie, jak dać nogę, kiedy sprzątnęli jedzenie ze stołu i wyjęli olbrzymie hebrajskie księgi w wytartych skórzanych oprawach, o stronicach pożółkłych i wystrzępionych.

W jednej chwili pogrążyli się w studiach, obsiadłszy zbieraninę kuchennych krzeseł, lecz nie tylko czytali sami wysuwali argumenty i kontrargumenty i słuchali ich z żarliwą, skupioną uwagą. Tematem dyskusji był stopień, w jakim istota ludzka składa się z jecir hatow, dobrych skłonności, w przeciwieństwie do jecir hara, skłonności do czynienia zła. Byłem zdumiony, widząc, jak rzadko zaglądną do tekstów; cytowali z pamięci całe ustępy ustnych przekazów prawa, zebranych przez rabbięgo Judę tysiąc osiemset lat

temu. Ich umysły z łatwością przenikały Talmud Babiloński i Jerozolimski, śmigały przez nie ze zręcznością dzieci wykonujących akrobacje na wrotkach. Poddawali drobiazgowej analizie poszczególne punkty „Przewodnika strapionych”, Zohar, Dwunastu Komentarzy. Zrozumiałem, że jestem świadkiem codziennej burzy mózgow, jednej z tych, jakie od prawie sześciu tysięcy lat odbywały się w wielu miejscach – w wielkiej akademii talmudycznej w Nehardei, w Bejt Midrasz Rasziego, w pracowni Majmonidesa, w jesziwach wschodniej Europy.

Dyskusji dodawały barw podobne żywemu srebru potoki jidysz, języka hebrajskiego, aramejskiego, potocznej angielszczyzny. Wielu słów nie rozumiałem, chociaż mówili wolniej, kiedy omawiali jakiś cytat. Serce wciąż mi waliło; już tylko to, co byłem w stanie pojąć, zafascynowało mnie.

Zdołałem wyróżnić spośród nich mistrza, starszawego Żyda z obfitą białą brodą i zaokrąglonym brzuszkiem pod tałesem, w poplamionym krawacie i okrągłych okularach w drucianych oprawkach. Patrzyły zza nich przenikliwe, agatowo-niebieskie, powiększone przez szkła oczy. Rabbi siedział wśród uczniów i odpowiadał na stawiane przez nich pytania.

I jakoś tak niepostrzeżenie upłynął poranek. Miałem wrażenie, że śnię. Kiedy w południe zrobili przerwę na lunch, uczniowie wyjęli prowiant z papierowych torebek, a ja wreszcie otrząsnąłem się z rozmarzenia. Zamierzałem wyjść, lecz rabbi skinął na mnie.

– Proszę ze mną. Przekąsimy coś niecoś.

Przeszedłem za nim przez dwie małe salki chederu z rzędami wytartych ławek i dziecięcymi wypracowaniami przypiętymi do ścian przy tablicach, a następnie po schodach na piętro.

Znajdowało się tam małe schludne mieszkanie. Malowane podłogi lśniły, na meblach w saloniku leżały koronkowe serwetki. Wszystko było na swoim miejscu; najwyraźniej gospodarze nie mieli małych dzieci.

– Mieszkam tu z moją żoną Dvorą. Jest w tej chwili w pracy, sprzedaje damskie klajder. A, właśnie, nazywam się Moscovitz.

– David Markus.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

Żona rabina zostawiła w lodówce warzywa i sałatkę z tuńczyka. Moscovitz zręcznie wyjął z zamrażalnika plastry chałki i włożył je do testera.

– Nu – rzekł, kiedy pobłogostawił posiłek i zaczęliśmy jeść. – Czym pan się zajmuje? Handlem?

Zawahałem się. Jeśli powiem, że handluję nieruchomościami, wywołam niezdrową ciekawość, co też w okolicy może być do sprzedania.

– Jestem pisarzem powiedziałem.

– Naprawdę? O czym pan pisze?

Tak właśnie jest, kiedy ktoś wikła się w nazbyt misterną sieć – pouczyłem się w duchu.

– O rolnictwie.

– Tu jest mnóstwo gospodarstw – zauważył rabbi, a ja skinąłem głową.

Jedliśmy w niezobowiązującym milczeniu. Kiedy skończyliśmy, pomogłem sprzątnąć ze stołu.

– Lubi pan jabłka?

– Tak.

Rabbi wyjął z lodówki kilka wczesnych mekintoshów.

- Ma pan się gdzie zatrzymać dziś na noc?
- Jeszcze nie.
- Proszę zostać u nas, wynajmujemy jeden pokój, niedrogo. A rano przyda się pan do minjan. No, czemuż by nie?

Jabłko, które ugryzłem, było winne i kruche. Na ścianie widziałem kalendarz reklamowy producenta macy ze zdjęciem Ściany Płaczu. Byłem bardzo zmęczony jazdą samochodem, a zdążyłem już stwierdzić, że łazienka w tym domu lśniła czystością. Właściwie, czemuż by nie? – pomyślałem tępo.

Rabbi Moscovitz kilkakrotnie chodził w nocy do łazienki, człapiąc artretycznymi stopami w sukiennych kapciach. Domyśliłem się, że cierpi na przerost prostaty.

Dvorą, żona rabbiego, była niską siwą kobietą o różowej twarzy i pełnych życia oczach. Przywodziła na myśl oswojoną wiewiórkę. Rano przygotowując śniadanie śpiewała w jidysz piosenki o miłości i kołysanki słodkim, nieco drżącym głosem.

Nie przełożyłem ubrań do szuflad komody, żyłem na walizkach, świadom, że wkrótce stąd wyjadę: Codziennie rano sam ścieliłem łóżko i pakowałem rzeczy. Dvorą Moscovitz powiedziała mi, że taki lokator jak ja to marzenie.

W piątek na obiad był taki sam zestaw, jaki pamiętałem z dzieciństwa faszerowana ryba, rosół z makaronem, pieczone kurczę i kluski ziemniaczane, kompot owocowy i herbata. W piątek po południu Dvorą zrobiła czulent na następny dzień, w szabas, bowiem nie wolno gotować. Włożyła do kamionkowego garnka ziemniaki, czosnek, białą perłówkę i fasolę jaś, zalała to wodą, dodała soli, pieprzu i papryki i postawiła na ogniu. Kilka godzin

przed rozpoczęciem szabasu dodała kilka skrzydełek kurczęcia i umieściła garnek w piekarniku, gdzie dusił się na wolnym ogniu przez cały szabas, aż do następnego wieczora.

Gdy w końcu go odkryto, wszystko pokrywała cudowna pieczona skorupka, a bogaty aromat sprawił, że ślinka pociekła mi do ust.

Rabbi Moscovitz wyjął z kredensu butelkę whisky Seagram's Seven Crown i napełnił dwa kieliszki.

– Ja dziękuję zastrzegłem.

Rabbi rozłożył ręce.

– Nie chce pan sznapsa?

Wiedziałem, że jeśli wypiję, pójdę do samochodu po swoją butelkę, a nie było to miejsce, gdzie można by się spać na umór.

– Jestem alkoholikiem.

– Ach, tak... – Rabbi pokiwał głową i wydał usta.

Miałem wrażenie, że zostałem przeniesiony do innego świata, znanego tylko z opowieści rodziców, a właściwie dziadków. Czasami jednak w nocy budziły mnie świeże, bolesne wspomnienia, które pchały mnie po butelkę. Raz wstałem z łóżka, zszedłem na dół i boso zakradłem się na mokre od rosy podwórze. Otworzyłem bagażnik, znalazłem wódkę i wypłem dwa wielkie, ożywcze łyki, ale nie wziąłem jej ze sobą do domu. Nie wiem, czy rabbi lub Dvorą to słyszeli, w każdym razie rano żadne nie dało nic po sobie poznać.

Codziennie siadywałem z nimi do studiów, czując się przy nich jak dziecko z chederu. Ci mężczyźni ostrzyli swój intelekt od lat, tak więc nawet ostatni z nich o całe parseki wyprzedzał moją wątlą

znajomość Biblii i Halachy, żydowskiego prawa. Nie przyznałem się, że skończyłem seminarium teologiczne i zostałem wyświęcony na rabię. Czułem, że dla nich kapłan konserwatywnego lub reformowanego judaizmu to nie rabin. A już z pewnością nie ktoś, do kogo można mówić: „Rabbi”

Słuchałem, więc w milczeniu, jak dyskutowali o istotach ludzkich i ich skłonności do dobra i zła, o małżeństwie i rozwodzie, o trejfie i kaszrucie, o winie i karze, narodzinach i śmierci.

Szczególnie zainteresowała mnie jedna z tych dyskusji. Reb Levi Dressner, trzęsący się staruszek o chrapliwym głosie, wskazał trzech różnych mędrców, którzy uważali, że godna starość może być nagrodą za cnotę, ale nawet człowieka cnotliwego może spotkać wielkie nieszczęście, jakim jest przedwczesna śmierć.

Reb Reuven Mendel, tęgi czterdziestoparoletni mężczyzna o czerwonym obliczu, cytował jedno po drugim dzieła, niosące pociechę pozostałym przy życiu. Pociechą tą była myśl, że w śmierci młodzi ludzie jednoczą się ze zmarłą matką lub ojcem.

Reb Yehuda Nahman, blady chłopiec o sennych oczach i kasztanowatej jedwabistej brodzie, przytoczył słowa kilku klasyków, którzy byli pewni, że zmarli zachowują łączność ze światem żywych i interesują się jego sprawami.

– A więc spędziłeś cały rok wśród ortodoksyjnych Żydów? – zapytała Roberta.

– Nie, od nich też uciekłem.

– Jak to? – Roberta sięgnęła po trójkąt wystygłej grzanki i ugryzła kęs.

Dvora Moscovitz zachowywała pełne szacunku milczenie w obecności męża i innych scholarzy, ale – jakby zdawała sobie sprawę, że ja jestem inny – kiedy byliśmy sami, robiła się gadatliwa.

Pracowała ciężko, żeby wypucować mieszkanie i jesziwę na błysk przed Jom Kipur, a w trakcie mycia, szorowania i polerowania opowiadała mi dzieje i legendy rodziny Moscovitzów.

– Od dwudziestu siedmiu lat sprzedaję sukienki w sklepie „Bon Ton”. Nie mogę się już doczekać lipca przyszłego roku – stwierdziła kiedyś.

– A co się wtedy stanie?

– Skończę sześćdziesiąt dwa lata i przejdę na emeryturę.

Uwielbiała weekendy, bo nie pracowała w piątki i soboty, czyli w szabas, a sklep był zamknięty także w niedzielę święty dzień właściciela. Dała rabiemu czworo dzieci, więcej nie mogła mieć cóż, wola Boża. Z trzech synów, dwóch mieszkało w Izraelu. Label ben Schlomo studiował w akademii rabinackiej w Mea-Shearim, Pincus ben Schlomo był rabinem gminy Petah-Tikwa. Najmłodszy, Irving Moscovitz, sprzedawał ubezpieczenia na życie w Bloomington w stanie Indiana.

– Moja czarna owca powiedziała z uśmiechem.

– A czwarte?

– Lea umarła, kiedy miała dwa latka. Na dyfteryt.

Zapadła cisza.

– Ma pan dzieci? – zapytała po chwili Dvora.

Czułem, że coś mnie zmusza, bym stawił temu czoło, pomyślał o tym, ubrał to w słowa.

Opowiedziałem jej o Sarze.

– Ach, więc to za córkę odmawiał pan kadisz.

Ujęła mnie za rękę. Oboje mieliśmy łzy w oczach. Rozpaczliwie pragnąłem znaleźć się gdzie indziej. Żeby mnie pocieszyć, Dvora ukroiła piernika z migdałami i zrobiła herbatę.

Rano wstałem przed świtem, kiedy jeszcze spali. Pościeliłem łóżko, zostawiłem pieniądze i krótki list z podziękowaniem i wykradłem się z walizką do samochodu, gdy ścierniska wciąż jeszcze tonęły w mroku.

Nie trzeźwiałem przez całe Dni Sądne. Piłem w domu noclegowym w miasteczku Windham, w rozlatującym się kempingu w Revennie. W Cuyahoga Falls kierownik motelu wyważył zamknięte na klucz drzwi pokoju, w którym piłem przez trzy dni, i kazał mi się wynosić. Udało mi się oprzytomnieć na tyle, by tego wieczoru dojechać do Akron, gdzie znalazłem odrapany, stary hotel „Majestic”, ofiarę ery przydrożnych zajazdów. Dostałem narożny pokój na drugim piętrze; prosił się o odmalowanie i był pełen kurzu. Przez jedno okno widziałem dym z fabryki gumy, przez drugie brunatny nurt rzeki Muskingum.

Zadekowałem się tam na osiem dni. Recepcjonista, niejaki Roman s dostarczał mi alkohol, kiedy kończył się zapas. W hotelu nie było obsługi pokojowej. Roman przynosił skądś chyba z daleka,

bo zawsze trwało to strasznie długo niesmaczną kawę i tłuste hamburgery. Dawałem mu hojne napiwki, żeby mnie nie wykiwał, kiedy będę pijany. Do dziś nie wiem, czy Roman to było jego imię czy nazwisko. Którejś nocy obudziłem się z uczuciem, że ktoś jest w pokoju.

– Roman? – zapytałem.

Zapaliłem światło, ale nie zobaczyłem nikogo.

Zajrzałem do kabiny prysznic i szafy. Kiedy zgasiłem lampę, znów poczułem tę samą obecność.

– Sara?

Cisza.

– Natalie? Czy to ty, Nat? Nikt nie odpowiadał.

Równie dobrze mógłbym wzywać Napoleona albo Mojżesza po myślałem z goryczą. Nie zdołałem jednak pozbyć się przekonania, że nie jestem sam.

Ów ktoś nie przynosił ze sobą zagrożenia. Leżałem w ciemności, wspominając dyskusję w jesziwie, kiedy to reb Yehuda Nahman cytował mędrców, którzy pisali, iż ukochani zmarli nigdy się nie oddalają, i że interesuje ich los żywych.

Sięgnąłem po butelkę i nagle uderzyła mnie myśl, że przygląda mi się moja żona i córka. Widzą, jaki jestem słaby, jak staczam się na dno w tym brudnym, śmierdzącym wymiocinami pokoju. Miałem w sobie wystarczająco dużo alkoholu, by w końcu usnąć jak kłoda.

Kiedy się obudziłem, znowu byłem sam, towarzyszyły mi tylko wspomnienia.

Tego dnia znalazłem turecką łaźnię; wyciągnąłem się na ławce w kłębach pary i przez długi czas starałem się wypocić z siebie całą wódkę. Potem zaniósłem brudne ubrania do automatycznej pralni. Kiedy schły, znalazłem fryzjera bardzo kiepskiego, jak się okazało i ostrzygłem się. Koniec z długimi włosami. Czas wydorosnąć – myślałem. – Czas się zmienić.

Nazajutrz rano wsiadłem do samochodu i wyjechałem z Akron. Nie byłem zaskoczony, gdy samochód zawiózł mnie z powrotem do Kidron, w samą porę na minjan. Tam czułem się bezpieczny.

Powitali mnie ciepło; rabbi uśmiechnął się i pokiwał głową, jak gdybym po prostu wrócił ze sprawunków. Powiedział, że pokój jest wolny i po śniadaniu wniosłem swoje rzeczy na górę. Tym razem opróżniłem walizkę; część rzeczy powiesiłem w szafie, a resztę rozłożyłem w szufladach komody.

Nadeszła zima, która w Ohio jest bardzo podobna do zimy w Woodfield, tylko że tam zaśnieżone pola ciągną się bez końca. Ubierałem się tak, jak dawniej w górach, w długie kalesony, dzinsy, wełnianą koszulę i skarpety. Na dwór wkładałem gruby sweter, włóczkową czapkę, stary czerwony szalik, który dała mi Dvora, i flauszową marynarską kurtkę, kupioną w sklepie ze starzyzną pierwszej jesieni, jaką spędziłem w górach Berkshire. Dużo spacerowałem, skóra pierzchała mi na mrozie.

Rano brałem udział w minjan. Traktowałem to bardziej jako zobowiązanie towarzyskie, bo modlitwa nie w pełni docierała do mojej duszy. Nadal ciekawiły mnie uczone dyskusje, które zawsze odbywały się po modłach; przekonałem się, że rozumiem z nich teraz nieco więcej. Popołudniami dzieci hałaśliwie wchodziły do

klas chederu i niektórzy ze słuchaczy rabbiego udzielali im lekcji. Kusiło mnie, żeby zaoferować pomoc, podejrzewałem jednak, iż nie robią tego za darmo, a nie chciałem pozbawiać ich chleba. Dużo czasu poświęcałem na lekturę starych hebrajskich ksiąg, zadawałem rabbiemu pytania i roz mawialiśmy.

Każdy ze słuchaczy jesziwy miał świadomość, że to Bóg umożliwił mu naukę. Podchodzili do niej bardzo serio. Kiedy im się przyglądałem, nie czułem się może jak Margaret Mead badająca zwyczaje dzikich plemion z Samoa ostatecznie moi dziadkowie wychowali się również w tej samej kulturze pełniłem tu jednak rolę gościa, cudzoziemca. Słuchałem pilnie i, jak pozostali, często grzebałem w rozłożonych na stole traktatach, szukając dowodów na poparcie postawionych tez. Czasem zapominałem o powściągliwości i wyrywało mi się jakieś własne pytanie. Tak było podczas dyskusji o życiu wiecznym.

– Skąd możemy wiedzieć, czy istnieje życie pozagrobowe? Skąd pewność, że zachowujemy więź z bliskimi, którzy od nas odeszli?

Twarze zgromadzone wokół stołu odwróciły się ku mnie z niepokojem.

– Bo tak jest napisane – mruknął reb Gershom Miller.

– Napisano wiele rzeczy, które nie są prawdą.

Reb Miller był wściekły, ale rabbi spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

– Daj spokój, Dovidel – powiedział. – Żądasz od Wszechmocnego, niech będzie błogosławiony, żeby podpisał z tobą kontrakt?

Po chwili wahania i ja przyłączyłem się do powszechnego śmiechu...

Pewnego wieczoru przy kolacji rozmawialiśmy o utajonych świętych, zwanych łamed wow.

– Tradycja głosi, że w każdym pokoleniu jest trzydziestu sześciu sprawiedliwych. Są to zwykli, pracujący w pocie czoła ludzie, których dobroci świat zawdzięcza swe dalsze istnienie.

– Trzydziestu sześciu, powiadasz. A czy łamed wownik może być kobietą? – zapytałem.

Dłoń rabina targnęła jego siwą brodę, jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

Przez otwarte drzwi od spiżarni zauważyłem, że Dvora przerwała pracę. Była zwrócona do nas plecami, lecz znieruchomiła jak posąg, nasłuchując.

– Myślę, że tak – rzekł rabin.

Dvora zaczęła się krzątać ze zdwojoną energią. Po chwili wniosła do kuchni sałatkę z łososia.

– A czy sprawiedliwą może być chrześcijanka?

Zadałem to pytanie cicho, ale wyczuli jego wagę w moim głosie i zrozumieli, że wypłynęło ono z bardzo osobistych pobudek. Wzrok Dvory lustrował moją twarz, gdy stawiała talerz na stole. Niebieskie oczy rabina były nieprzeniknione.

– A twoim zdaniem, jaka jest odpowiedź? – odparł.

– Oczywiście, że tak.

Skinął głową, bynajmniej nie zaskoczony, i uśmiechnął się do mnie lekko.

– Być może ty jesteś łamed wownik powiedział.

Zacząłem się budzić w środku nocy ze znajomym zapachem w nozdrzach. Przypomniałem sobie, że ten sam zapach czułem, kiedy wtulałem twarz w twoją szyję.

Roberta spojrzała na Davida i odwróciła wzrok. Milczał przez kilka chwil, zanim podjął:

– Miałem erotyczne sny o tobie i sperma tryskała z mego ciała. Częściej jednak pojawiała się tylko twoja roześmiana twarz. Czasami to, co widziałem, nie miało sensu. Śniłem, że siedzisz w kuchni Moscovitzów z uczniami rabina. Albo powozisz ośmiokonnym zaprzęgiem. Śniłaś mi się w długim, bezkształtnym chałacie, na piersiach miałaś haldusz, w pasie zawiązany fartuch i skromny biały czepiec na ciemnych włosach...

W jesziwie okazywano mi zawsze dobrą wolę, lecz niewiele szacunku. Wiedza tych ludzi była głębsza niż moja, a ich wiara – inna.

Prócz tego wiedzieli, że jestem pijakiem.

W niedzielę po południu rabbi połączył ślubem córkę Yossela Steina, Bashę, z Yehudą Nahmanem, najmłodszym ze swoich uczniów. Pan młody miał siedemnaście lat i od urodzenia traktowano go jak ilui, ósmy cud świata. Wesele odbyło się w stodole i wzięła w nim udział cała społeczność związana z jesziwą. Gdy para znalazła się pod baldachimem, biesiadnicy zaśpiewali namiętnie:

*Ten, który jest silny ponad wszystko,
Ten, który jest błogosławiony ponad wszystko,
Ten, który jest wielki ponad wszystko,
Niechaj błogosławi oblubieńca i oblubienicę.*

Później nalano sznapsa, ale nikt nie zaoferował mi kieliszka, tak jak nigdy nie nalewano mi wina podczas Oneg Szabat, końącego obrządek szabasowy. Odnosili się do mnie w życzliwie protekcyjnalny sposób spełniali swoje micwot, dobre uczynki, niczym brodaci skauci, którzy pomagają kalekom, aby zdobyć sprawności punktowane przy nadaniu ostatecznej nagrody.

Nadejście wiosny odczułem jak świeży ból. Byłem pewien, że moje życie ulegnie zmianie, lecz nie wiedziałem, jakiej. Przestałem się golić, zapuściłem brodę jak wszyscy wokoło. Przez krótki czas bawiłem się pomysłem, że mógłbym związać swoje życie z jesziwą, doszedłem jednak do wniosku, że różnię się od tych ludzi niewiele mniej niż od amiszów.

Obserwowałem, jak rolnicy zaczynają obrabiać odtajane pola. Ciężki, słodkawy odór gnoju unosił się w powietrzu.

Pewnego dnia zaczepiłem Simona Yodera. Był to gospodarz, który dzierżawił i uprawiał ziemię należącą do jesziwy, to jego klacz schwytałem owego dnia, kiedy przybyłem do Kidronu.

- Chciałbym się u pana zatrudnić powiedziałem.
- I co byś pan robił?
- Cokolwiek trzeba.
- Umie pan powozić?
- Końmi? Nie.

Yoder przyjrzał mi się z powątpiewaniem.

- Wie pan, że nasze stawki są niższe od minimalnych?

Wzruszyłem ramionami.

Yoder więc poddał mnie próbie wysłał mnie do gnojówki i przez cały dzień ładowałem łopatą koński nawóz na przyczepę. Byłem w siódmym niebie. Kiedy wieczorem wróciłem do pokoju, cuchnący i

obolały, Moscoyitzowie musieli sobie pomyśleć, że albo znów zacząłem pić, albo do reszty postradałem rozum.

Była to nienaturalnie ciepła wiosna, trochę zbyt sucha, choć wilgoci starczyło, by zapewnić przyzwoite zbiory. Rozrzucając nawóz na polach, Simon orał i bronował pięcioma końmi, a jego brat Hans prowadził pług zaprzężony w osiem wielkich zwierząt.

– Koń wytwarza nawóz i płodzi źrebięta – rzekł do mnie Simon. – Traktor nie daje nic prócz rachunków.

Nauczył mnie powozić.

– Całkiem nieźle sobie radzisz z jednym koniem. To najważniejsze. Zaprzęgasz je pojedynczo. Wyprzędasz też pojedynczo. A one już są przyuczone do pracy w zespole.

I tak zacząłem orać naroża pól parą koni. Sam, bez pomocy, obsiałem pole kukurydzy otaczające jesziwę. Kiedy szedłem za końmi, trzymając lejce, byłem świadom, że z wszystkich okien brodate, uczone twarze śledzą każdy mój ruch, jak gdybym był Marsjaninem.

Wkrótce po siewach przyszła pora na pierwsze sianokosy. Codziennie pracowałem w polu, wdychając woń wysiłku, mieszaninę końskiego nawozu, własnego potu i uderzającego do głowy aromatu wielkich połaci świeżo skoszonej trawy. Ogorzałem na słońcu, a moje ciało stopniowo wzmocniło się i okrzepło. Zapaściłem włosy i przestałem strzyć brodę. Czułem się jak Samson.

– Rabbi – zapytałem pewnego wieczoru przy kolacji – czy wierzysz, że Bóg jest rzeczywiście wszechpotężny?

Szczupłe białe palce zaczęły przebierać w długiej siwej brodzie.

– We wszystkich rzeczach z wyjątkiem jednej – rzekł w końcu – Bóg jest w każdym z nas.

Ale musimy mu pozwolić, by się w nas objawił.

Przez całe lato praca w polu sprawiała mi niekłamaną radość. Myślałem przy niej o tobie pozwalałem sobie na to, bo czułem, że znów staję się panem siebie. Zaczynałem żywić nieśmiałą nadzieję, lecz jako realista wiedziałem, że piję, bo brak mi odwagi. Przez całe życie uciekałem. Od grozy Wietnamu uciekłem w alkoholizm. Handel nieruchomościami pozwolił mi wykręcić się od rabinatu, po śmierci bliskich zaś chroniłem się w rynsztoku. Niewiele złudzeń miałem na swój temat.

Lato zbliżało się do końca, a we mnie wciąż rosło napięcie. Próbowałem je lekceważyć, czasem wręcz gorączkowo, ale w końcu nie mogłem dłużej zamykać na nie oczu. W najgorętszym dniu sierpnia pomogłem Yoderowi zwieźć resztę drugiego pokosu siana do stodoły, a potem pojechałem do Akron.

Sklep nadal był w tym samym miejscu; znalazłem go bez trudu. Kupiłem litr whisky Seagram's Seven Crown. W koszernej piekarni dostałem kichłach, a na żydowskim targu pół tuzina słoików marynowanych śledzi. Któreś wieczko musiało być nie dokręcone, bo nie ujechałem daleko, gdy samochód wypełnił się ostrą wonią ryb.

Poszedłem do jubлера i kupiłem jeszcze coś: pojedynczą perłę na delikatnym złotym łańcuszku. Wręczyłem wisiorek Dworze Moscovitz wraz z czekiem pokrywającym czynsz za miesiąc z góry. Ucałowała mnie w oba policzki.

Nazajutrz rano po modłach zaprosiłem zgromadzonych w minjan mężczyzn na poczęstunek. Uścisnąłem wszystkim dłonie.

Moscovitz odprowadził mnie do samochodu i podał mi paczkę kanapek z tuńczykiem i strucli, którą przygotowała dla mnie Dvora. Spodziewałem się bardziej symbolicznego gestu i staruszek mnie nie zawiódł.

– Niech Pan cię zachowa i błogosławi ci. Oby opromienił cię swoją łaską i zesłał ci spokój.

Podziękowałem mu i uruchomiłem silnik.

– Szalom, rabbi.

Miałem świadomość, że nareszcie zwyczajnie skądś odjeżdżam, nie uciekam. Tym razem mój samochód nie decydował za mnie; to ja wybierałem kierunek. Ruszyłem wprost do Massachusetts.

Kiedy po długiej opowieści David zamilkł, Roberta przyjrzała mu się uważnie.

– Czy mogę zostać? – spytał.

– Powinieneś zostać, przynajmniej na jakiś czas.

– To znaczy?

– Nie jestem w tej chwili pewna, co do ciebie czuję. Na razie chcę być z tobą. Jeśli uznamy, że powinniśmy się rozstać, to przynajmniej...

– Przynajmniej rozstaniemy się jak dorośli?

– Mniej więcej.

– Przemyśl to, Roberto, nie będę cię poganiał. Ja jestem zdecydowany. Mam nadzieję...

Dotknęła gładkiej, znajomej i zarazem obcej twarzy.

– Też mam taką nadzieję. Jesteś mi potrzebny, Davidzie. Jest mi potrzebny ktoś taki jak ty – uściśliła ku własnemu zdumieniu.

47 WSPÓŁMIESZKAŃCY

Tego wieczoru Roberta otwierając drzwi po powrocie z pracy poczuła wspaniały zapach piezzonego jagnięcia. Zaiste, nie ma potrzeby rozgłaszać, że David wrócił. Skoro był w sklepie, wie już o tym większość mieszkańców Woodfield.

Przygotował wspaniałe danie mięsowo, młode marchewki i młode ziemniaki zrumienione w sosie, kukurydza pieczona na blasze i placek z jagodami. Zostawiła mu naczynia do zmywania, sama zaś poszła do swojego pokoju i wyjęła pudełko z dolnej szuflady biurka. Kiedy mu je podała, wytarł unurzane w mydlinach ręce, wziął je i położył na kuchennym stole, jakby nie miał odwagi zajrzeć do środka. W końcu uniósł wieczko i wyjął gruby maszynopis.

– Tu jest wszystko – powiedziała.

Usiadł, przyjrzał się plikowi kartek, przewertował je.

– To bardzo dobra książka, Davidzie.

– Czytałaś ją?

– Tak. Jak mogłeś ją tak po prostu zostawić?

Pytanie było do tego stopnia absurdalne, że musiała się roześmiać. David umieścił je we właściwym kontekście.

– Ciebie też zostawiłem, nieprawdaż?

Różne były reakcje na wieść, że David wrócił i zamieszkał z Roberta. Peggy szczerze się ucieszyła. Toby życzyła jej wszystkiego najlepszego, ale w jej tonie przebijała rezerwa. Ojciec Toby pił i

Roberta czuła, że przyjaciółka martwi się, jaka przyszłość ją czeka u boku alkoholika.

Toby szybko zmieniła temat.

– Poczekałnia codziennie pęka w szwach, a ty siedzisz w pracy od rana do nocy.

– Ilu mamy teraz pacjentów, Toby?

– Tysiąc czterysta czterdziestu dwóch.

– Obawiam się, że będziemy musiały zamknąć listę na tysiącu pięciuset.

Toby skinęła głową.

– Z moich obliczeń też tak wynika. Problem, Roberto, polega na tym, że codziennie przybywa kilku nowych pacjentów. Czy zdobędziesz się na to, by odsyłać ich bez porady, kiedy przekroczysz limit?

Roberta westchnęła. Obie znały odpowiedź.

– Skąd głównie pochodzą ci nowi pacjenci? – zapytała.

Razem pochyliły się nad monitorem komputera i przewertowały mapę hrabstwa. Łatwo było dostrzec, że ściągała pacjentów z dalekich rubieży swego terytorium, głównie z miasteczek położonych na zachód od Woodfield, skąd do Greenfield lub Pittsfield było bardzo daleko.

– Potrzebny nam lekarz o, tutaj – Toby puknęła palcem w kółko, jakim zaznaczono na mapie miasteczko Bridgeton. – Miałyby... albo miałyby poprawiła się mnóstwo pacjentów. I znacznie ułatwiły ci życie, nie musiałabyś jeździć z wizytami na drugi koniec hrabstwa.

Roberta kiwnęła głową. Wieczorem porozumiała się telefonicznie z Gwen, która właśnie starała się zorganizować przeprowadzkę swojej rodziny przez trzy czwarte kontynentu. Dokładnie omówiły

populację pacjentów i za radą Gwen w ciągu następnych dwóch dni Roberta wysłała kilka listów do szpitali akademickich, wybierając te, w których szkolenie stażystów uwzględniało w sposób bardziej szczegółowy potrzeby rejonów wiejskich.

David przywiózł z Greenfield do domu komputer, drukarkę i składany stół do pracy, który rozstawił w gościnnym pokoju. Znów pisał. Odbił też trudną rozmowę z wydawnictwem. Obawiał się, że Elaine Cataldo, jego redaktorka, mogła zmienić pracę albo po prostu straciła zainteresowanie powieścią. Elaine jednak sama podeszła do telefonu, choć z początku rozmawiała z nim bardzo chłodno. Podała w wątpliwość jego wiarygodność, kiedy wszakże wszystko dokładnie wyjaśnił, wyznała, iż ona także przeżyła straszną tragedię osobistą. Nie ma innego wyjścia, powiedziała, trzeba żyć dalej. Powinien skończyć książkę, ona zaś znajdzie dla niej miejsce w terminarzu wydawniczym,

Dwanaście dni po powrocie Davida rozległo się skrobanie do frontowych drzwi. Aguna obesza go w koło, ocierała się o jego nogi jakby od nowa brała go w posiadanie, liznęła go nawet w twarz.

David pieścił ją długo. Kiedy w końcu postawił ją na podłodze, dokonała zwyczajowej inspekcji, po czym ułożyła się na dywaniku przed kominkiem, zasnęła i tym razem już nie uciekła.

Nagle wokół Roberty zrobiło się tłoczno. David chodził na zakupy i gotował obiady, zwoził drewno na opał i płacił rachunki za prąd. Oprócz tego był przy niej; nie wracała już po pracy do pustego domu.

Był to idealny układ.

48 SKAMIELINA

Gablerowie przyjechali w sobotę po wrześnieowym Świącie Pracy, wyczerpani i rozdrażnieni po trzech dniach jazdy samochodem. Dom, który kupili w Charlemont, został odnowiony i wysprzątny, ale furgon ze wszystkimi meblami zepsuł się po drodze w Illinois i miał dwa dni opóźnienia. Roberta nalegała, żeby na razie wprowadzili się do niej; przyniosła z wypożyczalni dwa dziecięce składane łóżka dla dzieci Gablerów – ośmioletniej Annie i sześcioletniego Juliana, nazywanego przez rodziców Julie.

David dołożył wszelkich starań, by zapewnić im rozkosze podniebienia. Natychmiast też dogadał się z Philem, z którym dzielił namiętność do sportów drużynowych.

Dzieci były urocze, lecz dzięki ich żywiołowej, hałaśliwej energii miało się wrażenie, że dom znacznie się skurczył. Już pierwszego ranka pomiędzy rodzeństwem wywiązała się głośna kłótnia, która wkrótce przerodziła się w bójkę. Julie beczał, bo siostra powiedziała mu, że ma „babskie” imię.

W końcu Phil i David zabrali je na ryby i obie kobiety po raz pierwszy zostały same.

– Wiesz, Annie ma rację – stwierdziła Roberta. – Zwracacie się do niego, jak gdyby był dziewczynką.

– I co z tego? – rzuciła ostro Gwen. – Zawsze go tak nazywaliśmy.

– A nie możecie nazywać go inaczej? Na przykład Julian. To całkiem przyzwoite imię, a malec dzięki temu będzie się czuł mężczyzną.

Roberta była pewna, że Gwen zaraz każe jej pilnować własnego nosa, ale przyjaciółka uśmiechnęła się do niej.

– Kochana, stara, niezawodna Roberta. Jak zawsze wszystko wie najlepiej. A propos, bardzo spodobał mi się David. Jak rokuje wasza wspólna przyszłość?

Roberta potrząsnęła głową.

– Akurat w tej kwestii nie wiem prawie nic.

David zasiadał do pisania wcześniej rano, przed wyjściem Roberty do pracy czasami nawet zanim wstała z łóżka. Pobyt w Kidron sprawił, że łatwiej mu teraz było oblec w żywe ciała postacie ludzi, zamieszkujących góry Massachusetts przed stu laty, opisać wieczory przy lampach naftowych i dni wypełnione pracą.

Wysiłek twórczy uprawiał go w stan napięcia, które mógł rozładować tylko pracą fizyczną. Codziennie po południu krzątał się po ogrodzie, zbierał owoce i letnie warzywa, wyrywał przywiędłe chwasty i wrzucał je do kompostnika.

Był wdzięczny Robercie za przechowanie uli i postanowił na nowo je zasiedlić. Przeznaczał na to każdą wolną chwilę.

– Straszny w nich bałagan – mawiał wesoło. – Tylko w dwóch ulach mieszkały zdrowe roje. Inne były osłabione przez choroby i pasożyty. David wciąż się rozglądał i kiedy widział pszczoły wlatujące do lasu, szedł za nimi, mając nadzieję sprowadzić z powrotem, choć część uciekinierek. Sklecił w stodole stół z nie malowanych desek i urządził tam pszczelą lecznicę. Zaczął wszystko od podstaw: opróżniał ule, czyścił je i odkażał (z dwóch wyrzucił mysie gniazda), owadom zaś podawał antybiotyki.

Zainteresował się losem swojej starej miodarki, słoików i nalepek.

– Poskładałam je w kącie stodoły twego dawnego domu – powiedziała mu Roberta.

W sobotę zatelefonował do Kennetha Dettingera. Dettinger zajrzał do stodoły i zameldował, że wszystko jest na swoim miejscu.

David pojechał do niego po rzeczy. zaproponował, że odkupi miodarkę i słoiki, ale Dettinger dał mu je za darmo, podobnie jak stary szyld i cały zapas około pięćdziesięciu słoików pełnych miodu.

– Mówi, że nie zamierza zajmować się pszczelarstwem. W zamian od czasu do czasu mam mu dać słoik miodu. Sympatyczny gość.

– To prawda – powiedziała Roberta.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym znów sprzedawał miód?

– Naturalnie, że nie – uśmiechnęła się.

– Musiałbym wywiesić szyld.

– Podoba mi się twój szyld.

Wyborował, więc dwie dziury w dolnej krawędzi wywieszki z nazwiskiem Roberty, wkręcił w nie śruby z oczkami i powiesił pod spodem swój szyld.

Teraz, gdy ktoś mijajął dom, był bombardowany informacją:

DOM NA SKRAJU

dr Roberta J.Cole

MIÓD

palce lizać!

Roberta coraz częściej myślała o przyszłości. David znów zaczął chodzić na spotkania Anonimowych Alkoholików. Pewnego wieczoru poszła razem z nim, usiadła pod niskim sklepieniem sali zebrań kościoła episkopalnego. Było tam około czterdziestu osób. Kiedy przyszła kolej Davida, wstał i zwrócił się twarzą do grupy.

– Nazywam się David Markus i jestem alkoholikiem. Mieszkam w Woodfield. Piszę książki – rzekł.

Nigdy się nie kłócili. Ich wzajemny stosunek był teraz pełen ciepła i Roberta nie miała się, czym martwić, gdyby nie pewna rzecz, której nie można było ot, tak, pominąć.

David nigdy nie rozmawiał z nią o Sarze.

Pewnego popołudnia, rozsadzając starą, zdrewniałą kępę rabarbaru, David podniósł coś, wszedł do domu i opłukał to nad kuchennym zlewem.

– Popatrz rzekł, sięgając po ścierkę.

– Och, Davidzie! Niesamowity!

Czerwonawy łupek miał kształt nieregularnego serca, lecz zgoła wyjątkowym czyniła go pancerna skamielina, wyraźnie odcisnięta prawie w samym środku.

– Co to jest?

– Nie wiem. Wygląda jak krab, prawda?

– W życiu nie widziałam takiego kraba – zaprotestowała. Odcisk miał niespełna trzy cale długości. Z szerokiej głowy sterczały puste oczodoły. Skorupa okrywająca ciało składała się z licznych segmentów ułożonych w trzy zakrzywione rzędy.

Sprawdzili w encyklopedii pod hasłem „skamieliny”. To chyba ten powiedziała Roberta, wskazując stworzenie, które według

encyklopedii było trylobitem, skorupiakiem żyjącym ponad dwieście dwadzieścia pięć milionów lat temu, gdy ciepłe, płytkie morze pokrywało prawie cały obszar dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Mały skorupiak zakończył żywot w mule. Nim jeszcze muł stwardniał w skałę, ciało uległo rozkładowi, pozostawiając odcisk twardego pancerzyka, który przeleżał ery i został odkryty pod krzakiem rabarbaru.

– Cóż za znalezisko, Davidzie! To chyba ideał serdecznego kamienia! Gdzie go postawimy?

– Chciałbym go zabrać i pokazać paru osobom.

– Dobry pomysł – zgodziła się.

Kamień przypomniał jej o czymś jeszcze. W porannej poczcie znalazła adresowane do Davida pismo z West Babylon w stanie Long Island. Nadawcą był zarząd cmentarza Bejt Moses. Roberta wyczytała w gazecie, że okres poprzedzający żydowskie Jom Kipur to tradycyjna pora odwiedzania cmentarzy.

– Może pojechalibyśmy oboje na grób Sary?

– Nie – uciął. – Jeszcze nie jestem gotów. Myślę, że to rozumiesz – rzekł, schował kamień i wyszedł do stodoły.

49 ZAPROSZENIA

– Halo?

– Robbie? Cześć, mówi Samantha.

– Jak się masz. Sam!

– Nadzwyczaj dobrze, dlatego właśnie dzwonię. Chciałabym się spotkać z tobą i Gwen. Mam dla was małą niespodziankę.

– Wychodzisz za mąż.

– Tylko nie zasypuj mnie teraz pytaniami, bo zaraz się okaże, że moja niespodzianka nie jest w stanie sprostać twoim oczekiwaniom. Musicie obie przyjechać do Worcester. Rozmawiałam już z Gwen po jej powrocie do Massachusetts. Mówi, że przyszlą sobotę masz wolną i że jeśli ty się wybierzesz, to ona też. No to jak?

Roberta zajrzała do notesu i stwierdziła, że sobotę nadal ma wolną, jeśli nie liczyć mnóstwa zaległych zajęć.

– Przyjedziemy.

– Świetnie. Wielka trójca znów razem. Nie mogę się doczekać.

– Jeśli nie ślub, to w takim razie awans. Profesura? Katedra patologii?

– Rob, nic się nie zmieniłaś. Nadal jesteś paskudnie upierdliwa. Na razie. Całuję.

– Ja ciebie też – powiedziała Roberta i ze śmiechem odłożyła słuchawkę.

Dwa dni później, wracając z pracy, przy Franklin Road napotkała Davida. Wyszedł jej na spotkanie; wiedział, że zawsze jeździ tą samą trasą.

Kiedy go zobaczyła, oddalił się już o dwie mile od domu. Roześmiała się, widząc, że wystawia kciuk niczym autostopowicz. Zatrzymała się i otworzyła drzwi.

Rozpromieniony wgramolił się do środka.

– Nie mogłem się doczekać, kiedy ci wreszcie powiem. Przez całe popołudnie gadałem przez telefon z Joe Fallonem. „Pokój Boży”

otrzymał dotację z fundacji Thomasa Blankenshipa. Kupa forsy, wystarczy na założenie i utrzymanie ośrodka w Colorado.

– Ależ Joe musi się cieszyć! Blankenship... czy to ten angielski wydawca?

– Nowozelandzki. Olbrzymia sieć gazet i czasopism. Cieszą się na pewno wszyscy pacyfiści. Joe zaprasza nas do Colorado za jakieś dwa miesiące.

– To znaczy?

– Możemy tam zamieszkać. Niewielka grupa ludzi zajmie się organizacją ekumenicznych konferencji pokojowych; będzie to stały personel ośrodka. Joe widzi wśród nich mnie i ciebie.

– Ale dlaczego mnie? Nie jestem teologiem.

– Twój wkład byłby bardzo cenny ze względu na inny, medyczny punkt widzenia, zdolność do analizy naukowej i prawnej. Poza tym Joe chce tam mieć lekarza, który dbałby o zdrowie pracowników i gości. Nadal wykonywałabyś swój zawód.

Skręcając w Laurel Hill Road, Roberta potrząsnęła głową. Nie musiała ubierać tego w słowa.

– Wiem – rzekł. – Pracujesz tutaj i tu chcesz pozostać. – Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. – To ciekawa oferta i pewnie dałbym się namówić. Ale skoro ty wolisz mieszkać tutaj, ja chcę być z tobą.

Kiedy jednak rano obudziła się, już go nie było. Na kuchennym stole leżała zabazgrana kartka.

Roberta!

Muszę załatwić parę spraw. Wrócę za dwa lub trzy dni.

Całuję.

Przynajmniej tym razem zostawił wiadomość pomyślała.

50 WIELKA TRÓJKA

Samantha zeszła do holu natychmiast, gdy tylko recepcjonistka zadzwoniła do niej z wieścią, że Roberta i Gwen już przyjechały. Sukces otoczył ją aurą spokojnej godności. Jej czarne włosy, przycięte krótko, by podkreślić piękny kształt głowy, ożywiało grube białe pasmo tuż nad prawym uchem. Niegdyś Gwen i Roberta posądzały Samanthę, że dla efektu pomaga naturze, posługując się utleniaczem. Tak jednak nie było. Samantha zawsze umiała akceptować to, czym los ją obdarzył, i wyciągnąć z tego maksimum pożytku.

Ścisnęła je radośnie, to jedną, to znów drugą.

Zaplanowała dla nich lunch w szpitalu, potem zwiedzanie całego ośrodka, obiad w znakomitej restauracji i nocne pogaduszki w jej mieszkaniu. Miały zatrzymać się u niej i dopiero rano wracać w góry Berkshire.

Gdy siadły przy stoliku, Roberta zmierzyła Samanthę iście prokuratorskim spojrzeniem.

– Dobra, skarbie – powiedziała. – Zdradź nam nowiny, dla których tłułyśmy się tu dwie godziny samochodem.

– Nowiny – powtórzyła spokojnie Samantha. – Cóż, oto nowina: zaproponowano mi stanowisko naczelnego patologa w tutejszym zespole klinik.

– O rany! – westchnęła Gwen.

– Tak czułam – powiedziała Roberta, nachylając się, by złożyć Samancie gratulacje.

– Nastąpi to dopiero za osiemnaście miesięcy, kiedy Carroll Hemingway, obecny szef, przeniesie się do Kalifornii. Jednakże ofertę dostałam już teraz i przyjąłem ją, bo zawsze o tym marzyłam.

Samantha uśmiechnęła się.

– Ale – dodała – to jeszcze nie wszystko.

Obróciła prosty złoty pierścionek, który miała na trzecim palcu lewej ręki, żeby pokazać kamień. Błękitny brylant nie był wielki, ale miał piękny szlif. Roberta i Gwen znów rzuciły się jej na szyję.

W życiu Samanthy było kilku mężczyzn, ale dotąd nie wyszła za mąż. Skoro jednak już wspięła się na szczyty zawodowej kariery, cieszyły się, że ma kogoś, z kim prywatnie będzie mogła dzielić swą radość.

– Niech zgadnę – powiedziała Gwen. – Założę się, że to medyk. Profesor zwyczajny takiej czy innej „-logii”

Roberta pokręciła głową

– Nawet nie śmiem zgadywać. Opowiedz nam o nim.

– Sam wam opowie. Ma do nas dołączyć przy deserze.

Dana Carter okazał się wysokim, białowłosym, bardzo szczupłym i wysportowanym mężczyzną o skórze koloru kawy i oczach młodzieńca.

– Mam okropną tremę – oznajmił. – Sammie powiedziała mi, że spotkanie z jej rodziną z Arkansas to betka, ale egzamin zdam

dopiero wtedy, kiedy przypadnę do gustu wam.

Był szefem kadr w firmie ubezpieczeniowej, wdowcem z dorosłą córką, studentką pierwszego roku Brandeis University. Miał poczucie humoru i mnóstwo wewnętrznego ciepła. Podbił je od razu; był tak zakochany w Samancie, że nawet jej najbliższe przyjaciółki nie mogły mu niczego zarzucić.

Po jakimś czasie pożegnał się, one zaś spędziły następną godzinę dowiadując się szczegółów jego życiorysu – urodził się na Wyspach Bahama, ale wychował w Cleveland – i powtarzając Samancie, jakie to szczęście, że ma Danę, i jakie szczęście ma Dana, że ma ją.

Istotnie wyglądała na bardzo szczęśliwą, kiedy oprowadzała je po ośrodku. Pokazała im swój wydział, potem centrum chirurgii urazowej i lądowisko śmigłowców, aktualizowaną na bieżąco bibliotekę, laboratoria i sale wykładowe.

Roberta zastanawiała się w duchu, czy zazdrości przyjaciółce sukcesu i władzy. To, co przepowiadano czarnoskórej studentce, spełniło się co do joty. Widać było szacunek, z jakim zwracali się do Samantha pracownicy ośrodka, z jakim słuchali jej poleceń i odchodzili, by je wykonać.

– Myślę, dziewczyny, że powinnyście przyjechać tu do pracy. To jedyny duży szpital akademicki w tym stanie, który ma wydział medycyny rodzinnej – powiedziała Samantha do Roberty. – Czy nie byłoby fajnie dodała w zadumie gdybyśmy wszystkie trzy mogły pracować w tym samym budynku, widywać się codziennie? Mogłybyście tu znaleźć bardzo dobre posady.

– Ja już mam dobrą posadę – rzuciła dość sucho Roberta, uczulona na każdą protekcyjną nutkę. Nieodmiennie ją drażniło, że ludzie w najlepszych intencjach wciąż próbują dyrygować jej życiem.

– E tam – skrzywiła się Samantha. – Cóż takiego jest w tych górach, czego byś nie mogła mieć tutaj? I nie wciskaj mi kitu o świeżym powietrzu i poczuciu wspólnoty. Mamy tu czym oddychać, a w swoim środowisku jestem równie aktywna, jak ty w swoim. Obie jesteście lekarkami najwyższej klasy i powinnyście współtworzyć medycynę jutra. Ten szpital to awangarda wszelkich nauk medycznych. Co cię tak pociąga w tym stojącym bajorku?

Roberta z uśmiechem pozwoliła jej się wygadać. Nie miała ochoty na sprzeczkę.

– Uwielbiam pracę lekarza na prowincji – powiedziała spokojnie.

– Muszę stwierdzić, że ją rozumiem – dodała Gwen. Mnie też zaczynają urzekać te góry.

– Powiem wam coś: macie mnóstwo czasu, żeby zastanowić się nad odpowiedzią – oświadczyła nieco wyniośle Samantha. – Jeżeli zdoła pani wyjaśnić ten fenomen, proszę dać mi znać, dobrze, doktor Cole?

Roberta uśmiechnęła się.

– Z przyjemnością spełnię każde pani życzenie, droga profesor Potter – odparła z ukłonem.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Roberta skręcając w swój podjazd nazajutrz rano, był wóz patrolowy policji stanowej, zaparkowany obok jej garażu.

– Pani doktor Cole?

– Tak. Co się stało?

– Dzień dobry pani. Jestem posterunkowy Burrows. Nic takiego po prostu mieliśmy tu wczoraj drobny problem. Mack prosił nas, żebyśmy go wezwali, kiedy pani wróci.

Nachylił się do wewnątrz wozu i połączył przez radio z McCourtneyem.

– Jaki problem?

Jak się okazało, tuż po osiemnastej McCourtney, przejeżdżając obok pustego domu, zauważył starego dostawczego dodge'a na trawniku przed stodołą. Kiedy podjechał bliżej, zastał za domem Roberty trzech obcych mężczyzn.

– Włamanie?

– Nie, proszę pani. Nie zdążyli nic zrobić. Wygląda na to, że szef pojawił się we właściwej chwili. W furgonetce jednak znaleziono tuzin puszek pełnych nafty i materiały pozwalające na skonstruowanie zapalnika z opóźnionym zapłonem.

– Boże drogi;

Dziesiątki pytań cisnęły jej się na usta, lecz posterunkowy niewiele mógł jej wyjaśnić.

– Mack wie na ten temat o wiele więcej ode mnie. Będzie tu za parę minut.

Istotnie, pojawił się, zanim jeszcze Roberta zdążyła się rozpakować. Usiedli w kuchni.

McCourtney poinformował ją, że aresztował tych mężczyzn i przetrzymał ich przez noc w ciasnej, podobnej do lochu celi w piwnicach ratusza.

– Nadal tam siedzą?

– Nie, pani doktor. Nie mogłem ich oskarżyć o próbę podpalenia. Chemikalia znajdowały się w wozie. Faceci twierdzą, że jechali wypalać zarośla, a przed pani domem zatrzymali się po to, żeby spytać o drogę do Shelburne Falls.

– Czy to może być prawda?

McCourtney westchnął.

– Obawiam się, że nie. Po co wjeżdżaliby aż na trawnik, jeśli chcieli tylko zapytać o drogę? Owszem, mieli dokument, stanowiący alibi, ale było to zezwolenie na wypalanie traw w Dalton, po drugiej stronie gór, w hrabstwie Berkshire. Dość daleko stąd. Poza tym, ich nazwiska znajdują się na liście znanych aktywistów ruchu przeciw aborcji. Listę taką prowadzi biuro prokuratora generalnego.

– Aha.

Mack skinął głową.

– Właśnie. Tablice rejestracyjne furgonetki były kradzione; właściciela wezwano do złożenia wyjaśnień w Greenfield. Natychmiast pojawił się ktoś z pieniędzmi na kaucję.

Mack miał ich nazwiska i adresy; pokazał Robercie polaroidowe zdjęcia, które zrobił im w areszcie.

– Czy twarze tych gości wydają się pani znajome?

Być może jeden z nich, tęgi i brodaty, jechał za nią wtedy ze Springfield. Nie była pewna.

– Trudno mi powiedzieć...

McCourtney, zwykle szarmancki fanatyk respektowania cywilnych praw obywateli, pozwolił sobie wykroczyć poza zakres swych obowiązków, jak nadmienił, „w sposób, który kosztowałby go utratę stanowiska, gdyby to się rozniosło.” Kiedy trzech mężczyzn siedzieli w areszcie, powiedział im spokojnie i dobitnie, że jeżeli którykolwiek z nich lub ich przyjaciół będzie ponownie nękał doktor Cole, on osobiście gwarantuje mu połamane kości i trwałe kalectwo.

– Przynajmniej spędzili tę jedną noc w pudle. To naprawdę niezbyt miłe miejsce – dodał z satysfakcją, wstał i niezdarnie poklepał ją po ramieniu, po czym wyszedł.

David wrócił nazajutrz. Przywitali się ze skrzępowaniem, ale kiedy opowiedziała mu, co zaszło, objął ją ramionami. Chciał sam pomówić z Mackiem, udali się, więc razem do ratusza.

– Jak możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo? – spytał go David.

– Ma pan broń?

– Nie.

– Można kupić. Pomógłbym panu zdobyć pozwolenie. Był pan w Wietnamie, prawda?

– Jako kapelan.

– Racja – westchnął McCartney. – Będziemy uważać na pani dom, Roberto.

– Dzięki, Mack.

– Ale to za mało – dodał. – Patrolujemy dosyć spory obszar.

Nazajutrz elektrycy założyli silne reflektory na wszystkich czterech ścianach domu. Czujniki na podczerwień włączały światła, ilekroć w promieniu czterdziestu stóp znalazł się człowiek lub samochód. Roberta wezwała firmę zakładającą systemy alarmowe i ekipa przez cały dzień montowała instalację, która uruchamiała brzęczyk, gdy ktoś niepowołany otworzył drzwi wejściowe, a także – poprzez czujniki ciepła i ruchu, – gdy udało mu się wejść do środka. System automatycznie alarmował policję i straż pożarną.

Nieco ponad tydzień po zainstalowaniu całej tej elektroniki Barbara Eustis przyjęła do kliniki w Springfield dwóch

pełnoetatowych lekarzy i Roberta nie była już tam niezbędna.

Odzyskała swoje wolne czwartki.

Po kilku dniach oboje z Davidem przestali włączać system alarmowy. Wiedziała, że protestujący zostawią ją w spokoju; zdobędą adresy nowych lekarzy i skupią się na nich. Uwolniła się od koszmaru, choć czasami trudno jej było w to uwierzyć. Męczył ją ciągle sen, w którym David nie wracał może znów ją rzucił a trzech mężczyzn czaiło się, by ją zabić. Kiedy budził ją ów sen albo artretyczne jęki, jakie wydawał na wietrze stary dom, sięgała do tablicy rozdzielczej przy łóżku i przyciskała guzik, który napełniał elektroniczną fosę i wysyłał smoki na zwiad. Potem ukradkiem przesuwiała dłonią po kołdrze, by upewnić się, czy to tylko sen, czy David wciąż tu jest.

51 ODPOWIEDŹ NA PYTANIE

Kiedy Roberta pisała do naczelnych lekarzy wybranych szpitali, informując ich o możliwości uruchomienia nowej prywatnej praktyki w górach Berkshire, podkreślała piękno okolicy, będącej rajem dla wędkarzy i myśliwych. Nie oczekiwała zalewu odpowiedzi, ale miała nadzieję, że zgłosi się paru chętnych.

Z zadowoleniem więc odebrała telefon od niejakiego Petera Gerome'a, który jak stwierdził odbył staż podyplomowy w New England Medical Center, a następnie poszerzoną praktykę w

zakresie medycyny rodzinnej, prowadzoną przez ośrodek uniwersytecki.

– Obecnie pracuję w pogotowiu ratunkowym i równocześnie rozglądam się za wiejską praktyką – rzekł. – Czy moglibyśmy z żoną panią odwiedzić?

– Kiedy tylko zechcecie – powiedziała Roberta.

Ustalili datę wizyty i tego samego popołudnia przesłała mu mapkę dojazdu do jej gabinetu, posługując się swoim najnowszym nabytkiem faksem, dzięki któremu mogła otrzymywać wiadomości i dane chorobowe pacjentów od szpitali i innych lekarzy.

Prawdę mówiąc, spotkanie to spędzało jej sen z powiek.

– Nie wiem, czy nie oczekuję zbyt wiele, sądząc, że jedyny respondent, jakiego dotąd mamy, będzie się do czegośkolwiek nadawał – powiedziała do Gwen, niespokojna, czy uda jej się w atrakcyjny sposób przedstawić ofertę. Przynajmniej na krajobraz nie będą narzekać. Liście zaczęły już żółknąć i czerwienieć.

Ale, jak to czasami zdarza się jesienią, na dzień przed przyjazdem Gerome'a i jego żony w całej Nowej Anglii spadły ulewne deszcze. Strugi wody bębniły w dach przez całą noc i kiedy nastał dżdżysty poranek, Roberta nie była zaskoczona widząc, że większość kolorowego listowia została odarta z drzew.

Państwo Gerome okazali się sympatyczną parą. Peter miał posturę niedźwiedzia, okrągłą twarz o łagodnych piwnych oczach za grubymi szklami i niemal popielate włosy, które ciągle odgarniał, bo spadały mu na lewe oko. Jego żona, Estelle, którą przedstawił jako Estie, była atrakcyjną brunetką o pełnych kształtach, a zarazem licencjonowanym technikiem anestezjologiem. Pod względem

temperamentu przypominała męża; jej spokojne, pogodne usposobienie od razu ujęło Robertę.

Przyjechali w czwartek. Zabrała ich na spotkanie z Gwen, a potem obwiozła po całej zachodniej części hrabstwa; pokazała im też szpitale w Greenfield i Northampton.

– I jak poszło? – zapytała ją wieczorem przez telefon Gwen.

– Trudno mi powiedzieć. Chyba raczej nie szaleli z zachwytu.

– Nie sądzę, by w ogóle zdarzało im się szaleć. To myśliciele – stwierdziła Gwen.

Spodobało im się jednak na, tyle, że wrócili tym razem na cztery dni. Roberta chętnie zaprosiłaby ich do siebie, ale pokój gościnny został zamieniony na pracownię pisarską. Fragmenty maszynopisu zaścielały podłogę, David zaś pracował gorączkowo, żeby skończyć książkę. Gwen nie zdążyła jeszcze urządzić domu, państwo Gerome wynajęli więc pokój ze śniadaniem na Main Street, dwie przecznice od gabinetu Roberty. Za to wraz z Gwen na zmianę podejmowały ich obiadem.

Roberta przyłapała się na tym, iż z nadzieją myśli o Gerome'ach. Oboje byli gruntownie wykształceni, posiadali już pewien staż, zadawali rozsądne, praktyczne pytania, kiedy omawiała z nimi plany nieformalnej spółdzielni lekarskiej, jaką ona i Gwen planowały zorganizować w Berkshire.

Państwo Gerome przez cztery dni jeździli po okręgu, zatrzymując się na pogawędki w ratuszach, sklepach i remizach strażackich. Popołudnie czwartego dnia było chłodne i pochmurne, lecz Roberta zabrała ich na spacer leśnym szlakiem. Peter z zachwytem przyglądał się rzece Catamount.

– Powinny tu być pstrągi – zauważył.

- Są, i to sporo – uśmiechnęła się Roberta.
- I można je łowić?
- Oczywiście, że tak – Roberta poczuła radosny dreszczyk.
- To chyba ostatecznie przesądza sprawę – oświadczyła Estie Gerome.

W chłodnym, ołowianym powietrzu wisały zmiany i nie dotyczyły one tylko pory roku.

Toby była dopiero w piątym miesiącu ciąży, ale kończyła pracę u Roberty. Planowała poświęcić miesiąc na przygotowania do porodu, a przy okazji pomóc Peterowi Gerome znaleźć i urządzić gabinet. Potem miała objąć funkcję kierownika ekonomicznego nowo powstałej Spółdzielni Lekarzy Gór Berkshire i, dzieląc czas pomiędzy Robertę, Petera i Gwen, zająć się wszystkimi rachunkami, zaopatrzeniem i trzema księgami podatkowymi.

Toby sama znalazła swoją następczynię, Roberta zaś bez dyskusji zatrudniła ją, wiedząc, że przyjaciółka świetnie zna się na ludziach. Poznała Mary Wilson już wcześniej, gdyż była ona członkinią miejskiej komisji planistycznej, w której Roberta załatwiała formalności związane z remontem gabinetu. Zapowiadała się na dobrą recepcjonistkę, lecz Roberta czuła, że będzie jej brakować codziennych rozmów z Toby. Dla uczczenia awansu Roberta i Gwen zaprosiły Toby na obiad do gospody w Deerfield.

Spotkały się po pracy. Toby nie mogła pić z powodu ciąży, ale wszystkie trzy szybko wprawiły się w dobry humor bez pomocy wina, wznosząc toasty za zdrowie dziecka i sukcesy na nowym stanowisku sokiem żurawinowym. Roberta była głęboko wzruszona

i świetnie się bawiła w towarzystwie obu swych najbliższych przyjaciółek.

W drodze powrotnej zaczął padać deszcz. Nim odwiozła Toby, lało już jak z cebra. Ruszyła powoli, próbując coś dojrzeć spoza wycieraczek.

Skupiona na prowadzeniu, minęła dom Gregory'ego Hinton, kiedy dotarło do niej, że w oborze pali się światło. Przez otwarte drzwi dostrzegła siedzącą wewnątrz postać.

Droga była śliska, nie próbowała, więc gwałtownie hamować, lecz zwolniła, skręciła w wyboistą drogę prowadzącą na pastwisko Hintonów i tam nawróciła. Gregory nadal przyjmował naświetlania i leki, stracił włosy i cierpiał z powodu ubocznych efektów terapii. Nie zaszkodzi, jeśli się przywitam – pomyślała.

Podjechała prosto pod drzwi obory i wbiegła do środka, chroniąc się przed deszczem. Słyszając trzaśnięcie drzwi jej samochodu, Hinton obrócił się. Siedział na składanym krześle obok jednego z boksów, ubrany w dres; wyłysiałą czaszkę nakrył czapczką z reklamą nawozów sztucznych.

– Rany, co za pogoda. Witaj, Greg! Jak się czujesz?

– Nawet nie pytaj – pokręcił głową. – Niedobrze mi i bez przerwy biegam do toalety. Jestem słaby jak niemowlę.

– To najgorszy etap. Później poczujesz się o wiele lepiej. Wiesz, że nie mamy wyboru. Musimy zatrzymać rozwój guza mózgu. Zmniejszyć go, jeżeli nam się uda.

– Przeklęta choroba – Greg wskazał jej drugie metalowe składane krzesło, stojące w głębi obory. – Siądziesz na chwilę?

– Chętnie. – Poszła po krzesło. Nigdy dotąd nie była w jego wielkiej niczym hangar oborze. Panował w niej ciepły półmrok;

krowy stały w boksach po obu stronach. Wysoko pod olbrzymim dachem coś zatrzepotało, spikowało w dół i znów wzleciało z łopotem. Hinton spojrzął za jej wzrokiem.

– To tylko nietoperz – wyjaśnił. – Trzymają się tam, w górze.

– Niesamowite miejsce – powiedziała.

Skinął głową.

– Właściwie zrobiona jest z dwóch starych obór. Ta część stała tu, gdzie stoi. Drugą przyciągnięto wołami mniej więcej sto lat temu. Zawsze planowałem tu zainstalować taką nowoczesną elektryczną dojarkę, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Stacia i ja doimy krowy po staremu, uwiązane do belki, żeby nas nie stratowały.

Przymknął oczy. Roberta wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni.

– Myślisz, że kiedykolwiek znajdą na to lekarstwo? – spytał.

– Myślę, że tak, Greg. Genetycy opracowują nowe leki na wiele chorób, w tym na różne odmiany raka. Następne kilka lat może wiele zmienić. To będzie już inny świat.

Oczy Grega otwarły się i utkwiliły w niej.

– Ile lat?

Duża czarno-biała krowa w najbliższym boksie wydała nagle cichy żałosny ryk. Roberta drgnęła. A któż może wiedzieć, ile lat to potrwa? – pomyślała. Nakazała sobie spokój.

– Och, Greg, nie wiem. Może pięć? To tylko przypuszczenie.

Obdarzył ją gorzkim, ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– No cóż, to w zasadzie obojętne. Ja już nie zobaczę tego nowego świata, prawda?

– Nie wiem. Wielu ludzi latami żyje z rakiem. Myślę, że najważniejsze jest, abyś wierzył naprawdę wierzył że i ty będziesz

żył. Wiem, że jesteś religijny, na pewno nie zaszkodzi, jeśli czasem się pomodlisz.

– Czy mogę cię prosić o przysługę, Roberto?

– Jaką?

– Ty też czasem się za mnie pomódl.

O rany, człowieku, pomyliłeś adres – pomyślała. Uśmiechnęła się:

– Cóż, to na pewno także nie zaszkodzi.

Krowa znów ryknęła. Odpowiedziało jej zwierzę w drugim końcu obory, potem inne.

– A w ogóle, czemu siedzisz tu sam po nocy?

– Widzisz, ta mała próbuje się ocielić i ma kłopoty – rzekł, wskazując ruchem brody krowę w najbliższym boksie. – To jałowica. Wiesz, taka która jeszcze nie rodziła.

– Pierwiastka – kiwnęła głową Roberta.

– Ano. Jest ciasna i cielak ugrzął w środku. W całym okręgu już tylko dwóch weterynarzy zajmuje się bydłem. Dzwoniłem do nich. Hal Dominie leży z ciężką gripą, a Lincoln Foster jest w tej chwili na południu hrabstwa i ma jeszcze do obskoczenia dwie albo trzy farmy. Powiedział, że postara się dotrzeć tu przed jedenastą.

Krowa ryknęła ponownie i z trudem podniosła się na nogi.

– Cicho, cicho Zsa-Zsa.

– Ile macie krów?

– W tej chwili siedemdziesiąt siedem. Z tego czterdzieści dwie mleczne.

– Pamiętasz ich imiona?

– Tylko tych, które są zarejestrowane. Na metryczkach trzeba wpisywać imiona. Pozostałe mają numery wymalowane na boku,

ale ta na przykład nazywa się Zsa-Zsa.

Holsztyńska znów osunęła się na ziemię, przewróciła się na prawy bok i wyprężyła nogi.

– Kurwa mać! Przepraszam – zreflektował się Greg. – Jeśli się tak pokłada, to niewiele jej zostało. Za cholerę nie dotrwa aż do jedenastej. Próbuje urodzić już od pięciu godzin.

Westchnął.

– Sporo w nią zainwestowałem – rzekł z goryczą. – Taka krowa daje od osiemdziesięciu do stu funtów mleka dziennie, I cielak też byłby coś wart. Zapłaciłem sto dolców za nasienie od medalowego byka.

Krowa jęknęła i zadygotała.

– Można jej jakoś pomóc? – zapytała Roberta.

– Nie. Ja nie mam sił, a Stacia odwała prawie całe dojenie i pada z nóg. Nie jest już taka młoda. Przez dwie godziny szarpała się z tym bydlęciem i nie dała rady, musiała iść się położyć.

Krowa ryknęła z bólu, wspięła się na nogi i z powrotem upadła na brzuch.

– Niech no spojrzę. – Roberta zdjęła włoską skórzaną kurtkę i położyła ją na beli siana. – Może mnie kopnąć?

– Mało prawdopodobne, żeby jej się chciało – odrzekł kwaśno Hinton.

Roberta podeszła bliżej i przykucnęła w trocinach za krowim zadem. Był to dziwny widok. odbył niczym wielkie, okrągłe oko ponad olbrzymią bydlęcą pochwą, w której widniało jedno żałosne kopytko i podłużny, obwisły czerwony flak.

– Co to jest?

– Jęzor. Głowa cielęcia jest tuż za nim, ale jej nie widać. Ot, złośliwe bestie: przeważnie rodzą się pokazując nam język.

– Co go trzyma?

– Przy normalnym porodzie wychodzą naprzód dwie przednie nogi, a dopiero potem głowa wiesz, tak, jak nurek skacząc do wody wyciąga przed siebie ręce. Ten tu wystawił lewą nogę, ale prawa jest zgięta gdzieś w środku. I teraz weterynarz musi wepchnąć głowę z powrotem do pochwy i wsadzić tam rękę, żeby sprawdzić, co jest nie tak.

– Może ja spróbuję? – Hinton potrząsnął głową.

– Trzeba mieć do tego sporo siły.

Roberta patrzyła, jak krowa dygocze.

– Nie zaszkodzi spróbować. Jeszcze żadnej krowy nie udało mi się wyprawić na tamten świat – rzuciła lekko, ale żart minął się z celem. Hinton nawet się nie uśmiechnął. – Używacie jakiegoś smarowidła?

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Nie, po prostu umyj rękę aż po ramię i zostaw na niej dużo mydlin – powiedział, prowadząc ją do zlewu.

Podwinęła wysoko oba rękawy bluzki i wyszorowała się w zimnej wodzie za pomocą grubego, poplamionego kawałka szarego mydła, które leżało na zlewie.

– Spokojnie, Zsa-Zsa – powiedziała i zrobiło jej się trochę głupio, że przemawia do krowiego zadu.

Kiedy palce Roberty, a potem cała dłoń zaczęła penetrować ciepłą, wilgotną pochwę, krowa zadarła ogon, wyprostowany i sztywny jak pogrzebacz.

Głowa cielaka rzeczywiście znajdowała się tuż-tuż, ale Roberta nie mogła jej ruszyć.

Kiedy spojrzała na Grega, zauważyła, że obok zmartwienia w jego oczach maluje się wyraźne: „A nie mówiłem?”. Zacerpnęła tchu i wparła dłoń z całej siły, jakby próbowała utopić dobrego pływaka w gęstej jak ołów wodzie. Głowa powoli zaczęła się cofać.

Korzystając z wolnego miejsca, Roberta wepchnęła rękę najpierw po nadgarstek, potem do połowy przedramienia i wtedy jej palce natrafiły na coś jeszcze.

– Czuję... to chyba jego kolano.

– Najprawdopodobniej. Zobacz, czy możesz sięgnąć poza nie i wyciągnąć do przodu kopytko.

Wcisnęła ramię głębiej, lecz nagle poczuła jakiś kosmiczny dreszcz, podobny do małego trzęsienia ziemi, a potem toczącą się nawałnicę mięśni i tkanek, która po prostu wypluła jej ramię z pochwy z takim impetem, że Roberta zatoczyła się do tyłu.

– Co, u licha... – szepnęła, ale i bez wyjaśnień Grega wie działa, że był to skurcz pochwowy o sile, z jaką jeszcze się nie ze tknęła.

Musiała ponownie namydlić ramię. Kilka minut straciła na eksperymenty, zanim pojęła, z czym ma do czynienia. Skurcze rozpoczynały się co minutę i trwały około czterdziestu pięciu sekund, co pozostawiało jej zaledwie piętnastosekundowe okienko, w którym mogła coś zdziałać.

Gdy tylko skurcz ustąpił, wepchnęła ramię głęboko wzdłuż przedniej nogi cielęcia.

– Czuję coś twardego, to chyba kość łonowa – powiedziała. A potem: – Mam kopytko, zahaczyło o kość.

Sztywny ogon miotnął się, chyba z bólu, i uderzył Robertę w usta. Plując, złapała go lewą ręką i przytrzymała. Ostrzeżona przez pierwsze drgawki, miała akurat tyle czasu, by złapać kopytko i

przytrzymać je, kiedy mięśnie pochwy naparły na jej rękę od palców aż po bark. Po chwili nacisk stał się za silny, by ręka mogła się wysliznąć. Jej przegub został wgnieciony w miednicę krowy. Syknęła z bólu, ale ramię szybko jej zdrętwiało; zamknęła oczy i wparła czoło w wilgotny zad. Została więźniem, przykutym do zwierzęcia. Zrobiło jej się słabo; poczuła nagłą, straszliwą pewność, że Zsa-Zsa umrze i będą musieli rozcinać zwłoki, żeby ją uwolnić.

Nie zauważyła, kiedy Stacia Hinton weszła do obory, ale po chwyciła pełen irytacji okrzyk: „A cóż ta dziewczyna wyrabia?” i niedosłyszalny szmer odpowiedzi Grega.

Czuła zapach gnoju, odór ciepłych wnętrzności i zwierzęcy smród własnego potu i strachu. Po chwili skurcz ustąpił.

Odebrała dość ludzkich porodów, by wiedzieć, co trzeba zrobić; wycofała odrętwiałą rękę aż do kolana cielęcia i wepchnęła je głębiej. Wtedy była w stanie sięgnąć poza nie. Namacała kopytko, walcząc z paniką, naglącą do pośpiechu, bo nie chciała, by następny skurcz znów złapał ją w pochwie.

Ostrożnie złapała kopytko, przeciągnęła je ku ujściu pochwy i na zewnątrz, gdzie było jego miejsce.

– Hura! – szepnął zachwycony Greg.

– Zuch dziewczyna! – zawołała Stacia.

Przy następnym skurczu ukazała się głowa cielęcia. „Cześć, mały” powitała go w duchu oczarowana Roberta. Na tym jednakże skończyła się cała radość. Cielak uwiązał w pochwie jak korek w butelce.

– Gdybyśmy mieli wyciągarkę... – westchnęła Stacia Hinton.

– Zwiążcie razem kopyta – poleciała Roberta, biegnąc do samochodu. Zwolniła hak i wciągnęła linę do obory,

Dalsza część porodu przebiegła bez trudu, co, jak stwierdziła potem Roberta, stanowiło ważki argument na korzyść postępu technicznego.

– Byczek – poinformował ją zwięźle Hinton.

Roberta usiadła na ziemi i patrzyła, jak Stacia wyciera śluz i resztki owodni z nozdry małego byczka.

Podprowadzili go do pyska krowy, ale Zsa-Zsa była tak wyczerpana, że ledwie zipała. Greg zaczął, więc rozcierać pierś noworodka garściami suchego siana.

– To zmusza płuca do podjęcia pracy, dlatego krowa zawsze wylizuje cielę szorstkim jęzorem. Mama tego malca jest zanadto zmęczona, żeby polizać choćby znaczek pocztowy.

– Wyżyje? – spytała Roberta.

– Pewnie, że tak – powiedziała Stacia. – Zaraz przyniosę jej wiadro ciepłej wody, to jej pomoże pozbyć się łożyska.

Roberta podniosła się z ziemi i podeszła do zlewu. Umyła ręce, ale jasne było, że nie zdoła się tutaj doprowadzić do porządku.

– Masz trochę... eee, nawozu we włosach – zauważył delikatnie Greg.

– Nie dotykaj ich, kochanie, bo się rozmaże – dodała Stacia.

Roberta zwinęła linkę wyciągarki i niosąc skórzaną kurtkę w wyciągniętej ręce umieściła ją na tylnym siedzeniu, jak najdalej od siebie.

– Dobranoc – powiedziała.

Ledwie słyszała ich podziękowania. Pojechała do domu starając się w miarę możliwości nie dotykać tapicerki.

Rozebrała się w kuchni.

Rękawy i przód bluzki miała usmarowane krwią, śluzem, mydłem, gnojem i wodami płodowymi. Wzdrygnęła się, zwinęła bluzkę i wrzuciła ją do śmieci.

Długo stała pod gorącym natryskiem, rozmasowując obolałe ramię i wylewając na siebie galony mydła i szamponu. Potem dokładnie wyszorowała zęby i włożyła piżamę.

– Co się stało? – zawołał David.

– Nic – odparła, zasnął, więc z powrotem.

Też była senna, najpierw jednak wróciła do kuchni i nastawiła wodę na kawę. Ramię jej zsiniało, ale poruszywszy palcami i nadgarstkiem stwierdziła, że wszystkie kości są całe.

Wzięła z biurka papier i pióro, żeby się upewnić, czy jest w stanie pisać.

Zdecydowała się wysłać list do Samantha Potter.

Droga Sammie!

Prosiłaś, żebym napisała, jeśli wpadnie mi do głowy coś, co odróżnia (in plus) pracę lekarza na wsi od tego, co może on zdiagnozować w wielkim szpitalu klinicznym.

Dziś na to wpadłam: na wsi lekarz może sobie podłubać w krowim zadku.

Ucałowania

Roberta

Pewnego ranka Roberta z przykrością uświadomiła sobie, że musi złożyć podanie o przedłużenie licencji na wykonywanie zawodu w stanie Massachusetts, i że właściwie nie jest do tego przygotowana. Licencję stanową odnawiało się co dwa lata, a ze względu na dobro pacjentów ubiegający się o jej przedłużenie lekarz musiał wykazać, iż poświęcił sto godzin na szkolenie zawodowe.

System miał na celu aktualizację wiedzy medycznej lekarzy i stałe podnoszenie ich kwalifikacji, co pozwalało utrzymać na przyzwoitym poziomie jakość wykonywanej przez nich pracy. Roberta w pełni pochwalała ideę szkolenia ustawicznego, ale sama w ciągu prawie dwóch lat zdobyła tylko osiemdziesiąt jeden na sto wymaganych punktów. Zajęta uruchamianiem nowej praktyki i pracą w ośrodku w Springfield, zaniedbała szkolenie.

Okoliczne szpitale często organizowały wykłady lub seminaria warte kilka punktów, ale nie miała już dość czasu, by w ten sposób osiągnąć limit.

– Musisz wziąć udział w dużym sympozjum medycznym – doradziła jej Gwen. – Ja jestem w podobnej sytuacji.

Roberta zaczęła więc studiować ogłoszenia w czasopismach medycznych. Wyczytała, że w Nowym Jorku, w hotelu „Plaża”, odbędzie się trzydniowe sympozjum na temat nowotworów dla lekarzy pierwszego kontaktu. Sponsorowane wspólnie przez Stowarzyszenie Walki z Rakiem i Krajową Radę Lekarzy Chorób Wewnętrznych, zapewniało uzyskanie dwudziestu ośmiu punktów.

Peter Gerome zgodził się zastąpić ją na czas nieobecności. On i Estie mieli przyjechać do Woodfield i zatrzymać się u niej w domu. Peter złożył już podanie o pełnomocnictwa szpitalne, ale jeszcze ich

nie otrzymał; Roberta umówiła się zatem z internistą z Greenfield, żeby przejął opiekę nad tymi jej pacjentami, którzy znaleźli się w szpitalu.

David ślęczał nad przedostatnim rozdziałem i zgodzili się oboje, że nie powinien przerywać pracy. Wyruszyła, więc sama w bladocytrynowym świetle listopadowego poranka.

Przekonała się, że choć wyjeżdżając z Bostonu z ulgą uciekła od miejskiego zgiełku, teraz gotowa była znów się w nim zanurzyć. W porównaniu z jej odludziem Nowy Jork jawił się niczym kolosalne mrowisko, a panujące w nim skomplikowane więzi i zależności działały jak potężny środek pobudzający. Jazda przez Manhattan nie sprawiła jej przyjemności, toteż z zadowoleniem oddała samochód pod opiekę hotelowego portiera. Mimo to jednak cieszyła się, że tu jest.

Dostała niewielki, lecz wygodny pokój na dziewiątym piętrze. Ucięła sobie krótką drzemkę i zostało jej akurat dość czasu, by wziąć prysznic i przebrać się na inauguracyjne przyjęcie. Zszedłszy na dół, poprosiła o piwo i łakomie skorzystała z wystawnego bufetu.

Nie zauważyła nikogo znajomego. Przybyło wiele małżeństw. Przy bufecie zagaił z nią rozmowę lekarz, który według plakietki nazywał się Robert Starbuck i przyjechał z Detroit.

– W której części Massachusetts leży Woodfield? – spytał, zerkając na jej identyfikator.

– Tuż przy Mohawk Trail.

– A, w tych pięknych, starych, kopulastych górach. Zapewne często jeździ pani na wycieczki, żeby podziwiać krajobraz?

Nie – uśmiechnęła się. – Podziwiam go, kiedy odwiedzam pacjentów.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Jeździ pani na wizyty domowe?

Podszedł do bufetu, po chwili wszakże wrócił. Był względnie atrakcyjny, ale tak otwarcie i łąpczywie dopraszał się czegoś więcej niż rozmowy, że bez żalu zostawiła go wśród brudnych talerzy, gdy tylko skończyła jeść.

Zjechała windą do holu i wyszła na ulicę. Central Park nie był odpowiednim miejscem na nocne przechadzki i nie kusił jej; trawę i drzewa miała w domu. Ruszyła powoli wzdłuż Piątej Alei, za trzymując się niemal przy każdej wystawie, czasem przez parę minut przyglądając się bogactwu strojów, torebek, butów, biżuterii, książek.

Minęła kilka przecznic, przeszła na drugą stronę ulicy i skierowała się w stronę hotelu. Wróciła do pokoju i wczesnie położyła się spać, podobnie jak w ciągu długich lat studiów. Nieomal słyszała głos Charliego Harrisa: „Patrz swego interesu. Rob.”

Było to niezłe seminarium, intensywne i mocno napakowane wiedzą. Rano serwowano kontynentalne śniadanie, później robiono tylko krótką przerwę na lunch. Roberta potraktowała zajęcia bardzo serio. Nie opuściła ani jednego spotkania, robiła szczegółowe notatki, zafundowała sobie też nagrania kilku wykładów, które szczególnie ją zainteresowały. Wieczory przeznaczyła na rozrywki, a wybór był duży. Roberta kupiła bilet na wznowiony spektakl „Show Boat”, który bardzo jej się spodobał; nazajutrz obejrzała Teatr Tańca z Harlemu, też z wielką przyjemnością.

W ciągu pierwszych dwóch dni zgromadziła dość punktów, by zapewnić sobie przedłużenie licencji. Z wykładów przewidzianych na trzeci dzień interesował ją tylko poranny, pomyślała, więc, że mogłaby wyrwać się na zakupy, zanim opuści Nowy Jork.

Kiedy szła do pokoju, żeby się spakować, zaświtał jej lepszy pomysł.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała uśmiechnięta recepcjonistka w średnim wieku, kiedy Roberta zapytała ją o mapę samochodową okręgu nowojorskiego.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak dojechać do West Babylon w Long Island?

– Będzie pani uprzejma poczekać jedną chwileczkę. – Kobieta zajrzała do map, po czym zaznaczyła drogę zdecydowanymi pociągnięciami mazaka.

Roberta zatrzymała się przy pierwszej stacji benzynowej, jaką zauważyła po zjeździe z autostrady, i spytała o cmentarz Beth Moses.

Długo jechała wzdłuż ogrodzenia, nim zobaczyła bramę. Tuż za nią znajdował się budynek administracji. Zaparkowała samochód i weszła do środka. Za biurkiem siedział mężczyzna w jej wieku, ubrany w niebieski garnitur i białą jarmułkę na rzadkich jasnych włosach. Podpisywał właśnie jakieś papiery.

– Dzień dobry – powiedział, nie podnosząc wzroku.

– Dzień dobry. Chciałam prosić o pomoc w odnalezieniu grobu.

Kiwnął głową.

– Nazwisko zmarłego?

– Markus. Sara Markus.

Obrócił krzesło do stojącego za nim komputera.

– Tak, mamy sześć osób o tym nazwisku. Jakie jest drugie imię?
– Nie ma żadnego. Markus przez „k”, nie „c”.
– Aha. Są dwie. Miała sześćdziesiąt siedem lat czy siedemnaście?
– Siedemnaście – szepnęła słabo Roberta, a mężczyzna ponownie skinął głową.

– Jest ich tak wielu – rzekł przepaszająco.

– To ogromny cmentarz.

– Sześćdziesiąt akrów – wziął kartkę z odbitym na kserokopiarce schematem i nakreślił na nim drogę. – Dwanaście sektorów stąd skręci pani w prawo. Osiem sektorów dalej w lewo... Tak – mruknął, zerkając na komputer, żeby się upewnić. – Grób, którego pani szuka, znajduje się w połowie drugiego rzędu. Jeśli się pani zgubi, proszę wrócić, sam panią zaprowadzę. Mamy wszystko w komputerze – dodał z dumą. – Wszystko. O, widzę, że w zeszłym miesiącu złożono tu datek.

– Datek?

– Tak, po ustawieniu tablicy pamiątkowej.

– A! – podziękowała mu i wyszła, ściskając kartkę.

Ruszyła powoli wąską dróżką wysypaną chrzęszczącym żwirem. Za murami cmentarza płynął sznur samochodów, zaterkotał motocykl, pisnęły hamulce, rozległ się natrętny dźwięk klaksonu.

Liczyła sektory.

Matka Roberty pochowana była na cmentarzu w Cambridge, gdzie poszczególne nagrobki dzieliły szerokie pasy trawy. Tu groby były straszliwie stłoczone. Jest ich naprawdę wielu, pomyślała. Ci ludzie przenieśli się z jednego miasta do innego.

Jedenaście.. dwanaście

Skręciła w prawo i przeszła następne osiem sektorów.

To powinno być tutaj.

Z tyłu za nią grupka ludzi siedziała na krzesłach obok otwartego grobu. Mężczyzna w jarmułce skończył przemawiać i żałobnicy ustawili się, żeby wrzucić na trumnę po łopatkę ziemi.

Roberta przeszła do drugiego rzędu w sektorze, starając się nie zakłócać spokoju. Teraz patrzyła już na pojedyncze groby, nie całe ich połączenie. Emanuel Rubin. Lester Rogovin.

Na wielu nagrobkach leżały małe kamyczki, niczym karty wizytowe pozostawione tu na pamiątkę przez żywych. Na niektórych rosły kwiaty lub krzewy. Jedną z tablic ocieniał rozrośnięty cis; Roberta rozsunęła gałęzie i odczytała nazwisko: Lea Schwartz. Na tym grobie nie było pamiątkowych kamieni.

Minęła rodzinny grobowiec Gutkindów, pokryty wieloma nazwiskami, a potem zobaczyła podwójny nagrobek, ozdobiony malowanymi na porcelanie portretami młodego mężczyzny i młodej kobiety. Dmitri Levnikov, 1970-1992, i Basja Levnikov, 1973-1992. Mąż i żona? Brat i siostra? Czy zginęli razem? W wypadku samochodowym, w pożarze? Fotografie na grobie to pewnie rosyjski zwyczaj – pomyślała.

Wyróżniał ich z tłumu jako imigrantów. Jakież to smutne przebyć pół świata, pokonać wysoką barierę kulturową i skończyć tutaj.

Kirschner. Rosten. Eidelberg.

Markus. Markus, Natalie. 1952-1985. Umiłowana żona i matka. Pomnik był podwójny, druga połowa tablicy była pusta.

I tuż obok: Markus, Sara, 1977-1994. Nasza ukochana córka. Prostokątna granitowa płyta, nie zwiędziała, wyraźnie nowa. Na każdym grobie jedna mała kamienna „wizytówka”. Roberta zastygła

w miejscu: obok tablicy z nazwiskiem Sary leżał kawałek czerwonego łupku w kształcie nieregularnego serca, z wyraźnym odciskiem krabiej głowy i segmentowanego ciała trylobita, który żył przed milionami lat.

Nie próbowała mówić do Natalie czy Sary; była prawie pewna, że jej nie usłyszą. Kiedyś, chyba w college'u, czytała, że jeden z chrześcijańskich filozofów bodajże Tomasz z Akwinu wyrażał wątpliwość, czy zmarli posiadają wiedzę o sprawach żyjących. Zresztą skąd Akwinata mógłby coś o tym wiedzieć? On, czy David Markus, czy jakakolwiek inna zarozumiała istota ludzka? Była nieomal pewna, że Sara ją kochała. Może w pewien sposób ten serdeczny kamień miał moc czynienia czarów; magnetyzm, który przyciągnął ją tutaj i sprawił, że zrozumiała, co powinna zrobić.

Podniosła dwa leżące w pobliżu kamyki i położyła jeden na grobie Natalie, drugi na grobie Sary.

Pogrzeb w sąsiedztwie dobiegł końca, jego uczestnicy rozpraszali się; wielu z nich szło w jej stronę. Odwracali twarze od przykrego, lecz częstego tu widoku pogrążonej w żałobie kobiety nad grobem. Nie wiedzieli, że płacze tak samo nad zmarłymi, jak i nad żywymi.

Mimo że jako lekarz nierzadko stykała się ze śmiercią, zawsze przerażała ją rozmowa z ludźmi, których bezpośrednio dotknęła utrata bliskich. Nazajutrz rano, siedząc w kuchni, stoczyła ze sobą bitwę, próbując jakoś powiedzieć Davidowi o śmierci ich związku. Wreszcie wykrztusiła, że czas z tym skończyć. Kazała mu przyznać, iż nie mają szans.

– Powiedziałeś, że jedziesz zbierać materiały do książki. Tymczasem byłeś na cmentarzu w sprawie nagrobka Sary. A kiedy

prosiłam cię, żebyś mnie ze sobą zabrał, odmówiłeś.

– Potrzebuję czasu, Roberto.

– Wątpię, czy czas cokolwiek zmieni, Davidzie – powiedziała łagodnie. – Nawet ludzie, którzy przez wiele lat są małżeństwem, często rozwodzą się po śmierci dziecka. Być może zdołałabym się pogodzić z twoim alkoholizmem i strachem, że pewnego dnia znów odejdziesz. Ale w głębi serca winisz mnie za śmierć Sary. Sądzę, że zawsze będziesz obarczał mnie winą, a z tym sobie nie poradzę.

David pobladł. Nie próbował zaprzeczać.

– Tak dobrze nam było razem – rzekł. – Gdyby to się nie stało...

Łzy zakręciły jej się w oczach. Miał rację. Pod wieloma względami było im ze sobą dobrze.

– Stało się, Davidzie. Nie zmienimy tego.

Uznał prawdę tych słów, trudniej było mu się pogodzić z ich konsekwencją.

– Myślałem, że mnie kochasz.

– Kochałam cię, nadal cię Kocham i zawsze będę cię kochać. Życzę ci szczęścia.

W głębi duszy jednak odkryła coś jeszcze. Że kocha również siebie.

Tego wieczoru siedziała do późna w gabinecie.

Kiedy wróciła do domu, David oznajmił jej, że zdecydował się jechać do Colorado i przyłączyć do grupy Joe Fallona.

– Zabiorę ze sobą miodarkę i dwa najlepsze ule. Chciałbym założyć tam pasiekę. Pomyślałem, że mógłbym opróżnić pozostałe ule i złożyć je w twojej stodole.

– Nie. Lepiej będzie, jeśli je sprzedasz.

Zrozumiał, co miała na myśli. Koniec był ostateczny. Popatrzyli na siebie i David skinął głową.

– Będę mógł wyjechać dopiero za dziesięć dni. Chcę skończyć tekst i oddać go wydawcy.

– To rozumiała.

Aguna przeszła obok nich, obrzucając Robertę zimnym spojrzeniem.

– Davidzie, chcę cię prosić o przysługę.

– Jaką?

– Kiedy tym razem odejdziesz, zabierz ze sobą kota.

Godziny mijały teraz niesłuchanie powoli; oboje starali się wzajemnie unikać. Gdy zadzwonił jej ojciec i spytał o Davida, uświadomiła sobie, że minęły zaledwie dwa dni, 'choć zdawały się wiekiem.

Zdołała jakoś wyjąkać, że się rozstają.

– O... – zmartwił się. Pewnie jest ci bardzo ciężko.

– Nie, wszystko w porządku – powiedziała, przełykając łzy

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

– Właściwie dzwonię w konkretnej sprawie. Chciałem cię za prosić na Święto Dziękczynienia.

Nagle zapragnęła go zobaczyć, porozmawiać z nim, wyzalić się.

– A gdybym tak przyjechała wcześniej? Na przykład od razu?

– Dasz radę się wyrwać?

– Nie wiem. Spróbuję.

Kiedy poprosiła Petera Gerome, żeby zastąpił ją jeszcze przez dwa tygodnie, był zdziwiony, ale natychmiast się zgodził.

– Najchętniej przez cały czas siedziałbym w tych górach – rzekł z zadowoleniem.

Zadzwoiła do biura linii lotniczych, a potem do ojca z wiadomością, że nazajutrz ląduje na Florydzie.

53 SŁOŃCE I CIEŃ

Serce podskoczyło w niej z radości na widok ojca, ale zmartwił ją jego wygląd, jakby skurczył się i postarzał od czasu ostatniego spotkania. Stan jego ducha jednak nie dawał powodu do obaw. Wręcz szalał z radości. Niemal natychmiast zaczął się z nią kłócić, niezbyt co prawda zawzięcie; Roberta chciała wezwać bagażowego, wiedząc z góry, że ojciec uprze się nieść jej walizkę.

– Rob, to głupota. Ja wezmę neseser, a ty torbę z ubraniami.

Śmiejąc się bezsilnie, pozwoliła mu postawić na swoim. W chwili, kiedy wyszli z budynku lotniska, oślepił ją blask słońca i przygniół wilgotny kompres tropikalnego żaru.

– Jaka tu jest temperatura, tato?

– Powyżej trzydziestu stopni – rzekł z dumą, jak gdyby była to specjalna nagroda za wzorową pracę dydaktyczną. Wsadził ją do samochodu i ruszył z piskiem opon. Zawsze bardzo pewnie prowadził. Roberta dostrzegła żaglówki na lazurowym oceanie i zatęskniła za znajomym, chłodnym tchnieniem lasów.

Ojciec mieszkał w białym wieżowcu, należącym do uniwersytetu. Miał tam apartament z dwoma sypialniami, którego

nawet nie próbował przekształcić w swój prawdziwy dom. W salonie wisiały dwa olejne obrazy z widokami Bostonu. Na jednym był Harvard Square zimą, drugi przedstawiał scenę z regat na Charles River. Wioślarze o twarzach skrzywionych z wysiłku pochylali się w łodzi która zdawała się wyskakiwać z płótna, a na przeciwległym brzegu rysowały się zamglone kontury budynków MIT. Jeśli nie liczyć obrazów i paru książek, wewnątrz tchnęło wojskową schludnością i ascezą, niczym cela współczesnego mnicha-scholarza. Na biurku w gościnnym pokoju, który służył ojcu za gabinet, leżała szklana szkatułka ze skalpelem Roba J.

W sypialni stało zdjęcie Roberta, a obok sepiowa fotografia jej matki, uśmiechniętej młodej kobiety w staroświeckim jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Na drugiej szafce znajdowało się zdjęcie nieznanej kobiety.

– Kto to, tatusiu?

– Moja przyjaciółka. Zaprosiłem ją, żeby zjadła z nami kolację, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu?

– Och, naturalnie, że nie, muszę tylko wziąć porządny prysznic.

– Myślę, że ją polubisz – rzekł.

Wyglądało na to, że koniec końców jej ojciec wcale nie żył jak mnich.

Zarezerwował stolik w rybnej restauracji, skąd podczas jedzenia mogli obserwować łodzie przesuwane się po kanale. Twarz z fotografii należała do elegancko ubranej kobiety nazwiskiem Susan Dolby. Susan była grubokoścista, choć nie tęga, i robiła wrażenie wysportowanej. Miała krótką siwą czuprynę i porządnie przycięte paznokcie, powleczone bezbarwnym lakierem. W opalonej twarzy błyszczały oczy o niemal idealnym migdałowym kształcie zielone, a

może piwne; z ich kącików rozbiegały się wesołe kurze łapki. Roberta gotowa była się założyć, że Susan namiętnie grywa w golfa lub tenisa.

Jak się okazało, również była lekarzem, internistą. Miała prywatny gabinet w Fort Lauderdale.

Siedzieli we trójkę, rozprawiając o problemach służby zdrowia. Z głośników płynęło „Adeste Fidelem” trochę zbyt wczesnie, jak jednogłośnie uznali. Oślepiające promienie słońca odbijały się w wodzie, a na falach niczym łabędzie kołysały się smukłe jachty.

– Opowiedz mi o swojej praktyce – zagadnęła Susan.

Roberta opisała miasteczko i ludzi. Rozmawiały o grypie w Massachusetts i na Florydzie, i porównywały różne przypadki chorobowe była to nader fachowa wymiana zdań. Susan studiowała w Michigan, odbyła staż w Michael Riis Medical Center w Chicago, potem zaś osiadła w Fort Lauderdale. Robertę szczerze ujęła jej swoboda i otwarty, przyjazny charakter.

W chwili, gdy podano im zamówione krewetki, rozległ się brzęczyk pagera. Susan przeprosiła ich i poszła szukać telefonu.

– Co o niej myślisz? – zapytał ojciec, kiedy zostali sami.

Roberta zdała sobie sprawę, że ta kobieta jest dla niego kimś ważnym.

– Miałaś rację. Naprawdę ją polubiłam.

– Cieszę się.

Znali się od trzech lat. Susan przyjechała kiedyś do Bostonu na konferencję, zorganizowaną przez Akademię Medyczną.

Potem spotykaliśmy się okazjonalnie, czasem w Miami, to znów w Bostonie. Niezbyt często, bo oboje byliśmy zajęci. Kiedy więc uniwersytet wysłał mnie na emeryturę, skontaktowałem się z

kolegami na Florydzie i otrzymałem od nich propozycję, która bardzo mnie ucieszyła.

– Zatem to poważna znajomość.

Uśmiechnął się do niej.

– Owszem, coraz poważniej myślimy o sobie.

– Tak się cieszę powiedziała Roberta, ujmując go za rękę. W pierwszej chwili zauważyła tylko, że jego skręcone artretyzmem palce zrobiły się jeszcze bardziej sękaty. Potem wyczuła stopniową utratę energii, zachodzącą nieprzerwanie nawet wtedy, gdy nie przestając się uśmiechać nachyliła się ku niemu. Susan właśnie wróciła do stolika.

– Wszystko dało się załatwić przez telefon wyjaśniła.

– Tato, dobrze się czujesz?

Ojciec był blady, a w jego oczach pojawił się niepokój.

– Tak. A co, nie powinienem?

– Dzieje się coś dziwnego powiedziała Roberta.

Susan Dolby spojrzała na nią uważnie.

– Co masz na myśli?

– Podejrzewam atak serca.

– Robercie – Susan spokojnie zwróciła się do profesora – czy odczuwasz ból w klatce piersiowej? Brak tchu?

– Nie.

– Nie widzę, żebyś się pocił. Jakiś ból mięśniowy?

– Nie.

– Słuchajcie, czy to jakiś rodzinny dowcip?

Roberta czuła zapadanie się, słabnięcie wewnętrznego barometru.

– Gdzie jest najbliższy szpital?

Ojciec patrzył na nią z zainteresowaniem.

– Chyba lepiej będzie, jeśli jej posłuchamy – rzekł.

Zbita z tropu Susan kiwnęła głową.

– Cedars Medical Center powiedziała szybko. Tylko kilka minut stąd. Restauracja ma fotel na kółkach, a dowiezienie go tam potrwa krócej niż czekanie na karetkę. Mam w samochodzie telefon; z izbą przyjęć połączymy się po drodze.

Na podjeździe przed szpitalem profesor Cole zachłysnął się pierwszym atakiem bólu. Pielęgniarki i lekarz-rezydent czekali z wózkiem i aparatem tlenowym. Zrobili mu zastrzyk streptokinazy, prędko zawieźli do pokoju badań i wtoczyli za nim przenośne EKG.

Roberta usunęła się na bok. Nasłuchiwała w napięciu, ale ci ludzie wiedzieli, co robią, i najlepiej było się nie wtrącać, aby mogli w spokoju wykonywać swoją pracę. Susan Dolby stała przy chorym, trzymając go za rękę. Roberta najwyraźniej nie miała tu nic do roboty.

Był późny wieczór. Jej ojciec leżał wygodnie pod namiotem tlenowym na oddziale intensywnej opieki, podłączony do odzywających się piskliwie monitorów. Szpitalna kafeteria była już zamknięta, więc Susan i Roberta wstąpiły do małej pobliskiej restauracji na zupę z czarnej fasoli z kubańskim chlebem. Potem wróciły do szpitala i usiadły samotnie w małej poczekalni.

– Myślę, że niedługo z tego wyjdzie – powiedziała Susan. – Bardzo szybko dostał antykoagulanty, półtora miliona jednostek streptokinazy, aspirynę i pięć milionów jednostek heparyny. Mieliśmy szczęście.

– Dzięki Bogu.

– Skąd wiedziałaś?

Rzeczowo i zwięźle Roberta wyjaśniła jej pewne fakty. Susan Dolby potrząsnęła głową.

– Powiedziałałabym, że to fantazja, po prostu bujda, gdybym nie widziała tego na własne oczy.

– Ojciec nazywa to Darem. Był czas, kiedy uważałam go raczej za brzemię. Potem nauczyłam się z nim żyć, korzystać z niego. Dziś jestem mu wdzięczna – powiedziała Roberta. Zawahała się. – Nie rozmawiam o tym z innymi lekarzami, sama rozumiesz. Chciałabym cię prosić, żebyś...

– Jasne. Kto by mi zresztą uwierzył? Ale dlaczego powiedziałaś mi prawdę? Nie kusiło cię, żeby coś zmyślić?

Roberta pochyliła się i pocałowała Susan w opalony policzek.

– Wiem, że ta historia zostanie w rodzinie – powiedziała.

Ojciec odczuwał bóle, a aplikowana pod język nitrogliceryna nie pomagała, podano mu więc morfinę. W efekcie przesypiał większość czasu. Po dwóch dniach, zatem Roberta mogła się wyrwać ze szpitala na godzinę lub dwie. Jeździła samochodem ojca. Susan była uwiązana w gabinecie, ale poinformowała ją, gdzie jest najlepsza plaża, i Roberta skusiła się na morską kąpiel. Jako dobry lekarz wysmarowała się obficie kremem z filtrem przeciwsłonecznym, ale miło jej było znów poczuć, jak słona woda wysycha na skórze. Przez kilka minut leżała na wznak z pomarańczową poświatą na powiekach. Wspomnienie Davida sprawiło jej ból. Pomodliła się za ojca i, zgodnie z obietnicą, za Grega Hintona.

Tego wieczoru poprosiła o rozmowę z kardiologiem ojca, Samem Kellickerem. Była zadowolona, kiedy Susan wyraziła chęć wzięcia w niej udziału. Kellicker był czerwonogębym, nadętym i wiecznie

zaaferowanym mężczyzną w supermodnym garniturze i najwyraźniej nie przepadał za krewnymi pacjentów, którzy wtrącali mu się do leczenia.

– Mam mieszane uczucia w związku z morfiną, panie doktorze – powiedziała Roberta.

– A to dlaczego?

– Wzmaga pobudliwość nerwu błędnego. Może spowodować rzadkoskurcz albo bardziej zaawansowany stopień bloku serca, czyż nie?

– Cóż, to się zdarza. Ale co byśmy nie zrobili i tak ryzykujemy; wszystko może mieć szkodliwy efekt uboczny. Przecież pani o tym wie.

– Można podać mu beta-blokery zamiast morfiny.

– Beta-blokery nie zawsze działają. Ojciec pani na nowo zacznie odczuwać ból.

– Warto spróbować, nie sądzi pan?

Kellicker zerknął na Susan Dolby, która przysłuchiwała się z uwagą, patrząc na Robertę.

– Też tak uważam – wtrąciła.

– Skoro obie panie tego chcecie, nie będę się sprzeciwiał rzekł kwaśno Kellicker. – Skinął im głową i odszedł.

Susan przysunęła się do Roberty i objęła ją ramieniem. Przez chwilę stały tak razem, kołysząc się lekko. Roberta uścisnęła starszą panią.

Zatelefonowała do paru osób.

– Zawał zaraz po twoim przyjeździe? – rzekł z niedowierzaniem Peter Gerome. – To się nazywa mieć pecha!

Zapewnił ją, że wszystko jest pod kontrolą, pacjenci za nią tęsknią i przesyłają pozdrowienia. O Davidzie nie wspomniał.

Toby strasznie się przejęła, zarówno przez wzgląd na profesora, jak i na Robertę. Kiedy ta zapytała ją o samopoczucie, Toby odparła smętnie, że bez przerwy łupie ją w krzyżu i czuje się tak, jakby chodziła w ciąży od dwudziestu lat.

Gwen wyciągnęła z niej wszystkie szczegóły medyczne i przyznała, że Roberta postąpiła mądrze prosząc o odstawienie morfiny.

Jak się okazało, beta-blokery zdołały skutecznie uśmierzyć ból i po dwóch dniach profesorowi pozwolono wstawać z łóżka i spędzać w fotelu dwa razy dziennie po pół godziny. Jak wielu lekarzy był okropnym pacjentem. Zadawał mnóstwo pytań, żądał od Kellickera wglądu w wyniki angiografii, jak również kompletnego raportu o stanie zdrowia. Jego nastrój wahał się gwałtownie od euforii do krańcowego pesymizmu i odwrotnie.

– Chciałbym, żebyś wyjeżdżając wzięła ze sobą skalpel Roba J. – rzekł do córki w chwili depresji.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– I tak pewnego dnia będzie twój.

– Dlaczego nie miałybyś go zabrać od razu?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Ponieważ jeszcze przez wiele lat będzie należał do ciebie – powiedziała stanowczo, zamykając temat.

Czuł się coraz lepiej. Trzeciego dnia zaczął na krótko stawać obok łóżka, a nazajutrz chodzić po korytarzu. Roberta wiedziała, że

najbardziej niebezpieczne jest sześć pierwszych dni po ataku, i kiedy minął tydzień, odetchnęła z ulgą.

Ósmego dnia po przylocie spotkała się z Susan na śniadaniu w hotelu. Siedziały na tarasie wychodzącym na plażę. Roberta wdychała ciepłe słone powietrze.

– Właściwie mogłabym się do tego przyzwyczaić – stwierdziła.

– Naprawdę, Roberto? Podoba ci się Floryda? – Susan potraktowała poważnie tę żartobliwą chwałbę niezwykłego luksusu.

– Floryda jest urocza... tylko że ja nie znoszę upałów.

– Człowiek się przyzwyczaja, choć prawdę mówiąc, marnie byśmy wyglądali bez klimatyzacji. – Susan zawahała się. – Roberto – podjęła – w przyszłym roku odchodzę na emeryturę. Moja praktyka jest ugruntowana, a dochód z niej bardzo dobry. Nie chciałabyś jej przejąć?

Fiu, fiu! – pomyślała Roberta ze zdumieniem.

– Ee... zająknęła się czuję się zaszczyconą, Susan. I wdzięczna. Ale zapuściłam już korzenie w Woodfield. Mam zamiar tam zostać.

– Jesteś pewna, że nie chcesz tego jeszcze przemyśleć? Podam ci wszystkie szczegóły. Przez rok mogłybyśmy pracować wspólnie...

Roberta z uśmiechem potrząsnęła głową.

Susan zrobiła żalostną minę, po czym również się rozpogodziła.

– Twój ojciec jest dla mnie bardzo ważny, Roberto. Ciebie też od razu polubiłam. Jesteś inteligentna, wrażliwa i widzę w tobie bardzo dobrego lekarza takiego, jakich podziwiam, i na jakiego zasługują moi pacjenci. Pomyślałam, więc: oto idealny układ. Wszyscy będą zadowoleni moi pacjenci, ty, ja i Robert. Nie mam rodziny. Wybacz mi te niewczesne fantazje, ale pomyślałam, że oto

mogę ją sobie stworzyć. Powinnam była przewidzieć, że nie istnieją idealne rozwiązania, które uszczęśliwiają wszystkich bez wyjątku.

Roberta była pełna podziwu dla jej szczerości. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać; ledwie rok temu i ona snuła takie same fantazje.

– Ja też cię lubię, Susan, i mam nadzieję, że ty i mój ojciec zwiążecie się na stałe. Jeśli tak, będziemy się często widywać.

Gdy tego dnia w południe weszła do pokoju ojca, odłożyła na bok krzyżówkę.

– Cześć – powiedział.

– Witaj, tato.

– Co nowego?

– Nowego? Niewiele.

– Rozmawiałaś dziś rano z Susan?

Aha. Zatem przedyskutowali to, zanim Susan podjęła temat.

– Owszem. Powiedziałam jej, że jest kochana, ale mam własną praktykę.

– Boże, Rob! To cudowna okazja – rzekł z irytacją.

Robercie przemknęła myśl, że może to w niej samej istnieje jakaś skaza, prowokująca ludzi do mówienia jej, co i jak ma robić.

– Będziesz musiał nauczyć się pozwalać mi mówić „nie”, tato – powiedziała cicho. – Mam czterdzieści cztery lata i potrafię podejmować osobiste decyzje.

Odwrócił się tyłem. Po krótkiej chwili spojrzął na nią uważnie.

– Wiesz co?

– Co, tato?

– Masz absolutną rację.

Zegrali w remika; ojciec wygrał od niej dwa dolary i czterdzieści pięć centów, po czym zapadł w drzemkę.

Po południu opowiedziała mu o swoich sprawach. Ucieszył się, że praktyka rozrosła się tak szybko, i zgodził się z nią, iż tysiąc pięciu set pacjentów zupełnie jej wystarczy. Zachnął się, kiedy mu powiedziała, że niedługo będzie w stanie spłacić kredyt, który jej podżyrował.

– Nie musisz zwracać wszystkiego, co do grosza w przeciągu dwóch lat, przecież wiesz. Pieniądze mogą ci być jeszcze potrzebne.

– Mam wszystko, czego mi trzeba powiedziała, ujmując go za rękę.

Najspokojniej w świecie podał jej drugą dłoń.

Bała się, ale przesłanie, jakie odczytała z jego rąk, rozpromieniło jej twarz uśmiechem. Nachyliła się, żeby go pocałować, on zaś pośpiesznie starał się ukryć ulgę.

W Dniu Dziękczynienia zjadły z ojcem kolację w szpitalu.

– Dziś rano w czasie obchodu natknęłam się na Sumnera Kellickera – powiedziała Susan. – Nie ma zastrzeżeń do twojego stanu zdrowia i ufa, że za dwa lub trzy dni wypuszczą cię do domu.

– Będziemy musieli poszukać kogoś, kto na jakiś czas z tobą zamieszka – wtrąciła Roberta, zdając sobie sprawę, że Susan jest już obciążona pracą.

– Nonsens – oburzyła się Susan. – Robert zamieszka u mnie. Prawda, Robercie?

– Nie wiem, Susan. Nie chciałbym, żebyś widziała we mnie pacjenta...

– Sądzę, że pora, abyśmy zaczęli dostrzegać w sobie wiele najrozmaitszych rzeczy.

W końcu zgodził się przenieść do jej domu.

– Mam dobrą kucharkę, która przychodzi w dni powszednie. Dostosujemy jadłospis do diety Roberta i zapewnimy mu dokładnie tyle ruchu, ile potrzeba. Możesz się nie martwić o tatusia. Rob – powiedziała Susan.

Roberta przyrzekła solennie, że ani jej to w głowie.

Nazajutrz o osiemnastej dwadzieścia odleciała do Hartford. Kiedy krążyli nad lotniskiem Bradleya, pilot zakomunikował:

– Temperatura na ziemi wynosi minus pięć stopni Celsjusza. Witamy w prawdziwym świecie.

Nocne powietrze było ostre i drapało w gardle, przenikał je chłód późnej nowoangielskiej jesieni. Roberta wsiadła do samochodu i powoli ruszyła w stronę Woodfield.

Skręcając w dobrze znaną żwirówkę wyczuła, że coś się zmieniło. Zatrzymała samochód i przyjrzała się ciemnemu domowi na skraju lasu, ale nie potrafiła dociec, w czym rzecz. Dopiero następnego ranka, kiedy zerknęła przez okno na wywieszkę przy drodze, zobaczyła, że haczyki pod nią są puste.

54 SIEW

Przed wschodem słońca było zimno, wiatr spływał z górskich stoków i mknął przez łąkę, targając po drodze domem. W półśnie

Roberta lubiła jego świst, o ile było jej ciepło i przytulnie; budziła się w kielkującym świetle dnia, skulona pod ciepłą podwójną kołdrą, i długo dumiała, zanim zmusiła się, by wstać, włączyć termostat i wskoczyć pod prysznic.

Kiedyś wycierając się po kąpeli, uświadomiła sobie, że jej okres spóźnił się już o kilka tygodni. Zmarszczyła brwi, odsuwając myśl, która pchała się natrętnie: brak menstruacji, a po nim menopauza. Wkrótce będzie musiała pogodzić się z tym, że jej ciało się zmieni; starzejące się organy zaczną szwankować, później zaś jej kobiecość ostatecznie zgaśnie.

Był czwartek, wolny dzień. Gdy tylko słońce ogrzało ściany domu, Roberta wyłączyła termostat i rozpałała w kominku. Żywy ogień miał w sobie szczególny urok, lecz wysuszał powietrze i powodował, że lotne drobiny szarego popiołu osiadały na każdej powierzchni, a po rozkładane wszędzie serdeczne kamienie czyniły z domu stajnię Augiasza.

Roberta stała przez dłuższą chwilę, patrząc na zaokrąglony, szary rzeczny kamień. Po chwili odłożyła ściereczkę do kurzu i poszła do szafy, w której trzymała chlebak. Włożyła do niego szary kamień i ruszyła po pokojach, zbierając pozostałe.

Kiedy chlebak był pełen, wyniosła go na zewnątrz i z łoskotem wsypała zawartość do dużej murarskiej taczki. Wróciła do domu i zbierała dalej. Zatrzymała tylko trzy kamienie, które dostała od Sary, i dwa inne, które ona dała dziewczynie kryształ i cienki czarny bazalt.

Po pięciu kursach dom był oczyszczony. Ubrała się ciepło w zimową kurtkę, wełnianą czapkę, robocze rękawice wyszła i pchnęła taczki. Wielka skrzynia była wypełniona w ponad jednej trzeciej,

zbiór zaś ważył więcej, niż podejrzewała. Sporo wysiłku kosztowało ją przebycie dwudziestu pięciu jardów trawnika, ale gdy weszła na leśny szlak, grunt zaczął opadać w kierunku rzeki i taczka potoczyła się sama.

Nieliczne promienie słońca, które przenikały przez baldachim gałęzi, upstrzyły świetlistymi plamkami głęboki, nasycony cień. W lesie panował chłód, ale drzewa chroniły przed podmuchami wiatru, opona taczki syczała na wilgotnym igliwiu, a potem zadudniła rytmicznie na deskach mostu Gwendolyn Gabler.

Roberta zatrzymała się nad rzeką, bystrą i napęczniałą po jesiennych deszczach. Wzięła napełniony chlebak i ruszyła wzdłuż szlaku. Brzeg porastał szpaler drzew i krzewów, ale można się było między nimi przedostać. Co parę kroków Roberta przystawała, wyjmowała z chlebaka kamień i wrzucała go do wody.

Robiła to metodycznie: małymi okazami starannie usiała płycizny przy brzegu, podczas gdy większe lądowały w zagłębieniach i stawach. Kiedy opróżniła chlebak, wróciła do taczki i popchnęła ją dalej w górę rzeki. Wzięła następny ładunek kamieni i rozrzuciła dalej.

Najcięższy był ten, który wyciągnęła z wykopu budowlanego w Northampton. Naprężając zgięty grzbiet, przedźwigała go na brzeg najgłębszego oczka, tuż poniżej okazałej bobrowej tamy. Nie miała dość sił, by go rzucić; musiała spróbować go przenieść po nierównej, krzaczastej konstrukcji. Zaraz na początku obsunęła jej się noga i do buta chlusnęła lodowata woda, powoli jednak dotarła do środka stawu i upuściła kamienne serce niczym bombę, która miękko osiadła w piasku.

Spojrzała nań z zadowoleniem. Wkrótce pokryje go lód i śnieg; na wiosnę być może złożą na nim jaja ważki, pstrągi będą połykać ich larwy i chronić się za sercem przed zbyt silnym prądem. Wyobrażała sobie magiczną ciszę letnich nocy; kamień, a na nim bobry kołyszące się w miłosnym uścisku wśród przejrzystych, rozświetlonych księżycem wód, podobne ptakom łączącym się w powietrzu.

Ostrożnie wycofała się na brzeg i w podobny sposób pozbyła się reszty zawartości taczki, jak gdyby rozsiewała prochy po kremacji. Przekształciła pół mili pięknej górskiej rzeki w prawdziwą skarbnicę serdecznych kamieni, jeden wielki pomnik ku czci Sary Markus.

Zawiozła pustą tawkę z powrotem do szopy. Zdjęła wierzchnią odzież, przemoczone buty i skarpetki. Włożyła suche i bez pantofli jak burza przeszła przez cały dom, odkurzając każdą najmniejszą płaszczyznę.

Kiedy skończyła, wróciła do salonu. Dom był wypucowany, pusty i cichy, jeśli nie liczyć jej własnego oddechu. Nie było w nim ani mężczyzny, ani kota, ani ducha zmarłej dziewczyny. Znów należał tylko do niej. Usiadła w zapadającym zmroku, niepewna, co jeszcze się jej przydarzy.

55 PIERWSZY ŚNIEG

Listopad zmienił się w grudzień pod niebem pełnym tłustych chmur. Drzewa w lesie były już nagie, ich konary przywodziły na

myśl wzniesione ramiona, gałązki rozczapierzone palce. Roberta przez całe lato wędrowała swoim szlakiem bez obaw, teraz wszakże, gdy większość niedźwiedzi zapadła w zimowy sen, nękał ją obsesyjny strach, że spotka się oko w oko z bestią na wąziutkiej ścieżce. Będąc w Greenfield, kupiła w sklepie z artykułami sportowymi syrenę, niewielką puszkę z guzikiem, który po naciśnięciu wyzwał potężną eksplozję dźwięku. Nosiła ją w saszetce na brzuchu, ilekroć szła do lasu, ale jedynym większym zwierzęciem, jakie udało jej się dostrzec, był rogacz, który przemknął obok niej przez las i nawet jej nie zwietrzył. Gdyby była myśliwym, już by nie żył.

Po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę ze swej samotności.

Niższe gałęzie drzew były suche, pewnego, więc razu wzięła do lasu ogrodniczą piłkę i zaczęła uwalniać jedno drzewo po drugim od martwych kikutów. Spodobały jej się gładkie, oczyszczone pnie, wznoszące się niczym naturalne kolumny. Postawiła przed sobą długoterminowy projekt przycięcia w ten sposób wszystkich drzew wzdłuż szlaku.

Trzeciego grudnia spadł śnieg ciężka, miazdząca nawałnica, nie poprzedzona ostrzegawczym proszeniem. Padało przez cały dzień i większość nocy. Roberta miała ochotę na narty, lecz musiała wpierw zwalczyć nieokreślony, irracjonalny strach, który nękał ją od wielu dni. Podeszła do telefonu i zadzwoniła do Fredy Krantz.

– Fredo, tu Roberta. Mam zamiar pojechać na nartach po mojej leśnej ścieżce. Jeśli nie zadzwonię znowu za jakieś półtorej godziny, czy będziesz tak miła i poprosisz Hanka, żeby wyszedł po mnie? Nie przewiduję żadnych trudności, ale...

– Mądra dziewczyna – orzekła stanowczo Freda. – Jasne. Baw się dobrze, Roberto.

Słońce stało wysoko na błękitnym niebie. Śnieg lśnił jaskrawą bielą; dopiero gdy znalazła się w lesie, przestał ją oślepiać. Narty sunęły z sykiem. Śnieżycą zatarła tropy, dało się jednak dostrzec kilka świeżych śladów królika, lisa i myszy.

Na całej pętli szlaku był tylko jeden stromy, niebezpieczny zjazd i tam właśnie Roberta straciła równowagę. Upadła ciężko do przodu w miękkie, zimne puch i leżała przez chwilę z zamkniętymi oczyma, bezbronna, cokolwiek mogło wyskoczyć na nią spośród drzew niedźwiedź, bandyta, brodaty David Markus.

Nikt jednak się nie pojawił; po chwili wstała, dojechała do domu i zadzwoniła do Fredy.

Upadek nie wywołał żadnych trwałych skutków, złamań, zwichnięć ani nawet siniaków bolały ją tylko piersi.

Kiedy tego wieczoru kładła się spać, po raz pierwszy od dawna włączyła instalację alarmową.

Zdecydowała się kupić psa. Na początek pożyczyła z biblioteki kilka książek i przeczytała opisy różnych ras. Każdy, z kim rozmawiała, radził jej, co innego, toteż poświęciła kilka weekendów na zwiedzanie sklepów zoologicznych i hodowli. Wciąż zawężała listę, aż w końcu zdecydowała się na sznaucera olbrzyma. Rasę tę stworzono kilka wieków temu dla pozyskania dużych, wytrzymałych psów, które mogły pilnować bydła i bronić go przed drapieżnikami. Hodowcy skojarzyli zgrabnego, inteligentnego średniego sznaucera z owczarkiem i dogiem niemieckim, w efekcie –

jak stwierdzała jedna z księżek – „otrzymano wspaniałego psa stróżującego, dużego, silnego i wiernego.”

Znalazła w Springfield odpowiednią hodowlę.

– Najlepiej kupić szczeniaka, który przywiąże się do pani, póki jest jeszcze młody – doradził jej hodowca. – Mam właśnie takiego malca.

Szczeniak oczarował Robertę od razu. Mała, niezgrabna klucha z nieproporcjonalnie grubymi łapami, szorstką czarno-szarą sierścią, mocną kwadratową szczęką i sztywną, sterczącą brodą.

– Osiągają ponad dwie stopy w kłębie i osiemdziesiąt funtów wagi – ostrzegł ją hodowca. – Niech się pani przygotuje, że smarkacz będzie miał spory apetyt.

Pies szczekał chrapliwym, podnieconym głosem, który przypominał Robercie Andy’ego Devine’a, wiecznie zachrypniętego aktora ze starych filmów, które czasem oglądała w telewizji późno w nocy. Nazwała go Andy już w drodze do domu, kiedy skarciła go za to, że zoczył siedzenie w samochodzie.

Toby cierpiała na straszne bóle w krzyżu. W Boże Narodzenie zdołała wysiedzieć przez godzinę w kościele, ale to Roberta upiekła indyka i przygotowała świąteczny obiad w domu Smithów. Celowo kupiła tak dużego ptaka, by starczył Smithom na parę dni. Przyjaciółki Toby na zmianę gotowały i dostarczały im posiłki. W Woodfield było to coś naturalnego; zwyczaj, którym Roberta niezmiennie się zachwycała.

Po obiedzie grała kolędy na starym pianinie Smithów i śpiewali we trójkę. Potem usiadła sennie przed kominkiem, zdumiona

własnym zmęczeniem. Zapadła długa, lecz niekrępująca cisza, którą Toby skomentowała:

– Jak to fajnie, że nie czujemy się w obowiązku rozmawiać. Mam takie wrażenie, jakbyśmy po prostu siedzieli i czekali, aż przyjdzie na świat moje dziecko.

– Właściwie mogę poczekać na nie w domu – odcięła się Roberta, po czym ucałowała ich i złożyła im życzenia wesołych świąt i dobrej nocy.

Po powrocie do domu otrzymała najlepszy prezent telefon z Florydy. Sądząc po głosie, ojciec czuł się dobrze, był silny i szczęśliwy.

– Susan po świętach wyrzuci mnie do pracy – oznajmił. – Zaczekaj chwilę. Mamy ci coś do powiedzenia.

Susan włączyła się do rozmowy z drugim aparatu i wspólnie obwieścili, że postanowili się pobrać na wiosnę.

– Najprawdopodobniej w ostatnim tygodniu maja dodał profesor Cole.

– Och, tato, Susan, tak się cieszę!

Ojciec odchrząknął.

– Zastanawialiśmy się, Roberto... Czy moglibyśmy wziąć ślub u ciebie, w Woodfield?

– Tato, byłoby wspaniale!

– Jeśli dopisze pogoda, chcielibyśmy urządzić ceremonię na łące przed domem, u stóp gór. Mamy zamiar zaprosić kilka osób z Miami, paru moich znajomych z Bostonu i dwoje najbliższych krewnych Susan. W sumie około trzydziestu osób, jak sędzę. Oczywiście pokryjemy koszty przyjęcia, ale czy mogłabyś zająć się organizacją? Wiesz: ksiądz, dobry kucharz i tak dalej.

Obiecała, że to załatwi. Odłożywszy słuchawkę, usiadła przed kominkiem z violą, ale nie miała głowy do muzyki. Wzięła pióro i papier i zaczęła notować najważniejsze punkty. Orkiestra, najlepiej kwartet, na szczęście w miasteczku byli świetni muzycy. Jadłospis trzeba będzie starannie przemyśleć i skonsultować. Kwiaty... w końcu maja wszędzie będą kwitły bzy i być może wczesne róże. Łąkę musi skosić trochę wcześniej. Wypożyczy namiot niezbyt wielki, otwarty po bokach...

I pomyśleć, że planuje wesele własnego ojca!

Po kilku tygodniach ponurej determinacji udało jej się w pewnym stopniu nagiąć Andy'ego do domowych rygorów, choć szczeniak nadal tracił czasem kontrolę nad pęcherzem, gdy się czymś podekscytował. Zdecydowała, że będzie mieszkał w suterenie, i zrobiła mu miękkie legowisko przy piecu. Poddała się w sylwestra. Była sama; nie miała, z kim witać Nowego Roku i spędziła wieczór starając się nie roztkliwiać nad sobą. W końcu zeszła na dół po Andy'ego, który z zadowoleniem rozparł się przy kominku obok jej fotela. Wzniosła do niego toast filiżanką kakao:

– Za nas oboje, Andy. Za staruszkę i jej psa – powiedziała, ale on już spał.

Coroczna epidemia grypy i przeziębień właśnie się rozpoczęła i w pierwszym tygodniu stycznia jej poczekalnia wypełniła się kaszlącymi i kichającymi ludźmi. Robercie udało się uniknąć kataru, ale czuła się osłabiona i wciąż poirytowana; bolały ją wszystkie mięśnie, a piersi nadal miała wrażliwe na dotyk i jakby obite.

Podczas przerwy na lunch w poniedziałek wstąpiła do biblioteki, żeby zwrócić książkę, i nagle przyłapała się na tym, że gapi się na bibliotekarkę, Shirley Benson.

– Jak długo ma pani to czarne znamię na nosie?

Shirley skrzywiła się.

– Parę miesięcy. Paskudne, prawda? Moczyłam je i próbowałam wycisnąć, ale nic nie skutkuje.

– Powiem Mary, żeby jak najszybciej umówiła panią z dermatologiem.

– Nie trzeba, pani doktor.

Bibliotekarka zawahała się i lekko spąsowiała. – Nie stać mnie na to. Pracuję tu tylko na pół etatu, więc nie mam ubezpieczenia. Mój syn jest w klasie maturalnej i nie wiem, skąd weźmiemy na czesne w college'u.

– Obawiam się, że to może być czerniak, pani Benson. Mogę się mylić, wówczas niepotrzebnie straci pani pieniądze. Ale jeśli mam rację, to nowotwór złośliwy, który bardzo szybko może dać przerzuty. Chyba chce pani dożyć chwili, kiedy syn wstąpi do college'u?

– Dobrze. – W oczach Shirley zabłyśły łzy. Roberta nie wiedziała, czy wywołał je strach, czy też oburzenie z powodu jej despotyzmu.

W środę rano była bardzo zajęta w gabinecie. Zrobiła kilka okresowych badań i zmieniła dawki insuliny Betty Paterson. Wyjaśniła Sally Howland, że jej echokardiogram wykazał tachykardię, i co to oznacza. Następną pacjentką była Polly Strickland. Przyszła, bo do stała tak obfitą miesięczkę, że się przeraziła. Miała czterdzieści pięć lat.

- To może być początek menopauzy – powiedziała Roberta.
- Myślałam, że wtedy przestaje się krwawić.
- Zdarza się, że na samym początku okres jest bardzo obfity, potem nieregularny. Są różne przypadki. U pewnej części kobiet miesiączka po prostu zanika, jakby ktoś zakręcił kran.
- Szczęściary.
- Tak...

Zanim wyszła na lunch, przejrzała wyniki z laboratorium patologicznego. Jeden z nich informował, że wycinek pobrany z nosa Shirley Benson okazał się czerniakiem.

Po zamknięciu gabinetu Roberta poczuła, że musi coś zjeść; pojechała do restauracji w Shelburne Falls i zamówiła sałatkę ze szpinaku, po czym niemal natychmiast zmieniła zdanie i poprosiła o duży, średnio wypieczony stek z polędwicy.

Zjadła stek, puree ziemniaczane, kawałek dyni i grecką sałatkę z bułeczkami, a potem jeszcze szarlotkę i kawę.

W drodze powrotnej wpadło jej do głowy, żeby się zastanowić, co by zrobiła, gdyby przyszła do niej pacjentka z objawami, które nękały ją już od kilku tygodni: drażliwość i zmiany nastroju, bóle mięśni, gwałtowny apetyt, bolące i tkliwe piersi oraz zatrzymanie miesiączki.

Myśl była absurdalna. Przez wiele lat usiłowała począć dziecko bez najmniejszego powodzenia.

Mimo to...

Wiedziała, jak by postąpiła, gdyby sprawa dotyczyła kogoś obcego, zamiast więc jechać do domu, wróciła do Woodfield.

Gabinet był zamknięty i pogrążony w mroku, ale miała przy sobie klucz. Zapaliła światło, zdjęła płaszcz i obeszyła okna, zaciągając żaluzje zdenerwowana niczym narkomanka, która właśnie ma dać sobie w żyłę.

Znalazła sterylną, łatwą w użyciu igłę motylkową, przyłączyła do niej rurkę i mocno zacisnęła opaskę na lewym ramieniu. Przetarła wnętrze łokcia wacikiem zmoczonym w spirytusie, zacisnęła pięść. Niezbyt wygodnie było samej sobie pobierać krew, odnalazła jednak żyłę pośrodkową łokcia. Popłynęła z niej ciemna, czerwono-brązowa ciecz.

Musiała posłużyć się zębami, żeby rozluźnić krępulec. Odłączyła i zamknęła probówkę, włożyła ją do koperty, wdziała z powrotem płaszcz i zaniósła krew do samochodu.

Wróciła na Mohawk Trail i tym razem ruszyła prosto ku Greenfield.

Szpitalne laboratorium było czynne przez całą dobę. Wieczorny dyżur pełniła tylko jedna z zatrudnionych w nim dziewcząt.

- Nazywam się doktor Cole. Chciałabym zostawić wam próbkę.
- Naturalnie, pani doktor. Czy to pilne? W nocy zlecenia pozaszpitalne wykonujemy tylko, gdy dotyczą nagłych wypadków.
- Chodzi o próbę ciążową.
- Mogę ją przyjąć, a testy zrobią rano. Wypełniła pani metryczkę?
- Nie.

Laborantka kiwnęła głową i wyjęła formularz z szuflady. Początkowo Roberta miała zamiar wpisać zmyślane nazwisko pacjentki, lecz potem zła na siebie nagryzmoła własne nazwisko dwukrotnie jako lekarz i jako pacjent.

Oddała druk i zauważyła, jak usilnie obojętny wyraz przybrała twarz młodej kobiety na widok obu podpisów.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie wynik. Do domu, nie do gabinetu.

– Z przyjemnością, pani doktor.

– Dziękuję – wróciła do samochodu i pojechała do domu tak wyczerpana, jakby właśnie skończyła bieg maratoński.

– Gwen? – powiedziała do słuchawki.

– Tak, Roberto?

– Wiem, że jest trochę za późno na telefon...

– Skądże, jeszcze nie śpimy.

– Masz jutro czas na obiad? Chciałabym pogadać.

– Nie, właśnie pakuję walizkę. Nadal brakuje mi czternastu punktów do odnowienia licencji i postanowiłam pójść za twoim przykładem. Rano jadę do Albany na seminarium dotyczące cesarskiego cięcia.

– Aha... Dobry pomysł.

– Jedyne. W ciągu najbliższych dwóch tygodni żadna z moich pacjentek nie planuje rodzić, a w gabinecie zastąpi mnie Stanicy Zinck. Słuchaj, a może masz jakiś problem? Chcesz porozmawiać teraz? Zresztą mogę odwołać rezerwację; świat się nie zawali, jeżeli nie będę na tej konferencji.

– Coś ty, wykluczone. To zresztą nic ważnego.

– Wracam w niedzielę wieczorem. Może spotkamy się w poniedziałek po pracy?

– Zgoda. Szerokiej drogi!

– Dzięki, złotko. Dobranoc.

– Dobranoc, Gwen.

56 ODKRYCIA

Noc ze środy na czwartek spędziła bezsennie.

O świcie wstała zmęczona i rozdrażniona. Płatki śniadaniowe smakowały jak kawałki tektury. Wiedziała, że laboratorium nie odezwie się jeszcze, co najmniej przez kilka godzin. Byłoby jej łatwiej, gdyby musiała iść do gabinetu; zajęłaby się pracą. Postanowiła, zatem wypełnić sobie czas sprzątaniem i zaczęła od wyszorowania podłogi w komórce. Musiała się dobrze przyłożyć, żeby usunąć nagromadzony piach i brudne plamy, ale w końcu stare linoleum lśniło niczym lustro.

Kiedy spojrzała na zegarek, okazało się, że minęły zaledwie trzy kwadransy.

Obie skrzynki na drewno były prawie puste, zaczęła, więc nosić polana z drewnutni, po trzy lub cztery naraz. Napełniła dużą sosnową skrzynię przy kominku i mniejszą obok pieca. Potem pozamiatała kawałki kory i trociny.

O wpół do jedenastej wzięła proszek do czyszczenia sreber i postawiła serwis Betts na kuchennym stole. Nastawiła płytę z „Adagio na skrzypce i orkiestrę” Mozarta. Zwykle ton skrzypiec Itzhaka Perlmana pomagał jej przetrwać wszystko, ale tego ranka koncert brzmiał fałszywie i działał jej na nerwy, więc po chwili wstała, wytarła ręce i poszła wyłączyć odtwarzacz.

W tej samej chwili, gdy muzyka ucichła, zadzwonił telefon. Roberta wzięła głęboki oddech i podniosła słuchawkę.

Był to jednak Jan.

– Roberto, Toby bardzo cierpi. Plecy bolą ją bardziej niż kiedykolwiek, a do tego ma skurcze.

– Daj mi ją do telefonu.

– Nie dogadasz się z nią. Płacze.

Termin porodu Toby wypadła dopiero za trzy i pół tygodnia.

– Lepiej zajrzę do was.

– Dziękuję, Roberto.

Podniecona Toby krążyła po mieszkaniu we flanelowej koszuli nocnej drukowanej w małe różyczki i akrylowych skarpetkach, które dostała na gwiazdkę od Peggy Weiler.

– Roberto, tak się boję.

– Usiądź. Chcę cię zbadać.

– Kiedy siedzę, plecy bolą mnie jeszcze bardziej.

– No to się połóż. Muszę ci zmierzyć ciśnienie – ucięła Roberta pogodnie, lecz stanowczo.

Oddech Toby był nieco przyspieszony. Ciśnienie krwi wynosiło sto czterdzieści na sześćdziesiąt, tętno dziewięćdziesiąt dwa wcale nieźle, zważywszy, że była zdenerwowana. Mierzenie temperatury mogła sobie podarować. Kiedy położyła rękę na wzdętym brzuchu, uzyskała stuprocentową pewność. Wzięła dłoń Toby i umieściła ją w tym samym miejscu, żeby dziewczyna również zrozumiała, co się dzieje.

Potem odwróciła się do Jana.

– Wezwij karetkę i powiedz im, że twoja żona rodzi. Potem zadzwoń do szpitala. Upředź, że zaraz tam będziemy, i poproś, by

zawiadomili doktora Stanleya Zincka.

Toby zaczęła płakać.

– Czy on jest coś wart?

– Oczywiście, że tak. Gwen nie pozwoliłaby się zastępować byle komu. – Roberta wciągnęła sterylne rękawiczki.

Oczy Toby były rozszerzone ze strachu. Roberta musiała ją kilkakrotnie prosić, by uniosła kolana za ostatnim razem już ostro. Badanie palcem wykazało, że rozwarcie jest słabe; może na trzy centymetry.

– Robbie, tak się boję.

Roberta przytuliła ją do siebie.

– Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Posłała ją do łazienki, żeby opróżniła pęcherz, nim przyjedzie karetka.

Jan wrócił.

– Będzie jej potrzebne parę rzeczy – przypomniała Roberta.

– Jej torba stoi spakowana od miesiąca.

Karetką przyjechali Steve Ripley i Dennis Stanley, zaaferowani tym bardziej, że Toby była jedną z nich. Kiedy się pojawili, Roberta kończyła właśnie po raz drugi mierzyć Toby tętno i ciśnienie. Zapisała wyniki na kartce i wręczyła ją Steve'owi. Jan i Dennis wyszli do karetki po wózek.

– Jadę z nią powiedziała Roberta. Jest przerażona. – Byłoby dobrze, gdyby jej mąż też wszedł z nami do tyłu – dodała, a Steve skinął głową.

W karetce panował tłok. Steve stał w głębi, za fotelem kierowcy, Jan u nóg żony, a Roberta w środku. Wszyscy troje równocześnie

kiwali się i walczyli o zachowanie równowagi, zwłaszcza, gdy ambulans wjechał na krętą szosę. Wewnątrz było gorąco, ogrzewanie działało pełną parą. Już na początku jazdy zdjęli z Toby koce, a Roberta wysoko zadarła jej koszulę i nakryła ją tylko cienkim prześcieradłem, które zresztą Toby natychmiast straciła, bo ból absorbował ją bardziej niż względy przyzwoitości.

Wkrótce blada twarz dziewczyny poczerwieniała z wysiłku; Toby na zmianę sapała i jęczała, a od czasu do czasu wyrywał jej się przenikliwy krzyk.

– Podać tlen? – spytał Steve.

– Nie zaszkodzi.

Po kilku jednak oddechach Toby zdarła maskę z twarzy.

– Robbie! – wrzasnęła, czując obfitą falę, która chlusnęła z jej ciała wprost na ręce i dzinsy Roberty.

– W porządku, mała, to tylko odeszły wody – powiedziała lekarka, sięgając po ręcznik.

Toby szeroko otwierała usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Chwilę wcześniej Roberta badając ją stwierdziła, że rozwarcie zwiększyło się do czterech centymetrów, ale kiedy teraz opuściła wzrok, ujrzała, że napięte do ostateczności ujście pochwy otacza czubek małej, włochatej główki.

– Dennis – zawołała. – Zatrzymaj się gdzieś!

Kierowca zręcznie zjechał na pobocze i nacisnął hamulec. Roberta była pewna, że to jeszcze potrwa, ale zmiana nasilenia jęków uświadomiła jej, że jest inaczej. Nadstawiła ręce między nogami Toby i już po chwili trzymała w nich małe, czerwone niemowlę. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, były pozlepiane śluzem płodowe włoski, jasne i delikatne jak u jego matki. Następną...

– To chłopiec, Toby. Janie, masz syna!

– Patrzcie państwo! – ucieszył się Jan, nie przestając rozcierać stóp żony.

Dziecko zaniosło się cienkim, oburzonym krzykiem. Owinęli je w ręcznik i położyli przy matce.

– Jedziemy, Dennis! – zawołał Steve.

Karetka mijiała właśnie granicę miasta Greeneld, kiedy Toby znów zaczęła jęczeć.

– O Boże, Jan, nieee... ZNOWU???

Zaczęła się rzucać, więc Roberta podała dziecko Steve'owi.

– Dennis, stój! – zawołała.

Tym razem skręcił na parking przed supermarketem. Dookoła tłumy ludzi wsiadały i wysiadały z samochodów.

Oczy Toby nieomal wylazły z orbit. Wstrzymywała oddech, jęczała i cichła. I znów: wstrzymywała oddech, jęczała i cichła. I jeszcze raz, i znowu. Leżała przechylona na lewy bok, patrząc bezradnie na ścianę karetki.

– Musimy jej pomóc. Jan, podnieś wysoko jej prawą nogę.

Jan odchylił kolano żony prawą ręką, równocześnie lewą naciskając udo, żeby noga pozostała zgięta.

Teraz Toby krzyknęła.

– Trzymaj! – poleciła Janowi Roberta, odbierając łożysko.

W trakcie tego Toby trochę puścił zwieracz, więc otarła ją ręcznikiem, zastanawiając się, jak dziwnie urządzone jest świat: od tysięcy lat miliony ludzi rodzą się tak samo – we krwi, nieczystościach i bólu.

Gdy ruszyli ponownie, znalazła plastikową torbę i wsadziła do niej łożysko. Teraz dziecko leżało znów w ramionach Toby, łożysko

zaś obok niego.

– Przetniemy pępowinę? – spytał Steve.

– Czym?

Otworzył skromny i raczej bezużyteczny zestaw położniczy i wyjął z niego brzytwę. Na myśl o konieczności posłużenia się nią w jadącym pojeździe Roberta z trudem opanowała dreszcz.

– Nie, wolę poczekać na sterylne nożyczki – powiedziała. Wyjęła jednak z zestawu dwie tasiemki i przewiązała nimi pępowinę, najpierw o cal powyżej brzuszka dziecka, a drugi raz przy wylocie plastikowej torby. Toby leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma. Roberta rozmasowała jej brzuch. W chwili, gdy karetka skręciła pod szpital, poprzez cienką, gładką, zwiotczałą teraz skórę poczuła, jak macica zaczyna reagować, obkurcza się, odzyskuje jędrność i gotowość na wypadek, gdyby któregoś dnia znów miała wydać z siebie nową istotę.

Roberta stanęła przy umywalce w toalecie dla personelu i wyszorowała ręce, zmywając z nich płyn owodniowy i rozcieńczoną krew. Jej odzież, przesiąknięta na wylot, wydawała ciężki, ziemisty odór, zdjęła więc džinsy i sweter i zwinęła je w ciasny kłęb. Na półce leżał stosik świeżo upranych szarych płóciennych kombinezonów, przywłaszczyła sobie jeden, po czym wyszła z toalety, niosąc ubranie w papierowej torbie.

Toby leżała na szpitalnym łóżku.

– Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć wychrypiała.

– Teraz go kąpią. Ojciec jest przy nim. Waży pięć funtów i dziesięć uncji.

– Niewiele, prawda?

– Jest zdrowy. Mały, bo urodził się troszkę wcześniej. Dlatego poszło ci tak łatwo.

– Łatwo?

– No... szybko.

To przypomniało jej o czymś i kiedy jedna z pielęgniarek weszła do pokoju, Roberta zwróciła się do niej:

– Pacjentka ma parę niewielkich rozdarć w kroczu. Jeśli dacie mi sprzęt, to ją pozszywam.

– Ee... doktor Zinck już jedzie. Oficjalnie to on jest położnikiem. Już i tak odwaliała pani za niego robotę – zażartowała pielęgniarka, a Roberta pojęła delikatną aluzję i kiwnęła głową.

– Nie chcecie czasem dać mu na imię Robert na cześć pewnej starej domowej lekarki, która niezwłocznie stawiała się na wezwanie? – zapytała.

– Nie – Toby potrząsnęła głową. – Będzie się nazywał Jan Paul Smith, jak jego ojciec. Ale nie martw się, jeszcze się nim nacieszysz. Będiesz mu opowiadać o higienie i o tym, jak postępować z dziewczętami, i o wielu różnych podobnych sprawach.

Powieki jej opadły. Roberta pogłaskała jej spocone włosy.

Kiedy karetka podwiozła ją do samochodu, było dziesięć po drugiej. Powoli wróciła do domu jakże znajomą już szosą. Niebo nad okrytymi śniegiem polami zszarzało. W dzielących je zagajnikach można się było schronić, lecz na otwartej przestrzeni wiatr gnał długimi susami jak wygłodniały wilk, pędząc przed sobą zmarznięte drobiny śniegu, które cichutko stukały o karoserię.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, poszła prosto do automatycznej sekretarki. Okazało się jednak, że na razie nikt nie dzwonił.

Zniosła do piwnicy świeżą wodę i żarcie dla Andy'ego, porządnie wyczochrała go za uszami, a potem wzięła długi, ciepły, kojący natrysk. Kiedy skończyła, z rozkoszą roztarła ciało ręcznikiem i wdziała najwygodniejsze trykotowe spodnie i wystrzępioną na szwach bluzę.

Zdążyła włożyć jeden pantofel, kiedy rozległ się dzwonek. Upuściła drugi i utykając pobiegła do telefonu.

– Halo?... Tak, to ja... I co wykazały?... Rozumiem. Czy może mi pani podać te wielkości?... Tak, będę wdzięczna, jeżeli prześlecie mi państwo wyniki do domu... Dziękuję.

Zapomniała, że miała włożyć drugi but. Krążyła po domu, w końcu zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem i wypła szklankę mleka.

Najdawniejsze marzenie wreszcie się spełniło. Wygrała na najlepszej loterii świata.

Lecz... ta odpowiedzialność!

Świat się kurczył i szarzał, mimo postępu żyło się coraz gorzej. Wszędzie ludzie zabijali innych ludzi.

Może w tym roku urodzi się dziecko, które...

To nieuczciwe, obciążać nie narodzone jeszcze barki brzemieniem świętości. Nie musi być łamed wownikiem ani nawet następnym Robem J. w długiej linii Cole'ów. Wystarczy, pomyślała z niedowierzaniem, jeśli będzie to po prostu człowiek, dobry człowiek.

Decyzja okazała się taka prosta.

To dziecko przyjdzie na świat w ciepłym domu i pozna smakowite zapachy dochodzące z kuchenki i piekarnika. Wielu

rzeczy będzie musiała spróbować go nauczyć miłości i delikatności; jak być silnym i odważnym, jak współżyć z leśnymi zwierzętami, jak szukać w rzece pstrągów. Jak karczować szlak, wybierać ścieżkę. O dziedzictwie serdecznych kamieni.

Setki uczuć rozsadzały jej mózg. Miała ochotę pójść na długi spacer, ale na dworze wciąż wiał silny wiatr i zaczął sypać śnieg.

Włączyła odtwarzacz i usiadła na krześle w kuchni. Teraz koncert Mozarta miał sens; mówił do niej słodko o radości oczekiwania. Znalazła w nim spokój; słuchała z rękoma złożonymi na brzuchu. Muzyka rosła, płynęła ścieżkami nerwów poprzez tkanki. Jej moc przeniknęła duszę Roberty i dotarła do samego jądra jej jestestwa, gdzie w maleńkim akwarium pływała drobniutka rybka.

PODZIĘKOWANIA

W trakcie pisania tej książki wielu lekarzy poświęciło mi swój jakże cenny czas, odpowiadając na pytania, pożyczając mi materiały i opracowania fachowe. Byli wśród nich lekarze prowadzący prywatne praktyki dr Richard Warner z Buckland, dr Barry Poret i dr Nancy Bershof z Greenfield, dr Christopher French z Shelburne Falls w stanie Massachusetts, a także okulista dr Wolfgang G. Gilliar z San Francisco.

Z pomocą przyszli mi również klinicyści i akademicy dr Louis Caplan, kierownik katedry neurologii w Tufts University i główny neurolog w New England Medical Center w Bostonie; dr Charles

Vacanti, wykładowca i kierownik katedry anestezjologii w University of Massachusetts Medical Center w Worcester, oraz dr William F. Doyle, kierownik katedry patologii we Franklin Medical Center w Greenfield w stanie Massachusetts.

Otrzymałem pomoc od Esther W. Purinton, dyrektora kadr i szkolenia we Franklin Medical Center, oraz od dyplomowanej położnej Lizy Ramlow.

Susan Newsome z Ligi Planowanego Macierzyństwa stanu Massachusetts wyjaśniła mi wiele spraw dotyczących aborcji, podobnie jak Kathleen A. Mellen i Virginia A. Talbot z Hampden Gynecological Associates i Bay State Medical Center w Springfield.

Polly Weiss z West Palm Beach na Florydzie zapewniła mi orientację w działalności ruchu antyaborcyjnego.

Jak zwykle, znalazłem pomoc w moim rodzinnym mieście.

Margaret Keith zawdzięczam dane antropologiczne na temat kości; Don Buckloh z Ministerstwa Rolnictwa i farmer Ted Bobetsky podzielili się ze mną wiedzą o uprawie roli; Suzanne Corbett zaś – o koniach. Sanitariusze Philip Lucier i Roberta Evans odświeżyli moje wiadomości o pogotowiu ratunkowym w rejonach górskich, a Denise Jane Buckloh dawniej siostra Miriam od Najświętszego Sakramentu dostarczyła mi danych na temat religii katolickiej oraz socjologii. Adwokat Stewart Eisenberg i były komendant policji w Ashfield, Gary Sibia, wprowadzili mnie w meandry postępowania karnego, natomiast Russel Fessenden opowiedział mi o swoim zmarłym dziadku, staroświeckim lekarzu wiejskim, doktorze George'u Russellu Fessendenie.

Roger L. West, doktor weterynarii, oświecił mnie w kwestiach połoźnictwa u krów, a hodowca bydła mlecznego, David Thibaul z

Conway w Massachusetts, pozwolił mi obserwować narodziny cielęcia.

Szczegółową wiedzę na temat datowania starej ceramiki zawdzięczam Julie Reilly, konserwatorce zabytków muzeum w Winterthur w stanie Delaware; radą służyła mi też Susan McGowan z Pocumtuck Valley Memorial Association w Old Deerfield.

Niewiele też byłbym w stanie zdziałać bez życzliwej pomocy pracowników Memorial Libraries w Historie Deerfield, Belding Memorial Library w Ashfield i biblioteki Uniwersytetu Massachusetts w Amherst.

Dziękuję mojemu agentowi literackiemu, Eugene H. Winickowi z McIntosh Otis Inc., za jego przyjaźń i wsparcie.

I wreszcie, dziękuję mojej rodzinie. Lorraine Gordon po mistrzowsku spełnia wielorakie funkcje żony, kierownika finansowego, konsultanta literackiego. Lise Gordon to nie tylko moja córka, lecz i nieoceniony redaktor. Roger Weiss, mój zięć i zarazem wirtuoz komputera, dba o sprawność i poziom sprzętu, na którym pracuję. Córka Jamie Beth Gordon pozwoliła mi, bym zaraził moje postacie a także czytelników jej twórczą namiętnością do serdecznych kamieni (termin Heartrocks jest prawnie chroniony na jej rzecz i może być używany tylko za jej pozwoleniem).

Michaël Gordon, mój syn, służył mi cenną radą w różnych sprawach, a gdy nagła operacja nie pozwoliła mi odebrać osobiście nagrody Jamesa Fennimore'a Coopera, wziął udział w nowojorskiej ceremonii rozdania nagród, przemawiając tam w moim imieniu.

Ta książka należy do nich, tak jak i moje serce.

„Spadkobierczyni Medicusa” to ostatnia część trylogii o lekarskiej rodzinie Cole’ów. Pierwsze dwie książki tej serii – „Medicus” i „Szaman” – zdobyły nagrody literackie i rangę światowych bestsellerów. Trylogia zajęła mi trzynaście lat życia i zabrała mnie w fascynującą podróż z wieku XI aż do czasów współczesnych. Jestem szczęśliwy, że miałem szansę ją odbyć.

Ashfield, Massachusetts

luty 1995